

Macdonald Ross

Błękitny młoteczek

Tłumaczył Michał Ronikier

1

Dojechałem do rezydencji prywatną drogą, rozszerzającą się na wierzchołku w niewielki parking. Po wyjściu z samochodu mogłem popatrzeć za siebie na leżące w dole miasto i dostrzec wieże misji oraz gmach sądu, do połowy zanurzony w oparach mgły i dymu. Kanał leżał po drugiej stronie wzniesienia, wśród porzrzucanych wysepek.

Jedynym dźwiękiem, jaki dochodził do moich uszu, jeśli nie liczyć cichego pomruku autostrady, którą przed chwilą opuściłem, był odgłos odbijanej piłki tenisowej. Kort, otoczony wysoką drucianą siatką, sąsiedował z boczną ścianą domu. Krępy mężczyzna w szortach i płóciennym kapeluszu grał z ruchliwą blondynką. W skupieniu, z jakim poruszali się po zamkniętej przestrzeni, było coś, co nasunęło mi skojarzenie ze spacerującymi po dziedzińcu więźniami.

Mężczyzna przegrał szereg piłek pod rząd i postanowił zauważyć moją obecność. Przerwał grę, odwrócił się plecami do partnerki i podszedł do ogrodzenia.

- Pan Lew Archer? Odpowiedziałem mu twierdząco.

- Spóźnił się pan.

- Miałem trudności ze znalezieniem pańskiej drogi.

- Trzeba było spytać kogokolwiek w mieście. Wszyscy wiedzą, gdzie mieszka Jack Biemeyer. Nawet lądujące tu samoloty używają mego domu jako punktu orientacyjnego.

Mogłem łatwo domyślić się przyczyny. Budynek był potężną bryłą z białego kamienia i czerwonych dachówek, wzniesioną w najwyższym punkcie Santa Teresa. Górowały nad nim tylko widoczne po drugiej stronie miasta wzgórza i krążący po jasnym, październikowym niebie jastrzęb.

Zbliżyła się partnerka Biemeyera. Wydawała się znacznie młodsza od niego. Miałem wrażenie, że wzrok, jakim obrzuciłem jej szczupłą, jasną twarz i figurę dojrzałej, starzejącej się kobiety, wprowadził ją w ogromne zakłopotanie. Biemeyer nie dokonał prezentacji. Przedstawiłem się sam.

- Jestem Ruth Biemeyer. Na pewno ma pan ochotę na drinka, panie Archer. Ja w każdym razie muszę się napić.

- Nie będziemy się bawili w pozory gościnności - stwierdził Biemeyer. - Ten człowiek przyjechał tu w interesie.

- Wiem. To mój obraz został ukradziony.

- Ja zreferuję panu tę sprawę, Ruth, o ile nie masz nic przeciwko temu.

Wprowadził mnie do domu; jego żona szła w pewnej odległości za nami. W środku panował miły chłód, ale poczułem wyraźnie ciężar otaczających mnie i górujących nade mną murów. Rezydencja przypominała raczej gmach użyteczności publicznej niż dom mieszkalny - było to wnętrze; w jakim płaci się podatki lub otrzymuje rozwód.

Przeszliśmy wolno przez wielki salon. Biemeyer wskazał mi białą ścianę, na której dostrzegłem tylko dwa haki, podtrzymujące dawniej obraz.

Wyjąłem notes i długopis.

- Kiedy został skradziony?

- Wczoraj.

- To znaczy wczoraj dostrzegłam jego brak - wtrąciła pani domu. - Ale nie wchodzę do tego pokoju codziennie.

- Czy był ubezpieczony?

- Nie było na niego osobnej polisy - odparł Biemeyer. - Oczywiście wszystko w tym domu objęte jest jakimś ubezpieczeniem.

- Ile mógł być wart?

- Chyba ze dwa tysiące.

- Znacznie więcej - sprostowała Ruth. - Przynajmniej jakieś pięć, sześć razy tyle. Ceny Chantry'ego bardzo wzrosły.

- Nie wiedziałem, że je śledzisz - powiedział podejrzliwym tonem Biemeyer. - Dziesięć albo dwanaście tysięcy? Czy tyle zapłaciłaś za ten obraz?

- Nie powiem ci, ile zapłaciłam. Kupiłam go za własne pieniądze.

- Czy musiałaś to zrobić nie pytając mnie o radę? Myślałem, że już przeszedł ci ten bzik na punkcie Chantry'ego.

Zastygła w bezruchu.

- Twoja uwaga jest nie na miejscu. Nie widziałam Richarda Chantry od trzydziestu lat. Nie miał nic wspólnego z kupnem tego obrazu.

- Tak przynajmniej twierdzisz.

Ruth Biemeyer rzuciła mężowi krótkie, ostre spojrzenie, jak gdyby zdobyła na nim punkt w grze znacznie trudniejszej niż tenis.

- Jesteś zazdrosny o mężczyznę, który nie żyje. Zaśmiał się sarkastycznie.

- To bzdura - z dwóch powodów. Po pierwsze, nie jestem zazdrosny, a po drugie, nie wierzę, że on nie żyje.

Rozmawiali w taki sposób, jakby zapomnieli o mojej obecności, ale podejrzewałem, że o niej pamiętają. Narzucili mi rolę sędziego, przed którym mogli toczyć swój zadawniony spór, nie obawiając się, że doprowadzi ich on na przykład do bezpośredniej próby sił. Biemeyer mimo swego wieku zachowywał się i przemawiał jak mężczyzna zdolny do aktu przemocy, mnie zaś zaczęła już nużyć moja bierna rola.

- Kto to jest Richard Chantry? Kobieta spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

- Naprawdę nigdy pan o nim nie słyszał?

- Nigdy nie słyszała o nim większość mieszkańców kuli ziemskiej - oświadczył Biemeyer.

- To nieprawda. Był sławny już w momencie, kiedy zniknął, a nie przekroczył jeszcze wtedy trzydziestki.

W głosie pani Biemeyer zabrzmiała czułość i żal. Spojrzałem na twarz jej męża. Był czerwony z gniewu, w jego oczach malowała się furia. Wszedłem pomiędzy nich, zwracając się twarzą do kobiety.

- Skąd zniknął Richard Chantry?

- Stąd - odparła. - Z Santa Teresa.

- Ostatnio?

- Nie. Było to z górą dwadzieścia pięć lat temu. Po prostu postanowił zostawić to wszystko za sobą. Jak stwierdził w swym pożegnalnym oświadczeniu, zamierzał szukać nowych horyzontów.

- Czy złożył to oświadczenie na pani ręce?

- Nie, nie na moje. Zostawił list, który jego żona podała do publicznej wiadomości. Nigdy nie widziałam Richarda Chantry od czasu naszej młodości w Arizonie.

- Ale nie można powiedzieć, że nie starałaś się go spotkać - oświadczył jej mąż. - Chciałaś, żebym zamieszkał tutaj po przejściu na emeryturę, bo było to miasto Chantry'ego. Kazałaś mi zbudować ten dom tuż obok jego willi.

- To nieprawda, Jack. Sam wpadłeś na pomysł, żeby zbudować go w tym miejscu. Ja po prostu zgodziłam się na to, przecież dobrze o tym wiesz.

Rumieniec na jego twarzy ustąpił nagle miejsca bledości. W oczach odbiła się rozpacz, z jaką uświadomił sobie, że zawiodła go pamięć.

- Niczego już nie jestem pewny - powiedział głosem starego człowieka i wyszedł z pokoju.

Żona ruszyła w ślad za nim, potem odwróciła się i stanęła obok okna. Miała skupiony wyraz twarzy.

- Mój mąż jest ogromnie zazdrosnym człowiekiem.

- Czy dlatego mnie wezwał?

- Wezwał pana, bo ja go o to prosiłam. Chcę odzyskać mój obraz. Jest to jedyne dzieło Richarda Chantry, jakie posiadam.

Przysiadłem na oparciu klubowego fotela i ponownie wyjąłem notes.

- Czy może mi go pani opisać?

- Jest to portret młodej kobiety, dość konwencjonalny. Barwy są ostre i wyraźne, jak kolory używane przez Indian. Ma jasne włosy i czerwono-czarny szal. Richard w swoim wczesnym okresie był pod bardzo silnym wpływem sztuki indiańskiej.

- Czy był to obraz z jego wczesnego okresu?

- W gruncie rzeczy nie wiem. Człowiek, od którego go kupiłam, nie potrafi określić daty jego powstania.

- Skąd pani wie, że jest autentyczny?

- Myślę, że potrafię to stwierdzić na podstawie jego wyglądu. Sprzedawca również gwarantował jego autentyczność. Był przyjacielem Richarda jeszcze w Arizonie. Dopiero od niedawna mieszka w Santa Teresa. Nazywa się Paul Grimes.

- Czy ma pani fotografię obrazu?

- Ja nie, ale ma ją Grimes. Jestem pewna, że pozwoli ją panu obejrzeć. Ma małą galerię w centrum miasta.

- Może lepiej będzie, jeśli z nim najpierw porozmawiam. Czy mogę zadzwonić od państwa?

Zaprowadziła mnie do pokoju, w którym przy starym, czarnym biurku z żaluzją siedział jej mąż. Porysowana dębowa okładzina, jaką wyłożone były boki biurka, kontrastowała z wytworną boazerią z indyjskiego dębu, pokrywającą ściany. Biemeyer nie odwrócił ku nam głowy. Wpatrywał się w wiszącą nad biurkiem fotografię wykonaną z samolotu. Było to zdjęcie największej dziury w ziemi, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć.

- To była moja kopalnia miedzi - oznajmił z posępną dumą.

- Zawsze nienawidziłam tej fotografii - stwierdziła jego żona. - Chciałabym, żebyś ją zjął.

- Dzięki niej masz ten dom, Ruth.

- Jestem widocznie dzieckiem szczęścia. Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby pan Archer stąd zadzwonił?

- Owszem. Mam coś przeciwko temu. W domu, kosztującym czterysta tysięcy dolarów, powinien być jakiś ką, w którym człowiek może spokojnie posiedzieć.

Podniósł się gwałtownie i wyszedł z pokoju.

2

Ruth Biemeyer oparła się o framugę drzwi, demonstrując zarys swej sylwetki. Nie miała już figury młodej dziewczyny, ale tenis i być może gniew pomogły jej zachować szczupłość i sprężystość.

- Czy pani mąż zawsze zachowuje się w taki sposób?

- Nie zawsze. Jego nerwy są ostatnio w kiepskim stanie.

- W związku z tym zaginionym obrazem?

- To tylko jeden z powodów.

- A jakie są pozostałe?

- W gruncie rzeczy można to połączyć ze sprawą obrazu. - Zawahała się. - Nasza córka, Doris, studiuje na uniwersytecie i zaczęła się zadawać z ludźmi, którzy nie wydają się nam odpowiednim dla niej towarzystwem. Wie pan, jak to jest.

- Ile lat ma Doris?

- Dwadzieścia. Jest na drugim roku.

- Mieszka w domu?

- Niestety nie. Wyprowadziła się w zeszłym miesiącu, na początku semestru jesiennego. Znaleźliśmy jej mieszkanie w Academia Village, tuż obok terenów uniwersyteckich. Oczywiście chciałam, żeby została w domu, ale ona stwierdziła, że ma takie samo prawo do własnego życia, jak Jack i ja. Zawsze bardzo krytycznie odnosiła się do tego, że Jack pije. Do mojego picia również, jeśli chce pan znać całą prawdę.

- Czy Doris zażywa narkotyki?

- Chyba nie. W każdym razie nie jest narkomanką. - Przez chwilę milczała, wyobrażając sobie życie córki, które zdawało się napawać ją lękiem. - Nie przepadam zbyt wiele za niektórymi osobami, z jakimi się zadaje.

- Ma pani na myśli kogoś konkretnego?

- Jest tam taki chłopak, Fred Johnson, którego przyprowadziła kiedyś do domu. W gruncie rzeczy jak na chłopca jest już dość stary - musi mieć co najmniej trzydziestkę. To jeden z tych wiecznych studentów, którzy kręcą się koło uniwersytetu, bo lubią tę atmosferę, a może łatwe zarobki.

- Podejrzewa pani, że to on mógł ukraść ten obraz?

- Nie stawiałabym tego tak jednoznacznie. Ale interesuje się sztuką. Jest pracownikiem naukowym tutejszego muzeum i chodzi na wykłady z tej dziedziny. Słyszał o Richardzie Chantry - w gruncie rzeczy miałam nawet wrażenie, że sporo o nim wie.

- Można by to chyba powiedzieć o wszystkich studentach tutejszego wydziału historii sztuki?

- Przypuszczam, że tak. Ale Fred Johnson wykazywał niezwykle zainteresowanie tym obrazem.

- Może mi go pani opisać?

- Spróbuję.

Raz jeszcze wyjąłem notes i oparłem się o biurko. Pani Biemeyer zasiadła na obrotowym fotelu i odwróciła się przodem do mnie.

- Kolor włosów?

- Rudoblond. Ma dość długie włosy. Trochę rzedną mu już na czubku głowy. Ale kompensuje to sobie przy pomocy wąsów. Ma takie długie, krzaczaste wąsy, przypominające il szczotkę” do butów. Jego zęby są w dość kiepskim stanie. Ma zbyt długi nos.

- A oczy? Niebieskie?

- Raczej zielonkawe. W gruncie rzeczy właśnie jego oczy trochę mnie niepokoją. Nigdy nie patrzy wprost na rozmówcę, w każdym razie, kiedy rozmawia ze mną.

- Wysoki czy niski?

- Średniego wzrostu. Dość szczupły. W sumie można nazwać go przystojnym, o ile ktoś lubi ten typ mężczyzny.

- Jak na przykład Doris?

- Obawiam się, że tak. Lubi Freda Johnsona o wiele bardziej, niżbym sobie życzyła.

- A Fred polubił ten zaginiony obraz?

- Więcej niż polubił. Był nim zafascynowany. Poświęcał mu znacznie więcej uwagi niż mojej córce. Miałam wrażenie, że przychodził tu, by zobaczyć obraz, a nie, by z nią się spotkać.

- Czy mówił coś na jego temat? Zawahała się.

- Stwierdził, że wygląda on na jeden z pamięciowych obrazów Chantry’ego. Spytałam go, co to oznacza. Odpowiedział, że jest to zapewne jedno z dzieł, które Chantry malował z pamięci, nie mając modelki. Był najwyraźniej zdania, że obraz jest dzięki temu bardziej unikalny i cenniejszy.

- Czy wspominał o jego wartości?

- Pytał, ile za niego zapłaciłam. Nie chciałam mu powiedzieć - to moja mała tajemnica.

- Potrafię dochować tajemnicy.

- Ja również. - Otworzyła górną szufladę biurka i wyjęła miejscową książkę telefoniczną. - Chciał pan dzwonić do Paula Grimesa, prawda? Tylko niech pan nie próbuje wyciągnąć z niego tej ceny; Przysiągł mi, że utrzyma ją w sekrecie.

Zanotowałem sobie numer telefonu Grimesa i adres jego galerii leżącej w centrum miasta. Potem wykręciłem ów numer. W słuchawce odezwał się gardłowy, lekko egzotyczny głos kobiecy. Powiedziała mi, że pan Grimes rozmawia w tej chwili z klientem, ale wkrótce będzie wolny. Podałem jej nazwisko i zapowiedziałem swą wizytę nieco później.

- Proszę nie wspominać jej o mnie - gorączkowo wyszeptła do mego wolnego ucha Ruth Biemeyer.

- Kto to jest? - spytałem, odłożywszy słuchawkę.

- Chyba ma na imię Paola. Przedstawia się jako jego sekretarka. Myślę, że ich związek może być bardziej zażyły.

- Skąd ma ten akcent?

- Z Arizony. Jest chyba na pół Indianką. Zerknąłem na fotografię dziury, którą wywiercił Jack Biemeyer w krajobrazie Arizony.

- Wydaje się, że ta sprawa ma wiele wspólnego z Arizoną. Czy nie mówiła pani, że stamtąd właśnie przybył Richard Chantry?

- Owszem. Wszyscy stamtąd pochodzimy. I wszyscy wylądowaliśmy w końcu tutaj, w Kalifornii.

Jej głos był pozbawiony wyrazu i nie zdradzał tęsknoty za stanem, który opuściła, ani szczególnej sympatii do stanu, w którym mieszka. Mówiła jak kobieta rozgoryczona.

- Dlaczego przyjechała pani do Kalifornii?

- Pewnie myśli pan o tym, co powiedział mój mąż. Że jest to, a raczej było, miasto Dicka Chantry i że dlatego właśnie chciałam się tu osiedlić.

- Czy to prawda?

- Myślę, że jest w tym odrobina prawdy. Dick był jedynym dobrym malarzem, jakiego naprawdę znałam. Nauczył mnie patrzeć na pewne rzeczy. Byłam zachwycona koncepcją zamieszkania w miejscu, w którym powstały jego najlepsze prace. Wie pan, zrobił to wszystko w ciągu siedmiu lat, a potem zniknął.

- Kiedy?

- Jeśli chodzi panu o dokładną datę, to odszedł 4 lipca 1950 roku.

- Jest pani pewna, że zrobił to z własnej woli? Że nie został zamordowany albo porwany?

- To wykluczone. Niech pan pamięta, że zostawił list do żony.

- Czy ona nadal tu mieszka?

- Jak najbardziej. Może pan obejrzeć jej willę z naszego domu. Stoi zaraz za tym wąwozem.

- Zna ją pani?

- Znałyśmy się bardzo dobrze, kiedy byłyśmy młode. Ale nigdy nie łączyła nas bliska przyjaźń. Od naszego przyjazdu prawie jej nie widuję. Dlaczego pan pyta?

- Chciałbym obejrzeć ten list, który zostawił jej mąż.

- Mam kopię. Sprzedają je w tutejszym muzeum. Wyszła na chwilę i wróciła z listem. Oprawiony był w srebrną ramkę. Stała nade mną, odczytując tekst. Jej wargi poruszały się, jakby odmawiała litanie.

Wręczyła mi go jakby z pewną niechęcią. Był napisany na maszynie - z wyjątkiem podpisu - i nosił datę: Santa Teresa, 4 lipca 1950.

Droga Francine

Jest to list pożegnalny. Serce mi pęka, ale muszę od Ciebie odejść. Często rozmawialiśmy o mojej potrzebie odkrycia nowych horyzontów, za którymi znaleźć mogę światło, nie znane dotąd na morzu i lądzie. To urocze wybrzeże i jego dzieje powiedziały mi wszystko, co miały do powiedzenia - tak jak niegdyś Arizona.

Ale podobnie jak w Arizonie dzieje te są krótkie i niedawne i nie mogą udźwignąć poważnych zadań, do których zostałem stworzony. Muszę szukać gdzie indziej jakichś innych korzeni, jakiejś głębszej, przepastniejszej ciemności, bardziej przenikliwego światła. I podobnie jak Gauguin postanowiłem, że muszę poszukiwać ich samotnie, ponieważ pragnę badać nie tylko świat zewnętrzny, ale również głębie i zakątki własnej duszy.

Nie biorę z sobą nic, prócz tego, co mam na grzbiecie, swego talentu, swych wspomnień o Tobie. Droga żono, drodzy przyjaciele, proszę, byście wspominali mnie serdecznie i dobrze mi życzyli. Robię po prostu to, do czego się urodziłem.

Richard Chantry

Zwróciłem Ruth Biemeyer oprawiony list. Przycisnęła go do piersi.

- Piękny, prawda?

- Nie jestem pewien. To zależy od punktu widzenia. Dla żony Chantry'ego musiał to być spory szok.

- Wydaje się, że zniosła go bardzo dobrze.

- Czy rozmawiała pani z nią o tym kiedykolwiek?

- Nie. Nie rozmawiałam. - Jej ostry ton przekonał mnie, że nie łączą ją z panią Chantry więzy przyjaźni. - Ale wydaje się, że ta cała odziedziczona sława sprawia jej wiele radości. Nie mówiąc już o pieniądzach, które jej zostawił.

- Czy Chantry miał skłonności samobójcze? Czy kiedykolwiek wspominał coś o odebraniu sobie życia?

- Ależ skąd! - Zamilkła na chwilę, potem ciągnęła dalej: - Musi pan pamiętać, że znałam Dicka, kiedy był bardzo młody. Ja byłam jeszcze młodsza. Prawdę mówiąc nie widziałam go i nie rozmawiałam z nim od przeszło trzydziestu lat. Ale wierzę mocno, że nadal żyje.

Dotknęła swego biustu, jakby chcąc powiedzieć, że żyje w każdym razie w jej sercu. Na jej górnej wardze pojawiły się kropelki potu. Otarła je grzbietem dłoni.

- Obawiam się, że ta rozmowa trochę mnie rozkleiła.

Przeszłość wynurza się nagle jak spod ziemi i wali nas obuchem w głowę. I to akurat w momencie, kiedy byłam pewna, że wreszcie nad wszystkim panuję... Czy zdarza się to panu czasem?

- W dzień dość rzadko. W nocy, tuż przed zaśnięciem...

- Nie jest pan żonaty? - szybko wyciągała wnioski.

- Byłem, jakieś dwadzieścia pięć lat temu.

- Czy pańska żona żyje?

- Mam nadzieję.

- Nie próbował się pan dowiedzieć?

- Ostatnio nie. Wolę dowiadywać się szczegółów z życia innych ludzi. Tymczasem chciałbym porozmawiać z panią Chantry.

- Nie sądzę, aby to było konieczne.

- Mimo to spróbuję. Może uzupełni mi tło całej sprawy. Twarz mej rozmówczyni zastygła w wyrazie pełnym dezaprobaty.

- Ale chodzi mi przecież tylko o to, żeby pan odzyskał mój obraz.

- I jak się wydaje, chce pani mnie instruować, jak mam to zrobić. Próbowałem współpracować w ten sposób z innymi klientami, ale rezultaty nie były najlepsze.

- Po co chce pan rozmawiać z Francine Chantry? Wie pan, ona właściwie nie należy do naszych przyjaciół.

- Więc mam kontaktować się wyłącznie z przyjaciółmi?

- Nie to chciałam powiedzieć. - Zamilkła na chwilę. - Ma pan zamiar rozmawiać z wieloma ludźmi, prawda?

- Z tyloma, z iloma będę musiał. Cała sprawa wydaje mi się bardziej skomplikowana, niż pani sądzi. Może zająć wiele dni i kosztować kilkaset dolarów.

- Jesteśmy w pełni wypłacalni.

- W to nie wątpię. Ale nie jestem pewien intencji pani męża.

- Proszę się nie martwić. Jeśli on panu nie zapłaci, zrobię to ja.

Wyprowadziła mnie przed dom, by pokazać mi willę państwa Chantry. Była to neohiszpańska rezydencja z wieżami, licznymi przebudówkami i dużą oranżerią. Leżała nieco poniżej szczytu wzgórza, na którym staliśmy, po drugiej stronie wąwozu rozdzielającego obie posiadłości jak głęboka rana w ziemi.

3

Po krótkich poszukiwaniach znalazłem drogę, prowadzącą na most nad wąwozem, i zaparkowałem przed domem pani Chantry. Potężnie zbudowany mężczyzna o haczykowatym nosie otworzył drzwi, zanim zdążyłem zapukać. Wyszedł przed dom, zamykając je za sobą.

- Co mogę dla pana zrobić? - Miał wygląd i głos spoufalonego służącego.

- Chciałbym się zobaczyć z panią Chantry.

- Nie ma jej w domu. Może zechce pan zostawić wiadomość.

- Muszę z nią pomówić osobiście.

- O czym?

- Sam jej powiem, zgoda? Jeśli poinformuje mnie pan, gdzie jest.

- Przypuszczam, że w muzeum. Dziś jest dzień jej dyżuru.

Postanowiłem złożyć najpierw wizytę antykwariuszowi nazwiskiem Paul Grimes. Pojechałem wzdłuż wybrzeża do dolnej części miasta. Na wodzie unosiły się białe żagle, w powietrzu zaś mewy i rybitwy, stanowiące jakby ich drobne, latające odpowiedniki. Zatrzymałem się pod wpływem nagłego impulsu i wynająłem pokój w stojącym nad zatoką motelu.

Dolna część miasta była zaniedbaną nadmorską dzielnicą, obejmującą kilkanaście ulic. Jej niechlujni mieszkańcy wałęsali się po głównej arterii lub stali oparci o drzwi sklepów z różnego rodzaju tandetą.

Zjechałem z głównej ulicy w przecznicę i znalazłem galerię Paula Grimesa, wciśniętą pomiędzy sklep z napojami alkoholowymi a wegetariańską restaurację. Nie wyglądała ona imponująco - ozdobiona lichą, kamienną wykładziną fasada budynku, na którego wyższym piętrze znajdowało się chyba mieszkanie prywatne. Złoty napis na szybie wystawowej głosił: „Paul Grimes - Obrazy i przedmioty dekoracyjne”. Zaparkowałem tuż przed sklepem, obok pomalowanego na zielono krawężnika.

Otwierając drzwi usłyszałem cichy sygnał wiszącego nad nimi dzwonka. Skromność wnętrza maskować miały malowane ekrany i draperie z szarego płótna. Wisiało na nich kilka obrazów, których walory wydały mi się dość dyskusyjne. Przy stojącym pod ścianą tandetnym biurku siedziała ciemnowłosa kobieta w barwnym stroju, starając się nadać sobie wygląd osoby pochłoniętej pracą.

Miała głębokie, ciemne oczy, wystające kości policzkowe i wydatny biust. Jej włosy wydawały się kruczoczarne. Była bardzo przystojna i bardzo młoda.

- Pan Grimes oczekuje mnie - powiedziałem, podawszy jej swoje nazwisko.

- Bardzo mi przykro, ale musiał wyjść.

- Kiedy wróci?

- Nie poinformował mnie. Wyjechał chyba w jakiejś sprawie poza miasto.

- Pani jest jego sekretarką?

- Można mnie tak nazwać. - Jej uśmiech przypominał błysk na wpół ukrytego noża. -

Czy to pan telefonował w sprawie jakiegoś obrazu?

- Tak.

- Mogę pokazać panu kilka dzieł. - Wyciągnęła rękę w kierunku eksponowanych płócien. - Te są przeważnie abstrakcyjne, ale mamy na zapleczu kilka obrazów figuratywnych.

- Czy posiadacie jakieś prace Richarda Chantry?

- Nie sędzę. Nie.

- Pan Grimes sprzedał obraz Chantry'ego państwu Biemeyer. Powiedzieli mi, że mogę tu obejrzeć jego fotografię.

- Nic na ten temat nie wiem.

Rozłożyła ręce i spod luźnych rękawów wysunęły się jej okrągłe, ciemne ręce. Były porośnięte delikatnym puchem włosów, który przypominał lekki osad dymu.

- Czy może mi pani podać domowy adres pana Grimesa?

- Mieszka nad sklepem. Nie ma go w domu.

- Kiedy spodziewa się pani jego powrotu?

- Nie mam pojęcia. Czasem wyjeżdża na tydzień. Nie mówi mi, dokąd się wybiera, a ja nie pytam go o to.

Podziękowałem jej i wszedłem do sąsiedniego sklepu z alkoholami. Stojący za ladą czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku zapytał, czy może dla mnie coś zrobić.

- Mam nadzieję, że tak. Czy zna pan pana Grimesa?

- Kogo?

- Paula Grimesa - ma sklep z obrazami w tym domu obok.

- Starszy facet z siwą, kocią bródką? - Zakreślił palcami jej spiczasty zarys. - Nosi białe sombrero?

- Tak, chyba ten. Potrzęsnał przecząco głową.

- Nie mogę powiedzieć, że bym go znał. Chyba nie pije. W każdym razie nie dał mi nigdy zarobić ani centa.

- A ta jego dziewczyna?

- Raz czy dwa kupiła sześć puszek piwa. Chyba nazywa się Paola. Czy myśli pan, że ma w sobie krew indiańską?

- Nie byłbym zaskoczony.

- Tak mi się wydawało. - Był wyraźnie rozbawiony tą informacją. - Wygląda na ostrą dziewczynę. Nie wiem, jak facet w jego wieku potrafi utrzymać taką dziewczynę przy sobie.

- Ja też nie. Chciałbym wiedzieć, kiedy pan Grimes wróci. - Położyłem na ladzie dwa banknoty dolarowe, przykrywając je swoją wizytówką. - Czy mogę do pana zadzwonić?

- Dlaczego nie?

Dojechałem główną ulicą do skromnego, białego gmachu, w którym mieściło się muzeum. Młody człowiek przy kołowrocie oznajmił mi, że Fred Johnson wychodził z budynku przed jakąś godziną.

- Czy chce się pan z nim zobaczyć w sprawie osobistej? A może chodzi o coś, co ma związek z muzeum?

- Słyszałem, że interesuje go malarz nazwiskiem Richard Chantry.

Jego uśmiech stał się nieco żywszy.

- Wszyscy się nim interesujemy. Czy pan jest przyjezdnym?

- Tak, z Los Angeles.

- Widział pan naszą stałą ekspozycję dzieł Chantry'ego?

- Jeszcze nie.

- Przyszedł pan w stosownym momencie. Jest tu akurat pani Chantry. Poświęca nam jedno popołudnie w tygodniu.

W pierwszej sali, przez którą przeszliśmy, stały jasne i pogodne klasyczne rzeźby; druga sala miała zupełnie odmienny charakter. Obrazy, jakie tam ujrzałem, przypominały okna wychodzące na inny świat, jak okna, przez które badacze dżungli oglądają nocami życie zwierząt. Ale zwierzęta na obrazach Chantry'ego zdawały się przeistaczać w istoty ludzkie. A może byli to ludzie zamieniający się w zwierzęta.

Kobieta, która weszła do sali za moimi plecami, odpowiedziała mi na nie wyrażone pytanie.

- Są to tak zwane obrazy stworzenia... przedstawiają pełną wyobraźni koncepcję twórcy na temat ewolucji. Pochodzą z okresu pierwszego wielkiego wybuchu jego twórczej fantazji. Choć może się to wydać nieprawdopodobne, namalował je w ciągu sześciu miesięcy.

Odwrociłem się, by na nią spojrzeć. Pomimo jej konserwatywnego stroju i afektowanego nieco sposobu mówienia emanowały z niej siła i zdecydowanie. Połysk krótko przyszytych, siwiejących włosów zdawał się odbijać wewnętrzną witalność.

- Czy pani Chantry?

- Tak. - Wydawała się zadowolona, że ją rozpoznałem. - Właściwie nie powinnam tu przebywać. Wydaję dziś wieczorem przyjęcie. Ale trudno mi nie przyjść do muzeum w dniu mojego dyżuru.

Podprowadziła mnie pod dalszą ścianę, na której wisiał cykl postaci kobiecych. Jedna z nich zwróciła moją uwagę. Młoda kobieta siedziała na głazie, przykrytym częściowo skórą bawołu, osłaniającą jej biodra. Piękne piersi ramiona modelki były nagie, nad nią, w głębi, wisiała w przestrzeni ogromna głowa byka.

- Nazwał ją „Europa” - powiedziała pani Chantry. Odwróciłem się do niej. Uśmiechała się. Znowu spojrzałem w kierunku widocznej na obrazie dziewczyny.

- Czy to pani?

- W pewnym sensie. Często mu pozowałam.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie badawczo. Była w moim wieku, może trochę młodsza, ale pod niebieską suknią miała nadal sprężyste ciało Europy. Zastanawiałem się, co skłoniło ją do oprowadzania po wystawie Chantry'ego - przymus wewnętrzny, duma z męża czy może miłość własna.

- Czy widział pan już kiedyś jego obrazy? Miałam wrażenie, że był pan nimi dość zaszokowany.

- Byłem. Jestem.

- Jego dzieła wywierają zwykle taki efekt na ludzi, którzy oglądają je po raz pierwszy. Niech pan mi powie, co skłoniło pana do zainteresowania się nimi?

Powiedziałem jej, że jestem prywatnym detektywem, któremu Biemeyerowie zlecieli śledztwo w sprawie kradzieży ich obrazu. Chciałem przekonać się, jak zareaguje.

Mimo makijażu jej twarz pobrała lekko.

- Biemeyerowie są ignorantami. Obraz, który kupili od Paula Grimesa, to falsyfikat. Proponował mi jego kupno na długo, zanim im go pokazał. Nie chciałam go tknąć. Jest to wyraźna próba naśladownictwa stylu, od którego Richard dawno już odszedł.

- Jak dawno?

- Jakies trzydzieści lat temu. Styl ten pochodził z okresu jego pobytu w Arizonie. Niewykluczone, że Paul Grimes sam namalował ten obraz.

- Więc Grimes jest człowiekiem o takiej reputacji? Zadałem jej o jedno pytanie za dużo.

- Nie mogę rozmawiać o jego reputacji ani z panem, ani z kimkolwiek innym. Był przyjacielem i nauczycielem Richarda jeszcze w Arizonie.

- Ale nie pani przyjacielem?

- Wolę nie rozmawiać na ten temat. Paul pomógł memu mężowi, kiedy pomoc ta miała dla niego znaczenie. Ale ludzie zmieniają się z upływem lat. Wszystko się zmienia. - Rozejrzała się wokół siebie, zerkając przelotnie na obrazy męża, jakby nawet one stały się obce, jak na wpół zapomniane strzępy snu. - Staram się dbać o opinię mego męża, o autentyczność jego dzieł. Różni ludzie chcieliby zrobić majątek na jego twórczości.

- Czyżby Fred Johnson był jednym z nich? Wydawała się zaskoczona moim pytaniem. Potrząsnęła głową; jej fryzura zakołysała się jak miękki, szary dzwon.

- Fred jest zafascynowany twórczością mego męża. Ale nie powiedziałabym, że stara się na niej zarabiać. - Milczała przez chwilę. - Czy Ruth Biemeyer zarzuca mu kradzież swego zakichanego obrazu?

- Wspominano jego nazwisko.

- Ależ to nonsens. Nawet gdyby Fred był nieuczciwy, na co nie wygląda, to ma zbyt dobry gust, by mogła go zwieść taka nędzna imitacja.

- A jednak chciałbym z nim porozmawiać. Czy zna pani przypadkiem jego adres?

- Mogę się dowiedzieć. - Weszła do biura i wróciła po niedługiej chwili. - Fred mieszka z rodzicami na Olive Street, numer 2024. Niech pan będzie dla niego miły. To wrażliwy młody człowiek i wielki entuzjasta Chantry'ego.

Podziękowałem jej za tę informację. Ona podziękowała mi za zainteresowanie twórczością męża. Miałem wrażenie, że gra bardzo złożoną postać, będącą równocześnie

agentem reklamowym, strażnikiem relikwii i jeszcze czymś tam. Mimo woli pomyślałem, że to, czego nie potrafię zdefiniować, to chyba niezaspokojony erotyzm...

4

Dom Johnsonów stał w szeregu drewnianych, trzypiętrowych budynków, wzniesionych chyba w pierwszych latach stulecia. Drzewa oliwkowe, od których pochodziła nazwa ulicy, były jeszcze starsze. Ich liście połyskiwały w popołudniowym słońcu matowym srebrem.

Była to dzielnica drugorzędnych hoteli, domów prywatnych, gabinetów lekarskich i budynków przerobionych częściowo na biura. Odniosłem wrażenie, że wzniesiony w centralnym punkcie wielki, nowoczesny szpital, którego okna nadawały mu wygląd gigantycznego plastra miodu, pochłonął większą część jej sił żywotnych.

Dom Johnsonów był bardziej zaniedbany niż inne budynki. Niektóre z desek obluzowały się, ze ścian dawno zeszła farba. Stał jak szary, wysoki duch budowli za ogródkiem zarośniętym pozółkłą trawą i brunatnymi chwastami.

Zastukałem pięścią do drzwi, zaopatrzonych w zardzewiałą siatkę przeciw owadom. Dom zdawał się powoli, opornie budzić do życia. Usłyszałem, że ktoś ociężale człapie w dół po schodach.

Tęgi, starszy mężczyzna otworzył drzwi i zaczął gapić się na mnie przez drzwi siatkowe. Miał tłuste, siwe włosy i krótką, zaniedbaną, szpakowatą brodę.

- O co chodzi? - spytał gderliwym głosem.

- Chciałbym się zobaczyć z Fredem.

- Nie wiem, czy jest w domu. Zdrzemnąłem się. - Pochylił się ku mnie, przybliżając twarz do siatki, i poczułem od niego zapach wina. - Czego pan chce od Freda?

- Chcę z nim porozmawiać.

Zmierzył mnie od stóp do głów spojrzeniem swych małych, zaczerwienionych oczu.

- O czym chce pan z nim mówić?

- Wolałbym powiedzieć mu to sam.

- Niech pan lepiej powie mnie. Mój syn jest bardzo zajęтым młodym człowiekiem. Jego czas jest cenny. Jest ekspertem - wymówił to słowo z wyraźnym zachwytem - a to kosztuje jeszcze więcej.

Doszedłem do wniosku, że staremu skończył się zapas wina i wobec tego zamierza mnie naciągnąć. Zza schodów wyszła jakaś kobieta w stroju pielęgniarki. Poruszała się z pewną niezręczną godnością, ale jej głos był piskliwy i dziewczęcy.

- Ja porozmawiam z tym panem, Gerard. Nie musisz zaprzętać swojej biednej głowy sprawami Freda.

Dotknęła dłonią jego owłosionego policzka, spojrzała mu ostro w oczy, jak lekarz stawiający diagnozę, i odprawiła go lekkim klepinięciem. Nie podejmując sporu ruszył na powrót w stronę schodów.

- Jestem Sarah Johnson - oznajmiła. - Matka Freda. Jej zaczesane do tyłu szpakowate włosy odsłaniały twarz, której wyraz i przeszłość kryły się, tak samo jak u męża, pod warstwą tłuszczu. Biały kitel opinający mocno jej masywną sylwetkę był jednak czysty i schludny..

- Czy jest Fred?

- Chyba go nie ma. - Spojrzała nad moim ramieniem w kierunku ulicy. - Nie widzę samochodu.

- Kiedy się go pani spodziewa?

- Trudno powiedzieć. Fred studiuje na uniwersytecie. - Obwieściła ten fakt takim tonem, jakby stanowił on jedyną chlubę jej życia. - Ciągłe zmieniają mu godziny zajęć, a w dodatku pracuje jeszcze dorywczo w muzeum. Często go tam wzywają. Czy mogłabym coś dla pana zrobić?

- Być może. Czy mógłbym wejść?

- Ja wyjdę do pana - powiedziała stanowczo. - Nasze mieszkanie wygląda okropnie. Od kiedy wróciłam na posadę pielęgniarki, nie mam czasu o nie zadbać.

Wyjęła masywny klucz, tkwiący w drzwiach od wewnątrz, i przekręciła go w zamku po wyjściu. Zaczęłam podejrzewać, że kiedy jej mąż pije, zamyka go w domu.

Zeszła razem ze mną z ganku i podniosła wzrok na łuszczącą się fasadę budynku.

- Z zewnątrz też nie powinno się go oglądać. Ale nic na to nie poradzę. Jest własnością kliniki - podobnie jak wszystkie te budynki - w przyszłym roku mają je zburzyć. Cała ta strona ulicy ma być przerobiona na parking. - Westchnęła. - Nie mam pojęcia, dokąd się wyniesiemy. Czysze stale rosną, a mój mąż jest właściwie inwalidą.

- Bardzo mi przykro.

- Z powodu Jeiry'ego? Taak, mnie też jest przykro. Był kiedyś dzielny, silnym mężczyzną. Ale przeżył jakiś czas temu kryzys nerwowy - jeszcze podczas wojny - i nigdy już nie wrócił do siebie. No i oczywiście za dużo pije. Nie on jeden - dodała z zadumą.

Podobała mi się otwartość tej kobiety, choć robiła ona wrażenie osoby dość bezwzględnej. Zaczęłam zastanawiać się na wpół świadomie, jak to się dzieje, że mężowie pielęgniarek tak często stają się inwalidami.

- No więc, można wiedzieć, jaki pan ma kłopot? - spytała innym tonem.

- Nie mam żadnego kłopotu. Chciałbym po prostu porozmawiać z Fredem.

- O czym?

- O pewnym obrazie.

- Zgadza się, to jego specjalność. Fred może powiedzieć panu o obrazach wszystko, czego chciałby się pan dowiedzieć. - Nagle porzuciła ten temat, jakby napawał on ją lękiem, i spytała innym, cichym, niepewnym głosem: - Czy Fred ma jakieś kłopoty?

- Mam nadzieję, że nie, proszę pani.

- Ja również. Fred jest porządnym chłopcem. Zawsze taki był. Wiem o tym dobrze. Jestem jego matką. - Rzuciła mi długie, podejrzliwe spojrzenie. - Czy jest pan policjantem?

Pracowałem w policji, kiedy byłem młodszy, i najwyraźniej człowiek uczulony na wygląd przedstawicieli prawa mógł nadal to zauważyć. Ale przygotowałem sobie odpowiednią historyjkę.

- Jestem dziennikarzem. Zamierzam pisać artykuł o malarzu nazwiskiem Richard Chantry.

Zesztywniała cała nagle, jakby poczuła się zagrożona.

- Rozumiem.

- Podobno pani syn jest ekspertem od jego twórczości?

- Nie znam się na tym - odparła. - Fred interesuje się wieloma różnymi artystami. Zamierza z tego żyć.

- Jako właściciel galerii?

- Chciałby do tego dojść. Ale na to potrzebny jest kapitał. A my nie jesteśmy nawet właścicielami domu, w którym mieszkamy.

Podniosła wzrok na wysoki, szary budynek, jakby był on źródłem jej wszystkich zmartwień. Z umieszczonego pod samym dachem okna jej mąż przyglądał się nam jak zamknięty w wieży więzień. Wykonała otwartą dłonią gest, przypominający ruch zawodnika pchającego kulę. Johnson wycofał się w ciemność.

- Nęka mnie myśl - powiedziała - że pewnego dnia wypadnie przez któreś z tych okien. Dotąd odczuwa biedak skutki obrażeń, jakich nabawił się na wojnie. Czasem, kiedy bardzo mu dokuczają, pada jak długi na podłogę. Zastanawiam się stale, czy nie powinnam oddać go z powrotem do szpitala dla inwalidów wojennych. Ale nie mam serca. Jest tu z nami o tyle szczęśliwszy. Fred i ja naprawdę tęskniliśmy za nim. A Fred należy do młodych ludzi, którzy potrzebują ojca.

Jej słowa były niezwykle czułe, ale wypowiadała je zupełnie obojętnym głosem. Wpatrywała się chłodno w moje oczy, próbując odczytać moją reakcję. Doszedłem do

wniosku, że obawia się o los swego syna i pospiesznie próbuje sklecić wizję bezpiecznego gniazda rodzinnego.

- Czy wie pani, gdzie mógłbym znaleźć Freda?

- Nie mam pojęcia. Może być na terenie uniwersytetu albo w muzeum lub w jakimkolwiek punkcie miasta. Jest bardzo aktywny i ciągle gdzieś biega. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wiosną przyszłego roku ma robić dyplom. Jestem pewna, że mu się uda.

Kilkakrotnie kiwnęła głową. Ale powtarzała ten gest z ponurą desperacją - jak kobieta bijąca czołem o ścianę.

Jak gdyby w odpowiedzi na jej słowa od strony szpitala nadjechał stary, niebieski Ford. Zbliżywszy się do nas zwolnił i skręcił w stronę krawężnika, by zatrzymać się tuż za moim wozem. Siedzący za kierownicą młody człowiek miał długie, jasnorude włosy i tego samego koloru wąsy.

Kątem oka zauważyłem, że pani Johnson wykonuje przeczący ruch głową, tak nieznaczny, że prawie niedostrzegalny. Młody człowiek nerwowo zamrugał oczami. Gwałtownym obrotem kierownicy skierował poruszający się jeszcze samochód z powrotem na jezdnię, o mało nie uderzając w mój lewy tylny zderzak. Wóz mozolnie nabierał szybkości, zostawiając za sobą strużkę spalin.

- Czy to Fred?

- Tak, to on - odpowiedziała po chwili wahania. - Ciekawa jestem, gdzie się wybiera?

- Dała mu pani znak, żeby się nie zatrzymywał.

- Ja? Chyba się panu zdawało. Zostawiłem ją przed domem i popędziłem za niebieskim Fordem. Wjechał na autostradę na żółtym świetle i skręcił w prawo, w kierunku uniwersytetu. Czekać dłuższą chwilę pod czerwonym sygnałem patrzyłem, jak smuga spalin znika stopniowo, wchłonięta przez zalegające nad całą dzielnicą opary dymu i mgły.

Kiedy światła zmieniły się, pojechałem w stronę miasteczka uniwersyteckiego, w którym mieszkała przyjaciółka Freda, Doris Biemeyer.

5

Uniwersytet wznosił się na wysokim, wdzierającym się w morze cyplu, którego podstawa, nadgryziona przez przypyływy i odpływy, tonęła w błotnistym szlamie. Był niemal z wszystkich stron otoczony wodą i oglądany z pewnej odległości przez niebieskawą, nadmorską mgiełkę wyglądał jak średniowieczny gród obronny.

Jego budynki widziane z bliska bynajmniej nie sprawiały tak romantycznego wrażenia. Spojrzawszy na pseudo nowoczesne sześciany, prostokąty i płyty można było się domyślić, że życie ich twórcy upłynęło na projektowaniu gmachów użyteczności publicznej.

Parkingowy przy bramie powiedział mi, że miasteczko studenckie leży w północnej części cypla.

Jadąc krętą drogą wzdłuż obrzeża terenów uniwersyteckich rozglądałem się za Fredem Johnsonem. W okolicy kręciło się niewielu studentów. A jednak dzielnica wydawała się zatłoczona i bardzo ruchliwa, jakby ktoś rzucił ją na mapę, w nadziei, że przyklei się do niej na stałe.

W Academia Village panował jeszcze większy chaos niż w miasteczku uniwersyteckim. Po wąskich uliczkach snuły się samotne psy i samotni studenci. Mieszana zabudowę stanowiły kioski z hamburgerami, domki jednorodzinne i bliźniaki oraz gmachy czynszowe. „Sherbourne”, w którym mieszkała Doris Biemeyer, należał do największych spośród nich. Miał sześć pięter i zajmował większą część odcinka ulicy, leżącego między dwoma przecznicami.

Udało mi się zaparkować za przyczepą kempingową pomalowaną w taki sposób, by przypominała drewnianą chatkę na kołach. Nie dostrzegłem nigdzie niebieskiego Forda. Wszedłem do gmachu i wjechałem windą na trzecie piętro.

Budynek był dość nowy, ale w jego wnętrzu unosił się odór, jaki panuje zwykle w domach starych i przeludnionych. Była to mieszanina zapachów, nagromadzonych przez zmieniające się szybko pokolenia mieszkańców: pot, perfumy, narkotyki i zioła. Idąc korytarzem słyszałem dochodzącą z wielu mieszkań muzykę, zagłuszającą wszystkie ludzkie głosy; te współzawodniczące ze sobą źródła dźwięków zdawały się odzwierciedlać wieloraką osobowość gmachu.

Musiałem kilkakrotnie pukać do drzwi mieszkania 304. Dziewczyna, która otworzyła drzwi, wydawała się nieco pomniejszoną kopią matki. Była ładniejsza, ale bardziej niezdecydowana i mniej pewna siebie.

- Panna Biemeyer?

- Słucham?

Utkwiła wzrok w jakimś punkcie znajdującym się tuż nad moim lewym ramieniem. Uchyliłem się i spojrzałem w tył, podświadomie spodziewając się ciosu. Ale nikogo tam nie było.

- Czy mogę wejść i porozmawiać z panią przez chwilę?

- Bardzo mi przykro. Jestem zajęta medytacją.

- O czym pani medytuje?

- Właściwie nie wiem. - Zaśmiała się cicho i dotknęła skroni, muskając jasne, proste jak surowy jedwab włosy. - Jeszcze nic mi się nie nasunęło. Nie zmateriałizowało się, rozumie pan?

Wyglądała na osobę, która sama nie całkiem się jeszcze zmateriałizowała. Jej jasne włosy były niemal przezroczyste. Kołysała się lekko, jak wisząca w oknie firanka. Potem straciła równowagę i oparła się ciężko o futrynę drzwi.

Chwyciłem ją za ręce i podniosłem do pozycji pionowej. Miała zimne dłonie i wydawała się lekko oszołomiona. Zastanawiałem się, co mogła połykać, pić lub wdychać.

Objąłem ją ramieniem i wprowadziłem do saloniku. Przeciwległe drzwi wychodziły na balkon. Pokój był umeblowany skromnie, jak mieszkanie nędzarza: kilka twardych krzeseł, małe, żelazne łóżko, stolik do kart, kilka plecionych mat. Jedynym elementem dekoracyjnym był motyl z czerwonej marszczonej bibułki naciągniętej na druciany szkielet. Niemal tak duży jak jego właścicielka, zwisał na sznurku z białego pośrodku sufitu haka i obracał się bardzo wolno wokół własnej osi.

Usiadła na jednej z leżących na podłodze mat i podniosła wzrok na papierowego motyla. Przykryła nogi i stopy długą, bawełnianą szatą, która zdawała się stanowić jej jedyny strój, i bez powodzenia próbowała przybrać pozycję lotosu.

- Czy to ty zrobiłaś tego motyla, Doris? Potrząsnęła głową.

- Nie. Ja nie umiem robić takich rzeczy. To dekoracja z mojego balu maturalnego. Matka wpadła na pomysł, żeby go tu powiesić. Ja go nienawidzę. - Miałem wrażenie, że jej kruchy, cichy głos nie jest zsynchronizowany z ruchami warg. - Źle się czuję.

Ukląknęłam obok niej na jedno kolano.

- Co zażywałaś?

- Tylko kilka pigułek na nerwy. Pomagają w medytacji. Znów zaczęła mocować się ze swymi nogami, próbując ułożyć je w odpowiedniej pozycji. Miała brudne stopy.

- Jakie to pigułki?

- Takie czerwone. Tylko dwie. Wszystko przez to, że od wczoraj nic nie miałam w ustach. Fred powiedział, że przyniesie mi coś do jedzenia z domu, ale jego matka pewnie mu nie pozwoliła. Nie lubi mnie... chce mieć Freda wyłącznie dla siebie. - Potem dodała swym łagodnym, cichym głosem: - Niech idzie do diabła i kopuluje z pajakami.

- Przecież masz własną matkę, Doris.

Puściła stopy. Usiadła prostując nogi. Przykryła je swą długą suknią.

- I co z tego?

- Jeżeli potrzebujesz jedzenia albo pomocy, to dlaczego jej nie poprosisz?

Potrząsnęła głową w nieoczekiwanie gwałtowny sposób. Włosy opadły jej na oczy i usta. Odgarnęła je gniewnym ruchem obu rąk, przypominającym gest człowieka, zdejmującego z twarzy gumową maskę.

- Nie potrzebna mi taka pomoc. Chce odebrać mi moją wolność, zamknąć mnie w zakładzie i wyrzucić klucz. - Uniosła się niezręcznie na kolana i jej niebieskie oczy znalazły się na równym poziomie z moimi. - Czy jest pan kapusiem?

- Ależ skąd.

- Na pewno? Groziła mi, że napuści na mnie tajniaków.

Niemal żałuję, że tego dotąd nie zrobiła - mogłabym im opowiedzieć to i owo. - Z mściwą satysfakcją kiwnęła głową, energicznie poruszając swym delikatnym podbródkiem.

- Na przykład co?

- Na przykład to, że jedyną rzeczą, jaką się oboje zajmowali przez całe życie, były kłótnie i awantury. Zbudowali sobie ten wielki, ogromny, wstrętny dom i bez przerwy się w nim żarli. Chyba że akurat nie odzywali się do siebie.

- A o co się kłócili?

- O jakąś Mildred - między innymi. Ale w gruncie rzeczy problem polegał na tym, że się nie kochali... nie kochają... i mieli o to do siebie nawzajem żal. Mieli też pretensje do mnie, przynajmniej tak wynikało z ich zachowania. Niewiele pamiętam ze sceny, która wydarzyła się, kiedy byłam jeszcze mała. Tylko tyle, że darli się na siebie nad moją głową - byli zupełnie nadzy i wrzeszczeli jak obłąkane wielkoludy, a ja stałam pomiędzy nimi. I że jemu sterczał członek, chyba na stopę. Ona wzięła mnie na ręce, zaniósła do łazienki i zamknęła drzwi na klucz. On wyłamał drzwi ramieniem. Przez długi czas chodził potem z ręką na temblaku. A ja - dodała cicho - chodzę odtąd z duszą na temblaku.

- Pigułki nic ci na to nie pomogą.

Zmrużyła oczy i wysunęła dolną wargę, jak uparte dziecko, które za chwilę wybuchnie płaczem.

- Nikt nie prosił pana o radę. Jest pan kapusiem, co? - Wciągnęła powietrze nosem. - Czuję od pana zapach brudu, brudnych ludzkich tajemnic.

Przybrałem wyraz twarzy, który od mojej strony wydawał się krzywym uśmiechem. Dziewczyna była młoda i głupia, może trochę otumaniona, i jak sama mi powiedziała - oszołomiona narkotykiem. Ale była młoda i miała czyste włosy. Przykro mi było, że czuje ode mnie brud.

Wstałem, uderzając lekko głową papierowego motyla. Podszedłem do drzwi balkonowych i wyjrzałem na zewnątrz. W wąskim przesmyku między dwoma domami

czynszowymi widziałem skrawek jasnego morza. Płynął po nim trzykadłubowy żaglowiec, uciekając przed lekkim wiatrem.

Kiedy odwróciłem głowę, pokój wydał mi się ciemny, jak przezroczysty sześcian cienia wypełniony niewidzialnym życiem. Miałem wrażenie, że motyl zaczął naprawdę fruwać. Dziewczyna podniosła się i chwiejnie stanęła pod nim.

- Czy przysłała tu pana moja matka?

- Niezupełnie. Ale rozmawiałem z nią.

- Przypuszczam, że poinformowała pana o wszystkich moich okropnych czynach. O tym, jaka jestem wstrętna? Jaki mam wstrętny charakter?

- Nie. Ale martwi się o ciebie.

- Czy niepokoi ją mój związek z Fredem?

- Chyba tak.

Kiwnęła potakująco głową i nie uniosła jej na powrót.

- Mnie też niepokoi, ale z innego powodu. Ona myśli, że jesteśmy kochankami albo czymś w tym rodzaju. Ale ja wydaję się niezdolna do współżycia z ludźmi. Im bardziej się do nich zbliżam, tym wyraźniej czuję chłód.

- Dlaczego?

- Boję się ich. Kiedy on... kiedy mój ojciec wyłamał drzwi od łazienki, wlałam do kosza na bieliznę i zasunęłam za sobą pokrywę. Nigdy nie zapomnę, jak się wtedy czułam... jakbym była martwa, pogrzebana i bezpieczna na zawsze.

- Bezpieczna?

- Przecież nie można zabić umarłego.

- Czego ty się boisz, Doris?

Podniosła na mnie wzrok spod jasnych brwi.

- Ludzi.

- Czy to samo odczuwasz w stosunku do Freda?

- Nie. Jego się nie boję. Czasem doprowadza mnie do wściekłości. Mam wtedy ochotę go... - urwała w pół zdania. Usłyszałem zgrzyt jej zaciśniętych zębów.

- Na co masz wtedy ochotę?

Zawahała się przez chwilę; na jej twarzy malowało się napięcie, jakby wsłuchiwała się w utajone odgłosy swego wewnętrznego życia.

- Chciałam powiedzieć: zabić go. Ale nie myślę tak naprawdę. A zresztą, na co by się to zdało? Biedny stary Fred też jest już martwy i pogrzebany, tak samo jak ja.

W odruchu gniewu chciałem jej zaprzeczyć, powiedzieć, że jest zbyt młoda i ładna, by przemawiać w taki sposób. Ale była świadkiem i wolałem się z nią nie spierać.

- Co wydarzyło się Fredowi?

- Mnóstwo rzeczy. Pochodzi z biednej rodziny i stracił połowę życia, by znaleźć się tam, gdzie jest, to znaczy właściwie nigdzie. Jego matka jest czymś w rodzaju pielęgniarki, ale ma bzika na punkcie męża. Został kaleką w czasie wojny i do niczego się nie nadaje. Fred miał zostać artystą czy czymś w tym rodzaju, ale chyba nigdy tego nie osiągnie.

- Czy Fred miał jakieś kłopoty?

Jej twarz nabrała nieprzeniknionego wyrazu.

- Nie mówiłam tego.

- Ale wydawało mi się, że to sugerowałaś.

- Może tak. Każdy ma jakieś kłopoty.

- Ale na czym polegają kłopoty Freda? Potrząsnęła głową.

- Nie powiem panu. Doniósłby pan mojej matce.

- Ależ nie.

- Ależ tak.

- Lubisz Freda, prawda?

- Mam prawo lubić kogoś na świecie. Jest miłym chłopcem, miłym człowiekiem.

- Z pewnością. Czy ten miły człowiek ukradł obraz twoim miłym rodzicom?

- Nie musi pan silić się na sarkazm.

- Ale czasem to robię.. To chyba przez to, że wszyscy są tacy mili. Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Doris. Czy to Fred ukradł ten obraz?

Potrząsnęła głową.

- Nie został skradziony.

- Chcesz powiedzieć, że zszedł ze ściany i wybrał się na spacer?

- Nie. Nie to chcę powiedzieć. - Łzy trysnęły jej z oczu i spływały po twarzy. - Ja go wzięłam.

- Dlaczego?

- Fred mi powiedział... Fred mnie prosił.

- Czy umotywowował swoją prośbę?

- Miał swoje powody.

- Ale jakie?

- Prosił, żeby nikomu o nich nie mówić.

- Czy obraz nadal jest u niego?

- Chyba tak. Jeszcze go nie odniósł.
- Ale mówił, że zamierza go zwrócić?
- Tak... i na pewno to zrobi. Powiedział, że chce go zbadać.
- Ale co chce badać?
- Sprawdzić, czy jest autentyczny.
- Więc podejrzewał, że to falsyfikat?
- Chciał się przekonać.
- I musiał w tym celu go kraść?
- Wcale go nie ukradł. Pozwoliłam mu go wziąć. A pan zachowuje się wstrętnie.

6

Byłem już niemal skłonny przyznać jej słuszność. Zostawiłem ją więc w spokoju i zszedłem do samochodu. Przez godzinę siedziałem w nim obserwując główne wejście budynku i patrząc, jak padające na drugą stronę ulicy cienie domów wydłużają się w popołudniowym słońcu.

W kiosku z okrągłym dachem, stojącym na tym samym odcinku ulicy, mieścił się bar sprzedający dietetyczne hamburgery i niepewne porywy wiatru przynosiły od czasu do czasu zapach jedzenia. Wszedłem z auta i zjadłem hamburgera. Atmosfera panująca w lokalu była ospała i gnuśna. Brodaci młodzi klienci wydali mi się jaskiniowcami, oczekującymi na koniec epoki lodowcowej.

Kiedy Fred Johnson nadjechał w końcu, siedziałem już znowu w samochodzie. Zaparkował swego niebieskiego Forda tuż za moimi plecami i rozejrzał się po ulicy. Wszedł do gmachu „Sherbourne” i zniknął w windzie. Ja popędziłem po schodach. Spotkaliśmy się w hallu trzeciego piętra. Miał zielone ubranie i szeroki żółty krawat.

Próbował wycofać się do windy, ale drzwi zamknęły się tuż przed jego nosem i kabina ruszyła w dół. Zwrócił się ku mnie. Dostrzegłem bladość jego twarzy i szeroko otwarte oczy.

- O co panu chodzi?
- O obraz, który wziąłeś z domu Biemeyerów.
- Jaki obraz?
- Wiesz jaki. Obraz Chantry’ego.
- Nie wziąłem go.
- Być może. Ale trafił w twoje ręce.

Spojrzał za moimi plecami w kierunku korytarza, prowadzącego do pokoju dziewczyny.

- Czy powiedziała panu o tym Doris?

- Nie mieszajmy Doris do tej sprawy. Ma już i tak dość kłopotów z rodzicami i z sobą samą.

Kiwnął głową, jakby zrozumiał i przyznał mi rację. Ale jego oczy żyły własnym życiem i poszukiwały sposobu wyplątania się z sytuacji. Wydał mi się jednym z tych zmęczonych młodych ludzi, którzy, kiedy minie młodość, wkraczają od razu w wiek średni, nie przeżywszy okresu męskiej dojrzałości.

- Kim pan w ogóle jest?

- Jestem prywatnym detektywem. - Podałem mu swoje nazwisko. - Biemeyerowie wynajęli mnie, bym odzyskał ich obraz. Gdzie on jest, Fred?

- Nie wiem.

Potrząsnął z powątpiewaniem głową. Na czole wystąpiły mu kropelki potu, jakbym ścisnął mocno oburącz jego skronie.

- Co się z nim stało, Fred?

- Przyznaję, że wziąłem go do domu. Nie miałem zamiaru go kraść. Chciałem go tylko zbadać.

- Kiedy zaniósłeś go do siebie?

- Wczoraj.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Naprawdę. Ktoś musiał ukraść go z mojego pokoju.

- W domu na Olive Street?

- Tak, proszę pana. Ktoś włamał się do domu i ukradł go, kiedy spałem. Był tam, kiedy kładłem się do łóżka, ale po obudzeniu się nie mogłem go znaleźć.

- Musisz być wielkim śpiochem.

- Chyba tak.

- Albo wielkim kłamcą.

Szczupły młody człowiek zadrzał nagle w paroksyzmie wstydu lub gniewu. Myślałem, że spróbuje mnie uderzyć, i przygotowałem się na to. Ale on rzucił się w stronę schodów. Nie udało mi się go dogonić. Kiedy wypadłem na ulicę, odjeżdżał już swym niebieskim Fordem.

Kupiłem dietetycznego hamburgera, kazałem włożyć go do papierowej torebki i ponownie wjechałem windą na trzecie piętro. Doris wpuściła mnie do mieszkania, choć wydawała się rozczarowana widząc, że to ja. Wręczyłem jej hamburgera.

- Masz tu coś do zjedzenia.

- Nie jestem głodna. Zresztą Fred obiecał mi coś przynieść.

- Lepiej zjedz to. Fred może się dzisiaj nie pokazać.

- Mówił, że wpadnie.

- Może mieć trochę kłopotów w związku z tym obrazem, Doris.

Zacisnęła dłoń, miażdżąc znajdującego się w torebce hamburgera.

- Czy moi rodzice usiłują go wykończyć?

- Nie określałbym tego aż tak dosadnie.

- Nie zna pan rodziców. Doprowadzą do tego, że straci posadę w muzeum. Nigdy nie skończy studiów. A wszystko dlatego, że próbował wyświadczyć im przysługę.

- Niezupełnie to rozumiem. Z naciskiem kiwnęła głową.

- Próbował zbadać autentyczność ich obrazu. Chciał określić wiek farby. Gdyby była świeża, oznaczałoby to zapewne, że jest fałszywy.

- Że nie malował go Chantry?

- Zgadza się. Kiedy Fred zobaczył go po raz pierwszy, przypuszczał, że to falsyfikat.

W każdym razie nie był pewny. W dodatku nie ufa człowiekowi, od którego rodzice go kupili.

- Grimesowi?

- Właśnie. Fred mówił, że w kręgach artystycznych ma on złą opinię.

Byłem ciekaw, jaką opinię będzie miał sam Fred teraz, po kradzieży obrazu. Ale niepokojenie dziewczyny tą sprawą byłoby bez sensu. Jej twarz była nadal nieprzenikniona, jakby przesłonięta chmurą. Zostawiłem ją z jej pogniecionym hamburgerem i wróciłem autostradą do dolnej części miasta.

Drzwi sklepu Paula Grimesa były zaryglowane. Zapukałem, ale nikt nie odpowiedział. Zacząłem szarpać za klamkę i krzyżeć. Bez skutku. Wpatrując się w ciemne wnętrze dostrzegłem tylko pustkę i mrok.

Wszedłem do sklepu z alkoholami i spytałem czarnoskórego sprzedawcę, czy widział Paolę.

- Była przed sklepem z godzinę temu - ładowała do furgonetki jakieś obrazy. Prawdę mówiąc nawet jej pomagałem.

- Jakie to były obrazy?

- Malowidła w ramach. Dziwne bohomy, takie w kolorowe plamy. Lubię obrazy, na których coś widać. Nic dziwnego, że nie mogli ich sprzedać.

- Skąd pan wie, że nie mogli?

- Przecież to jasne. Powiedziała, że likwidują sklep.

- Czy był z nią Paul Grimes, ten facet z brodą?

- Nie, nie pokazał się. Nie widziałem go, od kiedy pan stąd wyszedł.

- Czy Paola mówiła, dokąd się wybiera?

- Nie pytałem. Pojechała w stronę Montevista. - Wskazał kciukiem na południowy zachód.

- Jaka jest ta jej furgonetka?

- Stary Volkswagen. Czy zdarzyło się jej coś złego?

- Nie. Chciałem z nią porozmawiać o pewnym obrazie.

- Żeby go kupić?

- Być może.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Lubi pan takie malowidła?

- Różnie z tym bywa.

- Szkoda. Gdyby wiedzieli, że trafia się klient, może nie likwidowałiby firmy i ubili z panem interes.

- Być może. Czy sprzeda mi pan dwie ćwiartki whisky z Tennessee?

- Lepiej kup pan pół kwarty. Wtedy wypada taniej.

- Wolę dwie ćwiartki.

7

Jadąc w stronę centrum zatrzymałem się obok muzeum, zamierzając spytać o Freda. Ale gmach był już zamknięty na noc.

Pojechałem na Olive Street. Ciemność rozpostarła się jak rozgałęzione drzewo na trawnikach i dziedzińcach; w starych domach zapalano już lampy. Szpital wyglądał jak wielka, błyszcząca bryła światła. Zaparkowałem obok zakończonego ostrym dachem domu Johnsonów i doszedłem po zniszczonych schodach do drzwi frontowych.

Ojciec Freda musiał nadśluchiwać z drugiej strony. Odezwał się, zanim zdążyłem zapukać.

- Kto to?

- Archer. Byłem tu już dziś, szukając Freda.

- Zgadza się. Pamiętam. - Wydawał się dumny z tego osiągnięcia.

- Czy mogę wejść i porozmawiać z panem przez chwilę, panie Johnson?

- Przykro mi, ale nie da rady. Żona zamknęła drzwi.

- Gdzie jest klucz?

- Sarah wzięła go z sobą do szpitala. Boi się, że wyjdę na ulicę i wpadnę pod coś.

Choć prawdę mówiąc jestem zupełnie trzeźwy. Tak trzeźwy, że aż źle się czuję. Podobno jest

pielęgniarką, ale wcale ją to nie obchodzi. - Jego głos zdławiony był przez litość nad samym sobą.

- Czy mógłby pan mnie jakoś wpuścić? Może przez okno?

- Zamęczyłaby mnie.

- Przecież się nie dowie. Mam ze sobą trochę whisky. Nie napiłby się pan odrobinę?

- Pewnie, że bym się napił - stwierdził z wyraźnym ożywieniem. - Ale jak się pan dostanie do środka?

- Mam z sobą kilka kluczy.

Był to zwykły stary zamek i otworzyłem go drugim z kolei kluczem. Zamknąłem za sobą drzwi, poruszając się z pewną trudnością w zagraconym hallu. Johnson napierał na mnie swym potężnym brzuchem. W świetle słabej żarówki wiszącej pod sufitem dostrzegłem malujące się na jego twarzy podniecenie.

- Mówił pan, że ma pan dla mnie trochę whisky.

- Niech pan wytrzyma jeszcze chwilę.

- Ala ja jestem chory. Czy nie widzi pan, że źle się czuję? Otworzyłem jedną z moich dwu butelek. Wysączył ją jednym nerwowym haustem i oblizał wylot szyjki.

Czułem się jak rajfur. Ale wydawało się, że silna dawka whisky wcale mu nie zaszkodziła. Nie tylko nie uczyniła go bardziej pijanym, ale najwyraźniej poprawiła jego dykcję i umiejętność formułowania zdań.

- Pijałem whisky z Tennessee, kiedy dobrze mi się powodziło. Pijałem whisky z Tennessee i jeździłem na koniach z Tennessee. To whisky z Tennessee, prawda?

- Zgadza się, panie Johnson.

- Mów do mnie Jerry. Potrafię rozpoznać zyczliwego człowieka. - Odstawił pustą butelkę na pierwszy stopień schodów, położył mi dłoń na ramieniu i oparł się o mnie całym ciężarem. - Nie zapomnę panu tego. Jak się pan nazywa?

- Archer.

- Czym się pan zajmuje, panie Archer?

- Jestem prywatnym detektywem. - Otworzyłem portfel i pokazałem mu fotokopię licencji wydanej przez władze stanowe. - Pewni państwo, mieszkający w tym mieście, wynajęli mnie, bym odnalazł ich zaginiony obraz.

Jest to portret kobiety, malowany zapewne przez tutejszego słynnego artystę, który nazywa się Richard Chantry. Myślę, że pan o nim słyszał.

Zmarszczył brwi, próbując skupić myśli.

- Nie jestem pewien. Powinien pan pomówić o tym z moim synem Fredem. To jego branża.

- Już to zrobiłem. Fred wziął ten obraz i przyniósł go do domu.

- Tutaj?

- Tak mi powiedział dziś po południu.

- Nie wierzę w to. Fred nie postąpiłby w ten sposób. To porządny chłopak, zawsze taki był. Nigdy w życiu nic nie ukradł. W muzeum mają do niego zaufanie. Wszyscy mu ufają.

Przerwałem pijacki potok jego wymowy.

- Twierdzi, że go nie ukradł. Że wziął go do domu, żeby przeprowadzić pewne badania.

- Jakie badania?

- Nie jestem pewien. Jeśli wierzyć Fredowi, chciał określić wiek tego obrazu. Malarz, który rzekomo go malował, zniknął już dawno temu.

- Kto to był?

- Richard Chantry.

- Tak, chyba o nim słyszałem. W muzeum mają dużo jego obrazów. - Potarł swą siwą głowę, jakby chcąc ożywić pamięć. - Ale on podobno umarł?

- Umarł lub zaginął. Tak czy owak nie ma go tu od dwudziestu pięciu lat. Gdyby farba na obrazie była stosunkowo świeża, oznaczałoby to, że zapewne nie on go malował.

- Przepraszam, ale nie całkiem rozumiem.

- Nie szkodzi. Ważne jest to, że Fred przyniósł tu ten obraz i że podobno został on ubiegłej nocy skradziony z jego pokoju. Czy wie pan coś o tej sprawie?

- Do diabła, nie. - Jego twarz pokryła się zmarszczką, jakby nagle spadła na niego starość. - Myśli pan, że to ja go wziąłem?

- Wcale tak nie myślę.

- Mam nadzieję. Fred zabiłby mnie, gdybym dotknął któregoś z jego świętych przedmiotów. Nie wolno mi nawet wchodzić do jego pokoju.

- Chciałbym się dowiedzieć, czy Fred wspominał, że ubiegłej nocy skradziono z jego pokoju jakiś obraz?

- Nic o tym nie słyszałem.

- A widział się pan z nim dziś rano?

- Oczywiście. Przyrządzałem mu owsiankę.

- I nie wspominał nic o zaginionym obrazie?

- Nie, proszę pana. Nic mi nie mówił.

- Chciałbym zobaczyć pokój Freda. Czy byłoby to możliwe?

Pomysł ten wyraźnie go przestraszył.

- Nie wiem. Chyba nie. Ona nie cierpi wpuszczać nikogo do swojego domu. Gdyby mogła, pozbyłaby się nawet mnie.

- Przecież mówił pan, że jest w szpitalu.

- Zgadza się, poszła do pracy.

- No, to skąd będzie wiedzieć?

- Nie wiem skąd, ale zawsze się dowiaduje. Chyba wyciąga to jakoś ze mnie albo co. To mi szkodzi, szkodzi mi na nerwy. - Zachichotał z zażenowaniem. - Nie ma pan przypadkiem jeszcze odrobiny tej whisky z Tennessee?

Pokazałem mu drugą butelkę. Wyciągnął po nią rękę. Usunąłem ją spoza jego zasięgu.

- Chodźmy na górę, Jeny. Potem ci ją zostawię. - Wsunąłem butelkę z powrotem do kieszeni.

- Sam nie wiem...

Zerknął w górę schodów, jakby jego żona mogła nas podsłuchiwać. Oczywiście było to wykluczone, ale jej niewidzialna obecność zdawała się wypełniać cały dom.

Jerry trząsł się ze strachu przed nią lub z chęci napicia się whisky.

Pokusa zwyciężyła. Zapalił światło i poprowadził mnie na schody. Pierwsze piętro było jeszcze w o wiele gorszym stanie niż parter. Stara poobdzierana tapeta zupełnie już wyblakła. Na podłodze dostrzegłem liczne pęknięcia. W drzwiach, prowadzących do jednego z pokoi, brakowało deszczułki; zastąpiono ją kawałkiem kartonowego pudła.

Widywałem gorsze domy w slumsach i na przedmieściach; wnętrza, które wyglądały, jakby przeszły zażartą bitwę z udziałem piechoty. Ruina domu Johnsonów nie rzucała się w oczy aż tak wyraźnie. Ale nagle wydało mi się możliwe, że był on siedliskiem przestępstwa; być może Fred ukradł obraz w nadziei, iż poprawi w ten sposób swe warunki życia.

Odczuwałem pewne współczucie dla Freda. Trudno było wracać do tego domu z rezydencji Biemeyerów czy z muzeum:

Johnson otworzył drzwi, w których brakowało deszczułki, i zapalił lampę, zwisającą na sznurze z sufitu. - To pokój Freda.

Stało w nim wąskie, żelazne łożko, przykryte wojskowym kocem, biurko, leżak z rozdartym siedzeniem i półka niemal całkowicie wypełniona książkami; w kącie, obok zasłoniętego okna, dostrzegłem stary, kuchenny stół, na którym leżały najrozmaitsze narzędzia: różnych rozmiarów młotki, nożyce i piły, przybory do szycia, słoiki z klejem i farbami.

Wisząca nad łóżkiem lampa kołysała się tam i z powrotem, a rzucany przez nią snop światła wspinał się kolejno na przeciwległe ściany. Nagle odniosłem wrażenie, że cały dom porusza się wahadłowym ruchem. Wyciągnąłem rękę i zatrzymałem lampę. Na ścianach wisiały obrazy klasyków współczesnego malarstwa, jak Monet i Modigliani; były to przeważnie liche reprodukcje, chyba wycięte z pism ilustrowanych. Otworzyłem drzwi szafy. Znalazłem w niej wiszącą na wieszaku marynarkę i kilka koszul oraz parę lśniących, czarnych, wysokich butów. Jak na człowieka, który ukończył trzydziestkę, Fred miał bardzo niewiele ruchomości.

Przejrzałem szuflady biurka, znajdując w nich trochę bielizny, chustek i skarpetek oraz zbiorową fotografię absolwentów, kończących w roku 1961 szkołę średnią. Nie mogłem odszukać na niej Freda.

- To on - stwierdził Johnson, zaglądając mi przez ramię. Wskazał twarz kilkunastoletniego chłopca, która oglądana z perspektywy czasu wydała mi się wzruszająco pełna nadziei.

Przeglądałem stojące na półce książki. Były to w większości tanie wydania dzieł dotyczących kultury, sztuki i technologii. Było też kilka pozycji z zakresu psychiatrii i psychoanalizy. Czytałem tylko dwie spośród nich: „Psychopatologię życia codziennego” i „Prawdę Gandhiego” - dość niezwykła lektura uzupełniająca dla złodzieja, o ile Fred nim był.

Odwrociłem się w stronę Johnsona.

- Czy mógłby ktoś wejść do domu i zabrać obraz z tego pokoju?

Uniół swe masywne ramiona i opuścił je na powrót.

- Myślę, że wszystko jest możliwe. Ja nikogo nie słyszałem. Ale zwykle śpię jak zabity.

- A może ty sam wziąłeś ten obraz, Jerry?

- Nie, proszę pana. - Gwałtownie potrząsnął głową. - Nie jestem taki głupi, żeby wtrącać się do spraw Freda. Mogę być starym nierobem, ale nie okradałbym własnego syna. On jeden z nas wszystkich ma przed sobą jakąś przyszłość.

- Mieszkacie tu tylko we trójkę - ty, Fred i pani Johnson?

- Zgadza się. Mieliśmy kiedyś lokatorów, ale to było dawno temu.

- Więc co się stało z obrazem, który przyniósł do domu Fred?

Johnson opuścił głowę i kołysał nią w obie strony jak stary, chory byk.

- W ogóle nie widziałem tego obrazu. Nie rozumie pan, jak wygląda moje życie. Sześć, siedem lat po wojnie spędziłem w szpitalu dla weteranów. Byłem przeważnie półprzytomny i teraz jest tak samo. Czas mija, a ja często nie wiem, jaki jest dzień tygodnia - i

nie chcę wiedzieć. - Jestem chorym człowiekiem. Czy nie może mnie pan zostawić w spokoju?

Zostawiłem go w spokoju i przeszukałem pobieżnie inne znajdujące się na tym piętrze pokoje. Tylko jeden z nich był zamieszkały - sypialnia z podwójnym łóżkiem, które Johnson dzielił najwyraźniej ze swą żoną. Nie znalazłem obrazu pod materacem, nic podejrzanego w szafie i szufladach komody, dowodów żadnego przestępstwa z wyjątkiem ubóstwa.

Wąskie drzwi na końcu korytarza były zamknięte i zabezpieczone kłódką. Zatrzymałem się przed nimi.

Johnson stanął za moimi plecami.

- To wejście na strych. Nie mam klucza od kłódki. Sarah zawsze się boi, że spadnę ze schodów. Tak czy owak nic tam nie ma. Tak jak u mnie - dodał tępo, pukając się w skroń. - Na górze jest zupełnie pusto.

Posłał mi szeroki uśmiech idioty. Ja wręczyłem mu drugą butelkę. Była to parszywa transakcja, i z radością go opuściłem. Zamknął za mną drzwi frontowe, jak wzorowy więzień zatrzaskujący się we własnej celi. Przekręciłem klucz w zamku.

8

Zostawiłem samochód i pieszo poszedłem w stronę szpitala. Miałem nadzieję, że pani Johnson udzieli mi kilku dodatkowych informacji na temat Freda. Było już niemal całkiem ciemno; wśród drzew świeciły rozsiane z rzadka lampy uliczne. Przed sobą na trotuarze dostrzegłem kilka plamek, jakie zostawia kapiąca oliwa; idąc dalej zauważyłem, że odległość między śladami padających kropeł stopniowo się zmniejsza.

Dotknąłem palcem jednej z plamek i uniosłem go do światła. Płyn miał czerwony odcień, zapachnie przypominał oliwy.

Przede mną, na przylegającym do trotuaru trawniku, ktoś głośno zachrapał. Był to jakiś mężczyzna, leżący twarzą do ziemi. Podbiegłem do niego i przyklęknąłem na trawie. Miał na potylicy ciemną, lśniącą plamę krwi. Uniosłem go nieco, by obejrzeć twarz. Również była zakrwawiona.

Jęknął i próbował się unieść, wykonując żalostną i bezradną parodię pompki, a potem znów runął na twarz. Odwróciłem nieco jego głowę, by mógł swobodniej oddychać.

Otworzył jedno oko.

- Chantry? - wymamrotał. - Zostaw mnie w spokoju.

Potem znów zaczął nierówno sapać, jak człowiek o zmasakrowanej twarzy. Zorientowałem się, że jest niebezpiecznie ranny. Zostawiłem go na trawniku i dobiegłem do bramy szpitalnego ambulatorium. Czekają tam na składanych krzeselkach siedmiu czy ośmiu

pacjentów, w tym kilkoro dzieci. Znękana młoda pielęgniarka za kontuarem przypominała żołnierza broniącego barykady.

- Niedaleko stąd, na tej samej ulicy, leży jakiś ciężko ranny mężczyzna - powiedziałem.

- Więc niech go pan przyniesie.

- Nie mogę. Potrzebna jest karetka.

- Jak daleko stąd?

- Zaraz za przecznicą.

- Nie mamy tu karetki. Jeśli chce pan zadzwonić po pogotowie, tam w rogu stoi automat. Ma pan dziesięć centów?

Podana mi numer. Po niespełna pięciu minutach przed wejściem zatrzymała się karetka. Usiadłem obok kierowcy i pokazałem mu, jak dojechać do krwawiącego na trawie mężczyzny.

Chrapał teraz ciszej i mniej regularnie. Sanitariusz skierował na niego światło latarki. Przyjrzałem mu się dokładniej. Miał jakieś sześćdziesiąt lat, spiczastą siwą brodę i gęste, siwe, zakrwawione włosy. Wyglądał jak śmiertelnie ranny lew morski, a jego chrapanie przypominało dochodzący z oddali ryk tego zwierzęcia.

- Czy zna go pan?

Myślałem właśnie o tym, że jego wygląd odpowiadał rysopisowi Paula Grimesa, handlarza obrazami, podanemu przez właściciela sklepu z napojami alkoholowymi.

- Nie - odparłem. - Nigdy go nie widziałem. Sanitariusz ułożył go delikatnie na noszach i dowiózł pod bramę szpitalnego ambulatorium. Pojechałem razem z nimi i stałem obok karetki, kiedy go z niej wynosili. Uniósł się na rękach, niemal zakłócając równowagę noszy, i zwrócił ku mnie swą zmasakrowaną, błyszczącą, zastygłą twarz.

- Znam cię, sukinsynu - powiedział.

Potem opadł na plecy i znieruchomiał. Sanitariusz pospieszył z nim do szpitala. Ja zostałem przed budynkiem, wiedząc, że zjawi się policja.

Przyjechali nie oznakowanym samochodem; dwaj sierżanci wydziału śledczego - mieli letnie, lekkie mundury, ale ich twarze były chłodne jak zimowy wiatr. Jeden z nich wszedł do szpitala, drugi, sierżant Leverett, zatrzymał się przy mnie.

- Czy zna pan rannego?

- Nigdy go nie widziałem. Znalazłem go na ulicy.

- Więc dlaczego wezwał pan do niego pogotowie?

- Wydawało mi się to dość logicznym posunięciem.

- Dlaczego nie zadzwonił pan po nas?
- Wiedziałem, że ktoś to zrobi. Leverett poczerwieniał lekko.
- Gada pan jak sprytny łobuz. Kim pan właściwie, do diabła, jest?

Przelknąłem wściekłość i poinformowałem go, że jestem prywatnym detektywem, pracującym na zlecenie państwa Biemeyer. Leverett znał to nazwisko i usłyszawszy je zmienił ton i zachowanie. - Czy mogę prosić o pańskie dokumenty?

Pokazałem mu je. Spytał, czy zechciałbym zatrzymać się jeszcze przez chwilę. Powiedziałem mu, że zechciałbym.

Swobodnie interpretując swą obietnicę, powoli doszedłem do najbliższej przecznicy i odszukałem na trotuarze miejsce, w którym pojawiły się plamki krwi. W ciepłym powietrzu już niemal wyschły.

Nie opodal stał przy krawężniku stary, czarny kabriolet ze złożonym dachem. Kluczyk tkwił w stacyjce. W szparę między siedzeniem a oparciem wetknięta była biała, kwadratowa koperta. Na półce za siedzeniem leżał stos niewielkich, olejnych obrazów, a obok białe sombrero.

Zapaliłem lampkę nad tablicą rozdzielczą i obejrzałem białą kopertę. Było to zaproszenie na cocktail opiewające na nazwisko Paul Grimes, napisane na papierze listowym pani Chantry i podpisane „Francine Chantry”. Przyjęcie miało się odbyć tego wieczora o ósmej.

Zerknąłem na zegarek - ósma właśnie minęła. Potem obejrzałem stos leżących za siedzeniem obrazków. Dwa z nich miały staroświeckie, złoczone ramy, reszta była nieoprawiona. Nie przypominały żadnego z widzianych przeze mnie obrazów Richarda Chantry.

Nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Było tam kilka pejzaży morskich i nadmorskich, które wydały mi się dość marne, oraz jeden portret kobiety, który uznałem za całkowite nieporozumienie. Ale nie ufałem w pełni swemu oku i gustowi.

Wziąłem jeden z pejzaży morskich i umieściłem go w bagażniku swego wozu. Potem ruszyłem na powrót w kierunku szpitala.

Po drodze spotkałem Leveretta i drugiego sierżanta służby śledczej. Towarzyszył im szef wydziału śledczego, kapitan Mackendrick, potężnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku; miał niebieski, pomięty garnitur, pasujący do jego zmiętej twarzy. Poinformował mnie, że człowiek, którego znalazłem, nie żyje. Ja podzieliłem się z nim swymi przypuszczeniami na temat tożsamości zmarłego.

Mackendrick szybko przetrawił moje informacje i zrobił w czarnym notesie kilka notatek. Szczególnie zainteresowała go wiadomość, że Grimes wspomniał tuż przed śmiercią o Richardzie Chantry.

- Pamiętam Chantry'ego - stwierdził. - Byłem jeszcze nowicjuszem, kiedy zainscenizował swoje słynne zniknięcie.

- Myśli pan, że zniknął z własnej woli?

- Jasne. Było na to mnóstwo dowodów.

Nie powiedział mi, jakie to były dowody. Ja nie poinformowałem go, dokąd się wybieram.

9

Przejechałem przez centrum miasta, mijając po drodze nie oświetlony i nie zamieszkały domek Grimesa. Poczulem słonawy zapach morza i jego chłodny oddech, zanim jeszcze znalazłem się w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Potem minąłem długi na ponad milę nadmorski park. Poniżej, na plaży, kłębiły się fale, nienaturalnie białe na tle ciemności. Widząc leżące tu i ówdzie zakochane pary, odczułem zadowolenie, że tym razem nie spotykam dogorywających w trawie mężczyzn.

Channel Road wspinała się na stromy cypel, górujący nad przystanią i formujący jej obrzeże. Nagle ujrzałem w dole maszty stojących tam jachtów. Droga, dążąc ku wierzchołkowi cypla, oddalała się od brzegu, mijając łukiem osiedle Straży Przybrzeżnej i biegła wzdłuż głębokiego wąwozu, którego ujście wychodziło na morze. Drugą stronę wąwozu zamykał stok wzgórza, na którym wznosił się dom Biemeyerów.

Willa pani Chantry stała pomiędzy wąwozem a wybrzeżem. Była to budowla z kamienia i betonu, ozdobiona licznymi łukowatymi sklepieniami i wieżyczkami. Z boku dobudowano do niej oranżerię ze szklanym dachem, zaś na końcu podjazdu mieścił się otoczony murem i wyłożony płytami chodnikowymi parking, na którym stało z dwadzieścia samochodów. Służący w białym smokingu podszedł do okienka wozu po mojej stronie i zaproponował, że sam go zaparkuje.

Przy otwartych drzwiach frontowych powitała mnie uprzejmie czarnoskóra pokojówka. Nie pytała mnie o zaproszenie ani o dokumenty. Nie okazała nawet zdziwienia, że nie jestem ubrany stosownie na przyjęcie i nie mam stosownie odświętnego wyrazu twarzy.

Minąłem ją i idąc za dźwiękiem fortepianu wszedłem do wielkiego, rozległego salonu, który wznosił się na dwa piętra w górę, tak że jego sufit był równocześnie dachem domu. Jakaś kobieta o krótkich, czarnych włosach grała „Someone to Watch Over Me” na

ogromnym fortepianie, - który w tym pokoju wydawał się mały. Oprócz niej było tam ponad dwudziestu odświętnie ubranych gości, którzy stali z kieliszkami w rękach. Cała scena zdawała się pochodzić z minionej przeszłości i wydawała mi się mniej realna niż wiszące na ścianach olejne obrazy.

Z przeciwległego końca sali nadeszła pani Chantry. Miała na sobie długą niebieską wieczorową suknię, odsłaniającą jej ręce i ramiona. W pierwszej chwili nie poznała mnie; potem uniosła obie dłonie gestem osoby, którą spotyka radosna niespodzianka.

- Jak to dobrze, że pan przyszedł. Miałam nadzieję, iż wspomniałam panu o moim małym przyjęciu i cieszę się, że tak było. Pan Marsh, prawda?

Przyglądała mi się badawczo. Nie byłem pewien, czy jest to objaw sympatii czy lęku.

- Archer - powiedziałem. - Lew Archer.

- Ależ oczywiście. Zawsze miałam słabą pamięć do nazwisk. Jeśli pan pozwoli, poproszę Betty Jo Siddon, żeby przedstawiła panu moich pozostałych gości.

Betty Jo Siddon okazała się ujmującą, trzydziestoletnią brunetką. Miała dobrą figurę, ale poruszała się trochę sztywno, jakby nie czuła się zupełnie zadomowiona w otaczającym ją świecie. Poinformowała mnie, że ma napisać wzmiankę o przyjęciu na zlecenie miejscowej gazety, i wyraźnie zastanawiała się, co ja na nim robię. Nie powiedziałem jej. Ona nie pytała.

Przedstawiła mnie pułkownikowi Aspinwall, starszemu, z angielska ubranemu dżentelmenowi o angielskim akcencie, przebywającemu w towarzystwie młodej żony, która przyjrzała mi się i doszła do wniosku, że nie jestem pożądanym towarzyszem. Doktorowi Innesowi, tęgiemu jegomościowi z cygarem w ustach, który obejrzał mnie oczyma chirurga, szukającego symptomów choroby. Pani Innes, bladej, napiętej i drżącej nerwowo, jakby była jego pacjentką. Jaremy Raderowi, wysokiemu, kędzierzawemu, pogodnemu artyście, przeżywającemu chyba ostatni, spóźniony wzlot młodości. Molly Rader, posągowej może czterdziestoletniej brunetce, najładniejszej kobiecie, jaką widziałem od wielu tygodni. Jackie Prattowi, szczupłemu, drobnemu mężczyźnie w ciemnym, obcisłym ubraniu, który wyglądał jak młodzieniec z powieści Dickensa, ale po dokładniejszych oględzinach okazał się mieć co najmniej pięćdziesiątkę. Dwu młodym, towarzyszącym mu dziewczynom, które wyglądały i rozmawiały jak modelki. Ralphowi Sandmanowi i Larry'emu Fallonowi, którzy mieli czarne jedwabne marynarki oraz białe plisowane koszule i zdawali się tworzyć parę. W końcu Arthurowi Planterowi, kolekcjonerowi dzieł sztuki, który był tak znany, że nawet ja o nim słyszałem.

- Ma pan ochotę na drinka? - zwróciła się do mnie Betty Jo, gdy zakończyliśmy nasz obchód.

- Chyba nie.

Spojrzała na mnie uważniej.

- Czy dobrze się pan czuje? Kiepsko pan wygląda. Zaraziłem się tym od trupa, którego znalazłem przed chwilą na Olive Street - pomyślałem i powiedziałem głośno: - Chyba od dawna nic nie miałem w ustach.

- Oczywiście. Wygląda pan na głodnego.

- Bo jestem głodny. Miałem ciężki dzień. Zaprowadziła mnie do jadalni. Duże, odsłonięte okna wychodziły na morze. Ustawione na wielkim stole wysokie świece rzucały niepewne światło.

Obowiązki gospodarza pełnił stojący za stołem wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o haczykowatym nosie, którego poznałem podczas ostatniej wizyty; dziewczyna zwróciła się do niego po imieniu, dzięki czemu dowiedziałem się, że ma na imię Rico. Ukroił kilka plastrów szynki i zrobił kanapkę, proponując, bym popił ją winem. Stwierdziłem, że jeśli nie robi mi to różnicy, wolałbym piwo. Wyniośle odszedł w kierunku kuchni, mruczając coś pod nosem.

- Czy to służący?

- Coś w tym rodzaju - odparła ze świadomą ambiwalencją Betty Jo. Potem zmieniła temat: - Na czym upłynął panu ten ciężki dzień?

- Jestem prywatnym detektywem. Pracowałem.

- Myślałam, że może pan być policjantem. Czy prowadzi pan tu jakąś sprawę?

- Coś w tym rodzaju.

- To ciekawe. - Ścisnęła mnie za ramię. - Czy ma to jakiś związek z obrazem, który skradziono Biemeyerom?

- Jest pani bardzo dobrze poinformowana.

- Staram się o to. Nie zamierzam do końca życia pisywać kroniki towarzyskiej. Prawdę mówiąc dowiedziałam się o tej kradzieży dziś rano, w redakcji. Podobno jest to konwencjonalny portret kobiety.

- Tak mi powiedziano. Nie widziałem go. Co jeszcze mówiono w redakcji?

- Że obraz jest prawdopodobnie fałszywy. Czy to prawda?

- Biemeyerowie są odmiennego zdania. Ale tak twierdzi pani Chantry.

- Jeśli Francine mówi, że jest fałszywy, to zapewne ma rację. Myślę, że potrafiłaby wyliczyć wszystkie obrazy, jakie namalował jej mąż. Jest ich zresztą nie tak wiele - w sumie niecała setka. Jego najlepszy okres trwał tylko siedem lat. Potem zniknął. Czy coś w tym rodzaju.

- Co pani ma na myśli mówiąc: coś w tym rodzaju?

- Niektórzy z dobrze poinformowanych mieszkańców miasta są zdania, że został zamordowany. Ale o ile wiem, są to tylko domysły.

- Zamordowany przez kogo? Spojrzała na mnie badawczo.

- Przez Francine Chantry. Nie będzie się pan powoływał na moje zdanie, prawda?

- Gdyby pani tak myślała, nie powiedziałaaby mi pani o tym. Dlaczego przez nią?

- Zniknął tak nagle. Ludzie zawsze podejrzewają współmałżonka, prawda?

- Czasem mają rację - odparłem. - Czy interesuje się pani zniknięciem Chantry'ego z pobudek zawodowych?

- Zamierzam o nim napisać, jeśli o to panu idzie.

- O to właśnie mi idzie. Zrobię z panią interes.

Raz jeszcze spojrzała na mnie badawczo, tym razem z odrobiną podejrzliwości, jakby sądziła, że moja propozycja ma tło erotyczne.

- Tak?

- Nie chodzi mi o to, co pani myśli. Mam inny pomysł. Dam pani cenną informację na temat sprawy Chantry'ego. Pani powie mi, co się pani udało dowiedzieć.

- Jak cenną?

- Bardzo cenną.

Powiedziałem jej o człowieku, który umarł w szpitalu. Jej oczy zwęziły się i rozblęły jeszcze jaśniej. Wysunęła wargi, jak kobieta oczekująca na pocałunek, ale myślała o czymś zupełnie innym.

- To istotnie cenna informacja.

Wrócił Rico, niosąc w ręku szklankę pianistego płynu.

- Zajęło mi to dłuższą chwilę - poskarżył się. - Nie było zimnego piwa. Nikt inny go tu nie pije. Musiałem je ochłodzić.

- Bardzo dziękuję.

Wziąłem od niego szklankę i podsunąłem ją Betty Jo.

Odmówiła z uśmiechem. - Muszę jeszcze dziś w nocy pracować. Czy wybaczy mi pan, jeśli zniknę?

Poradziłem jej, żeby porozmawiała z Mackendrickiem. Powiedziała, że to zrobi, i wyszła bocznymi drzwiami. Od razu poczułem się osamotniony.

Zjadłem swą kanapkę z szynką, popijając ją piwem. Potem wróciłem do salonu, w którym rozbrzmiewały dźwięki muzyki. Siedząca przy fortepianie kobieta grała teraz z nieudolnie udawaną swobodą profesjonalistki jakiś rewiowy przebój. Pani Chantry rozmawiała z Arthurem Planterem, ale uwolniła się od niego dostrzegłszy moje spojrzenie.

- Co się stało z Betty Jo? Mam nadzieję, że jej pan nie sprzątnął.

Mówiła żartem, ale żadne z nas się nie uśmiechnęło.

- Panna Siddon musiała wyjść.

Z oczu pani Chantry zniknęły wszelkie ślady rozbawienia.

- Nie uprzedziła mnie, że zamierza nas opuścić. Mam nadzieję, że poświęci mojemu przyjęciu odpowiednią ilość miejsca - zbieramy fundusze dla tutejszego muzeum.

- Jestem pewien, że to zrobi.

- Czy powiedziała panu, dokąd się wybiera?

- Do szpitala. Popołniono morderstwo. Paul Grimes został zabity.

Otworzyła szeroko oczy, niemal jakbym ją oskarżał, potem przymknęła je, zdając sobie sprawę z absurdalności tego przypuszczenia. Zachowała spokój, ale widać było, że z wysiłkiem stara się nadać twarzy normalny wyraz. Wprowadziła mnie do jadalni i widząc, że jest tam Rico, przeszła do małego saloniku.

Zamknęła drzwi, stanęła przed pustym i wygasłym kominkiem i spojrzała mi w oczy.

- Skąd pan wie, że Paul Grimes został zamordowany?

- Znalazłem go umierającego.

- Gdzie?

- Niedaleko szpitala. Być może próbował tam dotrzeć, by udzielono mu pomocy, ale zmarł, zanim mu się to udało. Miał bardzo poważne obrażenia głowy i twarzy.

Wciągnęła głęboko powietrze. Była nadal bardzo przystojną, choć nie najmłodszą kobietą, ale miałem wrażenie, że z jej twarzy uszło życie. Oczy powiększyły się i pociemniały.

- Czy to mógł być wypadek, panie Archer?

- Nie. Myślę, że został zamordowany. Tego samego zdania jest policja.

- Wie pan, kto prowadzi śledztwo?

- Kapitan Mackendrick.

- To dobrze. - Pochyliła lekko głowę. - Znał mego męża.

- Dlaczego miałby ktoś łączyć tę śmierć ze sprawą pani męża? Nie rozumiem.

- Nie da się tego uniknąć. Paul Grimes przyjaźnił się z nim niegdyś. Jego śmierć musi wywlec na światło dzienne wszystkie dawne opowieści.

- Jakie opowieści?

- Nie mamy na nie teraz czasu. Może kiedy indziej. - Jej dłoń zamknęła się na moim przegubie jak lodowa bransoleta. - Chcę pana o coś poprosić, panie Archer. O dwie rzeczy. Niech pan nie mówi kapitanowi Mackendrickowi ani nikomu innemu, co powiedziałam panu

dziś na temat biednego Paula. Był dobrym przyjacielem Richarda, moim również. Powiedziałam tak, bo byłam wściekła. Nie powinnam była tego mówić i bardzo żałuję.

Puściła mój przegub i oparła się o krzesło. Jej głos zmieniał barwę i ton, ale oczy pozostawały nieruchome i czujne. Niemal czułem na twarzy ich dotyk. Ale nie wierzyłem wcale w nagły przypływ jej sympatii dla Paula Grimesa i zastanawiałem się, co zaszło między nimi w przeszłości.

Usiadła nagle na krześle, jakby ta przeszłość uderzyła ją od tyłu w głowę.

- Czy może mi pan przynieść coś do picia? - poprosiła słabym głosem.

- Wodę?

- Tak, wodę.

Przyniosłem z jadalni pełną szklanekę. Jej dłonie drżały. Trzymając oburącz szklanekę pociągnęła niewielki łyk, potem wypiła duszkiem resztę i podziękowała mi.

- Nie wiem właściwie, za co panu dziękuję. Zepsuł pan moje przyjęcie.

- Przykro mi. Ale przecież to nie ja. Zrujnował je morderca Paula Grimesa. Ja jestem tylko posłańcem, który przynosi złe wieści i zostaje zgładzony.

Podniosła na chwilę wzrok ku mojej twarzy.

- Jest pan inteligentnym człowiekiem.

- Czy chce pani ze mną porozmawiać?

- Wydawało mi się, że właśnie to robię.

- Mam na myśli prawdziwą rozmowę. Potrząsnęła głową.

- Mam przecież gości.

- Dadzą sobie sami radę, dopóki nie zabraknie alkoholu.

- Naprawdę nie mogę. - Podniosła się z krzesła.

- Czy Paul Grimes miał być na pani dzisiejszym przyjęciu? - spytałem.

- Ależ skąd?

- Miał przy sobie zaproszenie. Czy nie wysłała mu go pani?

Spojrzała na mnie, opierając się o drzwi.

- Niewykluczone. Rozprowadziłam sporo zaproszeń. Niektóre z nich były wysłane przez innych członków mojego komitetu.

- Ale chyba wie pani, czy był na liście gości?

- Wydaję mi się, że nie.

- Ale nie jest pani pewna?

- Nie.

- Czy był kiedyś w pani domu?

- O ile wiem, nie. Nie rozumiem, do czego pan zmierza?

- Próbuję dowiedzieć się czegoś o pani stosunkach z Paulem Grimesem.

- Nie utrzymywałam z nim stosunków.

- Dobrych lub złych. Dziś po południu oskarżyła go pani w gruncie rzeczy o podrobienie obrazu Biemeyerów. A wieczorem zaprosiła go pani na przyjęcie.

- Zaproszenia rozprowadzано na początku zeszłego tygodnia.

- Więc przyznaje pani, że je pani wysłała?

- Być może. Zapewne to zrobiłam. To, co mówiłam o nim dziś po południu, nie było przeznaczone do wiadomości publicznej. Przyznaję, że działa mi na nerwy.

- Już nie będzie.

- Wiem. Przykro mi, że został zabity. - Pochyliła swą kształtną, siwą głowę. - Wysłałam mu to zaproszenie. Miałam nadzieję, że dojdzie do poprawy stosunków. Od pewnego czasu nie były one przyjazne. Myślałam, że może zareaguje na mój życzliwy gest.

Spojrzała na mnie spod spadających na czoło włosów. Jej oczy były chłodne i czujne. Nie wierzyłem w to, co mówi, i chyba musiało to być widoczne.

- Nienawidzę tracić przyjaciół - podjęła z uporem - szczególnie tych, którzy byli przyjaciółmi mego męża. Żyje ich coraz mniej... tych, z którymi przyjaźniliśmy się w Arizonie... a Paul był jednym z nich. Był przy nas, kiedy Richard odniósł pierwszy wielki sukces. Wie pan, w gruncie rzeczy to Paul się do tego przyczynił. Ale jemu samemu nigdy nie udało się zdobyć powodzenia.

- Czy stosunki między nimi były napięte?

- Między moim mężem a Paulem? Ależ skąd. Paul był jednym z nauczycieli Richarda. Był bardzo dumny z jego osiągnięć.

- A co myślał o nim pani mąż?

- Był mu wdzięczny. Zawsze się przyjaźnili, dopóki Richard był wśród nas. - Rzuciła mi przeciągłe, podejrzliwe spojrzenie. - Nie wiem, do czego pan zmierza?

- Ja też nie, proszę pani.

- Więc po co o tym rozmawiać? Marnuje pan czas - mój i własny.

- Nie jestem przekonany. Proszę mi powiedzieć, czy pani mąż żyje?

Potrząsnęła głową.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Odszedł w lecie 1950 roku. Nie widziałam go od tej pory.

- Czy były jakieś poszlaki wskazujące na to, że coś mu się stało?

- Wręcz przeciwnie. Napisał do mnie piękny list. Chce pan go zobaczyć?

- Widziałem go. Więc przypuszcza pani, że nadal żyje?

- Mam nadzieję. Modłę się o to. I wierzę, że żyje.

- Czy kontaktował się z panią od chwili swego zniknięcia?

- Nigdy.

- Spodziewa się pani wiadomości od niego?

- Nie wiem. - Przechyliła nieco głowę, napinając mięśnie szyi. - Ta rozmowa jest dla mnie bolesna.

- Bardzo mi przykro.

- Więc po co ją pan prowadzi?

- Próbuję się dowiedzieć, czy istnieje jakaś szansa, że mordercą Paula Grimesa jest pani mąż.

- To absurdalny pomysł. Absurdalny i niesmaczny.

- Grimes nie był chyba tego zdania. Przed śmiercią wypowiedział nazwisko pani męża.

Nie zemdląca, ale wydawała się tego bliska. Poblądła pod warstwą makijażu i upadłaby na podłogę, gdybym nie podtrzymał jej chwytając za ramiona. Jej ciało było gładkie jak marmur i niemal równie chłodne.

Rico otworzył drzwi, pchnął je ramieniem i wszedł do pokoju. Zdałem sobie sprawę, że jest bardzo potężnie zbudowany. Z trudem mieścił się w małym saloniku.

- Co się dzieje?

- Nic - odparła pani Chantry. - Proszę cię, odejdz, Rico.

- Napastował panią?

- Nie, nie. Ale chcę, żebyście obaj wyszli. Proszę

- Słyszał pan, co powiedziała? - zwrócił się do mnie Rico.

- Pan również. Muszę porozmawiać z panią Chantry o pewnej sprawie. - Spojrzałem w jej kierunku. - Czy nie chce się pani dowiedzieć, co powiedział Grimes?

- Chyba muszę tego wysłuchać. Rico, zostaw nas samych, dobrze? Wszystko jest w porządku.

Rico najwyraźniej nie był o tym przekonany. Rzucił mi groźne a równocześnie pełne urazy spojrzenie, jak mały chłopiec, którego postawiono do kąta. Był bardzo wysoki i w oczach osób, lubiących mężczyzn o dość krzykliwej urodzie, mógł uchodzić za przystojnego. Mimo woli zacząłem się zastanawiać, czy do tych osób zalicza się pani Chantry.

- Proszę cię, Rico. - Przemawiała tonem właścicielki niebezpiecznego psa obronnego lub zazdrosnego ogiera.

Rico wysunął się z pokoju. Zamknąłem za nim drzwi.

- Pracuje u mnie od dawna - wyjaśniła pani Chantry. - Był przywiązany do mego męża. Kiedy Richard odszedł, przelał swe uczucia na mnie.

- Oczywiście - powiedziałem.

Zaróżowiła się z lekka, ale nie kontynuowała tego tematu.

- Miał mi pan powtórzyć, co powiedział przed śmiercią Paul Grimes.

- Istotnie. Najwyraźniej wziął mnie za pani męża. Powiedział: „Chantry? Zostaw mnie w spokoju”. Potem stwierdził: „Znam cię, sukinsynu”. Naturalnie wywnioskowałem z tego, że być może człowiekiem, który śmiertelnie go pobił, jest pani mąż.

Opuściła dłonie, odsłaniając bladą, znużoną twarz.

- To niemożliwe. Richard nie miał agresywnych skłonności. Paul Grimes był jego bliskim przyjacielem.

- Czy jestem podobny do pani męża?

- Nie. Richard był znacznie młodszy... - urwała nagle. - Ale oczywiście byłby teraz o wiele starszy, prawda?

- Wszyscy się starzejemy. Byłby starszy o dwadzieścia pięć lat.

- Tak. - Pochyliła głowę, jakby odczuwając nagle ciężar tych lat. - Ale Richard wcale nie był do pana podobny. Może jego głos przypominał nieco pański.

- Ale Grimes wziął mnie za Richarda Chantry, zanim się odezwałem. Nie powiedziałem do niego ani słowa.

- I czegoż to dowodzi? Proszę, niech pan już idzie, dobrze? Przeżyłam to bardzo ciężko. I muszę do nich znowu wrócić.

Wróciła do jadalni. Po chwili poszedłem w jej ślady. Pani Chantry i Rico stali pochyleni ku sobie obok zastawionego świecami stołu i rozmawiali o czymś półgłosem.

Poczułem się jak intruz i podszedłem do okna. Ujrzałem leżącą w dali przystań. Płatanina masztów i lin przypominała biały, zimowy las, pełen surowego piękna. Odbite w szybie płomienie świec migotały wokół odległych masztów jak wyładowania elektryczne.

10

Wróciłem do dużego salonu. Arthur Planter, znawca sztuki, stał pod jedną ze ścian i wpatrywał się w wiszący na niej obraz. Kiedy przemówiłem do niego, nie odwrócił się i nie odpowiedział, ale wyprostował nieco swą wysoką, szczupłą postać.

Powtórzyłem jego nazwisko.

- Panie Planter?

Niechętnie odwrócił się od portretu jakiegoś mężczyzny.

- Czym mogę panu służyć?

- Jestem prywatnym detektywem...

- Doprawdy? - Ani na jego szczupłej twarzy, ani w wyblakłych zwężonych oczach nie dostrzegłem śladu zainteresowania.

- Czy znał pan Paula Grimesa?

- Nie mogę powiedzieć, że go znałem. Zawarłem z nim kilka transakcji, bardzo niewiele. - Skrzywił wargi, jakby wspomnienie miało gorzki smak.

- Nie będzie pan ich już mógł zawierać - powiedziałem w nadziei, że wstrząs uczyni go bardziej komunikatywnym. - Został dziś wieczorem zamordowany.

- Czy jestem na liście podejrzanych? - spytał obojętnym, znudzonym tonem.

- Raczej nie. W jego samochodzie znaleziono kilka obrazów. Zechciałby pan obejrzeć jeden z nich?

- W jakim celu?

- Może uda się go panu zidentyfikować.

- Dobrze... - powiedział ze znużeniem. - Choć wolałbym patrzeć na to - wskazał wiszący na ścianie portret mężczyzny.

- Kto to jest?

- Jak to, nie wie pan? To Richard Chantry... jego jedyny liczący się autoportret.

Spojrzałem uważniej na obraz. Głowa mężczyzny przypominała nieco łeb lwa; miał zmierzwione, ciemne włosy, gęstą brodę, zasłaniającą częściowo łagodnie niemal jak u kobiety usta i głęboko osadzone oczy koloru szmaragdów. Miałem wrażenie, że promieniuje od niego siła.

- Znał go pan? - spytałem Plantera.

- Jak najbardziej. Byłem w pewnym sensie jednym z jego odkrywców.

- Czy sądzi pan, że nadal żyje?

- Nie wiem. Mam szczerą nadzieję że tak. Ale jeśli żyje i maluje, to nie ujawnia swoich prac.

- Jakie mógł mieć powody, aby zniknąć w taki sposób?

- Nie wiem - powtórzył Planter. - Myślę, że był człowiekiem przechodzącym różne fazy, jak księżyc. Być może dotarł właśnie do końca tej fazy. - Rozejrzał się po zatłoczonym salonie, patrząc z lekką pogardą na pozostałych gości. - A ten obraz, który chce pan mi pokazać, czy to jego dzieło?

- Nie mam pojęcia. Może pan mi to powie. Zaprowadziłem go do mego samochodu i pokazałem mu w świetle reflektorów niewielki pejzaż morski, który wyciągnąłem z kabrioletu Paula Grimesa. Wyjął go z moich rąk delikatnie, jakby demonstrując mi, jak należy obchodzić się z obrazami.

- Niestety to bardzo kiepski obraz - powiedział w końcu. - Z pewnością nie malował go Chantry, jeśli to chciał pan wiedzieć.

- Czy orientuje się pan, kto może być jego autorem? Zastanowił się przez chwilę nad moim pytaniem.

- Mógłby to być Jacob Whitmore. Jeśli tak, to jest to bardzo wczesny Whitmore - całkowicie i nieudolnie realistyczny. Niestety, biedny Jacob zawarł w swej twórczości dzieje współczesnego malarstwa, tyle że o jedno pokolenie za późno. Dotarł do surrealizmu i tuż przed śmiercią zaczął odkrywać symbolizm.

- Kiedy umarł?

- Wczoraj. - Planter był najwyraźniej rozbawiony dość szokującym charakterem tej informacji. - Słyszałem, że wypłynął w morze niedaleko Sycamore Point i dostał ataku serca.

- Z zadumą opuścił wzrok na trzymany w ręku obraz. - Ciekaw jestem, co zamierzał z tym zrobić Grimes. Ceny dobrego malarza idą często w górę po jego śmierci. Ale Jacob Whitmore nie był dobrym malarzem.

- Czy jego obrazy przypominają dzieła Chantry'ego?

- Nie. Wcale nie. - Spojrzał na mnie badawczo. - Dlaczego?

- Mówiono mi, że Grimes nie był z tych, co to nie są zdolni do sprzedania komuś fałszywego obrazu Chantry'ego.

- Rozumiem. Ale trudno byłoby mu sprzedać ten obraz jako dzieło Chantry'ego. Nawet jak na Whitmore'a jest bardzo kiepski. Widzi pan przecież - doprowadził pracę zaledwie do połowy. Z góry zemścił się na morzu malując je tak fatalnie - dodał ze świadomie okrutnym poczuciem humoru.

Spojrzałem na zamazane pasma błękitu i zieleni, snujące się po nie ukończonym pejzażu morskim. Pomyślałem, że choćby był to najgorszy nawet obraz, fakt, iż jego twórca umarł w tym samym morzu, dodaje mu głębi i siły wyrazu.

- Więc mieszkał niedaleko Sycamore Point?

- Owszem. Na plaży, na północ od terenów uniwersyteckich.

- Miał jakąś rodzinę?

- Mieszkał z dziewczyną - odparł Planter. - Nawet telefonowała do mnie dzisiaj. Chciała, żebym przyjechał i obejrzał obrazy, które po nim zostały. O ile wiem, wyprzedaje je bardzo tanio. Szczerze mówiąc nie kupiłbym ich za żadną cenę.

Oddał mi obraz i wytłumaczył, jak dojechać na miejsce. Wsiadłem do samochodu, pojechałem na północ i minąwszy uniwersytet, dotarłem do Sycamore Point.

Dziewczyna, którą zostawił Jacob Whitmore, okazała się posępną blondynką w dość zaawansowanym stadium dziewczęcości. Mieszkała w jednym z kilku domków i baraków rozrzuconych po piaszczystym skrawku gruntu na wysokości wdzierającej się w morze odnogi lądu. Uchyliła lekko drzwi i przyglądała mi się przez szparę, jakbym był zwiastunem następnej katastrofy.

- Czego pan chce?

- Interesuję się obrazami.

- Niewiele ich już zostało. Wyprzedaję je. Jake utopił się wczoraj - chyba pan o tym wie? Zostawił mnie w kompletnej nędzy.

Jej posępny głos nabrzmiały był smutkiem i goryczą. Ponure myśli zdawały się przenikać z jej mózgu aż do nasady włosów. Patrzała ponad moją głowę w kierunku morza, po którym przetaczały się ledwo widoczne fale, jak odmierzone odcinki wieczności.

- Czy mogę wejść i obejrzeć je?

- Tak. Oczywiście.

Otworzyła drzwi i zamknęła je za mną, zmagając się z wiatrem. W pokoju unosił się zapach morza, wina, marihuany i pleśni. Nieliczne meble były stare i zniszczone. Miałem wrażenie, że domek z trudem przeżył bitwę - wcześniejszy etap tej samej batalii przeciw ubóstwu, która przetoczyła się przez dom Johnsonów na OHve Street.

Kobieta zniknęła na chwilę w sąsiednim pokoju i wróciła ze stosem nie oprawionych obrazów. Położyła je na pogiętym, trzciniowym stole.

- Chcę za nie po dziesięć dolarów od sztuki albo czterdzieści pięć za całą piątkę. Jake brał zwykle więcej - sprzedawał je podczas sobotnich kiermaszy obrazów na plaży w Santa Teresa. Niedawno opylił jeden obraz za dobrą cenę pewnemu antykwariuszowi. Ale nie mogę czekać.

- Czy tym antykwariuszem był Paul Grimes?

- Zgadza się. - Spojrzała na mnie jakby nieco podejrzliwie. - Czy pan też handluje obrazami?

- Nie.

- Ale zna pan Paula Grimesa?

- Trochę.

- Czy to uczciwy człowiek?

- Nie wiem. Dlaczego pani pyta?

- Nie wydaje mi się, żeby był uczciwy. Odegrał istną komedię, udając, jak strasznie podobają mu się obrazy Jake'a. Miał rozreklamować je na wielką skalę i zapewnić nam majątek. Myślałam, że marzenia Jake'a wreszcie się spełnią. Antykwariusze będą pukać do naszych drzwi, ceny skoczą w górę. Ale Grimes kupił dwa liche obrazki i na tym się skończyło. Jeden z nich nie był nawet dziełem Jake'a... malował go kto inny.

- Kto?

- Nie wiem. Jake nie rozmawiał ze mną o interesach. Myślę, że wziął ten obraz w komis od któregoś ze swych przyjaciół na plaży.

- Czy może go pani opisać?

- Przedstawiał jakąś kobietę - może był to portret, może malował ją z wyobraźni. Była piękna - miała włosy w tym samym kolorze co ja. - Dotknęła swej utlenionej fryzury i ruch ten jakby obudził w niej lęk czy podejrzenia. - Dlaczego wszyscy tak się interesują tym obrazem? Czy był cenny?

- Nie mam pojęcia.

- Myślę, że był. Jake nie chciał mi powiedzieć, ile za niego wziął, ale wiem, że żyliśmy za te pieniądze przez ostatnie dwa miesiące. Wczoraj się skończyły. Tak samo jak Jake - dodała bezbarwnym głosem.

Odwróciła się i rozłożyła na stole nie oprawione płótna. Większość wydała mi się nie dokończona; były to małe pejzaże morskie, podobne do leżącego w moim samochodzie obrazu, który pokazałem Arthurowi Planterowi. Ich autor miał najwyraźniej obsesję na punkcie morza i nie mogłem oprzeć się podejrzeniu, że być może jego utonięcie nie było tylko sprawą przypadku.

- Czy przypuszcza pani, że Jake utopił się z własnej woli? - spytałem.

- Nie. Wcale nie. - Pospiesznie zmieniła temat: - Dam panu wszystkie pięć za czterdzieści dolarów. Same płótna są tyle warte. Wie pan o tym, jeśli jest pan malarzem.

- Nie jestem malarzem.

- Zastanawiam się czasem, czy Jake nim był. Malował przez przeszło trzydzieści lat i oto cały jego dorobek - gest jej ręki obejmował leżące na stole obrazy, cały dom i jego dzieje, śmierć Jake'a. - Tylko to i ja.

Uśmiechnęła się, a raczej wykonała częścią twarzy niewyraźny grymas. Oczy, którymi wpatrywała się w mętną i pochmurną przeszłość, pozostały chłodne jak oczy ptaka morskiego.

Zauważyła, że się jej przyglądam, i opanowała się:

- Nie jestem taka zła, jak pan myśli - oświadczyła. - Chce pan wiedzieć, dlaczego sprzedaję to wszystko? Muszę mu kupić trumnę. Nie chcę, żeby pochowano go na koszt okręgu w jednej z tych sosnowych skrzynek. I nie mogę pozwolić na to, żeby leżał dłużej w kostnicy okręgowego szpitala.

- Zgoda, kupię te pięć obrazów.

Wręczyłem jej dwie dwudziesto-dolarówki, zastanawiając się, czy Biemeyerowie oddadzą mi kiedykolwiek tę sumę.

Wzięła je jakby z obrzydzeniem i trzymała w ręku.

- To nie był chwyt reklamowy. Nie musi pan ich kupować tylko dlatego, że wie pan, na co potrzebuję pieniędzy.

- Chcę mieć te obrazy.

- Po co? Może jednak jest pan antykwariuszem?

- Niezupełnie.

- To znaczy, że mam rację. Wiedziała, że nie jest pan malarzem.

- Skąd pani wiedziała?

- Żyłam z malarzem przez ostatnich dziesięć lat. - Zmieniła pozycję i oparła się o róg stołu. - Nie wygląda pan na malarza i nie mówi jak malarz. Nie ma pan oczu malarza. Nawet nie pachnie pan jak malarz.

- A jak kto?

- Może jak policjant. Kiedy Paul Grimes kupił od Jake'a te dwa obrazy, od razu pomyślałam, że jest tu coś podejrzanego. Czy miałam rację?

- Nie wiem.

- Więc po co kupuje pan te?

- Bo Grimes nabył tamte.

- Myśli pan, że skoro wydał na nie pieniądze, to znaczy, że muszą być coś warte?

- Bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego mu na nich zależało.

- Ja również - stwierdziła. - A dlaczego panu na nich zależy?

- Bo zależało na nich Grimesowi.

- Czy naśladuje go pan we wszystkim?

- Mam nadzieję, że nie we wszystkim.

- Tak, słyszałam, że czasem lubił oszukiwać. - Kiwnęła głową, posyłając mi swój chłodny półuśmiech. - Nie powinnam tego mówić. Nie mam nic przeciwko niemu. Można nawet powiedzieć, że przyjaźnię się z jego córką.

- Z Paolą? To jego córka?

- Tak. Zna ją pan?

- Spotkaliśmy się kiedyś. Skąd pani ją zna?

- Poznałyśmy się na jakimś przyjęciu. Twierdzi, że jej matka była pół-Hiszpanką, a w połowie Indianką. Paola to piękna kobieta, nie uważa pan? Lubię hiszpański typ urody.

Pochyliła ramiona i zaczęła zacierać ręce, jakby grzejąc się w ciepłe Paoli.

Wróciłem do Santa Teresa i złożyłem wizytę w kostnicy, mieszczącej się w podziemiach szpitala. Zaprzyjaźniony ze mną zastępca koronera, młody człowiek nazwiskiem Henry Purvis, poinformował mnie, że Jacob Whitmore utonął podczas kąpieli. Wysunął wielką szufladę i pokazał mi niebieskie zwłoki z wielką kędzierzawą głową i skurczonym członkiem. Wychodząc z zimnej sali czułem dreszcze.

11

Zastępca koronera, Purvis, wyszedł ze mną do przedsionka, jakby dokuczyła mu samotność; ciężkie, metalowe drzwi zamknęły się za nami bezgłośnie.

- Czy władze mają jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że Whitmore utonął przypadkowo? - spytałem go.

- Chyba nie. Był już trochę za stary na pływanie w tych falach przybrzeżnych koło Sycamore Point. Koroner uznał to za wypadek. Nie kazał nawet robić sekcji.

- Myślę, że powinien jej zażądać, Henry.

- Ale dlaczego?

- Whitmore'a łączyły z Grimesem jakieś interesy. Nie jest zapewne dziełem przypadku, że obaj się tu znaleźli. Będziecie przecież przeprowadzać sekcję zwłok Grimesa, prawda?

Purvis kiwnął potakująco głową.

- Ma się odbyć jutro z samego rana. Ale przeprowadziłem już wstępne badanie i mogę im podać przypuszczalną przyczynę zgonu. Został śmiertelnie pobity jakimś ciężkim przedmiotem, zapewne łyżką do zdejmowania opon.

- Nie znaleziono narzędzia zbrodni?

- O ile wiem, nie. Powinieneś spytać o to na policji. Narzędzia zbrodni to ich branża. - Przyjrzał mi się uważnie. - Czy znałeś Grimesa?

- Właściwie nie. Wiedziałem, że handluje obrazami.

- Czy był kiedyś narkomanem? - spytał Purvis.

- Nie znałem go aż na tyle, żeby to wiedzieć. Jaki rodzaj narkomanii masz na myśli?

- Chyba heroina. Miał stare ślady od zastrzyków na ramionach i udach. Pytałem o nie tę kobietę, ale nabrała wody w usta. Tak histeryzowała, że może sama jest narkomanką. Roi się od nich nawet tu, w szpitalu.

- O jakiej kobiecie mówisz?

- Takiej ciemnej - hiszpański typ urody. Kiedy pokazałem jej ciało, o mało nie zaczęła chodzić po ścianach. Zaprowadziłem ją do kaplicy i próbowałem wezwać do niej jakiegoś księdza, ale o tej porze żadnego nie udało mi się znaleźć... był środek nocy. Dzwoniłem na policję. Chęć z nią rozmawiać.

Spytałem go, gdzie jest kaplica. Była to niewielka, wąska sala na pierwszym piętrze; na jej przeznaczenie wskazywał tylko jeden mały witraż. Stał tam pulpit i osiem czy dziesięć wyścielanych krzeseł. Paola siedziała na podłodze ze zwieszoną głową, obejmując kolana: ciemne włosy niemal zupełnie zasłaniały jej twarz. Miała czkawkę. Kiedy się zbliżyłem, zasłoniła głowę zgiętym ramieniem, jakbym miał zamiar ją zamordować.

- Proszę dać mi spokój.

- Nie zrobię ci nic złego, Paola.

Odgarnąwszy grzywę włosów, przyjrzała mi się mrużąc oczy i najwyraźniej mnie nie poznając. Unosiła się wokół niej atmosfera nieopanowanego, posępnego erotyzmu.

- Nie jest pan księdzem.

- Oczywiście, że nie.

Usiadłem obok niej na dywanie, ozdobionym takimi samymi motywami, jakie widziałem na witrażu. Bywały chwile, w których żałowałem niemal, że nie jestem księdzem. Coraz bardziej nużyły mnie nieszczęścia innych i zastanawiałem się, czy sutanna i biała koloratka nie stanowią zbroi, w której można się przed nimi schronić. Czułem, że nigdy się tego nie dowiem. Kiedy mieszkaliśmy w okręgu Contra Costa, babka przeznaczyła mnie do stanu duchownego, ale wymknąłem się spod jej władzy.

Patrząc w czarne, nieprzeniknione oczy Paoli pomyślałem, że we współczuciu, jakie okazujemy dotkniętym nieszczęściem kobietom, zawsze jest pewien procent pożądania. Przynajmniej czasem można je zaprowadzić do łóżka i wspólnie przeżyć chwile czułości, która dla księży jest owocem zakazanym. Ale nie dotyczyło to Paoli. Zarówno ona, jak i kobieta z Sycamore Point należały tej nocy do zmarłych mężczyzn. Właściwym miejscem ich rozważań była kaplica.

- Co stało się Paulowi? - spytałem.

Uniosła ku mnie zaleźniony wzrok, opierając podbródek na ramieniu i wysuwając dolną wargę.

- Nie przedstawił się pan. Czy jest pan policjantem?

- Nie. Prowadzę drobną firmę. - Skrzywiłem się, wypowiadając to półkłamstwo; atmosfera kaplicy zaczynała na mnie działać. - Słyszałem, że Paul kupował obrazy?

- Już przestał. Nie żyje.

- Nie zamierza pani dalej prowadzić sklepu? Uniosła ramiona, gwałtownie potrząsając głową, jakby groziło jej nagłe niebezpieczeństwo.

- Nie. Czy myśli pan, że chcę zostać zamordowana, jak mój ojciec?

- Naprawdę był pani ojcem?

- Tak, był.

- Kto go zabił?

- Nic panu nie powiem. Pan też nie mówi wiele. - Pochyliła się w moim kierunku. - Czy to nie pan był dziś w sklepie?

- Owszem.

- Miało to jakiś związek z obrazem Biemeyerów, prawda? Czym się pan zajmuje? Jest pan antykwariuszem?

- Interesuję się obrazami.

- Zdążyłam to zauważyć. Po czyjej pan jest stronie?

- Po stronie przyzwoitych ludzi.

- Nie ma przyzwoitych ludzi. Jeśli pan o tym nie wie, nic tu po panu. - Uniosła się na kolana, odprawiając mnie gniewnym machnięciem ręki. - Więc niech pan lepiej sływa.

- Chcę pani pomóc. - Było w tym trochę prawdy.

- Oczywiście. Chce mi pan pomóc. Potem zechce pan, abym ja pomogła panu. A potem zamierza pan zgarnąć zyski i zniknąć. O to przecież chodzi, prawda?

- Jakie zyski? Nie ma pani wiele poza kupą zmartwień. Milczała przez chwilę. Nie spuszczała oczu z mojej twarzy. Widziałem w nich odbicie procesów zachodzących w jej umyśle, niemal tak namacalnie, jakby grała w szachy lub warcaby i zastanawiała się, co musi mi ofiarować, by zyskać znacznie więcej.

- Przyznaję, że mam kłopoty. - Odwróciła trzymane na kolanach ręce dłońmi ku górze, jakby chciała oddać mi część swych trosk. - Ale myślę, że pan ma ich jeszcze więcej. Kim pan właściwie jest?

Podaliśmy swe nazwisko i zawód. Jej oczy zmieniły wyraz, ale nie odezwała się. Poinformowałem ją, że Biemeyerowie wynajęli mnie, bym odnalazł ich zaginiony obraz.

- Nic o tej sprawie nie wiem. Powiedziałam to już panu po południu w sklepie.

- Wierzę - odparłem bez wewnętrznego przekonania. - Chodzi o to, że kradzież obrazu może być związana z zabójstwem pani ojca.

- Skąd pan wie?

- Nie wiem, ale wydaje mi się to prawdopodobne. Skąd wziął się ten obraz, panno Grimes?

Skrzywiła się, mrużąc oczy.

- Mów do mnie Paola. Nigdy nie używam nazwiska ojca. I nie mogę ci powiedzieć, skąd wziął ten obraz. Byłam tylko figurantką - nigdy mi nic nie mówił o swoich interesach.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Jedno i drugie.

- Czy obraz był prawdziwy?

- Nie wiem. - Milczała przez chwilę, podczas której miałem wrażenie, że przestała nawet oddychać. - Mówisz, że chcesz mi pomóc, ale bez przerwy zadajesz mi pytania.

Ja mam na nie odpowiadać. Co mi to pomoże, jeśli moje odpowiedzi zaprowadzą mnie do więzienia?

- Może dla ojca byłoby lepiej, gdyby poszedł do więzienia?

- Niewykluczone. Ale ja nie chcę tam skończyć. Ani w grobie. - Jej niespokojne spojrzenie zdawało się odbijać nerwowo kłębiące się myśli. - Myślisz, że ten, kto ukrał ten obraz, zabił także mego ojca?

- To możliwe. Mam przeczucie, że tak właśnie było.

- Czy Richard Chantry żyje jeszcze? - spytała słabym głosem.

- Niewykluczone. Co cię skłania do tego przypuszczenia?

- Ten obraz. Nie znam się na tym tak dobrze jak ojciec, ale miałam wrażenie, że to oryginał, prawdziwy Chantry.

- A co mówił o nim ojciec?

- Nie powiem ci. I nie chcę już rozmawiać o tym obrazie. Stale zadajesz mi pytania, żądając, bym na nie odpowiadała, i jestem już zmęczona. Chcę iść do domu.

- Odwiozę cię.

- Nie. Nie wiesz, gdzie mieszkam, i nie dowiesz się. To mój sekret.

Wstała z klęczek i zachwiała się lekko. Podtrzymałem ją ramieniem. Jej biust dotknął mego boku. Stała przez chwilę oparta o mnie, oddychając ciężko, potem odsunęła się. Bijące od niej ciepło przeniknęło częściowo przez moje ciało i dotarło aż do łędźwi. Poczułem się nieco mniej zmęczony.

- Odwiozę cię do domu.

- Nie, dziękuję. Muszę tu poczekać na policję. Ostatnia rzecz, jaka jest mi potrzebna w tej chwili, to związek z prywatnym detektywem.

- Może przytrafić ci się coś gorszego, Paola. Pamiętaj, że twój ojciec został zamordowany, być może przez człowieka, który namalował ten obraz.

Chwyliła mnie lekko za ramię.

- Stale mi to powtarzasz, ale czy jesteś pewny?

- Nie. Nie jestem.

- Więc przestań mnie straszyć. I tak już się dostatecznie boję.

- Myślę, że masz do tego powody. Widziałem twój ojca, zanim umarł. Zdarzyło się to przypadkiem niedaleko stąd. Panowały ciemności, a on był ciężko ranny i wziął mnie za Chantry'ego. Prawdę mówiąc, zwracając się do mnie użył jego nazwiska. Z tego, co powiedział, wynika, że zabił go Chantry.

- Dlaczego Richard Chantry miałby zabijać mojego ojca? Byli dobrymi przyjaciółmi, jeszcze w Arizonie. Ojciec często o nim mówił. Był jego pierwszym nauczycielem.

- Musiało to być dawno temu.

- Tak. Minęło już trzydzieści lat.

- Ludzie mogą się zmienić w ciągu trzydziestu lat. Kiwnęła potakująco i zastygła z opuszczoną głową.

Włosy opadły jej na czoło, spływając po twarzy jak czarna woda.

- Co działo się z twoim ojcem w ciągu tych lat?

- Niewiele o tym wiem. Nie widywałam go często, z wyjątkiem ostatniego okresu... kiedy byłam mu potrzebna.

- Czy wstrzykiwał sobie heroinę?

Milczała przez chwilę. Włosy nadal zasłaniały jej twarz, ale nie odgarnęła ich. Wyglądała jak kobieta bez oblicza.

- Znasz odpowiedź na to pytanie, bo inaczej nie zadawałbyś go - odparła w końcu. - Był kiedyś narkomanem. Wysłali go do federalnego więzienia i wyleczył się tam całkowicie.

- Rozgarnęła włosy dłońmi i spojrzała na mnie, jakby chciała przekonać się, czy jej wierzę. - Nie przyjechałabym tu z nim, gdyby brał narkotyki. Widziałam, do czego go doprowadziły, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, w Tucson i w Copper City.

- Do czego go doprowadziły?

- Był dawniej porządnym człowiekiem, był kimś. Wykładał nawet na uniwersytecie. Potem zmienił się w kogoś zupełnie innego.

- Ale w kogo?

- Nie wiem. Zaczął interesować się chłopcami. A może zawsze taki był. Nie wiem.

- Czy wyleczył się również z tego nawyku, Paola?

- Chyba tak. - Jej głos był niepewny, pełen bólu i zwątpienia.

- Czy obraz Biemeyerów był autentyczny?

- Nie wiem. On tak sądził, a przecież był ekspertem.

- Skąd o tym wiesz?

- Mówił mi o nim w dniu, kiedy zakupił go na plaży. Twierdził, że musi to być Chantry, bo nie mógł go namalować nikt inny. Że jest to największe odkrycie, jakiego dokonał w życiu.

- Tak ci powiedział?

- Owszem. Po co miałby mnie okłamywać? Nie miał żadnego powodu. - Patrzała mi uważnie w twarz, jakby moja reakcja mogła rozwiązać problem uczciwości jej ojca.

Była przestraszona, a ja bardzo zmęczony. Usiadłem na jednym z wyściełanych krzeseł i wsłuchiwałem się przez kilka minut we własne myśli. Paola podeszła do drzwi, ale nie opuściła kaplicy. Oparła się o futrynę, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakbym mógł ukraść jej torebkę albo nawet już to zrobić.

- Nie jestem twoim wrogiem - powiedziałem.

- Więc nie dręcz mnie tak strasznie. Miałam ciężką noc. - Odwróciła twarz, jakby wstydziła się tego, co zamierza powiedzieć. - Kochałam mojego ojca. Kiedy zobaczyłam go martwego, przeżyłam okropny wstrząs.

- Przykro mi, Paola. Mam nadzieję, że jutro będzie lepiej.

- Ja również - stwierdziła.

- Podobno twój ojciec miał fotografię tego obrazu?

- Zgadza się. Ma ją koroner.

- Henry Purvis?

- Nie wiem, jak się nazywa. Tak czy owak ma tę fotografię.

- Skąd wiesz?

- Sam mi pokazał. Mówił, że znalazł ją w kieszeni ojca i pytał, czy poznaję tę kobietę.

Powiedziałam mu, że nie.

- Ale obraz rozpoznałaś?

- Tak.

- Czy to ten, który twój ojciec sprzedał Biemeyerom?

- Tak, ten sam.

- Ile mu za niego zapłacili?

- Nie powiedział mi. Myślę, że potrzebował tych pieniędzy, by zapłacić jakiś dług, i nie chciał, żebym wiedziała. Mogę jednak poinformować cię o czymś, co od niego usłyszałam. Znał tę kobietę z portretu i właśnie na tej podstawie doszedł do wniosku, że jest autentyczny.

- A więc był to obraz Chantry'ego?

- Tak twierdził ojciec.

- Czy powiedział ci, jak nazywa się ta kobieta?

- Mildred. Była modelką w Tucson w czasach jego młodości - piękna dziewczyna. Twierdził, że obraz musiał zostać namalowany z pamięci, bo Mildred jest już staruszką, o ile w ogóle żyje.

- Czy pamiętasz jej nazwisko?

- Nie. Zdaje mi się, że przybierała nazwiska mężczyzn, z którymi mieszkała.

Zostawiłem Paolę w kaplicy i wróciłem do kostnicy. Purvis siedział w przedsionku, ale nie miał fotografii obrazu. Powiedział mi, że dał ją Betty Jo Siddon.

- Poco?

- Chciała wziąć ją do redakcji i zrobić kopie.

- Ale Mackendrick się ucieszy, Henry.

- Do diabła, przecież sam kazał mi ją dać. Szef policji i idzie w tym roku na emeryturę i kapitan Mackendrick zaczął dbać o reklamę.

Ruszyłem w kierunku bramy szpitala. Potem zatrzymałem się nagle, zdawszy sobie sprawę, że nie dokończyłem podjętego zadania. Kiedy spotkałem na swej drodze konającego Paula Grimesa, szedłem na rozmowę z panią Johnson, matką Freda.

12

Podszedłem do znajdującej się obok wyjścia dyżurki pielęgniarek i zapytałem, gdzie mogę znaleźć panią Johnson. Siostra przełożona była kobietą w średnim wieku o bladej, kościstej twarzy i niecierpliwym usposobieniu.

- W szpitalu pracuje wiele kobiet o tym nazwisku. Czy ma na imię Sarah?

- Tak. Jej mąż nazywa się Jerry lub Gerard.

- Dlaczego nie powiedział pan tak od razu? Niestety pani Sarah Johnson nie jest już zatrudniona w naszym szpitalu. - Powiedziała to świadomie uroczystym tonem, jak sędzia odczytujący wyrok na panią Johnson.

- Mówiła mi, że tu pracuje.

- Zatem okłamała pana. - Usłyszawszy własną wypowiedź, odczuła jej bezwzględność i złagodziła ją nieco. - Albo może źle pan ją zrozumiał. Jest obecnie zatrudniona w domu dla rekonwalescentów, niedaleko autostrady.

- Czy zna pani jego nazwę?

- La Paloma - odparła z niesmakiem.

- Dziękuję. Dlaczego ją zwolniono?

- Nie mówiłam, że ją zwolniono. Pozwolono jej odejść. Ale nie jestem upoważniona do rozmowy na ten temat. - Poczulem jednak, że ma ochotę mnie zatrzymać. - Czy jest pan z policji?

- Jestem prywatnym detektywem współpracującym z komendą.

Wyjąłem portfel i pokazałem jej fotokopię swej licencji. Uśmiechnęła się do niej, jakby patrzyła w lusterko.

- Znów ma kłopoty?

- Mam nadzieję, że nie.

- Czy i tym razem chodzi o kradzież narkotyków?

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że prowadzę dochodzenie w sprawie pani Johnson. Jak dawno przestała tu pracować?

- Zdarzyło się to w ubiegłym tygodniu. Dyrekcja pozwoliła jej odejść i wystawiła jej dobrą opinię. Ale nie mogli jej zatrzymać. Sprawa była zupełnie jasna. Miała część tych pastylek w kieszeni. Byłam tam, kiedy ją przeszukiwano. Szkoda, że nie słyszał pan, jakim językiem przemawiała do kierownika.

- Co mu powiedziała?

- Och, nie mogę tego powtórzyć.

Błada twarz siostry przełożonej pokryła się gwałtownym rumieńcem, jakbym uczynił jej nieprzystojną propozycję. Nagle spojrzała na mnie z niechęcią, wstydząc się chyba własnego podniecenia. Potem odwróciła się na pięcie i odeszła.

Było już po północy. Spędziłem w szpitalu tyle czasu, że czułem się prawie jak pacjent. Tym razem wyszedłem inną bramą. Nie chciałem ponownie natknąć się na kapitana Mackendricka, Purvisa, Paolę czy któregośkolwiek ze zmarłych mężczyzn.

Jeżdżąc autostradą widywałem neon La Paloma, więc orientowałem się, gdzie leży zakład dla rekonwalescentów. Po drodze ze szpitala minąłem kilka nie oświetlonych gabinetów lekarskich, hotel dla pielęgniarek i szereg uliczek, na których stały jednopiętrowe, zbudowane przed wojną domy, zamieszkałe przez średnio zamożnych obywateli miasta. Zabudowaną część dzielnicy oddzielał od autostrady wąski park, porośnięty z rzadka dębami.

Pod osłoną gałęzi stały nieliczne samochody spóźnionych zakochanych; ich przednie szyby były zaparowane.

Jednopiętrowy kompleks wyłożonych kamieniem budynków mieszczących pensjonat La Paloma stał niemal przy samej autostradzie, jak stacja benzynowa. Gdy wszedłem do środka i zamknąłem za sobą ciężkie drzwi, stłumiony warkot z rzadka przejeżdżających o tej porze samochodów upodobił się do szumu odległych fal morskich. Górowały nad nim dochodzące z bliska odgłosy życia pensjonatu: chrapanie, westchnienia i niewyraźne, ciche prośby pacjentów.

Usłyszałem za sobą ciche kroki zbliżającej się pielęgniarki. Była to młoda, ładna Murzynka.

- Już za późno na odwiedziny - powiedziała. - Wszystko pozamykane na noc.

- Chciałem się zobaczyć z waszą pracownicą, z panią Johnson.

- Spróbuję ją znaleźć. Zaczyna się robić popularna. Jest pan już drugim gościem, który ją dzisiaj odwiedza.

- Kto był pierwszym? Zawahała się przez chwilę.

- Czy jest pan może jej mężem? - spytała w końcu.

- Nie. Tylko przyjacielem.

- Przed panem odwiedził ją syn... młody facet z rudymi włosami. Wywołał niezłą burdę, zanim udało mi się go wyprosić. - Posłała mi badawcze, choć nie pozbawione życzliwości spojrzenie. - Mam nadzieję, że nie zamierza pan wywołać następnej awantury?

- Jestem jak najdalszy od takiego zamiaru. Chcę zażegnać pewien konflikt.

- W porządku, zawołam ją. Ale bądźcie cicho, dobrze?

Ludzie już śpią.

- Jasne. O co się awanturował?

- O pieniądze. Przecież zawsze chodzi o pieniądze.

- Nie zawsze - odparłem. - Czasem przyczyną jest miłość.

- O to też chodziło. W jego aucie siedziała jakaś blondynka.

- Nie wszyscy mają tyle szczęścia.

Przybrała surowszy wyraz twarzy, jakby była zdecydowana odparować moją ewentualną zaczepkę.

- Zawołam panią Johnson - powiedziała.

Pani Johnson zbliżyła się do mnie z wyraźną niechęcią. Jej spuchnięte oczy dowodziły, że płakała.

- Czego pan chce? - Ton głosu sugerował, że straciła już niemal wszystko i niewiele mi może ofiarować.

- Chciałbym chwilę z panią porozmawiać.

- I tak mam już zaległości w pracy. Chce pan, żeby mnie przez pana zwolnili?

- Nie. Ale tak się składa, że jestem prywatnym detektywem.

Jej spojrzenie obiegło mały, ciemny przedsiónek i spoczęło na drzwiach wyjściowych. Naprężyła mięśnie, jakby przygotowywała się do wybiegnięcia na autostradę.

Stałem pomiędzy nią a drzwiami.

- Czy jest tu jakieś pomieszczenie, w którym moglibyśmy usiąść spokojnie na kilka minut?

- Chyba tak. Ale jeśli stracę posadę, będzie to pańska wina.

Zaprowadziła mnie do zastawionej przypadkowo dobranymi meblami poczekalni i zapaliła ciemną, stojącą lampę. Usiedliśmy przodem do siebie w jej świetle, niemal dotykając się kolanami. Obciągnęła biały, nylonowy kitel, jakby kontakt ze mną mógł ją zbrukać.

- Czego pan ode mnie chce? I niech pan przestanie udawać dziennikarza. Od początku uważałam, że jest pan policjantem.

- Chcę zobaczyć się z pani synem, Fredem.

- Ja również. - Uniosła swe masywne ramiona i opuściła je ponownie. - Zaczynam niepokoić się o Freda. Nie miałam od niego wiadomości przez cały dzień.

- Był tu dziś wieczorem. Czego chciał?

Milczała przez chwilę, ale nie pozostała bierna. Na jej twarzy malował się wysiłek, jakby połykała własne kłamstwo, a może wymyślała następne.

- Potrzebował pieniędzy. To nic nowego. Każdemu wolno poprosić własną matkę o pieniądze. Nie pierwszy raz mu pomagam. Zawsze oddaje, gdy tylko ma z czego.

Przerwałem zasłonę dymną, utkaną z jej słów.

- Niech pani da spokój, proszę pani. Fred jest w trudnej sytuacji. Kradzież obrazu to wystarczający powód do obaw. Teraz uprowadził dziewczynę, żeby zataić poprzednie przestępstwo.

- Nie uprowadził jej. To kłamstwo, parszywe kłamstwo. Pojechała z nim z własnej, nieprzymuszonej woli. W gruncie rzeczy to ona chyba pierwsza wpadła na ten pomysł. Uganiała się za Fredem już od pewnego czasu. A jeśli ta mała czarnucha powiedziała panu coś innego, to po prostu zełgała. - Potrząsnęła zaciśniętą pięścią w kierunku drzwi, za którymi zniknęła czarnoskóra pielęgniarka.

- A co jest z tym obrazem, pani Johnson?

- Z jakim obrazem?

- Tym, który Fred ukradł z domu państwa Biemeyer.

- Wcale nie ukradł. Po prostu pożyczył, żeby poddać go jakimś badaniom. Zaniósł go do muzeum i tam go skradziono.

- Fred mówił mi, że obraz zniknął z waszego domu. Potrząsnęła głową.

- Musiał pan go źle zrozumieć. Został wyniesiony z piwnicy muzeum. To oni są odpowiedzialni.

- Więc przy tej wersji postanowiliście obstawać - pani i Fred?

- Bo to prawda, więc przy niej obstajemy. Fred jest uczciwy jak kryształ. Jeśli sam pan tego nie widzi, to znaczy, że ma pan spaczoną wyobraźnię. Za dużo miał pan do czynienia z ludźmi nieuczciwymi.

- To prawda - przyznałem. - Myślę, że i pani do nich należy..

- Nie zamierzam tu siedzieć i wysłuchiwać pańskich impertynencji.

Próbowała wzniecić w sobie gniew, ale nic z tego jakoś nie wyszło. Zbyt wiele przeżyła w ciągu minionego dnia, a noc wisiała nad nią jak wzbierająca fala. Opuściła wzrok na splecione dłonie i wtuliła w nie twarz. Nie płakała, nie szlochała, nie powiedziała ani słowa. Ale jej milczenie na tle stłumionego szumu autostrady wyrażało czarną rozpacz.

Po chwili wyprostowała się i spojrzała na mnie z pełnym spokojem.

- Muszę już wracać do pracy.

- Przecież nikt pani nie kontroluje.

- Może nie, ale jeśli rano będzie bałagan, wina spadnie na mnie. Jesteśmy w tej budzie tylko we dwie.

- Myślałem, że pracuje pani w szpitalu.

- Pracowałam. Miałam konflikt z jednym z kierowników.

- Czy chce mi pani o tym opowiedzieć?

- To nic ważnego.

- Więc proszę mi opowiedzieć.

- Dlaczego miałabym panu mówić? Mam dość na głowie bez pańskich nagabywań.

- I dość na sumieniu?

- Moje sumienie to moja sprawa. Nie potrzebuję pańskiej pomocy.

Siedziała nieruchomo jak głaz. Podziwiałem ją, tak jak mógłbym podziwiać posąg, gdyby jego dzieje były mi obojętne. Ale jej milczenie nie było mi na rękę. Cała sprawa, która

zaczęła się od niezbyt poważnej kradzieży, wciągała stopniowo w swą orbitę życie różnych ludzi. Dwaj mężczyźni nie żyli, a córka Biemeyerów pomknęła gdzieś w mrok.

- Dokąd wybrał się Fred z panną Biemeyer?

- Nie wiem.

- Nie pytała go pani? Nie dałaby mu pani pieniędzy, nie wiedząc, co zamierza z nimi zrobić.

- A jednak tak było.

- Myślę, że pani kłamie.

- Niech pan myśli, co pan chce - powiedziała obojętnym tonem.

- I to nie po raz pierwszy. Okłamała mnie już pani niejednokrotnie.

Jej oczy rozbłysły ciekawością i odbiło się w nich poczucie wyższości, jakie żywią kłamcy w stosunku do osób okłamywanych.

- Na przykład odeszła pani ze szpitala, bo przyłapano panią na kradzieży narkotyków. A twierdziła pani, że przyczyną był konflikt z kierownikiem.

- Dotyczący narkotyków - dodała pospiesznie. - Nie mogli się doliczyć. Zrzucano winę na mnie.

- A nie była pani winna?

- Ależ skąd. Za kogo pan mnie bierze?

- Za osobę, która kłamie.

Poruszyła się gwałtownie, jakby grożąc mi, że odejdzie, ale nie wstała z miejsca.

- Proszę, niech mi pan ubliża. Jestem do tego przyzwyczajona. Nic mi pan nie dowiedzie.

- Czy jest pani teraz pod wpływem narkotyków?

- Nie zażywam ich.

- Żadnych?

- Żadnych.

- Więc dla kogo je pani kradła? Dla Freda? Skrzywiła się, markując śmiech, ale wydała z siebie tylko cienki, bezdźwięczny chichot. Gdybym usłyszał jej głos, nie wiedząc, skąd pochodzi, pomyślałbym chyba, że to głos młodej, lekkomyślnej dziewczyny. Zacząłem się zastanawiać, czy nie taką właśnie postawę przybiera w stosunku do syna.

- Dlaczego Fred wziął ten obraz, proszę pani? Żeby go sprzedać i kupić narkotyki?

- Nie jest narkomanem.

- Więc może chciał zdobyć je dla panny Biemeyer?

- Co za głupi pomysł. Przecież ona ma własny majątek.

- Czy dlatego się nią interesuje?

Pochyliła się do przodu, nie zdejmując dłoni z kolan; była opanowana i śmiertelnie poważna. Kobieta, która przed chwilą chichotała, wchłonięta została przez jej postać jak ciało astralne.

- Nie zna pan Freda. Nigdy go pan nie pozna - brak panu inteligencji. Jest porządnym człowiekiem. Traktuje pannę Biemeyer jak brat, jak starszy brat.

- Więc dokąd starszy brat zawiózł swoją siostrzyczkę?

- Nie musi pan silić się na złośliwość.

- Chcę się dowiedzieć, gdzie są albo dokąd się wybierają. Czy pani wie?

- Nie, nie mam pojęcia.

- Nie dałyby im pani pieniędzy na podróż, gdyby pani nie wiedziała, dokąd jadą.

- Kto mówi, że im dałam?

- Ja.

Zacisnęła pięści i kilkakrotnie uderzyła oburącz o zasłonięte białym nylonem kolana.

- Zamorduję tę małą czarnuchę.

- Nie radzę. Jeśli pani to zrobi, pójdzie pani do więzienia.

Skrzywiła się w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Przecież żartowałam.

- Ale wybrała pani nieodpowiedni temat i niestosowny moment. Dziś wieczorem został zamordowany człowiek nazwiskiem Paul Grimes.

- Zamordowany?

- Pobity na śmierć.

Pani Johnson przechyliła się w bok i upadła na podłogę. Nie poruszyła się, dopóki czarnoskóra pielęgniarka, którą wezwałem na pomoc, nie oblała jej głowy wodą. Wtedy wstała, ciężko chwytając powietrze, i dotknęła włosów.

- Po co to zrobiłaś? Zburzyłaś mi fryzurę.

- Straciła pani przytomność - powiedziałem. Potrząsnęła głową i zachwiała się lekko. Koleżanka, otoczywszy ją ramieniem, pomogła jej odzyskać równowagę.

- Lepiej usiądź, kochanie. Naprawdę zemdlałaś. Pani Johnson wołała jednak pozostać na nogach.

- Co się stało? Czy ktoś mnie ogłuszył?

- Ogłuszyła panią usłyszana ode mnie wiadomość - powiedziałem. - Paul Grimes został dziś wieczorem pobity na śmierć. Znalazłem go na ulicy, niedaleko stąd.

Pani Johnson nadała swej twarzy wyraz kompletnej obojętności, a po chwili przeobkleła ją w pochmurną maskę ignorancji.

- Kto to jest?

- Antykwariusz z Arizony. To on sprzedał Biemeyerom obraz. Nie zna go pani?

- Może pan powtórzyć nazwisko?

- Paul Grimes.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Więc dlaczego zemdląła pani, kiedy powiedziałem, że został zamordowany?

- To nie dlatego. Zdarzają mi się takie nagłe omdlenia. Nie są groźne.

- Może lepiej odwiozę panią do domu?

- Nie! Straciłabym posadę. Nie mogę sobie na to pozwolić. To nasze jedyne źródło utrzymania.

Opuściła głowę, odwróciła się i ruszyła chwiejnym krokiem w kierunku pokoi pacjentów.

- Dokąd chce zawieźć Fred pannę Biemeyer? - spytałem, idąc za nią.

Nie odpowiedziała i w ogóle nie zareagowała na moje pytanie.

13

Dojechałem autostradą do niemal całkowicie opustoszałego centrum. Po drodze wyprzedził mnie policyjny wóz patrolowy. Jego kierowca, zrównawszy się ze mną, przyjrzał mi się przelotnie i pomknął dalej.

Na drugim piętrze budynku redakcji paliły się światła. Jasne okna wychodziły na porośniętą trawą i otoczony palmami skwerek. Wysokie drzewa stały cicho i nieruchomo; noc była zupełnie bezwietrzna.

Zaparkowałem na skwerze i wspiałem się po schodach na drugie piętro. Idąc za klekotem maszyny przeszedłem przez dużą, pustą salę do oddzielonej przepierzeniem kabiny, w której pracowała Betty Jo. Kiedy zawołałem ją po imieniu, zaskoczona podniosła wzrok.

- Nie powinieneś tak robić. Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Prawdę mówiąc cieszę się, że wpadłeś. Próbuję ułożyć artykuł o tym morderstwie w jakąś sensowną całość.

- Mogę go przeczytać?

- W jutrzejszej gazecie, o ile go wydrukują. Nie zawsze zamieszczają moje artykuły. Redaktor działu informacyjnego jest - męskim szowinistą i próbuje zdyskryminować mnie

umieszczając na stronach przeznaczonych dla kobiet. - Uśmiechnęła się, ale jej ciemne oczy błyszczały buntowniczo.

- Ale możesz chyba przedstawić mi swoją teorię?

- Niestety nie mam żadnej. Próbuję sklecić artykuł w oparciu o pytania - kim była kobieta na tym obrazie, kto malował portret i oczywiście kto go ukraść. Jest to w gruncie rzeczy potrójna zagadka, prawda? Czy wiesz, kto go ukraść?

- Chyba tak, ale nie chciałbym, żeby się na mnie powoływano.

- Nie wspomnę o tobie - powiedziała. - Chcę tylko poznać tło całej sprawy.

- W porządku. Według moich świadków, którzy szczerze mówiąc nie są wiele wari, obraz został skradziony dwukrotnie w krótkich odstępach czasu. Student historii sztuki nazwiskiem Fred Johnson wziął go z domu Biemeyerów...

- Ten Fred Johnson z muzeum? Nie podejrzewałam, że jest do tego zdolny.

- Być może nie jest. Twierdzi, że wziął obraz, by poddać go jakimś badaniom i stwierdzić, czy jest to naprawdę Chantry. Ale ktoś ukraść go z domu rodziców Freda albo z muzeum... istnieją dwie wersje.

Betty Jo notowała coś ołówkiem na kartce papieru maszynowego.

- Gdzie jest teraz Fred? Czy myślisz, że mogę z nim porozmawiać?

- Jeśli go znajdziesz. Odjechał w niewiadomym kierunku razem z córką Biemeyerów. Jeśli idzie o twoje dalsze pytania, to nie wiem, kto namalował obraz. Może jest to Chantry, a może nie. Niewykluczone, że wie to Fred. Udało mi się częściowo zidentyfikować kobietę z portretu. Ma na imię Mildred.

- Czy mieszka tutaj?

- Wątpię. Za czasów poprzedniego pokolenia była modelką w Tucson. Znał ją Paul Grimes, ten facet, którego zamordowano. Jest na nim o wiele młodsza niż w rzeczywistości.

- Czy to znaczy, że powstał niedawno?

- To jedna z zagadek, które najwyraźniej chciał rozwiązać Fred. Próbował określić wiek obrazu, by stwierdzić, czy mógł go namalować Chantry.

Betty Jo z ożywieniem podniosła głowę znad swych notatek.

- Sądzisz, że mógł to być on?

- Moja opinia jest niewiele warta. Nie widziałem obrazu ani jego fotografii.

- Więc dlaczego nic nie mówisz? Przyniosę ją.

Wstała szybko i zniknęła za drzwiami z napisem: „Serwis fotograficzny”. Fale wibrującego powietrza, które zostawiła za sobą, rozchodziły się dalej w moim ciele.

Czułem się samotny i znużony, ale nie byłem pewny, czy powinienem podjąć skok przez przepaść między pokoleniami. Mogła się otworzyć jak otchłań i chwycić mnie jak kleszcze. Próbowałem skupić uwagę na kobiecie z portretu, której dotychczas nie widziałem.

Betty Jo przyniosła jej podobiznę i położyła ją na biurku. Była to kolorowa fotografia obrazu, o formacie mniej więcej cztery na sześć cali. Podniosłem ją do światła rzucanego przez fluorescencyjną żarówkę. Paola powiedziała prawdę - kobieta była bardzo piękna. Miała klasyczne rysy i delikatną karnację blondynki. Cały obraz tchnął głębią, która koncentrowała się w jej chłodnych, niebieskich oczach; miałem wrażenie, że przyglądam się modelce - lub ona mnie - z wielkiej odległości. Być może sugerowałem się tym, co powiedziała Paola, powtarzając słowa swego ojca - że kobieta, która pozowała do portretu, nie żyje już albo jest staruszką, a jej piękno przetrwało jedynie we wspomnieniach.

Ale patrząc na reprodukcję ujrzałem nagle wyraźniej zarysy całej sprawy. Chciałem odzyskać obraz i poznać tę kobietę, o ile nadal żyła. Chciałem dowiedzieć się, gdzie, kiedy i przez kogo została namalowana.

- Czy zamieścicie to w jutrzejszym numerze?

- Chyba nie - odparła Betty Jo. - Fotograf twierdzi, że kopia, którą zrobił, nie wypadnie w druku najlepiej.

- Przydałaby mi się nawet kiepska odbitka. Oryginał musi wrócić do rąk policji.

- Możesz chyba poprosić Carlosa o jeden egzemplarz.

- Poproś go sama, dobrze? Ty go znasz. Może udałoby mi się dzięki temu odszukać Freda i pannę Biemeyer.

- Ale jeśli ci się uda, podasz mi szczegóły, zgoda?

- Nie zapomnę o tobie. - Zdałem sobie podświadomie sprawę z dwuznaczności tego zdania.

Betty Jo odniosła odbitkę do serwisu fotograficznego. Usiadłem na jej krześle, oparłem ramiona o biurko i położywszy na nich głowę zapadłem w sen. Musiałem przeżywać w nim jakieś gwałtowne awantury czy może ich zapowiedź. Kiedy dziewczyna dotknęła dłonią mego ramienia, zerwałem się na równe nogi, sięgając w kierunku ukrytego pod marynarką futerału po rewolwer, którego nie miałem przy sobie.

Betty Jo cofnęła się gwałtownie, unosząc lekko dłonie z rozstawionymi palcami.

- Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam.

- Carlos robi dla ciebie odbitkę. Ja tymczasem muszę niestety zasiąść do maszyny. Chcę dokończyć ten artykuł, by mógł wejść do popołudniowego wydania. A propos - czy mogę w nim wspomnieć o tobie?

- Proszę, ale bez nazwiska.

- Jesteś skromny.

- Nie bardzo. Ale pracuję jako prywatny detektyw. I chcę zachować swą prywatność.

Przeniosłem się za biurko redaktora działu miejskiego i znów oparłem głowę na ramionach. Już od dość dawna nie spałem w pokoju, w którym przebywała oprócz mnie dziewczyna. Oczywiście ten pokój był duży i dość dobrze oświetlony, a dziewczyna miała na głowie zupełnie inne sprawy.

Tym razem obudziła mnie wołaniem, stojąc w pewnej odległości.

- Panie Archer?

Stał obok niej jakiś młody Murzyn. Pokazał mi wykonaną przez siebie czarno-białą odbitkę. Była dość zamazana i szara, jakby jasnowłosa kobieta cofnęła się jeszcze dalej w czasie, poza zasięg promieni słońca. Ale można było rozpoznać jej rysy.

Podziękowałem fotografowi i zaproponowałem, że mu zapłacę. Odmówił, popychając ku mnie powietrze otwartymi dłońmi. Wrócił do pracowni, a dziewczyna ponownie zasiadła do maszyny. Napisawszy kilka słów przerwała nagle, zdjęła dłonie z klawiatury i opuściła je na kolana.

- Nie wiem, czy uda mi się w końcu sklecić ten artykuł. Nie mogę wspomnieć o Fredzie Johnsonie ani o tej dziewczynie. W tej sytuacji nie bardzo mam o czym pisać, prawda?

- Będziesz miała.

- Ale kiedy? Za mało wiem o tych ludziach. Gdyby kobieta z portretu żyła, a mnie udało się do niej dotrzeć, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Mogłabym uczynić ją centralną postacią swojego artykułu.

- I tak możesz to zrobić.

- Ale byłoby o wiele lepiej, gdybym mogła napisać wyraźnie, kto to jest i gdzie przybywa. I że żyje - jeśli żyje. Może nawet dołączyć wywiad.

- Niewykluczone, że wiedzą to państwo Biemeyer - powiedziałem. - Być może kupili ten portret z pobudek osobistych.

Zerknęła na zegarek.

- Jest po północy. Nie mam odwagi dzwonić do nich tak późno. Tak czy owak nie jest pewne, czy cokolwiek wiedzą. Ruth Biemeyer dużo mówi o swej przyjaźni z Richardem Chantry, ale wątpię, czy kiedykolwiek łączył go z nią bliski związek.

Nie oponowałem jej. Nie chciałem rozmawiać w tym momencie ze swymi klientami. Od chwili, kiedy mnie wynajęli, zasięg całej sprawy ogromnie się rozszerzył i nie liczyłem na to, że będę w stanie wszystko im wkrótce wyjaśnić. Ale miałem ochotę raz jeszcze pociągnąć za język panią Chantry.

- Natomiast Chantry'ego łączył bliski związek z własną żoną - powiedziałem.

- Myślisz, że Francine Chantry zechce ze mną porozmawiać?

- Trudno będzie jej odmówić teraz, kiedy w grę wchodzi morderstwo. Którym zresztą bardzo się przejęła. Być może wie wszystko o tej kobiecie z portretu. Przecież sama często pozowała mężowi.

- Skąd wiesz? - spytała Betty Jo.

- Od niej.

- Mnie nigdy o tym nie mówiła.

- Bo nie jesteś mężczyzną.

- Więc jednak to zauważyłeś?

14

Przejechałem wraz z Betty Jo wzdłuż opustoszałego wybrzeża i dotarłem pod dom pani Chantry. Był cichy i ciemny. Na parkingu nie stał ani jeden samochód. Przyjęcie skończyło się.

Może niezupełnie. Usłyszałem cichy głos kobiety; jęk bólu lub rozkoszy, który urwał się gwałtownie, gdy podeszliśmy pod drzwi frontowe. Betty Jo odwróciła się do mnie.

- Co to było?

- Mogła to być pani Chantry. Ale wszystkie kobiety wydają w pewnych sytuacjach podobne odgłosy.

Wypuściła powietrze z cichym, gniewnym sykiem zniecierpliwienia i zapukała do drzwi. Zapaliła się nad nimi lampa.

Po dość długiej chwili drzwi otworzyły się i wyjrzał przez nie Rico. Miał koło ust plamę od szminki. Zauważył, że mu się przyglądam, i wytarł ślad grzbietem dłoni. Rozmazał w ten sposób czerwoną plamę, która biegła teraz w dół, przecinając podbródek. W spojrzeniu jego czarnych oczu widniała wrogość.

- O co chodzi?

- Chcemy zadać pani Chantry kilka pytań - odparłem,

- Pani Chantry już śpi.

- Niech ją pan obudzi.

- Nie mogę. Miała ciężki dzień. Ciężki dzień i ciężką noc. - Smuga szminki na policzku nadała jego słowom komicznie lubieżny wydźwięk.

- Proszę spytać, czy nas przyjmie. Jak pan zapewne wie, prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa.

- Niech pan powie, że to my, pan Archer i panna Siddon - powiedziała Betty Jo.

- Wiem, kim państwo są.

Rico wprowadził nas do salonu i zapalił lampy. Ciemna, orla głowa i długi, brązowy szlafrok nadawały mu wygląd zapalczywego, średniowiecznego mnicha. W pustym pokoju unosiły się stęchłe opary dymu z papierosów. Wydawało mi się, że słyszę docierający spoza nich gwar rozmów prowadzonych na przyjęciu. Większość poziomych płaszczyzn - między innymi klawiaturę wielkiego fortepianu - zajmowały puste i do połowy opróżnione szklanki. Wszystko w tym pokoju - z wyjątkiem wiszących na ścianach obrazów, okien, ukazujących bardziej uporządkowany świat, którego nawet morderstwo nie było najwyraźniej w stanie zmienić - kojarzyło się z nieuchronnym kaczem.

Obszedłem salon, przyglądając się portretom i próbując przy pomocy dostępnych amatorowi środków ustalić, czy obraz Biemeyerów był dziełem tego samego malarza. Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, a Betty Jo stwierdziła, że ona również jest bezradna.

Ale odkryłem, że mord popełniony na Grimesie, a także - być może - zabójstwo Whitmore'a, wywarło mimo wszystko subtelny wpływ na portrety, a może na moją reakcję. W oczach spoglądających na mnie modeli dostrzegłem podejrzliwość, a także pewnego rodzaju lęk, lęk pełen rezygnacji. Niektórzy z nich patrzyli na mnie jak więźniowie, inni - jak sędziowie, jeszcze inni - jak uwięzione w klatce zwierzęta. Zastanawiałem się, czy któryś z nich - i który - odzwierciedlał stan umysłu człowieka, który je namalował.

- Czy znałaś Chantry'ego, Betty Jo?

- Właściwie nie. Należał do wcześniejszej epoki. Prawdę mówiąc widziałam go tylko raz.

- Kiedy?

- Właśnie w tym pokoju. Mój ojciec, który był pisarzem, przywiózł mnie tu, żebym go poznała. Było to niezwykle wydarzenie. Rozumiesz, nie widywał się prawie z nikim. Cały czas pracował.

- Jakie zrobił na tobie wrażenie? Zastanowiła się chwilę.

- Był bardzo zamyślony i nieśmiały, równie nieśmiały jak ja. Wziął mnie na kolana, ale w gruncie rzeczy nie miał na to ochoty. Chyba pozbył się mnie jak najprędzej. Byłam z tego zadowolona. Albo nie cierpiał małych dziewczynek, albo też lubił je za bardzo.

- Czy naprawdę tak wtedy pomyślałaś?

- Chyba tak. Dziewczynki są wyczulone na takie sprawy, ja przynajmniej byłam.

- Ile miałaś lat?

- Cztery... może pięć.

- A ile masz teraz?

- Nie powiem ci - odparła z niepewnym uśmiechem.

- Poniżej trzydziestki?

- Niewiele. Było to jakieś dwadzieścia pięć lat temu, jeśli tego chcesz się dowiedzieć.

Chantry zniknął wkrótce po mojej wizycie. Zdaje się, że często tak oddziałują na mężczyzn.

- Na mnie nie.

Jej policzki zabarwiły się z lekka, dzięki czemu stała się ładniejsza.

- Tylko nie próbuj brać mnie na kolana. Możesz zniknąć.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

- Drobiazg. Mówiąc poważnie - dodała - czuję się dość dziwnie siedząc teraz w tym samym pokoju i wścibiając nos w jego życie. Zastanawiam się czy pewne sprawy nie są zdeterminowane przez przeznaczenie. Jak myślisz?

- Oczywiście. Wszystko zależy od czasu, miejsca i środowiska, w jakim się rodzimy.

W ten sposób przeznaczenie determinuje los większości ludzi.

- Żałuję, że o to spytałam. W gruncie rzeczy nie lubię mojej rodziny. Nie podoba mi się też za bardzo czas i miejsce.

- Więc zbuntuj się przeciwko nim.

- A ty to robisz?

- Próbuję.

Betty Jo skierowała wzrok w jakiś punkt za moimi plecami. Pani Chantry weszła bezgłośnie do pokoju. Była schludnie uczesana i wyglądała, jakby przed chwilą umyła twarz. Miała na sobie białą szatę, która okrywała ją całą spływając na podłogę.

- Wolałabym, żeby pan się buntował w jakimś innym miejscu, panie Archer. I koniecznie o innej porze. Jest potwornie późno. - Posłała mi pełne pobłażliwości spojrzenie, które stało się mniej wyrozumiałe, gdy odwróciła wzrok ku Betty Jo. - O co właściwie chodzi, kochanie?

Dziewczyna była wyraźnie speszona. Poruszyła ustami, szukając właściwych słów.

Wyjąłem czarno-białą fotografię ukradzionego obrazu.

- Czy zechciałaby pani na to spojrzeć? To fotokopia obrazu Biemeyerów.

- Nie mogę nic dodać do tego, co powiedziałam panu wcześniej. Jestem pewna, że to fałszyfikat. Wydaje mi się, że znam wszystkie obrazy mego męża, a ten nie należy do nich.

- Może jednak zechce pani mu się przyjrzeć?

- Przecież mówiłam panu, że widziałam obraz.

- Czy rozpoznała pani modelkę, która do niego pozowała?

Spojrzała mi w oczy i w ciągu sekundy przeniknąłem jej myśli. Rozpoznała tę modelkę.

- Nie - odparła.

- Czy może pani spojrzeć na fotografię i spróbować sobie jeszcze raz przypomnieć?

- Nie widzę celu.

- Niech pani jednak spróbuje. To może być ważne.

- Ale nie dla mnie.

- Nigdy nie wiadomo - stwierdziłem.

- Och, dobrze.

Wyjęła mi z ręki fotografię i obejrzała ją. Jej dłoń wyraźnie drżała i odbitka trzepotała niespokojnie, jakby poruszana silnym wiatrem, wiejącym z odległej przeszłości. Oddała mi zdjęcie takim gestem, jakby chętnie się go pozbywała.

- Jest odrobinę podobna do kobiety, którą znałam jako młoda dziewczyna.

- Kiedy ją pani poznała?

- Właściwie nie poznałam jej. Spotkałam ją raz na jakimś przyjęciu w Santa Fe, jeszcze przed wojną.

- Jak się nazywała?

- Naprawdę nie potrafię na to odpowiedzieć. Wydaje mi się, że jej dane personalne ulegały zmianom. Żyła z różnymi mężczyznami i przybierała ich nazwiska. - Gwałtownie podniosła wzrok. - Nie, mój mąż nie należał do tych mężczyzn.

- Ale musiał ją znać, skoro namalował ten obraz.

- Nie namalował go. Już panu to mówiłam.

- Więc kto to zrobił, proszę pani?

- Nie mam pojęcia.

W jej głosie wzbierało zniecierpliwienie. Zerknęła w kierunku drzwi. Rico stał oparty o framugę, trzymając rękę w kieszeni szlafroka; jej zarys był większy niż pięść i przypominał kształtem rewolwer. Zrobił krok w moją stronę.

- Niech pani odwoła swego psa - powiedziałem. - Chyba że pani chce, żeby cała historia została opisana w gazecie.

Posłała Betty Jo lodowate spojrzenie, które zostało jej odwzajemnione.

- Odejdź, Rico, sama dam sobie radę - powiedziała jednak.

Rico, ociągając się, wyszedł do hallu.

- Dlaczego jest pani pewna, że ten obraz nie jest dziełem męża? - spytałem.

- Wiedziałabym o tym. Znam wszystkie jego obrazy.

- Czy to znaczy, że nadal jest pani z nim w kontakcie?

- Nie, oczywiście że nie.

- Więc skąd pani wie, że nie namalował go w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat?

Moje pytanie odebrało jej na chwilę mowę.

- Kobieta na tym portrecie jest zbyt młoda - odparła w końcu. - Wyglądała starzej niż tu, kiedy widziałam ją po raz pierwszy w Santa Fe, w roku 1940. Musi być teraz bardzo stara, jeżeli w ogóle żyje.

- Ale pani mąż mógł namalować ją z pamięci kiedykolwiek, nawet całkiem niedawno. Jeżeli on żyje.

- Rozumiem, o co panu chodzi - powiedziała cichym, bezbarwnym głosem. - Ale nie sądzę, by był autorem obrazu.

- Paul Grimes uważał, że nim jest.

- Bo mu się to opłacało.

- Ale czy naprawdę? Myślę, że zginął przez ten obraz. Znał modelkę, która do niego pozowała, i od niej dowiedział się, że namalował go pani mąż. Z jakichś powodów ta wiadomość była niebezpieczna. Niebezpieczna dla Paula Grimesa i niebezpieczna dla mordercy.

- Czy oskarża pan mojego męża?

- Nie. Nie mam żadnych podstaw. Nie wiem nawet, czy pani mąż żyje. A pani?

Wciągnęła głęboko powietrze; jej piersi uwypukliły się pod szatą jak zaciśnięte pięści.

- Nie miałam od niego wiadomości od dnia, w którym zniknął. Ale ostrzegam pana, panie Archer, że żyję tylko wspomnieniami o nim. Bez względu na to, czy Richard żyje, czy nie, będę walczyć o jego dobre imię. I nie jestem jedyną osobą w tym mieście, która wystąpi przeciwko panu. A teraz proszę opuścić mój dom.

Jej zaproszenie obejmowało również Betty Jo. Rico otworzył drzwi wejściowe i zatrzęsął je za nami z hukiem.

Betty Jo była wstrząśnięta. Wsunęła się do mojego auta jak uciekinier, uchodzący przed pościgiem.

- Czy pani Chantry była kiedykolwiek aktorką? - spytałem.

- Chyba występowała w zespole amatorskim. Dlaczego pytasz?

- Mówi swój tekst, jakby grała na scenie. Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie. Myślę, że Francine mówiła szczerze. Chantry i jego twórczość to jedyne sprawy, na których jej zależy.

Czuję się dość podle, że tak wobec niej postąpiłam. Zraniliśmy ją i rozgniewali.

- Boisz się jej?

- Nie, ale uważałam się za jej przyjaciółkę. - Kiedy odjechaliśmy spod domu, dodała: - Może zresztą trochę się jej boję. Ale równocześnie żałuję, że ją zraniliśmy.

- Została zraniona już dawno temu.

- Tak. Wiem, o czym myślisz. Myślałem o lokaju imieniem Rico. Zameldowałem się w nadbrzeżnym motelu. Betty Jo weszła ze mną, by porównać nasze notatki. Nie ograniczyliśmy się tylko do tego.

Noc była piękna i krótka. Potem nadszedł cicho świeży, chłodny, niemal zapomniany świt.

15

Kiedy obudziłem się rano, już jej nie było. Poczułem w okolicach żołądka ostre ukłucie czegoś, co przypominało głód. Zadzwoił stojący przy łóżku telefon.

- Mówi Betty Jo.

- Masz bardzo pogodny głos - powiedziałem. - Boleśnie pogodny.

- To ty na mnie tak działasz. Poza tym mój redaktor chce, żebym napisała duży artykuł o sprawie Chantry'ego. Daje mi tyle czasu, ile będę potrzebować. Jedyne szkopuł polega na tym, że mogą go nie zamieścić.

- Dlaczego?

- Francine Chantry telefonowała z samego rana do pana Brailsforda. To właściciel gazety. W jego gabinecie ma się więc odbyć kolegium redakcyjne. Mnie tymczasem kazano węszyć dalej. Masz jakieś sugestie?

- Spróbuj w muzeum. Weź ze sobą fotografię obrazu. Może znajdziesz tam kogoś, kto będzie mógł zidentyfikować modelkę. A jeśli będziemy mieli dużo szczęścia, modelka powie nam, kto go namalował.

- Właśnie to zamierzałam zrobić.

- To dobrze o tobie świadczy. Zniżyła nagle głos.

- Lew?

- Co?

- Nic. To znaczy, nie masz chyba nic przeciw temu, że pierwsza o tym pomyślałam? No, bo... jesteś starszy niż ja i mniej wyzwolony.

- Nie przejmuj się - powiedziałem. - Pewnie spotkamy się w muzeum. Znajdziesz mnie wśród starych mistrzów.

- Nie zraniłam twoich uczuć, prawda?

- Wręcz przeciwnie. Nigdy nie czułem się lepiej. Odkładam teraz słuchawkę, zanim je zranisz.

Wybuchnęła śmiechem i odłożyła ją pierwsza. Ogoliłem się, wziąłem prysznic i wyszedłem na śniadanie. Nad morzem wiał poranny wiatr. Na powierzchni unosiło się kilka małych łódek. Ale niemal wszystkie przycumowane w zatoce żaglówki kołysały się obok nadbrzeża, poruszając nagimi masztami.

Znalazłem jakąś schludną restaurację i usiadłem przy oknie, żeby przyglądać się łodziom. Patrząc na nie miałem uczucie, że ja również jestem w ruchu i pod wpływem zespolonych sił i jeszcze bardziej powikłanych mechanizmów sterowniczych mknę w kierunku pełnego morza.

Zjadłem jajka na szynce, kartofle, grzanki i kawę. Potem pojechałem do centrum i zaparkowałem wóz za gmachem muzeum.

Spotkałem dziewczynę przy głównej bramie.

- Jesteśmy chyba zsynchronizowani, Betty Jo - powiedziałem.

- Tak. - Jej ton sugerował, że nie jest z tego nadmiernie zadowolona.

- O co chodzi?

- O to, co właśnie powiedziałaś. Moje imię. Nienawidzę go-

- Dlaczego?

- Bo jest głupie. Podwójne imiona zawsze brzmią jak imiona dzieci. Zresztą obydwie z osobna też mi się nie podobają. Betty jest takie pospolite, a Jo wydaje się imieniem chłopca. Ale chyba muszę zdecydować się na jedno z nich. Chyba że poradzisz mi coś lepszego.

- Może Lew?

Nie uśmiechnęła się.

- Robisz sobie żarty. A ja mówię poważnie.

Była poważną dziewczyną i bardziej wrażliwą, niż sądziłem. Nie obudziło to we mnie żalu, że z nią spałem, ale nadało temu wydarzeniu pewną wagę. Miałem nadzieję, że nie

zamierza się zakochać, w każdym razie nie we mnie. Ale pocałowałem ją lekko, filantropijnie.

W drzwiach sali, w której wystawiano klasyczną rzeźbę, ukazał się jakiś młody człowiek. Miał falujące, jasne włosy i szerokie ramiona. Trzymał w ręku kolorową fotografię malowanego z pamięci portretu.

- Betty Jo?

- Zmieniłam imię na Betty - oznajmiła mu. - Tak się do mnie odtąd należy zwracać.

- Dobrze, Betty. - Głos młodego człowieka był rzeczowy i raczej cienki. - Chciałem ci powiedzieć, że dopasowałem twoją reprodukcję do jednego z tych obrazów Lashmana, które leżą w piwnicy.

- To wspaniale, Ralph. Jesteś genialny. - Wylewnie uścisnęła jego dłoń. - Nawiasem mówiąc, to jest pan Archer,

- Ja nie jestem genialny - powiedziałem. - Miło mi pana poznać.

Ralph zarumienił się.

- Było to zresztą bardzo łatwe. Obraz Lashmana stał oparty o ścianę na jednym ze stołów w pracowni. Można powiedzieć, że on szukał mnie, a nie ja jego. Właściwie sam rzucił mi się w oczy.

- Ralph znalazł drugi portret tej samej blondynki - wyjaśniła mi Betty. - Malowany przez kogo innego.

- Domyśliłem się. Czy mogę go zobaczyć?

- Oczywiście - odparł Ralph. - Najcenniejsze jest to, że Simon Lashman będzie wam chyba mógł powiedzieć, kim jest dziewczyna.

- Czy mieszka tutaj?

- Nie. W Tucson. Zdaje się, że mamy w aktach jego adres. Kupowaliśmy od niego w ciągu wielu lat sporo obrazów.

- W tej chwili najchętniej obejrzałbym ten, który jest w piwnicy.

Ralph przekręcił klucz w drzwiach. Wszyscy troje zeszliśmy na dół i ruszyliśmy długim, pozbawionym okien korytarzem, który przypominał znane mi więzienia. Pracownia, do której wprowadził nas Ralph, również nie miała okien, ale była jasno oświetlona zawieszonymi pod sufitem jarzeniówkami.

Na stole stał jakiś akt kobiecy. Modelka wydawała się znacznie starsza niż na obrazie państwa Biemeyer. W kącikach jej ust zastygł wyraz bólu. Miała duży, nieco obwisły biust. Z jej ciała nie emanowała już taka wielka pewność siebie.

Betty przeniosła wzrok ze smutnej twarzy modelki na mnie, niemal jakby była zazdrosna o tę kobietę.

- Kiedy został namalowany? - spytała Ralpa.

- Przeszło dwadzieścia lat temu. Sprawdziłem to w katalogu. Nawiasem mówiąc, Lashman zatytułował go „Penelopa”.

- Musi być naprawdę stara - zwróciła się do mnie. - Nawet na tym obrazie nie wygląda zbyt młodo.

- Ja też nie jestem już chłopcem - powiedziałem. Zarumieniła się i odwróciła wzrok, jakbym ją odtrącił.

- Dlaczego obraz stał akurat na stole? - spytałem Ralpa. - Przecież nie tu jest zwykle przechowywany, prawda?

- Oczywiście, że nie. Któryś z pracowników musiał go przynieść z magazynu.

- Dziś rano?

- Wątpię. Nie było tu dziś nikogo przede mną. Sam otwierałem drzwi.

- Kto schodził na dół wczoraj?

- No, co najmniej kilka osób. Przygotowujemy właśnie wystawę.

- I ten obraz ma być na niej demonstrowany?

- Nie. To ekspozycja pejzaży południowej Kalifornii.

- Czy Fred Johnson był wczoraj w piwnicy?

- Owszem. Przez dłuższy czas przeglądał obrazy w magazynie.

- Czy mówił panu, o co mu chodzi?

- Właściwie nie. Powiedział, że czegoś szuka.

- Szukał właśnie tego - stwierdziła nagle Betty. Przestała już być zazdrosna o kobietę z portretu, jeśli w ogóle kiedykolwiek była. Jej policzki zaróżowiły się z podniecenia. Oczy błyszczały żywo.

- Fred jest pewnie w drodze do Tucson. - Zaciśnęła pięści i potrząsnęła nimi w powietrzu jak rozgniewane dziecko. - Jeśli uda mi się namówić pana Brailsforda, żeby pokrył kosztą mojej podróży...

Myślałem właśnie to samo o Biemeyer ach. Ale przed rozmową z klientem postanowiłem zatelefonować do malarza nazwiskiem Lashman.

Ralph, wyszukawszy w aktach numer i adres, zostawił mnie samego przy biurku w swoim pokoju.

Wykręciłem numer telefonu Lashmana w Tucson. Po chwili usłyszałem niechętny, ochryply głos.

- Mówi Simon Lashman.

- Moje nazwisko Archer, dzwonię z muzeum w Santa Teresa. Prowadzę śledztwo w sprawie kradzieży obrazu. Podobno pan malował portret Penelopy, będący własnością tutejszego muzeum.

Przez chwilę panowała cisza. Potem usłyszałem głos Lashmana, przypominający zgrzyt starych drzwi:

- Było to dawno temu. Teraz maluję lepiej. Niech pan mi nie wmawia, że ktoś uznał ten obraz za wystarczająco cenny, by go ukraść.

- Nie został skradziony, proszę pana. Ale autor zaginionego obrazu malował tę samą modelkę, która pozowała panu do Penelopy.

- Mildred Mead? Więc ona jeszcze żyje i działa?

- Miałem nadzieję, że pan mi to powie.

- Przykro mi, ale nie widziałem jej od lat. Musi być teraz staruszką. Wszyscy się starzejemy. - Jego głos stał się słabszy. - Może już umarła.

- Mam nadzieję, że nie. Była piękną kobietą.

- Zawsze uważałem, że Mildred to najpiękniejsza dziewczyna na południowym zachodzie. - Lashman mówił teraz silniejszym głosem, jakby podnieciła go myśl o jej urodzie.

- Kto malował obraz, o którym pan mówi?

- Przypisywano go Richardowi Chantry.

- Naprawdę?

- Ale nie stwierdzono na pewno, że on jest jego autorem.

- Nie dziwię się. Nigdy nie słyszałem, żeby Mildred mu pozowała. - Zamilkł na chwilę. - Czy może mi pan opisać ten obraz?

- Jest to zwykły akt, utrzymany w dość żywych kolorach. Ktoś twierdził, że widać w nim wpływy malarstwa indiańskiego.

- Można to powiedzieć o wielu obrazach Chantry'ego, z okresu, kiedy mieszkał jeszcze w Arizonie. Ale nie były one wiele warte. Czy ten portret jest dobry?

- Nie wiem. Ale najwyraźniej wywołał sporo zamieszania.

- Czy jest własnością tamtejszego muzeum?

- Nie. Kupił go niejaki Biemeyer.

- Ten potentat od miedzi?

- Zgadza się. Prowadzę śledztwo w sprawie kradzieży na jego polecenie.

- Więc idź pan do diabła! - powiedział Lashman i przerwał połączenie.

Ponownie wykręciłem jego numer.

- Halo? - powiedział. - Kto mówi?

- Archer. Proszę nie odkładać słuchawki. Chodzi nie tylko o kradzież obrazu. Ubiegłej nocy zamordowano w Santa Teresa człowieka nazwiskiem Paul Grimes. Był to antykwariusz, który sprzedał ten portret Biemeyerom. Istnieje niemal na pewno jakiś związek pomiędzy tą transakcją a morderstwem.

Lashman znowu milczał przez chwilę.

- Kto ukradł obraz? - spytał w końcu.

- Student historii sztuki, Fred Johnson. Myślę, że zapewne jedzie teraz wraz z nim do Tucson. I może się u pana pojawić.

- Dlaczego u mnie?

- Chce znaleźć Mildred i przekonać się, kto ją malował. Ma chyba obsesję na punkcie tego obrazu. Prawdę mówiąc niewykluczone, że jest mocno stuknięty, a podróżuje z nim pewna młoda dziewczyna. - Celowo zataiłem fakt, że jest to córka Biemeyera.

- Coś jeszcze?

- To byłoby w skrócie wszystko.

- To dobrze - powiedział. - Mam siedemdziesiąt pięć lat. Maluję swój dwieście czternasty obraz. Jeśli przerwę pracę i zacznę się zajmować cudzymi problemami, nigdy go nie dokończę. Więc zamierzam znowu odłożyć słuchawkę, panie... jak się pan nazywa?

- Archer - powtórzyłem. - Lew Archer. L-E-W A-R-C-H-E-R. Może pan zawsze zdobyć mój numer dzwoniąc do informacji w Los Angeles.

Lashman przerwał połączenie po raz drugi.

16

Poranny wiatr już ucichł. Powietrze było czyste i ostre. Jastrząb kołysał się nad domem Biemeyerów jak błyszcząca ozdoba zwisająca z nieskończenie wysokiego sufitu.

Państwo Biemeyer wyszli mi naprzeciw. Byli ubrani dość konserwatywnie, jak para małżeńska wybierająca się na pogrzeb, i wyglądali tak, jakby to oni mieli zostać pochowani.

Pani Biemeyer szła przodem. Miała pod oczami ciemne kręgi, których nie udało się jej całkiem zatuszować makijażem.

- Czy ma pan jakieś wiadomości o Doris?

- Zdaje się, że wyjechała wczoraj wieczorem z miasta razem z Fredem Johnsonem.

- Dlaczego jej pan nie zatrzymał?

- Nie uprzedziła mnie, że wyjeżdża. Nawet gdyby to zrobiła i tak nie mógłbym jej zabronić.

- Dlaczego? - Ruth Biemeyer pochyliła się ku mnie, unosząc swą kształtną głowę jak tomahawk.

- Doris jest już w tym wieku, że ma prawo robić, co chce. Może nie mieć dość rozsądku, ale ma wystarczającą ilość lat.

- Dokąd pojechali?

- Chyba do Arizony. Trafiłem na ślad prowadzący do Tucson i myślę, że tam właśnie się wybrali. Nie wiem, czy mają z sobą ten obraz. Fred twierdzi, że ktoś mu go ukraść.

- Bzdury - odezwał się po raz pierwszy Jack Biemeyer. Nie zamierzałem się z nim spierać.

- Zapewne ma pan rację. Jeśli państwo chcecie, żebym pojechał do Tucson, musicie oczywiście liczyć się z dodatkowymi wydatkami.

- Naturalnie. - Biemeyer odwrócił wzrok ode mnie i spojrzał na żonę. - Mówiłem ci, że będziemy narażeni na nowe koszty. Zawsze tak jest.

Miałem ochotę go uderzyć. Zamiast tego, odwróciłem się na pięcie i odszedłem na drugi koniec podjazdu. Nie dotarłem daleko. Zatrzymało mnie wysokie na pięć stóp druciane ogrodzenie.

Stok wzgórza opadał stromo ku krawędzi wąwozu. Na przeciwległym wzniesieniu stała willa pani Chantry, wyglądająca z tej odległości jak mały domek w szklanej kuli.

Stojąca za nią oranżeria pokryta była szklanym dachem. Przez lśniąca małe szybki dostrzegłem wśród gęstej zieleni jakiś ruch. Wydawało mi się, że stoją tam naprzeciw siebie dwie osoby, wykonujące zamaszyste gesty, jak para szermierzy, których dzieli zbyt duży dystans, by mogli zrobić sobie jakąś krzywdę.

Usłyszałem za sobą spokojny głos Ruth Biemeyer:

- Proszę, niech pan wróci. Wiem, że Jack potrafi być nieznośny. Bóg mi świadkiem, że się już o tym przekonałam. Ale jest nam pan naprawdę potrzebny.

Nie mogłem się oprzeć jej prośbie i powiedziałem to głośno. Poprosiłem ją jednak, by poczekała chwilę, i wyjąłem z samochodu lornetkę. Dostrzegłem przez nią wyraźnie, co dzieje się w oranżerii pani Chantry. Szpakowata kobieta i czarnowłosa mężczyzna, w którym rozpoznałem Rico, stali w gąszczu chwastów i rozłożystych krzewów orchidei, obcinając je przy pomocy długich, zakrzywionych noży.

- O co chodzi? - spytała Ruth Biemeyer.

Podąłem jej lornetkę. Stała na palcach, by spojrzeć nad krawędzią płotu.

- Co oni robią?

- Wygląda na to, że porządkują oranżerię. Czy pani Chantry lubi zajęcia ogrodnicze?

- Być może. Ale nigdy dotąd nie widziałam, żeby sama coś robiła.

Podeszliśmy z powrotem do jej męża, który stał przez cały czas nieruchomo obok mojego wozu, pogrążony w gniewnym milczeniu.

- Czy chce pan, żebym pojechał w pańskiej sprawie do Tucson? - spytałem go.

- Chyba tak. Nie mam wyboru.

- Ależ ma pan.

Pani Biemeyer przerwała naszą rozmowę, zerkając na przemian to na mnie, to na męża jak sędzia tenisowy.

- Chcemy, żeby dalej zajmował się pan tą sprawą, panie Archer. Jeśli chce pan otrzymać zaliczkę, chętnie wypłacę ją panu z moich własnych oszczędności.

- Nie będzie to konieczne - wtrącił się Biemeyer.

- Dobrze. Dziękuję ci, Jack.

- Wezmę od państwa pięćset dolarów - powiedziałem. Biemeyer jęknął cicho i wydawał się zdruzgotany. Powiedział jednak, że wypisze mi czek, i wszedł do domu.

- Dlaczego ma taki stosunek do pieniędzy? - spytałem.

- Chyba dlatego, że ich trochę zarobił. Kiedy pracował w kopalni jako młody, biedny inżynier, był zupełnie inny. Ale ostatnio naraził się wielu ludziom.

- Na przykład własnej córce. I własnej żonie. A jak jest z Simonem Lashmanem?

- Tym malarzem? Co pan ma na myśli?

- Rozmawiając z nim dziś rano wymieniłem nazwisko pani męża. Lashman zareagował nieprzychylnie. Szczerze mówiąc powiedział mi, żebym poszedł do diabła, i odłożył słuchawkę.

- Bardzo mi przykro.

- Nie czuję się osobiście dotknięty, ale jego pomoc może mi być potrzebna. Czy dobrze go pani zna?

- Nie znam go wcale. Oczywiście wiem, kto to jest.

- Czy pani mąż go zna? Zawahała się przez chwilę.

- Chyba tak - powiedziała w końcu niechętnie. - Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- Proszę jednak spróbować.

- Nie. To dla mnie zbyt bolesne.

- Dlaczego?

- Wiąże się z tyloma dawnymi wydarzeniami. - Potrząsnęła głową, jakby nadal ciążyła jej przeszłość. Potem zaczęła mówić cicho, obserwując drzwi, za którymi zniknął jej mąż. -

Mój mąż i pan Lashman byli kiedyś rywalami. Ta kobieta była starsza od Jacka, należała raczej do pokolenia Lashmana, ale wolał ją ode mnie. Odkupił ją od Laśhmana.

- Mildred Mead?

- A więc słyszał pan o niej, prawda? - Gniew i pogarda zmieniły na chwilę jej głos. - Była znana w całej Arizonie.

- Tak, słyszałem o niej. To ona pozowała do zakupionego przez panią obrazu.

Spojrzała na mnie niepewnie, nie rozumiejąc, o czym mówię.

- Jakiego obrazu?

- Tego, którego pani szuka. Chantry'ego.

- Niemożliwe.

- Ależ tak. Nie wiedziała pani, że to portret Mildred Mead?

Zasłoniła oczy dłonią i mówiła nie patrząc w moim kierunku.

- Właściwie powinnam się domyślić. Jeśli tak było, to wykreśliłam ten fakt z pamięci. Kiedy Jack kupił jej dom, przeżyłam straszny szok. Był lepszy niż ten, w którym ja wtedy mieszkałam. - Opuściła dłoń i zmrużyła oczy, oślepiona mocnym, ostrym światłem. - Musiałam być szalona, kiedy przywiozłam ten obraz i powiesiłam go tutaj. Jack z pewnością wiedział, kogo przedstawia. Nigdy nie powiedział ani słowa, ale zastanawiał się chyba, do czego zmierzam.

- Może go pani spytać, co o tym sądził. Potrzęsnęła głową.

- Nie odważę się. Nie chcę wkładać kija w mrowisko. - Spojrzała za siebie, jakby pragnąc się upewnić, czy jej słowa nie docierają do uszu męża, ale nie wyszedł jeszcze z domu.

- A jednak włożyła pani kij w mrowisko. Kupiła pani ten obraz i sprowadziła go do domu.

- To prawda. Chyba straciłam rozum. Nie sądzi pan?

- Pani powinna to wiedzieć lepiej niż ja. To pani rozum.

- Chętnie go komuś odstąpię. - Wyczułem w jej głosie delikatną nutę podniecenia; była zaskoczona swym własnym wyrafinowaniem.

- Czy widziała pani kiedyś Mildred Mead?

- Nie. Nigdy. Kiedy... kiedy wkroczyła w moje życie, specjalnie jej unikałam. Bałam się.

- Jej?

- Siebie - odpowiedziała. - Bałam się, że mogę zrobić coś brutalnego. Musiała być przynajmniej dwadzieścia lat starsza ode mnie. A Jack, który wobec mnie zawsze był takim kutwą, kupił jej ten dom.

- Czy nadal w nim mieszka?

- Nie wiem. Być może.

- Gdzie jest ten dom?

- W Kanionie Chantry'ego, w Arizonie. Na granicy Nowego Meksyku, niedaleko kopalni. Nawiasem mówiąc, jego właścicielem był niegdyś Chantry.

- Ten malarz?

- Jego ojciec, Felix - odparła. - Felix Chantry był inżynierem. To on uruchomił tę kopalnię. Kierował nią aż do śmierci. Dlatego właśnie czułam się tak dotknięta, kiedy Jack kupił dom od jego spadkobierców i ofiarował go tej kobiecie.

- Nie bardzo panią rozumiem.

- To całkiem proste. Jack przejął kopalnię od Felixa Chantry. Był zresztą jego krewnym. Matka Jacka była kuzynką Chantry'ego. Oto jeszcze jeden powód, dla którego powinien był kupić ten dom dla mnie. - W jej głosie rozbrzmiewała niemal infantylna gorycz.

- Czy dlatego właśnie kupiła pani obraz Chantry'ego?

- Być może. Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Kupiłam go chyba dlatego, że interesował mnie jego autor. Niech pan nie pyta, w jakim sensie mnie interesował, ten problem stał się ostatnio dość drażliwy.

- Czy nadal chce go pani odzyskać?

- Sama nie wiem - odpowiedziała. - Ale chcę odzyskać córkę. Nie powinniśmy tu stać i tracić czasu.

- Wiem o tym. Czekam na ten czek, który miał przynieść pani mąż.

Pani Biemeyer spojrzała na mnie z zakłopotaniem i weszła do domu. Pozostała w nim przez dłuższą chwilę.

Lornetka nadal zwisała na pasku z mojej szyi, przeszedłem więc raz jeszcze na przeciwległy koniec podjazdu i stanąłem nad krawędzią stoku. Ciemnowłosa mężczyzna i szpakowata kobieta nadal zajęci byli wycinaniem rosnących w oranżerii chwastów.

W drzwiach pojawiła się sama pani Biemeyer. Z jej oczu spływały łzy gniewu. Czek, który mi wręczyła, wystawiony był przez nią, nie zaś przez męża.

- Odejdę od niego. - Skierowała swe słowa zarówno do mnie, jak i do własnego domu.

- Gdy tylko zakończymy tę sprawę.

Pojechałem do centrum i zamieniłem na gotówkę czek Biemeyerów, zanim którekolwiek z nich było w stanie powstrzymać jego realizację. Zostawiwszy samochód na parkingu za bankiem, przeszedłem jeden odcinek ulicy i dotarłem do skweru, na którym stał gmach redakcji. Sala zajmowana przez dział informacji, niemal wymarła we wczesnych godzinach rannych, tętniła teraz życiem. Przy maszynach do pisania siedziało chyba ze dwadzieścia osób.

Betty dostrzegła mnie i wstała zza biurka. Zbliżyła się z uśmiechem, wciągając brzuch.

- Chcę z tobą pomówić - oświadczyłem.

- A ja chcę pomówić z tobą.

- Mam na myśli poważną rozmowę.

- Ja również.

- Wydajesz się zbyt szczęśliwa.

- Bo naprawdę jestem.

- A ja nie. Muszę wyjechać z miasta. - Wyjaśniłem jej przyczyny. - Czy możesz zrobić coś dla mnie podczas mojej nieobecności?

- Miałam nadzieję, że mogę zrobić coś dla ciebie w twojej obecności - powiedziała z wymownym uśmiechem.

- Jeśli zamierzasz prowadzić ze mną szermierkę słowną, to może znajdziemy do tej rozmowy jakieś spokojniejsze miejsce?

- Może tutaj?

Zapukała do drzwi z tabliczką „Redaktor naczelny”, ale nikt nie odpowiedział. Weszliśmy więc do gabinetu i pocałowałem ją. Poczułem, że nie tylko moja temperatura się podnosi.

- Hej! - powiedziała. - A więc nadal mnie lubisz.

- Ale muszę wyjechać. Fred Johnson jest już pewnie w Tucson.

Dotknęła mojej piersi końcami palców, jakby wystukiwała jakieś przesłanie na klawiaturze maszyny do pisania.

- Uważaj na siebie. Fred jest jednym z tych łagodnych chłopców, którzy mogą okazać się niebezpieczni.

- Nie jest już chłopcem.

- Wiem. To ten jasnowłosy młody człowiek, który pracuje w muzeum, ale jest bardzo nieszczęśliwy. Zwierzał mi się kiedyś, opowiadając o swoim koszmarnym życiu rodzinnym. Jego ojciec jest nie nadającym się do pracy alkoholikiem, a matka żyje w stanie nieustannego

podniecenia. Fred próbuje jakoś się z tego wszystkiego wyplątać, ale mam wrażenie, że choć zachowuje spokój, jest bliski desperacji. Więc bądź ostrożny.

- Potrafię poradzić sobie z Fredem.

- Wiem o tym. - Położyła mi dłonie na ramieniu. - Więc co mogę dla ciebie zrobić?

- Czy dobrze znasz panią Chantry?

- Prawie od urodzenia. Byłam jeszcze małym dzieckiem, kiedy poznałam Francine.

- Czy jesteście przyjaciółkami?

- Chyba tak. Często oddawałam jej różne przysługi, ale po wczorajszym wieczorze czuję się trochę niezręcznie.

- Bądź z nią w kontakcie, dobrze? Chciałbym dowiedzieć się, co będzie robiła dziś i jutro.

- Czy mogę spytać dlaczego? - Moja prośba jakby ją zaniepokoiła.

- Możesz spytać, ale ja nie potrafię odpowiedzieć. Nie wiem dlaczego.

- Czy podejrzewasz ją o coś złego?

- Jestem podejrzliwy wobec wszystkich.

- Z wyjątkiem mnie, mam nadzieję. - Jej uśmiech był poważny i badawczy.

- Z wyjątkiem ciebie i siebie. Czy możesz poobserwować dla mnie Francine Chantry?

- Oczywiście. I tak miałam zamiar do niej zadzwonić.

Zostawiłem wóz na lotnisku w Santa Teresa i wsiadłem w miejscowy samolot do Los Angeles. Musiałem tam czekać czterdzieści minut na połączenie z Tucson. Zjadłem kanapkę w barze szybkiej obsługi, popiłem ją piwem i zadzwoniłem do agencji, przyjmującej skierowane do mnie telefony.

Oznajmiono mi, że dzwonił Simon Lashman. Miałem jeszcze czas, żeby się z nim połączyć.

Jego głos w słuchawce wydał mi się jeszcze bardziej niechętny i starczy niż rano. Przedstawiłem się, powiedziałem mu, gdzie jestem, i podziękowałem za telefon.

- Nie ma za co - powiedział oschle. - Nie zamierzam przeproszać za moje zniecierpliwienie. Było ono całkowicie usprawiedliwione. Ojciec tej dziewczyny zrobił mi kiedyś grube świństwo, a ja nie mam zwyczaju wybaczać. Jaki ojciec, taka córka.

- Nie działałem z polecenia Biemeyera - oznajmiłem.

- Wydawało mi się, że tak.

- Zostałem zatrudniony przez jego żonę. Niepokoi się bardzo o córkę.

- I słusznie. Dziewczyna zachowuje się jak narkomanka.

- Więc pan ją widział?

- Tak. Była tu z Fredem Johnsonem.

- Czy mogę przyjechać i porozmawiać z panem dziś późnym popołudniem?

- Przecież mówił pan, że jest pan w Los Angeles?

- Za kilka minut wsiadam w samolot do Tucson.

- Dobrze. Wolę nie rozmawiać o tych sprawach przez telefon. Kiedy malowałem w Taos, nie miałem nawet aparatu. Był to najszczęśliwszy okres w moim życiu. - Nagle wziął się w garść. - Zaczynam gędzić. Nienawidzę gędzących starców. Więc do widzenia.

18

Dom Lashmana stał na skraju pustyni, u podnóża góry, która wyłoniła się przed moimi oczami już na długi czas przed wylądowaniem samolotu. Był to rozległy, jednopiętrowy budynek, otoczony drewnianym płotem, przypominającym miniaturowy ostrokół. Dzień zbliżał się już do końca, ale nadal było gorąco.

Lashman otworzył furtkę w płocie i wyszedł mi na spotkanie. Jego głęboko pobrużdżona twarz okolona była siwymi włosami, opadającymi aż do ramion. Miał na sobie spodnie i koszulę ze spłowiałego, niebieskiego materiału i płaskie mokasyny z kozłej skóry. Niebieskie oczy były, podobnie jak odzież, wyblakłe, na skutek zbyt długiego kontaktu ze światłem.

- Pan Archer?

- Tak jest. Dziękuję, że pozwolił mi pan przyjechać. Stary człowiek zachowywał się w sposób całkowicie swobodny, ale w jego postawie było coś, co zmuszało mnie do traktowania go z szacunkiem. Dłoń, którą mi podał, była powykęcana przez artretyzm i poplamiona farbami.

- W jakim stanie jest Fred Johnson?

- Wydawał się bardzo zmęczony - odparł Lashman. - Ale i podniecony. Podniecenie dodawało mu sił.

- Ale czym było wywołane?

- Chciał jak najprędzej porozmawiać z Mildred Mead. Chodzi mu o ustalenie autorstwa jakiegoś obrazu. Twierdził, że pracuje w muzeum w Santa Teresa. Czy to prawda?

- Tak. A jak dziewczyna?

- Była bardzo spokojna. O ile pamiętam, nie odezwała się ani słowem. - Lashman posłał mi badawcze spojrzenie, ale udałem, że go nie dostrzegam. - Wejdzmy do środka.

Poprowadził mnie przez wewnętrzny dziedziniec do swej pracowni. Jedyne duże okno wychodziło na ciągnącą się aż do horyzontu pustynię. Na sztalugach stał nie dokończony, a być może zaledwie zaczęty, portret kobiety. Kręgi farby wydawały się świeżo położone, a

wyłaniające się z nich rysy kobiety przypominały twarz Mildred Mead, która wynurzała się opornie z otchłani minionego czasu. Na stojącym obok stole, poplamionym łuszczącymi się cętkami starej farby, leżała prostokątna paleta, pokryta błyszczącymi barwnymi plamkami.

Zatrzymałem się przed obrazem. Lashman stanął obok mnie.

- Tak, to Mildred. Dopiero zacząłem ten portret, już po naszej rozmowie telefonicznej. Kusilo mnie, żeby namalować ją jeszcze raz. A jestem już w wieku, w którym należy natychmiast wcielać w życie wszystkie nagłe pokusy.

- Czy pozowała panu do tego portretu? Spojrzał na mnie uważnie.

- Nie było jej tu, jeśli to chce pan wiedzieć. Nie widziałem jej prawie od dwudziestu lat. Zdaje się, że powiedziałem to już panu przez telefon - dodał rzeczowo.

- Chyba często ją pan malował?

- Była moją ulubioną modelką. Mieszkała u mnie z przerwami przez dłuższy czas. Potem pojechała na drugi koniec stanu. Nie widziałem jej od tej pory. - W jego głosie rozbrzmiewała dumą, tęsknota i żal. - Inny mężczyzna zaproponował jej układ, który uznała za bardziej korzystny. Nie mam jej tego za złe. Starzała się. Muszę wyznać, że nie traktowałem jej zbyt dobrze.

Jego słowa wzbudziły w moim umyśle pewien rezonans. Ode mnie też odeszła kiedyś pewna kobieta, ale nie porzuciła mnie dla innego mężczyzny. Straciłem ją z własnej winy.

- Czy nadal przebywa w Arizonie? - spytałem.

- Chyba tak. W zeszłym roku przysłała mi kartkę na Boże Narodzenie. Od tej pory nie miałem od niej wiadomości. - Utkwił wzrok w ciągnącej się przed oknem pustyni. - Szczerze mówiąc chętnie bym się z nią skontaktował, choć oboje jesteśmy już starzy jak spróchniałe drzewa.

- Gdzie ona teraz mieszka?

- W Kanionie Chantry'ego, w górach Chiricahua. Niedaleko granicy z Nowym Meksykiem. - Narysował kawałkiem węgla zarysy mapy Arizony i wytłumaczył mi, jak dojechać do kanionu, położonego w południowo-wschodnim zakątku stanu. - Biemeyer kupił dla niej przed dwudziestu laty dom Chantry'ego i od tej pory tam właśnie mieszka. Zawsze chciała go mieć zależało jej na nim bardziej niż na tym facecie.

- Ma pan na myśli Jacka Biemeyera?

- I Felixa Chantry, który wybudował dom i uruchomił kopalnię miedzi. Zakochała się w willi Felixa Chantry i w jego kopalni o wiele wcześniej niż w nim samym. Powiedziała mi, że zamieszkanie w tym domu było marzeniem jej życia. Została jego kochanką i urodziła mu

nawet nieślubnego syna, ale dopóki żył, nigdy nie pozwolił jej się tam wprowadzić. Pozostał przy żonie i synu, którego z nią miał.

- To znaczy z Richardem - stwierdziłem. Lashman kiwnął głową.

- Wyrósł na zupełnie dobrego malarza. Muszę to przyznać, choć nienawidziłem jego ojca. Richard Chantry miał prawdziwy talent, ale nie wykorzystał go w pełni. Brakowało mu wytrwałości. A w tym zawodzie jest ona naprawdę niezbędna. - Jego pobrużdżona twarz oświetlona wpadającymi przez okno promieniami popołudniowego słońca wyglądała jak oblicze metalowego posągu, symbolizującego wytrwałość.

- Czy myśli pan, że Richard Chantry żyje?

- To samo pytanie zadał mi młody Fred Johnson. Dam panu tę samą odpowiedź. Moim zdaniem Richard już umarł - podobnie jak jego brat - ale nie ma to większego znaczenia. Malarz, który wyrzeka się swego zawodu w połowie kariery - jak to przecież zrobił Richard - jest już właściwie martwy. Ja też pewnie umrę w dniu, w którym przestanę pracować. - Zagłębiając się w swych błędnych myślach starzec obsesyjnie, choć z niesmakiem wracał do problemu własnej śmiertelności. - I taki będzie szlachetny koniec marnego człowieka - jak mawialiśmy w czasach, kiedy byłem jeszcze chłopcem.

- Co stało się z synem Felixa Chantry'ego i Mildred, tym bratem z nieprawego łoża?

- Z Williamem? Umarł młodo. William był jedynym członkiem tej rodziny, którego znałem i lubiłem. Mieszkał u mnie razem z matką przez kilka lat, choć z przerwami. Studiując w tutejszej akademii sztuk pięknych używał nawet mojego nazwiska. Ale wstąpiwszy do wojska przybrał nazwisko matki. Żył jako William Mead i pod tym nazwiskiem umarł.

- Czy zginął w czasie wojny?

- William umarł w mundurze, ale był wtedy na urlopie - odparł poważnym tonem Lashman. - Został pobity na śmierć, a jego ciało porzucono na pustyni, niedaleko miejsca, w którym mieszka obecnie jego matka.

- Kto go zamordował?

- Nigdy tego nie ustalono. Jeśli potrzebuje pan dokładniejszych informacji, radzę się skontaktować z szeryfem Brothertonem z Copper City. On przeprowadził śledztwo czy też je spartaczył. Nie znam dotąd wszystkich okoliczności. Kiedy Mildred wróciła tu, zidentyfikowawszy zwłoki Williama, nie odezwała się ani słowem przez przeszło tydzień. Wiem, co musiała przeżywać. William nie był moim synem i nie widziałem go już wtedy przez długi czas, ale czułem się tak, jakbym stracił własne dziecko.

Milczał przez chwilę, potem ciągnął dalej:

- Zamierzałem zrobić z niego malarza. Prawdę powiedziawszy wczesne prace Williama były lepsze niż obrazy jego przyrodniego brata i Richard złożył mu komplement, imitując jego styl. Ale to właśnie William został zjedzony przez robaki.

Odwrócił się ku mnie z gniewem, jakbym na powrót sprowadził do jego domu śmierć.

- Sam zostanę przez nie niedługo zzarty. Ale zanim to nastąpi, zamierzam namalować jeszcze jeden portret Mildred. Niech jej pan to powie, dobrze?

- Dlaczego sam jej pan tego nie powie?

- Może to zrobię.

Zauważyłem, że Lashman chce się mnie pozbyć, zanim skończy się popołudniowe światło. Spoglądał co chwila w kierunku okna. Przed wyjściem pokazałem mu jeszcze fotografię obrazu, który wyniósł Fred z domu Biemeyerów.

- Czy to Mildred?

- Tak, to ona.

- Może mi pan powiedzieć, kto malował portret?

- Nie potrafię tego na pewno stwierdzić. W każdym razie na podstawie małej, czarno-białej fotografii.

- Ale czy przypomina obrazy Chantry'ego?

- Chyba tak. Właściwie jest też podobny do moich wczesnych prac. - Spojrzał na mnie nagle; w jego wzroku malowała się powaga, zmieszana z rozbawieniem. - Nie zdawałem sobie aż do tej chwili sprawy, że mogłem wyrzucić na Chantry'ego pewien wpływ. Nie ulega wątpliwości, że ten, kto namalował ten obraz, musiał oglądać moje wczesne portrety Mildred Mead. - Zerknął w kierunku stojącej na sztalugach głowy modelki, jakby mogła ona potwierdzić jego twierdzenie.

- Ale to nie pański obraz, prawda?

- Nie. Tak się składa, że potrafię malować lepiej.

- Lepiej niż Chantry?

- Chyba tak. Oczywiście, ja nie zniknąłem. Zostałem na miejscu i kontynuowałem pracę. Nie zdobyłem takiej sławy jak ten zaginiony artysta. Ale przetrwałem go, i Bóg

119 mi świadkiem, moje prace przeżyją jego twórczość. Ten portret, który maluję teraz, będzie trwalszy niż dorobek Chantry'ego.

Lashman mówił teraz gniewnym, młodzieńczym głosem. Jego twarz była zaczerwieniona z podniecenia. Odniosłem wrażenie, że nawet teraz, jako starzec, nadal współzawodniczy z Chantrym o prawa do Mildred Mead.

Chwycił pędzel i trzymając go w dłoni jak broń, odwrócił się z powrotem w stronę nie skończonego portretu.

19

Pojechałem przez pustynię, a potem na zachód, przedzierając się przez zapadający mrok. Ruch był stosunkowo niewielki, więc pokonałem trasę w dobrym czasie. O dziewiątej byłem już w Copper City i mijałem należącą do Biemeyera dziurę w ziemi. W niewyraźnym, wieczornym świetle wyglądała jak opustoszały plac zabaw, służący olbrzymom lub ich dzieciom.

Znalazłem urząd szeryfa i pokazałem fotokopię swej licencji dyżurnemu kapitanowi. Poinformował mnie, że szeryf Brotherton przebywa na posterunku położonym na północ od miasta, niedaleko swego domku w górach. Wyjął mapę i pokazał mi, jak tam dojechać.

Ruszyłem na północ, w kierunku pasma gór. Ich budowniczowie musieli być jeszcze więksi niż olbrzymy, które wykopały dziurę Biemeyera. W miarę jak zbliżałem się do nich, zasłaniały stopniowo coraz większą połąć ciemnego nieba.

Ominąłem ich południowo-wschodnią krawędź, jadąc krętą drogą, która oddzielała leżące po lewej stronie góry od ciągnącej się na prawo pustyni. Ruch na szosie zamierał stopniowo. Zacząłem już podejrzewać, że się zgubiłem, kiedy ujrzałem grupę oświetlonych budynków.

Jednym z nich był posterunek szeryfa. W pozostałych mieścił się niewielki motel i sklep spożywczy, ukryty za stacją benzynową. Na wybrukowanym placu między domami stał szereg samochodów, wśród których dostrzegłem dwa wozy policyjne.

Postawiłem mój wynajęty pojazd za nimi i wszedłem na posterunek. Oficer dyżurny przyjrzał mi się uważnie i wyznał w końcu, że szeryf przebywa w sąsiednim sklepie spożywczym. Udałem się tam. Tylne sale były ciemne od dymu cygar. Dostrzegłem w niej sporą grupę mężczyzn w kapeluszach z szerokim rondem; popijali piwo z puszek i grali w bilard na stole, obciążonym pomarszczonym i poplamionym sukniem. Panował tam nieznośny upał.

Podszedł do mnie jakiś spocony, łysy mężczyzna w białym niegdyś kitlu.

- Jeśli chce pan kupić coś do jedzenia, to sklep jest już właściwie nieczynny.

- Chciałbym tylko puszkę piwa. I kawałek sera.

- Tyle mogę panu podać. Ile tego sera?

- Pół funta.

Po chwili powrócił z moim zamówieniem.

- Dolar pięćdziesiąt.

- Czy blisko stąd do Kanionu Chantry'ego? - spytałem, wręczając mu gotówkę.

Kiwnął potakująco głową.

- Trzeba skręcić w drugą drogę odchodzącą na lewo od szosy... chyba o milę stąd na północ. Potem jeszcze ze cztery mile do skrzyżowania dróg. Skręci pan w lewo i po dwóch milach wjedzie pan do kanionu. Czy jest pan od tych ludzi, którzy kupili dom?

- Nie wiem, o kim pan mówi?

- Zapomniałem, jak oni się nazwali. Remontują stary dom, chcą go przerobić na jakąś osadę religijną. - Odwrócił się w kierunku tylnej sali i podniósł głos: - Szeryfie! Jak nazywają się ci faceci, którzy kupili dom Chantry'ego?

Jeden z grających w bilard mężczyzn oparł kij o ścianę i podszedł do nas, stąpając wysokimi, lśniącymi butami po własnym cieniu. Miał pięćdziesiąt kilka lat i siwe wąsy, jakie noszą wojskowi. Na jego piersi błyszczała gwiazda szeryfa. Podobny błysk dostrzegłem w jego oczach.

- Towarzystwo Wzajemnej Miłości - powiedział, zwracając się do mnie. - Czy ich właśnie pan szuka?

- Nie. Szukam Mildred Mead. - Pokazałem mu fotokopię licencji.

- Człowieku, pomyliły się panu stany. Mildred sprzedała wszystko jakieś trzy miesiące temu i przeniosła się do Kalifornii. Nie mogła już znieść samotności, tak mi w każdym razie mówiła. Tłumaczyłem jej, że przecież ma tu przyjaciół, ale postanowiła przeżyć ostatnie lata wśród swoich w Kalifornii.

- Ale gdzie w Kalifornii?

- Nie powiedziała mi. - Szeryf wydawał się zakłopotany.

- Jak się nazywają ci ludzie, do których wyjechała?

- Nie mam pojęcia.

- Czy to jej krewni?

- Mildred nic nie mówiła. Nigdy nie zwierzała się na temat swojej rodziny. Musiałem to samo tłumaczyć parze młodych ludzi, którzy byli tu dziś przed panem.

- Młody człowiek i dziewczyna w niebieskim Fordzie? Szeryf kiwnął głową.

- Zgadza się. Czy podróżujecie razem?

- Zamierzam się z nimi spotkać.

- Znajdzie ich pan pewnie w kanionie. Wyjechali o zachodzie słońca. Ostrzegłem ich, że mogą tam zostać nawróceni. Nie wiem w co wierzą ci ludzie z Towarzystwa Wzajemnej Miłości, ale ich wiara jest niewątpliwie silna. Jeden z nowych członków mówił mi, że oddał sekcje cały majątek, a oprócz tego musiał ciężko pracować. Zdaje się, że siedzą na

pieniądzach. Wiem, że zapłacili Mildred za ten dom ponad sto tysięcy. Oczywiście razem z terenem. Więc niech pan mocno trzyma swój portfel.

- Będę uważał, szeryfie.

- Nawiasem mówiąc nazywam się Brotherton.

- Lew Archer.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Podziękowałem mu i ruszyłem w kierunku drzwi. Wyszedł za mną przed sklep. Po pobycie w zadymionym wnętrzu powietrze wydawało się świeże i czyste.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Brotherton, choć wyraźnie naśladował styl bycia prowincjonalnego szeryfa, wydał mi się człowiekiem sympatycznym.

- Nie chcę się wtrącać do nie swoich spraw - powiedział - ale jestem dość bliskim przyjacielem Mildred. Ma ich zresztą sporo. Nigdy nie szczędziła swoich pieniędzy ani swoich względów. Może była zbyt hojna, nie wiem. Mam nadzieję, że nie wpadła w Kalifornii w jakieś kłopoty?

- Ja również.

- Jest pan tam prywatnym detektywem, prawda? Przytaknąłem.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, co pan chce od Mildred?

- Właściwie nie z nią chcę się widzieć. Chodzi mi raczej o tych młodych ludzi, którzy niedawno o nią pytali. Nie wracali jeszcze z góry, prawda?

- Chyba nie.

- Czy to jedyna droga, jaką można się stamtąd wydostać?

- Mogli w razie koniecznej potrzeby zjechać na drugą stronę, przez Tombstone. Ale, jak im zresztą powiedziałem, trudno przejechać tę trasę nocą. Uciekają przed kimś?

- Będę mógł powiedzieć panu coś więcej, kiedy z nimi porozmawiam.

Brotherton zmarszczył brwi.

- Jest pan skrytym człowiekiem, panie Archer.

- Zostałem wynajęty przez rodziców tej dziewczyny.

- Zastanawiałem się nawet, czy nie uciekła od rodziny.

- Nie określiłbym tego aż tak dosadnie. Ale mam nadzieję, że uda mi się odwieźć ją do domu.

Wrócił do sklepu, a ja ruszyłem w górę. Stosując się do wskazówek sklepikarza odnalazłem wkrótce kanion; w jego wylocie migotały odległe światła Copper City. Stało w nim sporo domów, w których pozapalano już lampy. Najwyższą i największą budowlą była

obszerna, murowana rezydencja, zwieńczona spadzistym dachem z gontowych klepek i ozdobiona z przodu szerokim gankiem.

Drogę prowadzącą do tego domu zagradzała żelazna brama. Kiedy wysiadłem z wozu, by ją otworzyć, do moich uszu dotarł śpiew siedzących na ganku ludzi; była to pieśń, jakiej nigdy dotąd nie słyszałem. Jej refren zawierał jakąś wzmiankę o Armageddonie i końcu świata. Ganek podobny był do obudowy okrętu i zebrany na nim chór przypominał mi grupę pasażerów śpiewających psalmy na pokładzie tonącego statku.

Przed moim wozem stał na zwirowanym poboczu stary, niebieski Ford Freda Johnsona. Z silnika kapał olej jak krew z rany. Kiedy zbliżyłem się, Fred wysiadł i niepewnie ruszył w kierunku świateł mego wozu. Jego wąsy były mokre i sklezione, a broda poplamiona krwią. Nie poznał mnie.

- Czy coś się stało? Poruszył opuchniętymi ustami.

- Tak. Mają tam moją dziewczynę. Próbują ją nawrócić. Psalm ucichł w połowie frazy, jakby tonący statek nagle poszedł na dno. Śpiewacy schodzili z ganku, zmierzając w naszą stronę. Z wnętrza budynku doszedł nas podniesiony, nabrzmiały łękiem głos dziewczyny. Fred gwałtownie poruszył głową.

- To ona!

Ruszyłem w kierunku bagażnika samochodu, żeby wyjąć z niego rewolwer, potem przypomniałem sobie, że przyjechałem tu wynajętym wozem. Kiedy się odwróciłem, byliśmy już otoczeni przez sześciu czy siedmiu brodaczy w roboczych kombinezonach. Kobiety stanęły z boku, przyglądając się nam chłodno; miały długie spódnice i szczupłe, ascetyczne twarze.

- Zakłóćcie nasze wieczorne nabożeństwo - przemówił do mnie monotonnym głosem najstarszy z grupy, mężczyzna około czterdziestki.

- Przykro mi. Szukam panny Biemeyer. Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem i działam z polecenia jej rodziców. Szeryf okręgowy wie, że tu jestem.

- Nie uznajemy jego władzy. To święta ziemia, poświęcona przez naszego przywódcę. Jedynym autorytetem jest dla nas głos gór, nieba i naszych sumień.

- Więc powiedz pan swemu sumieniu, żeby kazało panu przywołać waszego przywódcę.

- Musi pan mówić o nim z większym szacunkiem. Odprawia ważną ceremonię.

Znów dotarł do nas podniesiony głos dziewczyny. Fred ruszył w tamtą stronę, ja poszedłem w jego ślady. Mężczyźni w roboczych kombinezonach stłoczyli się w zwartą grupę, zagradzając nam drogę.

Cofnąłem się i zawołałem najgłośniej jak mogłem:

- Hej, szefie! Wyjdź pan tu, do diabła!

Na ganku ukazał się siwy mężczyzna w długiej, czarnej szacie; wyglądał jak człowiek oszołomiony lub porażony przez piorun. Zbliżył się do nas z szerokim, lecz chłodnym uśmiechem. Wyznawcy rozstąpili się przed nim.

- Błogosławieństwo - powiedział do nich; potem zwrócił się ku nam: - Kim jesteście? Słyszałem, że lżycie mnie i przeklinacie. Potępiam to nie ze względu na mnie samego, lecz przez szacunek dla bóstwa, które reprezentuję.

Jedna z kobiet jęknęła z lęku i zachwyty. Uklękła na żwirze i ucałowała dłoń przywódcy.

- Szukam panny Biemeyer - powiedziałem. - Jestem zatrudniony przez jej ojca. Ten dom należał kiedyś do niego.

- Teraz należy do mnie - powiedział i zaraz poprawił się: - Należy teraz do nas. Naruszacie cudzą własność.

Brodaci mężczyźni chóralnym pomrukiem wyrazili solidarność z przywódcą.

- Zapłaciliśmy za ten teren dużo pieniędzy - powiedział najstarszy z nich. - Jest naszym schronieniem w tych niespokojnych czasach. Nie chcemy, żeby zbrukały go kohorty zła.

- Więc przyprowadźcie pannę Biemeyer.

- To biedne dziecko potrzebuje mojej pomocy - oświadczył przywódca. - Zażywała narkotyki. Tonie w falach lęku, już po raz trzeci.

- Nie wyjadę stąd bez niej.

- To samo im mówiłem. - Fred zaszlochał z rozczarowania, żalu i gniewu. - Ale pobili mnie.

- Pan dawał jej narkotyki - oznajmił przywódca. - Sama mi to powiedziała. Czuję się w obowiązku wykorzenić z niej ten nałóg. Niemal wszyscy moi podopieczni zażywali je kiedyś. Ja też byłem grzesznikiem, choć innego rodzaju.

- Powiedziałbym, że jest pan nim nadal - stwierdziłem. - A może uważa pan, że uprowadzenie nie jest czynem nagannym?

- Dziewczyna jest tutaj ze swej własnej, nieprzymuszonej woli.

- Chciałbym, żeby sama mi to powiedziała.

- Bardzo proszę - oświadczył; potem zwrócił się do swych zwolenników: - Pozwólcie im zbliżyć się do naszego domostwa!

Ruszyliśmy ścieżką w kierunku budynku. Brodacze tłoczyli się wokół Freda i mnie, nie dotykając nas jednak. Dochodził do mnie jednak ich zapach. Była to woń zwarzonych nadziei, zatrutych lęków, zjełczałej niewinności i potu.

Kazano nam zatrzymać się na ganku. Zaglądając do wnętrza przez otwarte drzwi frontowe zauważyłem, że jest ono przebudowywane. Centralny hall przerabiany był na dormitorium; pod wszystkimi ścianami stały podwójne, piętrowe łóżka. Zastanawiałem się, ilu wiernych zamierzał zebrać przywódca i ile każdy z nich płaci za łóżko, kombinezon i zbawienie duszy.

Wprowadził Doris z bocznego pokoju do hallu. Jego wyznawcy pozwolili mi podejść do otwartych drzwi i stanęliśmy w nich oboje naprzeciw siebie. Wydała mi się blada i wystraszona, ale przytomna.

- Czy ja pana w ogóle znam? - spytała.

- Nazywam się Archer. Spotkaliśmy się wczoraj w twoim mieszkaniu.

- Przepraszam. Nie pamiętam tego. Chyba byłam wczoraj zaprawiona.

- Chyba tak, Doris. Jak się czujesz teraz?

- Jestem dość oglupiała. Wczoraj w nocy w samochodzie prawie wcale nie spałam. A od chwili naszego przyjazdu tutaj zajmowali się mną przez cały czas. - Ziewnęła głęboko.

- W jaki sposób?

- Modlili się za mnie. Chcą, żebym z nimi została. Nie żądają nawet pieniędzy. Ojciec byłby zachwycony, że nie musi za mnie płacić. - Uśmiechnęła się melancholijnie kącikiem ust.

- Nie wydaje mi się, żeby ojciec miał do ciebie taki stosunek.

- Bo nie zna go pan.

- Trochę go już znam. Spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- Czy ojciec kazał panu mnie śledzić?

- Nie. Przyjechałem właściwie z własnej inicjatywy.

Ale płaci mi twoja matka. Chce, żebyś wróciła. On również

- Chyba w gruncie rzeczy wcale tego nie chcą - powiedziała dziewczyna. - Może wydaje im się, że tak jest, ale to nieprawda.

- Ja chcę, żebyś wróciła, Doris - odezwał się za mym plecami Fred.

- Może chcesz, a może nie. A może ja ciebie nie chcę. - Rzuciła mu spojrzenie pełne nieprzyjaznej kokieterii. - I tak nie chodziło ci o mnie. Chciałeś zdobyć obraz, który kupili moi rodzice.

Fred utkwiał wzrok w podłodze ganku. Przywódca stanął między dziewczyną a nami. Miał równocześnie twarz egzaltowanego mistyka i sprytnego handlarza. Dłonie drżały mu nerwowo.

- Czy wierzycie mi teraz? - zwrócił się do mnie. - Doris chce z nami zostać. Rodzice zaniedbywali ją i odtrącili. Jej przyjaciel jest fałszywym przyjacielem. W nas rozpoznała ludzi naprawdę życzliwych. Chce żyć z nami w braterstwie duchowej miłości.

- Czy to prawda, Doris?

- Chyba tak - odparła z niepewnym uśmiechem. - Co mi szkodzi spróbować? Wie pan, bywałam w tym domu już przedtem. Ojciec przywoził mnie tu, kiedy byłam małą dziewczynką. Przyjeżdżaliśmy z wizytą do pani Mead. Oni zawsze... - przerwała w pół zdania, zakrywając usta dłonią.

- Co oni zawsze, Doris?

- Nic. Nie chcę rozmawiać o moim ojcu. Chcę zostać tu z nimi i odzyskać równowagę. Mam chorą duszę. - Odniosłem wrażenie, że wygłaszając tę autodiagnozę powtarza bezmyślnie czyjąś usłyszaną niedawno opinię. Niestety wydała mi się ona trafna.

Miałem wielką ochotę wyrwać ją z grona członków bractwa. Nie podobali mi się ani oni sami, ani ich przywódca. Obawiałem się, że dziewczyna postępuje nierozsądnie. Ale znała swoje własne życie lepiej, niż ja mogłem je kiedykolwiek poznać. Sam widziałem, że nie było bardzo udane.

- Pamiętaj, że możesz zawsze zmienić zdanie - powiedziałem. - Nawet w tej chwili.

- Nie mam zamiaru. Po co miałabym je zmieniać? - spytała mnie pośpiesznie. - Po raz pierwszy od tygodnia zdaję sobie nareszcie sprawę, co się ze mną dzieje.

- Niechaj Bóg cię błogosławi, moje dziecko - powiedział przywódca. - Nie martw się, otoczymy cię staranną opieką.

Miałem ochotę połamać mu kości. Ale wydawało się to bez sensu. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę wynajętego auta. Czuję się bardzo mały, przytłoczony ogromem otaczających mnie gór.

20

Zamknąłem niebieskiego Forda i postawiłem go na poboczu. Fred nie był chyba w stanie prowadzić, a zresztą tak czy owak wolałem mieć pewność, że mi nie ucieknie. Wszedł do mego samochodu jak uszkodzony robot i siedział, zwiesiwszy głowę na poplamiony krwią gors koszuli. Obudził się z letargu, gdy wyjechałem tyłem na szosę.

- Dokąd jedziemy?

- Na dół, żeby porozmawiać z szeryfem.

- Nie!

Odwrócił się ode mnie i zaczął manipulować przy zamku swoich drzwi. Złapałem go za kołnierz i wciągnąłem na środek siedzenia.

- Nie każę cię aresztować - powiedziałem. - Ale mam jeden warunek: musisz odpowiedzieć mi na kilka pytań. Przebyłem daleką drogę, by ci je zadać.

- Ja też przyjechałem z daleka - odparł po chwili namysłu.

- Po co?

Znów milczał przez jakiś czas.

- Żeby zadać kilka pytań.

- To nie jest gra w pytania i odpowiedzi, Fred. Musisz wymyślić coś lepszego. Wiem od Doris, że wziąłeś obraz jej rodziców... sam się zresztą do tego przyznałeś.

- Nie mówiłem, że go ukradłem.

- Wziąłeś go bez ich pozwolenia. Co za różnica?

- Tłumaczyłem panu to wszystko wczoraj. Wziąłem obraz, by zobaczyć, czy uda mi się ustalić autora. Zaniósłem go do muzeum, by porównać z wiszącymi tam pracami Chantry'ego. Zostawiłem go na noc i ktoś go ukradł.

- Ukradł z muzeum?

- Tak, z muzeum. Przyznaję, że powinienem go zamknąć. Zostawiłem go w jednej z otwartych gablot. Myślałem, że nikt go nie zauważy.

- A kto go zauważył?

- Nie mam pojęcia. Nikomu o nim nie mówiłem. Musi mi pan uwierzyć. - Zwrócił ku mnie udręczoną twarz. - Nie kłamię.

- Zatem kłamałeś wczoraj. Mówiłeś mi, że obraz został ukradziony z twojego pokoju w domu rodziców.

- Pomyliłem się - powiedział. - Wszystko mi się poplątało. Byłem załamany i zapomniałem, że zaniósłem go do muzeum.

- Czy to twoja ostatnia wersja?

- To prawda. Nie mogę zmieniać faktów.

Nie wierzyłem mu. Zjechaliśmy z góry pograżeni w nieprzyjaznym milczeniu. Ściągał nas powtarzający się krzyk sowy.

- Po co przyjechałeś do Arizony, Fred?

- Chciałem odszukać ten obraz - odpowiedział po dłuższym namyśle.

- Ten, który wziąłeś z domu Biemeyerów?

- Tak. - Zwiesił głowę.

- Dlaczego myślisz, że może być w Arizonie?

- Wcale tak nie myślę. To znaczy nie wiem, czy tu jest, czy nie. Chcę tylko dowiedzieć się, kto go namalował.

- Więc nie Richard Chantry?

- Przypuszczam, że to on, ale nie wiem kiedy. Nie wiem też, co się dzieje z Richardem Chantry i gdzie przebywa. Myślałem, że może mi to powie Mildred Mead. Lashman twierdzi, że to ona do niego pozowała. Ale teraz ona również zniknęła.

- Jest w Kalifornii.

Fred wyprostował się na siedzeniu.

- Ale gdzie w Kalifornii?

- Nie wiem. Może znajdziemy tu kogoś, kto nam to powie.

Szeryf Brotherton czekał w samochodzie, stojącym na oświetlonym placu przed posterunkiem. Zaparkowałem obok niego i wszyscy wysiedliśmy z aut. Fred patrzył na mnie niespokojnie; był ciekawy, co powiem przedstawicielowi władzy.

- Gdzie jest młoda dama? - spytał szeryf.

- Postanowiła zostać na noc z członkami bractwa. Może na dłużej.

- Mam nadzieję, że wie, co robi. Czy są tam również jakieś siostry?

- Widziałem kilka. Szeryfie, to jest Fred Johnson. Brotherton uściśnięła dłoń młodego człowieka i przyjrzał się jego twarzy.

- Napadli pana?

- Uderzyłem jednego z nich. On mi oddał. - Fred wydawał się dumny ze swej przygody. - Nie ma o czym mówić.

Szeryf był najwyraźniej zawiedziony.

- Nie zamierza pan złożyć skargi?

Fred zerknął na mnie. Nie dałem mu żadnego znaku.

- Nie - odpowiedział szeryfowi.

- Niech pan się lepiej zastanowi. Pański nos nadal krwawi. Skoro już pan tu jest, niech pan wejdzie do biura. Mój zastępca, Cameron, zrobi panu opatrunek.

Fred niepewnie ruszył w stronę posterunku, jakby był przekonany, że gdy raz wejdzie do środka, nigdy już się nie wydostanie.

Kiedy był już poza zasięgiem naszego głosu, odwróciłem się do szeryfa.

- Czy dobrze znał pan Mildred Mead?

Jego twarz była przez chwilę zupełnie nieruchoma. Oczy błyszczały żywo.

- Lepiej, niż pan przypuszcza.

- Czy myślimy obaj o tym samym?

- Była moją pierwszą kobietą - powiedział z uśmiechem. - Jakies czterdzieści lat temu, kiedy byłem jeszcze chłopcem. Wyświadczyła mi wielką przysługę. Od tej pory pozostaliśmy przyjaciółmi.

- Ale nie wie pan, gdzie teraz jest?

- Nie. Trochę się o nią niepokoję. Stan jej zdrowia jest nie najlepszy, a przecież lat też jej nie ubywa. Wiele też w życiu przeszła. Nie podoba mi się, że tak nagle sama wyjechała. - Przez chwilę wpatrywał się w skupieniu w moją twarz.

- Czy wraca pan jutro do Kalifornii?

- Taki mam zamiar.

- Byłbym wdzięczny, gdyby mógł pan odszukać Mildred i zobaczyć, jak jej się powodzi.

- Kalifornia to wielki stan, szeryfie.

- Wiem. Ale mogę popytać ludzi i dowiedzieć się, czy ktoś nie miał od niej wiadomości.

- Mówił pan, że wyjechała, zamierzając zamieszkać u krewnych.

- Tak mi powiedziała przed wyjazdem. Nie orientowałem się, czy ma jakąś rodzinę tam czy gdziekolwiek indziej. Wiedziałem tylko, że miała syna, Williama. - Brotherton ściszył głos tak bardzo, że zdawał się mówić sam do siebie.

- A William został zamordowany w roku 1943 - powiedziałem.

Szeryf splunął na ziemię i pogрузzył się w milczeniu. Z posterunku dochodził szmer rozmów, zaś ze stoku góry piskliwy krzyk sowy. Brzmiał jak ochryply chichot starej kobiety.

- Widzę, że badał pan życie Mildred - stwierdził szeryf.

- Właściwie nie. Zlecono mi odzyskanie obrazu, który był jej portretem. Ale cała sprawa stale zazębia się o inne wydarzenia. Przeważnie tragiczne.

- Niech mi pan da przykład.

- Zniknięcie Richarda Chantry. Zapadł się pod ziemię w Kalifornii w roku 1950, zostawiając po sobie pewną ilość obrazów, które uczyniły go sławnym.

- Wiem o tym - stwierdził szeryf. - Znałem go jako chłopca. Był synem Felixa Chantry, głównego inżyniera kopalni w Copper City. Richard wrócił tu po swoim ślubie. Zamieszkał z młodą żoną w domku na stoku góry i zaczął tam malować. Było to na początku lat czterdziestych.

- Przed zamordowaniem jego przyrodniego brata Williama czy później?

Szeryf odszedł kilka kroków ode mnie, potem cofnął się.

- Skąd pan wie, że William był przyrodnim bratem Richarda Chantry?

- Wyplęło to w trakcie pewnej rozmowy.

- Musi pan prowadzić rozmowy dotyczące wielu spraw. - Przez chwilę stał zupełnie bez ruchu. - Nie sugeruje pan chyba, że Richard Chantry zamordował swego przyrodniego brata?

- To pańska sugestia, szeryfie. Ja dopiero dziś dowiedziałem się o śmierci Williama.

- Więc dlaczego tak się pan nią interesuje?

- Zawsze interesują mnie morderstwa. Ubiegłej nocy popełniono w Santa Teresa jeszcze jedno zabójstwo... również mające związek z rodziną Chantry'ego. Czy słyszał pan kiedyś o człowieku nazwiskiem Paul Grimes?

- Znałem go. Był nauczycielem Richarda Chantry. Grimes przez dłuższy czas mieszkał u nich. Nigdy nie byłem o nim wysokiego mniemania. Stracił posadę w szkole średniej w Copper City i ożenił się z pół-Indianką. - Szeryf ponownie splunął za siebie.

- Czy nie chce pan dowiedzieć się, w jaki sposób go zamordowano?

- Co mnie to obchodzi? - Odniosłem wrażenie, że spoczywają w nim wyzwalane w nieoczekiwanych momentach rezerwy gniewu. - Santa Teresa leży daleko poza zasięgiem mego terytorium.

- Został śmiertelnie pobity - powiedziałem. - O ile wiem, tak samo zginął William Mead. Dwa morderstwa, w dwu różnych stanach, oddalone od siebie o przeszło trzydzieści lat, ale dokonane w taki sam sposób.

- Porusza się pan na oślep - powiedział. - Ma pan bardzo mało danych.

- Więc niech mi pan ich dostarczy. Czy Paul Grimes mieszkał u państwa Chantry, kiedy zginął William Mead?

- Być może. Chyba tak. Było to w roku 1943, podczas wojny.

- Dlaczego Richard Chantry nie został powołany do wojska?

- Pracował rzekomo w kopalni miedzi, należącej do jego rodziny. Ale wątpię, czy kiedykolwiek widział ją z bliska. Siedział w domu ze swą młodą, ładną żoną i malował ładne obrazy.

- A William?

- Służył w wojsku. Przyjechał tu na urlop, by odwiedzić brata. Kiedy zginął, miał na sobie mundur.

- Czy Richard był kiedykolwiek przesłuchiwany w związku z jego śmiercią?

Szeryf przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, kiedy zaś odezwał się w końcu, mówił z wyraźnym trudem.

- O ile wiem, nie. Rozumie pan, nie miałem wtedy wiele do gadania. Byłem jeszcze młodym zastępcą szeryfa.

- Kto prowadził śledztwo?

- Przeważnie ja. Ja znalazłem jego ciało, zresztą niedaleko stąd. - Wskazał ręką na wschód, w kierunku pustyni Nowego Meksyku. - Niech pan pamięta, że nie znaleźliśmy go od razu. Nie żył już od wielu dni i dobrały się do niego lisy. Niewiele zostało z jego twarzy. Nie byliśmy nawet pewni, czy zginął z rąk ludzkich, dopóki nie sprowadziliśmy lekarza specjalisty z Tucson. Wtedy było już za późno, by wiele zdziałać.

- Co by pan zrobił, gdyby miał pan szansę?

Szeryf znów znieruchomiał, jakby wsłuchiwał się w niedostępne dla moich uszu odgłosy z przeszłości. Miał pół-przymknięte oczy i zdawało się, że patrzy w przestrzeń.

- Zrobiłbym wszystko tak samo - oświadczył w końcu gniewnie, z nienaturalną pewnością siebie. - Nie wiem, do czego pan zmierza. Nie mam pojęcia, po co właściwie z panem rozmawiam.

- Ponieważ jest pan uczciwym człowiekiem i coś pana niepokoi.

- Ale co?

- Choćby sprawa Mildred Mead. Obawia się pan, czy się jej coś nie przytrafiło.

- Nie przeczę - przyznał, wciągając głęboko powietrze.

- Wydaje mi się też, że nadal nie dają panu spokoju te znalezione na pustyni zwłoki.

Spojrzał na mnie czujnie, ale nic nie odpowiedział.

- Czy jest pan pewien, że były to zwłoki jej syna, Williama? - spytałem.

- Absolutnie pewien.

- Znał go pan?

- Nie bardzo dobrze. Ale miał przy sobie dokumenty.

Ponadto sprowadziliśmy z Tucson Mildred. Byłem na miejscu, kiedy identyfikowała zwłoki. - Znów zapadł w typowe dla siebie milczenie.

- Czy Mildred zabrała z sobą zwłoki do Tucson?

- Chciała. Ale władze wojskowe zdecydowały, że kiedy skończymy sekcję, ciało należy wydać żonie Meada. Zapakowaliśmy więc jego żalosne szczątki do zapieczętowanej trumny i odesłaliśmy je do żony, która mieszkała w Kalifornii. Z początku nikt z nas nie wiedział, że w ogóle miał żonę. Był żonaty od niedawna. Podobno wziął ślub już po wstąpieniu do armii... tak mówił mi jego przyjaciel.

- Tutejszy przyjaciel?

- Nie. Kolega z wojska. Zapomniałem jego nazwiska - coś jakby Wilson czy Jackson. Tak czy owak bardzo lubił Meada, więc wybłągał urlop, żeby tu przyjechać i pomówić ze mną o nim. Ale niewiele mógł mi powiedzieć. Tyle tylko, że Mead miał w Kalifornii żonę i syna. Zamierzałem pojechać tam i zobaczyć się z nimi, ale władze okręgu nie chciały mi przyznać zwrotu kosztów. Kolega Meada z wojska został w pośpiechu wysłany na front i nigdy go już odtąd nie widziałem, choć później, już po wojnie, przysłał mi pocztówkę ze szpitala dla inwalidów w Kalifornii. W każdym razie nigdy nie doprowadziłem śledztwa do końca. - Usłyszałem w jego głosie lekki ślad wyrzutów sumienia.

- Nie rozumiem, dlaczego nie przesłuchano Richarda Chantry?

- To bardzo proste. Chantry opuścił granice stanu jeszcze przed znalezieniem zwłok. Staralem się sprowadzić go tu z powrotem - rozumie pan, nie twierdzą bynajmniej, że był winny - ale przełożeni nie poparli mnie w tej sprawie. Rodzina Chantrych miała jeszcze wielkie wpływy polityczne i ich nazwisko nie zostało wcale wspomniane. Nie ogłoszono nawet, że Mildred Mead była jego matką.

- Czy stary Felix Chantry żył jeszcze w roku 1943?

- Nie. Umarł rok wcześniej.

- Kto prowadził kopalnię miedzi?

- Facet nazwiskiem Biemeyer. Nie był jeszcze oficjalnie głową firmy, ale o wszystkim decydował.

- I on zdecydował, że nie należy przesłuchiwać Richarda Chantry?

- Skąd mogę to wiedzieć?

Mówił teraz innym głosem. Zaczął kłamać lub zatajać prawdę. Podobnie jak każdy szeryf w każdym okręgu kraju musiał mieć swoje polityczne zobowiązania i nienaruszalne tajemnice.

Chciałem go spytać, kogo usiłuje osłaniać, ale zrezygnowałem. Byłem daleko od własnego terenu, wśród ludzi, których nie znałem i nie mogłem w pełni zrozumieć, a w powietrzu unosiła się zapowiedź nieoczekiwanych kłopotów.

21

Szeryf pochylił się ku mnie lekko, jakby chciał podsłuchać moje myśli. Stojąc tak nieruchomo przypominał mi groźnego, szykującego się do ataku jastrzębia.

- Byłem z panem szczery - powiedział. - Ale pan ukrywa wszystko przede mną. Nie dowiedziałem się nawet, kogo pan reprezentuje.

- Biemeyera - odparłem.

Szeryf uśmiechnął się szeroko nie pokazując zębów.

- Żartuje pan sobie ze mnie.

- Nie. Mówię poważnie. Ta dziewczyna jest jego córką. Jego uśmiech, nie przechodząc żadnej wyraźnej zmiany, przeobraził się nagle w grymas zaskoczenia i lęku. Chyba zdał sobie sprawę, że odkrywa swe uczucia. Rozluźnił mięśnie twarzy, jakby rozprostowywał zaciśniętą pięść, i nadał jej wyraz obojętności. Tylko jego bystre szare oczy pozostały czujne i wrogie. Wskazał kciukiem stojącą za plecami górę.

- Więc dziewczyna, którą pan tam zostawił, jest córką Biemeyera?

- Zgadza się.

- Czy nie wie pan, że jest właścicielem większości akcji kopalni miedzi?

- Wcale tego nie ukrywa - odparłem.

- Ale dlaczego nic mi pan nie mówił?

Niełatwo mi było odpowiedzieć na to pytanie. Być może wyobrażałem sobie, że Doris ma szansę znaleźć szczęście w świecie tak bardzo odległym od świata jej rodziców, przynajmniej na pewien czas. Ale ten świat również należał do Biemeyera.

- Kopalnia miedzi zatrudnia więcej pracowników niż jakakolwiek inna firma w tej części stanu - powiedział szeryf.

- W porządku, pošlemy dziewczynę do pracy w kopalni.

- O co panu, do diabła, chodzi? - zeszywniał nagle. - Nikt nie ma zamiaru posyłać jej do pracy.

- Po prostu żartowałem.

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Musimy zabrać ją z tej podejrzanej farmy, zanim przytrafi jej się coś złego. Żona i ja możemy ją przenocować. Mamy ładny pokój gościnny - była to kiedyś sypialnia naszej córki. Jedźmy, co?

Szeryf zostawił Freda pod opieką swego zastępcy i pojechaliśmy na górę jego służbowym wozem. Zaparkował go na poboczu, za starym, niebieskim Fordem Freda. Zza przełęczy wyglądał ku nam biały, wyszczerbiony księżyc.

Wielki dom na stoku kanionu tonął w ciemności i ciszy, przerywanej tylko czasem przez chrapanie mężczyzn i cichy płacz jakiejś dziewczyny. Okazała się nią Doris. Podeszła do drzwi, gdy zawołałem jej imię. Miała na sobie białą, flanelową koszulę nocną, okrywającą ją jak namiot od szyi w dół. Jej ciemne oczy były szeroko otwarte, twarz mokra od łez.

- Ubierz się, kochanie - powiedział szeryf. - Zabieramy cię stąd.

- Ale mnie się tu podoba.

- Przestałoby ci się podobać, gdybyś tu została. To nie jest miejsce dla takiej dziewczyny jak ty.

Wyrężyła się i podniosła nagle głowę.

- Nie możecie mnie zmusić do wyjazdu. Przywódca podszedł ku nam za jej plecami, zatrzymując się jednak w pewnej odległości. Milczał. Zdawał się obserwować szeryfa z obojętnością widza, oglądającego cudzy pogrzeb.

- Nie zachowuj się w ten sposób, dobrze? - powiedział szeryf do Doris. - Sam mam córkę, wiem, jak to jest. Wszyscy lubimy przeżyć małą przygodę. Ale potem przychodzi pora powrotu do normalnego życia.

- Ja nie jestem normalna - oznajmiła.

- Nie martw się, jeszcze będziesz, kochanie. Musisz tylko znaleźć właściwego młodego człowieka. To samo zdarzyło się mojej córce. Odeszła z domu i mieszkała przez rok w komunie, w Seattle. Ale wróciła potem do nas, znalazła swego wybrańca, a teraz mają już dwoje dzieci i wszyscy są szczęśliwi.

- Nigdy nie będę miała dzieci - stwierdziła Doris. Ubrała się jednak i ruszyła u boku szeryfa w kierunku jego wozu. Ja zostałem w tyle z przywódcą sekty. Chwiejnym krokiem wyszedł na ganek. W strumieniach padającego z nieba światła jego oczy i siwe włosy zdawały się mieć fosforyzujące własności.

- Chętnie pozwolilibyśmy jej zostać z nami.

- Za określoną cenę?

- Wszyscy wnosimy tyle, na ile nas stać. Stosujemy system dziesiętny - każdy płaci w miarę swych możliwości. Mój wkład ma głównie charakter mistyczny. Niektórzy zarabiają na nasze utrzymanie jako skromni pracownicy.

- Gdzie pan studiował teologię?

- W świecie - odparł. - Benares, Camarillo, Lompoc. Przyznaję, że nie mam dyplomu. Ale udzielałem wielu porad. Mam dar niesienia pomocy ludziom. Mogłem pomóc pannie Biemeyer. Wątpię, czy potrafi to zrobić szeryf. - Wyciągnął rękę i dotknął mego ramienia długą, smukłą dłonią. - Myślę, że mógłbym też pomóc panu.

- W czym?

- Być może w niczym. - Aktorskim gestem rozpostarł ramiona. - Wydaje się pan człowiekiem uwikłanym w nie kończącą się bitwę, w wieczne poszukiwania. Czy przyszło panu kiedyś do głowy, że może należy szukać samego siebie? I żeby się odnaleźć, trzeba być milczącym i nieruchomym, nieruchomym i milczącym? - Opuścił wzniesione ręce.

Byłem tak zmęczony, że poważnie potraktowałem jego pytania, i zacząłem obracać je w myślach. Były to pytania, które sam sobie zadawałem, choć nigdy w takiej formie. W

końcu, być może, prawdy, której szukałem, nie można było znaleźć w świecie. Trzeba było wejść na szczyt góry i czekać na jej objawienie lub znaleźć ją w sobie samym.

Ale nawet podczas krótkiej chwili relaksu, w trakcie którego rozważałem ten problem, spoglądałem w kierunku widocznych u wylotu kanionu światła Copper City, myśląc o tym, co muszę tam załatwić następnego ranka.

- Nie mam pieniędzy.

- Ja też nie - odparł. - Ale zawsze jakoś ich dla wszystkich wystarcza. To dla nas najmniejszy problem.

- Szczęśliwi ludzie - powiedziałem. Udał, że nie dostrzega mojej ironii.

- Cieszę się, że pan to zauważył. Mamy naprawdę wielkie szczęście.

- A skąd wzięliście gotówkę na zakup tego domu?

- Niektórzy z naszych członków mają dochody. - Uśmiechnął się, jakby myśl o tym sprawiała mu przyjemność. - Nie zależy nam na zewnętrznych objawach przepychu, ale nasz dom nie przypomina przytułku dla biednych. Oczywiście nie jest jeszcze w pełni spleacony.

- Nie dziwię się. Słyszałem, że kosztuje was ponad sto tysięcy dolarów.

Jego uśmiech zgasł nagle.

- Czy prowadzi pan dochodzenie w naszej sprawie?

- Teraz, kiedy dziewczyna stąd odeszła, w ogóle przestałem się wami interesować.

- Nie zrobiliśmy jej nic złego - powiedział pospiesznie.

- Wcale wam tego nie zarzucam.

- Ale może szeryf zacznie nas teraz gnębić. Tylko dlatego, że udzieliliśmy schronienia córce Biemeyera.

- Mam nadzieję, że nie. Jeśli pan chce, wstawię się u niego za wami.

- Byłbym bardzo wdzięczny. - Wyraźnie się odprężył i odetchnął z ulgą.

- W zamian za to - powiedziałem - może pan zrobić coś dla mnie.

- A mianowicie? - znów zaczął traktować mnie podejrzliwie.

- Pomóc mi w nawiązaniu kontaktu z Mildred-Mead. Rozłożył ręce, kierując dłonie ku górze.

- Nie wiem jak. Nie mam jej adresu.

- Przecież płaci jej pan raty za dom?

- Nie bezpośrednio. Przez bank. Nie widziałem jej ani razu od chwili, kiedy wyjechała do Kalifornii. Było to wiele miesięcy temu.

- Który bank pośredniczy w tej transakcji?

- Southwestern Savings, oddział w Copper City. Powiedzą tam panu, że nie jestem oszustem. I naprawdę nie jestem, niech mi pan wierzy.

Uwierzyłem choć nie bez zastrzeżeń. Ale miał dwa głosy. Jeden należał do człowieka, usiłującego zdobyć swoje miejsce w świecie nadprzyrodzonym. Drugi głos, który usłyszałem przed chwilą, był głosem człowieka kupującego sobie za cudze pieniądze dom w świecie doczesnym.

Była to niestabilna kombinacja. Mógł skończyć jako oszust, jako radiowy kaznodzieja słuchany przez milion wyznawców lub barman we Fresno, zajmujący się leczeniem chorych dusz. Być może wykonywał już kiedyś niektóre z tych zawodów.

Ale byłem skłonny zaufać mu do pewnych granic. Wręczyłem mu kluczyki od niebieskiego Forda, prosząc, by zatrzymał je dla Freda, na wypadek, gdyby znalazł się on jeszcze kiedyś w tych stronach.

22

Zjechaliśmy prowadzącą z góry szosą pod posterunek, na którym siedział Fred w towarzystwie zastępcy szeryfa. Trudno było powiedzieć na pierwszy rzut oka, czy jest więźniem, czy pacjentem. Miał nos zaklejony plastrem, a obie dziurki zatkałe kłębuszkami waty. Wyglądał jak człowiek ponoszący w życiu same klęski.

Szeryf, który odniósł właśnie drobne zwycięstwo, wszedł do swego biura, by zatelefonować. Mówił do aparatu głosem pełnym zrozumienia, zmieszanego z odpowiednią dozą szacunku. Ustalał szczegóły odwiezienia Doris do domu odrzutowcem, który miała przysłać kopalnia miedzi.

Podniósł głowę, ukazując zaczerwienioną twarz oraz błyszczące z podniecenia oczy i wręczył mi słuchawkę.

- Pan Biemeyer chce z panem mówić.

Nie miałem ochoty rozmawiać z Biemeyerem ani w tym, ani w jakimkolwiek innym momencie. Wziąłem jednak słuchawkę.

- Mówi Archer - powiedziałem.

- Myślałem, że odezwie się pan do mnie. Płacę panu w końcu ciężkie pieniądze.

Nie przypomniałem mu, że dała mi je jego żona.

- Właśnie się do pana odezwałem.

- Dzięki szeryfowi Brothertonowi. Wiem, jak działają prywatni detektywi w pańskim rodzaju. Zwalają całą robotę na policję, a potem zjawiają się i przypisują sobie wszystkie zasługi.

Pod wpływem nagłego ataku złości o mało nie przerwałem połączenia. Musiałem sobie przypomnieć, że cała sprawa nie jest jeszcze bynajmniej zakończona. Skradziony obraz nie odnalazł się. Doszły też dwa nie wyjaśnione morderstwa - Paula Grimesa, a teraz także Williama Meada.

- Zasług wystarczy dla wszystkich - powiedziałem. - Mamy pańska córkę. Jest w niezłym stanie. O ile wiem, ma jutro polecieć do domu jednym z pańskich samolotów.

- Z samego rana. Właśnie skończyłem ustalać wszystko z szeryfem Brothertonem.

- Czy mógłby pan przesunąć odlot na trochę późniejsze godziny ranne? Muszę załatwić w Copper City kilka spraw, a mam wrażenie, że pańska córka nie powinna podróżować bez opieki.

- Opóźnienie nie jest mi na rękę - powiedział. - Moja żona i ja chcemy jak najszybciej zobaczyć Doris.

- Czy mogę mówić z panią Biemeyer?

- Chyba tak - zgodził się niechętnie. - Stoi obok mnie. Usłyszałem dochodzącą z drugiego końca przewodu niewyraźną wymianę zdań, a potem głos Ruth Biemeyer.

- Pan Archer? Cieszę się, że pan dzwoni. Doris nie została aresztowana, prawda?

- Nie. Fred również jest na wolności. Chcę przywieźć ich jutro samolotem firmy. Ale nie wiem, czy uda mi się wydostać stąd wcześniej, niż o dwunastej w południe. Czy nie ma pani nic przeciwko temu?

- Nie.

- Dziękuję bardzo. Dobranoc, pani Biemeyer. Odłożyłem słuchawkę i oznajmiłem szeryfowi, że Doris, Fred i ja odlecimy nazajutrz o dwunastej. Nie zgłaszał obiekcji. W wyniku rozmowy, jaką odbyłem przez telefon, spłynęła na mnie część potęgi Biemeyerów.

Korzystając z tego dotrzymałem słowa i wstawiłem się za członkami sekty zamieszkującej Kanion Chantry'ego oraz oznajmiłem, że biorę odpowiedzialność za Freda. Szeryf zgodził się. Dodał też, że Doris spędzi noc w jego domu.

Fred i ja wynajęliśmy dwuosobowy pokój w motelu. Miałem ochotę się napić, ale sklep był zamknięty i nawet piwo okazało się nieosiągalne. Nie miałem szczotki do zębów ani maszynki do golenia. Byłem zmęczony jak wół.

Ale kiedy usiadłem na łóżku, poczułem się zadziwiająco dobrze. Dziewczyna była bezpieczna. A chłopak znajdował się w moich rękach.

Fred wyciągnął się na łóżku, plecami do mnie. Jego ramiona drgały spazmatycznie, a z ust wydobywał się dźwięk przypominający czkawkę. Zdałem sobie sprawę, że płacze.

- O co chodzi, Fred?

- Wie pan dobrze, o co. Moja kariera jest skończona i to na zawsze. Zanim się w ogóle zaczęła. Stracę posadę w muzeum. Pewnie wsadzą mnie do więzienia i wie pan, co się wtedy ze mną stanie. - Kłębki waty, które miał w nosie, tłumiły jego głos.

- Czy byłeś już karany?

- Nie. Oczywiście, że nie. - Wydawał się zaszokowany moim przypuszczeniem. - Nigdy nie miałem żadnych kłopotów.

- Więc pewnie ci się uda uniknąć więzienia.

- Naprawdę? - Usiadł na łóżku i spojrzał na mnie wilgotnymi, zaczerwienionymi oczami.

- Chyba że zaszły jakieś nie znane mi okoliczności. Dotąd nie rozumiem, dlaczego wzięłeś ten obraz z domu Biemeyerów.

- Chciałem go zbadać. Mówiłem panu już o tym. Doris sama zaproponowała, bym go zabrał. Interesowała się tą sprawą tak samo jak ja.

- Ale czego się chciała dowiedzieć?

- Czy jest to naprawdę Chantry. Chciałem wykorzystać moje wiadomości fachowe. Pokazać im, że nadają się do czegoś - dodał stłumionym głosem.

Usiadł na krawędzi łóżka, stawiając stopy na podłodze. Ten trzydziestoletni chłopiec był młody jak na swój wiek i choć niewątpliwie inteligentny, zachowywał się dość głupio. Widocznie ponury dom na Olive Street nie nauczył go wiele na temat spraw tego świata.

Potem przypomniałem sobie, że nie mogę zbyt bezkrytycznie wierzyć w jego dziwną opowieść. W końcu sam się przyznał, że jest kłamcą.

- Jesteś ekspertem - powiedziałem - więc chciałbym usłyszeć twoją opinię o tym obrazie.

- W gruncie rzeczy nie jestem ekspertem.

- Ale masz prawo wypowiedzieć się jako fachowiec. Znasz dobrze twórczość Chantry'ego. Czy uważasz, że to on namalował ten obraz Biemeyerów?

- Owszem, proszę pana. Tak uważam. Ale muszę dodać kilka zastrzeżeń.

- Proszę bardzo, zrób to.

- No więc... z całą pewnością nie ma on dwudziestu pięciu lat. Farba jest jeszcze świeża, mogła zostać położona nawet w tym roku. I oczywiście styl uległ zmianie. To zupełnie naturalne. Wydaje mi się, że jest to styl Chantry'ego, jego dojrzalszy styl, ale nie potrafię przysiąc, dopóki nie zobaczę jego innych, niedawno malowanych obrazów. Nie można sformułować teorii czy opinii na podstawie jednego dzieła.

Miałem wrażenie, że przemawia jak ekspert, a w każdym razie jak doświadczony znawca. Rzetelnie traktował temat przestając wreszcie myśleć o własnych kłopotach. Postanowiłem zadać mu trudniejsze pytanie.

- Dlaczego powiedziałeś poprzednio, że obraz został ukradziony z twojego domu?

- Sam nie wiem. Musiałem mieć źle w głowie. - Opuścił wzrok na swe zakurzone buty. - Chyba bałem się wciągnąć w to muzeum.

- W jaki sposób?

- W jakikolwiek. Gdyby dowiedzieli się, że wziąłem ten obraz na własną rękę, wyleliby mnie z pracy. Teraz zrobią to na pewno. Nie mam żadnej przyszłości.

- Każdy ma przyszłość, Fred.

Słowa te nie zabrzmiały zbyt przekonująco, nawet dla mnie. Przyszłość często okazywała się katastrofalna, i miałem wrażenie, że tak właśnie będzie w wypadku Freda. Zwiesił głowę, jakby przytłoczony ciężarem zagrażającego mu niebezpieczeństwa.

- Największe głupstwo zrobiłeś zabierając z sobą Doris.

- Wiem. Ale chciała jechać ze mną.

- Po co?

- Żeby zobaczyć Mildred Mead, o ile by mi się udało ją znaleźć... Jak pan wie, była ona główną przyczyną kłopotów rodzinnych Doris. Myślałem, że dobrze będzie, jeśli Doris z nią porozmawia. Rozumie pan?

Rozumiałem. Podobnie jak inni bezradni i zagubieni głupcy, Fred odczuwał potrzebę pomagania ludziom, leczenia ich za pomocą psychoterapii, nawet jeśli mogło ich to załamać. Tymczasem właśnie on najbardziej chyba jej potrzebował. Pilnuj się - powiedziałem do siebie - bo sam będziesz próbował udzielać Fredowi tego rodzaju pomocy. Spójrz na swe własne życie, Archer.

Ale wolałem tego nie robić. Wybrany temat moich dociekań byli inni: zaszczuci ludzie w wynajętych pokojach, starzejący się chłopcy, osiągający wiek męski i z zapadnięciem nocy stający się nagle starcami. Jeśli sam jesteś lekarzem, to nie potrzebujesz terapii. Jeśli jesteś myśliwym, to nie mogą na ciebie polować. Ale czy na pewno?

- Doris przeżywa ciężki okres - stwierdził Fred. - Próbowałem pomóc jej się pozbierać.

- Wywożąc ją samochodem na koniec świata?

- Sama chciała jechać. Uparła się. Myślałem, że lepiej ją zabrać, niż zostawić na miejscu, żeby siedziała sama w mieszkaniu i faszerowała się narkotykami.

- Masz sporo racji.

Posłał mi szybki, nieśmiały uśmiech, który pojawił się i zniknął pod osłoną jego wąsów.

- Poza tym musi pan pamiętać, że te strony nie są dla Doris końcem świata. Urodziła się w Copper City i spędziła w Arizonie co najmniej połowę życia. Tu jest jej dom.

- Nie był to bardzo szczęśliwy powrót do domu.

- Nie. Była okropnie rozczarowana. Myślę, że nie ma powrotu, jak mówi Thomas Wolfe.

Wspominając wysoki budynek ze spadzistym dachem, w którym mieszkał Fred z rodzicami, zastanawiałem się, kto chciałby do niego powracać.

- Czy zawsze mieszkałeś w Santa Teresa? Namyślał się przez chwilę.

- Od kiedy byłem małym chłopcem, zajmowaliśmy ten sam dom na Olive Street - powiedział w końcu. - Nie zawsze był on taką rudera, jak teraz. Matka dbała o niego dużo bardziej, ja jej pomagałem, i mieliśmy różnych lokatorów, pielęgniarki ze szpitala i tak dalej. - Mówił takim tonem, jakby posiadanie lokatorów było przywilejem. - Najlepszy okres przeżyliśmy przed przyjazdem ojca z Kanady. - Spojrzał nad moją głową na ścianę, na której odbijał się cień mojej zgarbionej sylwetki.

- Co robił w Kanadzie?

- Miał różne posady, głównie w Kolumbii Brytyjskiej. Dawniej lubił pracę. Wydaje mi się, że już wtedy nie żyli dobrze z matką. Potem zdałem sobie sprawę, że właśnie dlatego przebywał z dala od niej. Ale dla mnie było to dość przykre. O ile pamiętam, zobaczyłem mojego ojca po raz pierwszy, kiedy miałem sześć czy siedem lat.

- Ile masz teraz, Fred?

- Trzydzieści dwa - wyznał niechętnie.

- Miałeś dość czasu, by wyleczyć urazy spowodowane nieobecnością ojca.

- Wcale nie o to mi chodziło. - Był urażony, zły i rozczarowany moją postawą. - Nie zamierzam się usprawiedliwiać jego kosztem.

- Tego nie twierdziłem.

- W gruncie rzeczy był dla mnie dobrym ojcem. - Zastanowił się nad swym stwierdzeniem i wprowadził do niego poprawkę. - W każdym razie, w tym pierwszym okresie, po jego powrocie z Kanady. Zanim zaczął tyle pić. Naprawdę go wtedy kochałem. Czasem wydaje mi się, że nadal go kocham, mimo tych wszystkich okropnych wybryków.

- Jakich wybryków?

- Gada bzdury, ryczy, łamie meble, grozi matce, wybucha płaczem. Nie tyka żadnej pracy. Zajmuje się swoimi wariackimi maniactwami, pije tanie wino i tylko do tego się

nadaje. - Jego ostrzejszy teraz głos podnosił się i opadał, jak lament rozwścieczonej żony. Zastanawiałem się, czy Fred nie imituje podświadomie swojej matki.

- Kto przynosi mu wino?

- Matka. Nie wiem, dlaczego to robi, ale stale mu je dostarcza. Czasem - dodał niemal niedosłyszalnym głosem - czasem myślę, że robi to z zemsty.

- Za co miałyby się mścić?

- Za to, że zrujnował siebie, własne życie i jej życie.

Kiedyś zauważyłem, że stoi patrząc, jak on zatacza się od ściany do ściany, jakby widok jego degrengolady sprawiał jej przyjemność. A równocześnie jest jego oddaną niewolnicą i kupuje mu alkohol. To inna forma zemsty - bardziej subtelna. Jest kobietą, która wyrzekła się kobiecości.

Fred zaskoczył mnie. Sięgając w głąb życia, które stanowiło tło jego kłopotów, pozbył się objawów swego głupiego kompleksu niższości. Jego głos stał się poważniejszy. Szczupła, chłopcęca twarz i długi nos niemal przestały razić w zestawieniu z jego wąsami. Poczułem, że budzi się we mnie coś w rodzaju szacunku dla Freda, a nawet nadziei.

- To nieszczęśliwa kobieta - powiedziałem.

- Wiem. Oboje są nieszczęśliwi. To fatalnie, że się zeszli. Bardzo źle dla obojga. Sądzę, że mój ojciec, zanim stał się wykołajeńcem, miał kiedyś zadatki na wspaniałego człowieka. Matka oczywiście nie dorasta do niego pod względem umysłowym i przypuszczam, że ubolewa z tego powodu, ale też sporo osiągnęła. Jest fachową dyplomowaną pielęgniarką i potrafiła wytrwać w swym zawodzie opiekując się równocześnie ojcem. Nie przyszło jej to bez trudu.

- Ludzie z reguły robią to, co muszą.

- Ona zrobiła więcej. Umożliwiła mi naukę w college'u. Nie wiem, skąd brała na to pieniądze.

- Miała jakieś dodatkowe dochody?

- Tylko do chwili, kiedy wyprowadził się ostatni lokator. Było to dawno temu.

- A w dodatku, jak słyszałem ubiegłej nocy, straciła posadę w szpitalu.

- Niezupełnie tak było. Sama zrezygnowała. - Głos Freda stracił męski ton i stał się bardziej piskliwy. - W tym pensjonacie La Paloma zaproponowano jej o wiele lepsze warunki.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne, Fred.

- Naprawdę. - Podniósł głos jeszcze bardziej; jego oczy błyszczały niezdrowo, wąsy były nastroszone. - Czy zarzuca pan mojej matce kłamstwo?

- Ludzie popełniają pomyłki.

- Sam pan zrobił błąd, wyrażając się w ten sposób o mojej matce. Żądam, żeby pan to odwołał.

- Ale co?

- To, co powiedział pan o matce. Ona nie handluje narkotykami.

- Nigdy jej tego nie zarzucałem, Fred.

- Ale sugerował pan to. Sugerował pan, że wyrzucili ją ze szpitala, bo kradła narkotyki, żeby nimi handlować.

- Czy tak twierdziły władze szpitala?

- Tak. To banda sadystycznych łgarzy. Moja matka nigdy nie postąpiłaby w taki sposób. Zawsze była uczciwą kobietą. - Wzbierające w jego oczach łzy zostały na policzkach wilgotne ślady. - Ja nie byłem porządnym człowiekiem. Żyłem w krainie fantazji. Teraz dopiero to widzę.

- Co masz na myśli, Fred?

- Miałem nadzieję, że uda mi się dokonać odkrycia, które zapewni mi sławę w kręgach ludzi sztuki. Myślałem, że jeśli dotrę do panny Mead, ona pomoże mi znaleźć tego malarza, Chantry'ego. Ale wyszedłem tylko na durnia i naraziłem całą rodzinę na jeszcze większe kłopoty.

- Zrobiłeś to, co mogłeś, Fred.

- To nieprawda. Jestem głupcem!

Odwrócił się do mnie plecami. Jego oddech stawał się stopniowo coraz wolniejszy. Ja również coraz rzadziej wciągałem powietrze. Tuż przed zaśnięciem zdałem sobie sprawę, że zaczynam go lubić.

Obudziłem się jeden raz, w środku nocy, czując ciężar przygniatającej mnie góry. Zapaliłem małą lampkę stojącą obok łóżka. Zacieki na ścianach przypominały niewyraźne ślady złych snów.

Nie próbowałem ich odczytać. Zgasilem światło i znów zapadłem w sen, oddychając w rytm oddechu mego niemądrego pseudosyna.

23

Kiedy wstawałem następnego ranka, Fred jeszcze spał. Zasłaniał oczy ramieniem, jakby bał się światła nowego dnia. Poprosiłem dyżurującego na posterunku oficera, by miał go na oku. Potem wyruszyłem swym wynajętym wozem do Copper City, kierując się w stronę zawieszoną nad hutą chmury dymu.

Fryzjer ogolił mnie za cztery dolary. Za podobną kwotę otrzymałem śniadanie oraz wskazówki, jak dotrzeć do oddziału Southwestern Savings.

Bank leżał w centrum, w dzielnicy handlowej; wyglądała ona jak fragment południowej Kalifornii, który oderwał się i przeleciał nad pustynią. Otaczające ją miasteczko wydawało się być pozbawione wszelkich sił żywotnych przez leżącą opodal kopalnię i stałe wdychanie wyziewów huty. Dym unosił się nad miastem jak wielka, groteskowa flaga.

Napis na szklanych drzwiach Southwestern Savings poinformował mnie, że bank jest czynny od dziesiątej. Na moim zegarku dochodziła dopiero dziewiąta. Robiło się coraz goręcej.

Wszedłem do budki telefonicznej i zacząłem szukać Paula Grimesa w spisie abonentów. Nie figurował w nim, ale znalazłem dwa numery jego żony: jeden w mieszkaniu prywatnym, drugi zaś w firmie: „P. Grimes - Przybory Malarskie i Szkolne”. Stwierdziłem, że mieści się ona w centrum, o kilka kroków od mojej budki.

Był to mały sklepik na bocznej ulicy, pełen artykułów papierniczych i reprodukcji, ale opuszczony przez klientów. Głębokie, ciemne, wąskie wnętrza przypominało mi prehistoryczną, malowaną jaskinię, choć wiszące na ścianach nowoczesne obrazy nie były tak realistyczne jak malowidła jaskiniowców.

Kobieta, która wyszła z zaplecza, wyglądała jak siostra Paoli. Miała szerokie ramiona, duży biust, równie ciemną cerę i wydatne kości policzkowe. Jej strój składał się z haftowanej bluzki, obszytej grzechoczącymi koralikami, długiej, obszernej spódnicy i sandałów.

Miała czarne, błyszczące żywo oczy i delikatne rysy. Odnosiłem wrażenie, że promieniuje z niej od dawna gromadzona, ale nie użytkowana energia.

- Czy mogę panu czymś służyć?

- Chyba tak. Jestem przyjacielem pani córki. - Przedstawiłem się.

- Oczywiście. Pan Archer. Paola wspominała o panu przez telefon. To pan znalazł ciało Paula?

- Tak. Bardzo mi przykro.

- I jest pan detektywem, prawda?

- Tak, właśnie tym się zajmuję. Spojrzała na mnie badawczo.

- Czy zajmuje się pan tym w tej chwili?

- Niestety, w tym zawodzie trzeba pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Czy jestem podejrzana?

- Nie wiem. Istnieją jakieś powody, żeby panią podejrzewać?

Potrząsnęła swą kształtną głową.

- Nie widziałam się z Paulem od przeszło roku. Rozwiedliśmy się wiele lat temu. Gdy Paola przestała być dzieckiem, nie mieliśmy żadnych powodów, żeby ze sobą zostać. Wszystko było już od dawna skończone.

Jej otwartość i bezpośredniość zrobiły na mnie dobre wrażenie. Musiała jednak zdać sobie sprawę, że powiedziała więcej, niż było to konieczne. Zasłoniła usta lewą dłonią. Zauważyłem, że jej czerwone paznokcie są niemal zupełnie obgryzione, i zrobiło mi się przykro, że ją wystraszyłem.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek podejrzewał panią o coś.

- I słusznie. Nie wyrządziłam Paulowi żadnej krzywdy, próbowałam tylko zrobić z niego mężczyznę. Paola może być innego zdania... zawsze brała jego stronę. Ale robiłam dla niego, co mogłam, gdy tylko dawał mi okazję. Prawdę mówiąc nie powinien się być w ogóle żenić.

Jej utajone życie i wspomnienia z czasów małżeństwa, wzbierające pod osłoną ciemnej, spokojnej twarzy, zdawały się niemal wypływać na powierzchnię.

Przypomniałem sobie informację otrzymaną od Paoli i spytałem wprost:

- Czy był homoseksualistą?

- Lubił mężczyzn i kobiety. W czasach, kiedy byłam jego żoną, nie zadawał się chyba z chłopcami. Ale zawsze lubił towarzystwo młodych ludzi, między innymi uczniów ze szkoły, w której wykładał. Nie było to zresztą takie złe. Kochał pracę nauczyciela.

- Ja też wiele się od niego nauczyłam - dodała w zamyśleniu. - Przede wszystkim nauczył mnie poprawnej angielszczyzny. Zmieniło to całe moje życie. Ale w jego życiu coś się popsuło. Może z mojej winy. Nie umiał się ze mną obchodzić. - Niecierpliwie poruszyła biodrami. - Zawsze twierdził, że wykoleił się przeze mnie. Może miał rację.

Pochyliła głowę i mocno zacisnęła pięści.

- Miałam dawniej trudny charakter. Dochodziło między nami do awantur, nawet do bójek. Ale też bardzo go kochałam. Paul nie był we mnie naprawdę zakochany. W każdym razie odkąd przestałam być jego uczennicą i stałam się żoną.

- Kogo kochał?

Zastanowiła się nad moim pytaniem.

- Paolę. Naprawdę ją kochał, choć nie wyszło jej to na dobre. Kochał też niektórych swoich studentów.

- Czy dotyczy to również Richarda Chantry?

Jej posępne spojrzenie zwróciło się do wewnątrz, ku przeszłości. Niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową.

- Tak, kochał Richarda Chantry.

- Czy byli kochankami w sensie dosłownym?

- Chyba tak. Tak uważała młoda pani Chantry. Prawdę mówiąc zastanawiałam się, czy nie zażądać rozwodu.

- Skąd pani wie?

- Kiedy Paul wprowadził się do nich, złożyła mi wizytę. Chciała, żebym przerwała ich związek, tak przynajmniej wtedy twierdziła. Teraz podejrzewam, że zamierzała użyć mnie jako świadka przeciw swemu mężowi, gdyby doszło do sprawy rozwodowej. Nic jej nie powiedziałam.

- Gdzie odbyła się ta rozmowa?

- Tutaj, w tym sklepie.

Zastukała w podłogę czubkiem buta, wyginając się kokieteryjnie. Należała do kobiet, których erotyzm przybrał z wiekiem utajoną formę, ale w razie prowokacji mógł wybuchnąć na nowo. Stałem zupełnie nieruchomo.

- Kiedy odbyła pani tę rozmowę z panią Chantry?

- Musiało to być w roku 1943, na początku lata. Dopiero co otworzyliśmy ten sklep. Paul pożyczył od Richarda sporo gotówki, żeby urządzić go i wyposażyć. Pieniądze miały być zaliczką na poczet dalszych lekcji malarstwa. Ale Richard nigdy ich nie odzyskał. Oboje z żoną przenieśli się do Kalifornii, jeszcze przed końcem tego lata. - Parsknęła śmiechem tak gwałtownie, że koraliki zagrzechotały głośno. - Był to najbardziej desperacki postępek, jaki widziałam w życiu.

- Dlaczego pani tak uważa?

- Jestem absolutnie pewna, że był to jej pomysł. Przeprowadziła wszystko w pośpiechu, w ciągu jednego dnia, byle tylko wywieźć Richarda poza granice stanu i wyrwać go spod wpływu mojego męża. Ja sama byłam zadowolona, że ta para się rozpadła. - Wymownym gestem uniosła rozłożone dłonie i ramiona, potem opuściła je znowu.

- Ale w końcu obaj wylądowali w Santa Teresa - powiedziałam. - Ciekaw jestem dlaczego. I po co pani były mąż i Paola pojechali w tym roku do Santa Teresa?

Powtórzyła swój poprzedni gest, unosząc dłonie i ramiona, ale tym razem chciała chyba dać mi do zrozumienia, że nie potrafi odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

- Nie wiedziałam, że się tam wybierają. Nic mi nie mówili. Po prostu wyjechali.

- Czy myśli pani, że miał z tym jakiś związek Richard Chantry?

- Wszystko jest możliwe. Ale moim zdaniem - twierdzą to zresztą od dawna - Richard Chantry nie żyje.

- Zamordowano go?

- Niewykluczone. Takie rzeczy zdarzają się wśród homoseksualistów i biseksualistów, czy jak tam się to nazywa. Sporo ich spotykam, pracując w tej branży. Niektórzy zadają się z przestępcami, niemal jakby sami szukali śmierci. Albo odchodzą gdzieś samotnie i popełniają samobójstwo. Być może tak właśnie postąpił Richard Chantry. Z drugiej strony może znalazł jakąś bratnią duszę i żyje sobie szczęśliwie w Algierii czy na Tahiti.

Uśmiechnęła się bez sympatii, ale bardzo szeroko; zauważyłem, że brak jej jednego z trzonowych zębów. Doszedłem do wniosku, iż podupała nieco tak w dziedzinie życia uczuciowego, jak i urody.

- Czy pani mąż również zadawał się ze światem przestępczym?

- Być może. Spędził trzy lata w więzieniu federalnym - pewnie pan o tym słyszał. Na dodatek do wszystkiego innego był jeszcze narkomanem.

- Tak mi mówiono. Ale podobno zerwał z tym.

Nie odpowiedziała na moje zakamuflowane pytanie, a ja nie sformułowałem go w sposób bardziej bezpośredni. Przyczyną śmierci Grimesa nie była heroina czy jakiś inny narkotyk. Został śmiertelnie pobity - podobnie jak William Mead.

- Czy znała pani Williama, przyrodniego brata Richarda Chantry? - spytałem.

- Tak. Poznałam go za pośrednictwem jego matki, Mildred Mead. Była słynną w tych stronach modelką. - Zmrużyła oczy, jakby przypomniawszy sobie jakiś zaskakujący szczegół. - Wie pan co, ona też jest w Kalifornii.

- Ale gdzie?

- W Santa Teresa. Przesłała mi stamtąd pocztówkę.

- Czy nie wspomniała w niej o Jacku Biemeyerze? On też mieszka w Santa Teresa.

Ściągnęła swe ciemne brwi.

- Chyba nie. Wydaje mi się, że nie wymieniała żadnych nazwisk.

- Czy ona i Biemeyer są nadal przyjaciółmi?

- Wątpię. Jak pan zapewne wie, odziedziczył on Mildred po starym Felixie Chantry. Zamknął ją w tym domu w górach i był jej kochankiem przez wiele lat. Ale wydaje mi się, że zerwał z nią na jakiś czas przed przejściem na emeryturę. Mildred była od niego sporo starsza. Długo nie wyglądała na swoje lata, ale teraz zaczyna je odczuwać. Napisała to wyraźnie w tej pocztówce, którą od niej dostałam.

- Czy podała pani swój adres?

- Zatrzymała się w motelu w Santa Teresa. Napisała mi, że szuka jakiegoś stałego locum.

- W którym motelu? Na jej twarzy odbił się wysiłek myślowy.
- Niestety nie pamiętam. Ale jego nazwa jest na odwrocie pocztówki. Spróbuję ją znaleźć.

24

Weszła do mieszczącego się za sklepem kantorka i wróciła po chwili z pocztówką w ręku. Była to kolorowa fotografia Siesta Village - jednego z nadbrzeżnych moteli, wzniesionych niedawno w Santa Teresa. Na odwrocie napisał ktoś drżącą ręką adres Juanity Grimes w Copper City, a obok tekst:

Droga Nito

Mieszka tu na razie, dopóki nie znajdę czegoś lepszego. Nie odpowiada mi ta mglista pogoda i prawdę mówiąc czuję się dość kiepsko. Klimat Kalif, jest przereklamowany. Nie mów o tym nikomu, ale szukam jakiegoś domu opieki, w którym mogłabym pomieszkać jakiś czas i wrócić do sił. Nie martw się o mnie, mam tu przyjaciół.

Mildred

Zwróciłem pocztówkę pani Grimes.

- Wygląda na to, że Mildred ma jakieś kłopoty. Potrząsnęła głową, nie po to, by zaprzeczyć, lecz by odrzucić od siebie tę myśl.
- Być może. Mildred nie miała zwyczaju skarżyć się na zdrowie. Zawsze była twarda. Musi mieć już ponad siedemdziesiątkę.
- Kiedy dostała pani od niej tę pocztówkę?
- Ze dwa miesiące temu. Wysłałam odpowiedź na adres tego motelu, ale więcej już się nie odezwała.
- Czy wie pani, kim są ci jej przyjaciele z Santa Teresa?
- Niestety nie. Mildred zawsze była dyskretna w sprawach dotyczących przyjaciół. Miała bardzo bogate życie, mówiąc ogólnie. Ale w końcu dopadła ją starość. - Opuściła wzrok i spojrzała przelotnie na: własną figurę. - Przeżyła w swoim czasie sporo kłopotów. Nie starała się ich zresztą unikać. Miała zawsze więcej temperamentu, niż jej było potrzeba.
- Czy była pani jej bliską przyjaciółką?
- Równie bliską, jak inne kobiety w mieście. Nie przyjaźniła się... nie przyjaźni się z kobietami. Była przyjaciółką mężczyzn, ale nigdy nie wyszła za mąż.
- Tak słyszałem. Więc William był nieślubnym synem? Kiwnęła głową.

- Przeżyła długi romans z Felixem Chantry, tym, który rozbudował kopalnię miedzi. William był jego dzieckiem

- Czy dobrze znała pani Williama?

- Oboje z Paulem widywaliśmy go dość często. By również dobrze zapowiadającym się malarzem, dopóki nie wzięli go do wojska. Paul twierdził, że jest potencjalnie zdolniejszy niż jego brat Richard. Ale nie rozwinął swego talentu. Został zamordowany przez nieznanego sprawcę w lecie 43 roku.

- A więc w tym samym czasie, kiedy Richard z żoną przenieśli się do Kalifornii?

- W tym samym czasie - powtórzyła posępnie. - Nigdy nie zapomnę tego lata. Mildred przyjechała z Tucson Mieszkała tam wtedy z jakimś malarzem... by zidentyfikować w kostnicy zwłoki biednego Williama. Potem przyszła do mnie i w rezultacie została na noc. Była wtedy zdrowa i silna - nie przekroczyła jeszcze czterdziestki - ale śmierć syna była dla niej strasznym wstrząsem. Weszła do mojego domu jak stara kobieta. Usiadłyśmy w kuchni i wypiliśmy we dwie butelkę whisky. Zawsze dobrze się z nią rozmawiało, ale tej nocy nie powiedziała chyba ani słowa. Była całkowicie załamana. Wie pan, William był jej jedynym dzieckiem i naprawdę go kochała.

- Czy podejrzewała, kto mógł go zabić?

- Jeśli tak, to nic mi o tym nie, mówiła. Ale nie sądzę. Było to nie wyjaśnione zabójstwo. I pozostało do dziś nie wyjaśnione.

- A pani zastanawiała się nad tym problemem?

- Myślałam wtedy, że to jedno z tych bezsensownych zabójstw. Nadal tak uważam. Biedny William jechał autostopem, źle wybrał towarzyszy podróży i został zapewne zamordowany w celach rabunkowych. - Wpatrywała się uważnie w moją twarz, jakby wyglądając przez zaparowane okno. - Widzę, że nie wierzy pan w tę wersję.

- Może być prawdziwa. Ale wydaje mi się zbyt uproszczona. Być może William źle wybrał towarzyszy podróży, ale nie sądzę, żeby ich nie znał.

- Naprawdę? - Pochyliła się w moją stronę. Rozdziałek na jej głowie był biały i prosty jak droga wiodąca przez pustynię. - Uważa pan, że William został celowo zamordowany przez kogoś, kogo znał? Na czym opiera pan swe przypuszczenie?

- Głównie na dwóch szczegółach. Rozmawiałem o tym morderstwie z policjantami i odniosłem wrażenie, że nie powiedzieli mi wszystkiego, co wiedzą, że cała sprawa mogła zostać - świadomie lub nieświadomie - zatuszowana. Wiem, że to nie brzmi przekonująco. Moje drugie odczucie jest jeszcze bardziej mgliste. Ale chyba przywiązuję do niego większą wagę. Prowadziłem dochodzenie w sprawie wielu dziesiątków morderstw i często miałem do

czynienia z wielokrotnymi zabójcami. Niemal w każdym wypadku popełnione przez nich zabójstwa miały jakąś wspólną cechę. Prawdę mówiąc, im dokładniej badamy serię przestępstw czy jakikolwiek zespół okoliczności związanych z jakąś grupą osób, tym więcej odkrywamy łączących je związków.

Nadal wpatrywała się w moją twarz - miałem wrażenie, że chce przeniknąć w głąb mego umysłu.

- Więc sądzi pan, że śmierć Paula, który umarł ubiegłej nocy, ma jakiś związek z zabójstwem Williama Meada, dokonanym w roku 43?

- Owszem. Mam taką teorię.

- Ale jaki związek?

- Nie wiem tego na pewno.

- Myśli pan, że obu zabił ten sam człowiek? - Pomimo swego wieku mówiła jak młoda dziewczyna, strasząca sama siebie opowiadaniem, którego zakończenie mogło być jeszcze bardziej przerażające. - Kto to mógł być?

- Nie chcę pani nic sugerować. Zna pani najwyraźniej wszystkich podejrzanych.

- To znaczy, że podejrzewa pan więcej niż jedną osobę?

- Dwie lub trzy.

- Ale kogo?

- Niech pani mi podpowie, pani Grimes. Jest pani inteligentną kobietą. Zna pani chyba wszystkie osobi zamieszane w tę sprawę i wie pani o nich więcej, niż ja kiedykolwiek się dowiem.

Oddychała głęboko i jej piersi falowały gwałtowniej. Udało mi się jednak poruszyć ją i zainteresować. Być może miała wrażenie, że wszystko, co zrobi lub powie, może jednak wpłynąć na całą sprawę i na wizerunek jej nieżyjącego męża.

- Czy będę cytowana? - spytała.

- Nie przeze mnie.

- W porządku, więc powiem panu coś, o czym nikt prawie nie wie. Wyciągnęłam to z Mildred Mead.

- Tej nocy, kiedy wypiliśmy we dwie butelkę whisky?

- Nie. Jakiś czas przedtem, wkrótce po powołaniu do wojska jej syna, Williama. Musiało to być w 1942. Mildred powiedziała mi, że zrobił dziecko jakiejś dziewczynie i musiał się z nią ożenić. Ale w gruncie rzeczy był zakochany w żonie Richarda Chantry. A ona w nim.

- Czy sugeruję pani, że Williama zabił Richard?

- Mówię panu tylko, jaki miał motyw.

- Ale twierdziła pani, że Richard Chantry był homoseksualistą?

- Lubił i mężczyzn, i kobiety, tak jak mój mąż. Jedno nie wyklucza drugiego - przekonałam się o tym na własno skórze.

- Czy myśli pani, że Richard Chantry zabił również pani męża?

- Nie wiem. Być może. - Wyjrzała za moimi plecami na jasną, opustoszałą ulicę. - Nikt najwyraźniej nie ma pojęcia, gdzie przebywa Richard i co robi. Wszyscy wiedzą, że odszedł dwadzieścia pięć lat temu.

- Ale dokąd odszedł? Czy ma pani jakąś koncepcję?

- Mam. Przyszło mi to do głowy, gdy dowiedziałam się o śmierci Paula. Pomyślałam, że może Richard ukrywał się w Santa Teresa. Paul go zobaczył i trzeba mu było zamknąć usta. - Zwiesiła głowę i kołysała nią posępnie w obie strony. - Wiem, że to okropne podejrzenia, ale takie właśnie mi się nasunęły.

- Mnie również - stwierdziłem. - A co o tym wszystkim myśli pani córka, Paola? Podobno rozmawiała pani z nią przez telefon.

Pani Grimes przygryzła dolną wargę i spojrzała w przestrzeń.

- Niestety, nie wiem, co ona myśli. Trudno nam się ze sobą porozumieć. Czy rozmawiała z panem?

- Tuż po morderstwie. Przeżywała jeszcze skutki szoku.

- Chyba nadal je odczuwa. Czy mógłby się pan z nią zobaczyć po powrocie do Santa Teresa?

- Zamierzałem to zrobić.

- Dobrze. Weźmie pan dla niej trochę pieniędzy? Mówi, że została w kompletnej nędzy.

- Chętnie. Gdzie mieszka?

- W hotelu Monte Christo.

- Sądząc z nazwy, to wytworny hotel.

- Ale tylko z nazwy.

- Więc dobrze. - Wręczyła mi dwie wyjęte z kasy dwudziesto-dolarówki i jedną dziesiątkę. - Powinno jej to w każdym razie wystarczyć na kilkudniowy pobyt.

Robiło się późno. Wróciłem do banku Southwestern Savings, który był już czynny, i podszedłem do siedzącej przy biurku przystojnej urzędniczki. Stojąca na bladli tabliczka z nazwiskiem poinformowała mnie, że mam dal czynienia z panią Conchitą Alvarez.

- Szukam znajomej, która nazywa się Mildred Mead - II powiedziałem, podawszy jej swoje nazwisko. - O ile wiem jest waszą klientką.

Pani Alvarez niemal przewierciła mnie spojrzeniem. Musiała dojść do wniosku, że nie jestem przestępcą, b(pochyliła nieco swą ciemną błyszczącą głowę.

- Owszem. Była nią. Ale przeniosła się do Kalifornii.

- Do Santa Teresa? Często mówiła, że chce tam wyje chać.

- I tak właśnie Zrobiła.

- Czy może pani podać mi jej adres? Jadę akurat do Santa Teresa. Pan Biemeyer oddał mi do dyspozycji jedei z samolotów firmy.

Pani Alvarez wstała z krzesła.

- Zobaczę, czy uda mi się go znaleźć.

Zniknęła za drzwiami i pozostała za nimi przez dłuższą chwilę. Kiedy wróciła, na jej twarzy malowało się jakby rozczarowanie.

- Jedyne miejsce pobytu pani Mead, jakie mamy w ak tach, to motel o nazwie Siesta Village. Ale jest to adres sprzed dwu miesięcy.

- Czy tam właśnie wysyłacie jej raty za dom?

- Nie. Sprawdziłam to. Wynajęła sobie skrytkę pocztową. - Pani Alvarez zerknęła na trzymany w ręku skrawek papieru. - Numer 121.

- W Santa Teresa?

- Tak, w głównym urzędzie pocztowym Santa Teresa. Pojechałem na lotnisko i oddałem wynajęty wóz. Piło odrzutowca firmy grzał silniki - Fred i Doris byli już ni pokładzie. Nie siedzieli razem. Doris zajmowała miejsd tuż za kabiną pilotów, Fred zaś - z tyłu. Miałem wrażenie że nie rozmawiają z sobą, może ze względu na obecność stojącego w drzwiach szeryfa. Powitał mnie z wyraźną ulgą.

- Bałem się, że pan nie zdąży. A wtedy musiałbym sam wybrać się do Kalifornii.

- Miał pan z nim jakieś kłopoty?

- Nie. - Spojrzał chłodno na Freda, który odwrócił wzrok. - Ale doszedłem do tego, że nie ufam nikomu, kto nie przekroczył czterdziestki.

- Niestety, zasługuję w takim razie na pańskie zaufanie.

- No tak, chyba zbliża się pan do pięćdziesiątki, co? A ja kończę w przyszłym roku sześćdziesiąt. Nie spodziewałem się tego, ale teraz liczę już dni do emerytury. Świat się zmienia, sam pan zresztą wie.

Ale nie dość szybko - pomyślałem. - Nadal jest to świat, w którym mając pieniądze, można kupić informacje lub milczenie.

Odrzutowiec piął się w górę, lecąc długo po linii prostej. Na lewo ode mnie rozciągały się rozległe, suche sawanny Meksyku. Na prawo wznosił się na wysokość przeszło dziesięciu tysięcy stóp szczyt dominującej nad Tucson góry. W miarę, jak posuwaliśmy się na północ, uciekał z wolna w tył, niby wędrująca piramida.

Fred odwrócił się ode mnie i obserwował przesuwany się pod nami krajobraz. Dziewczyna siedząca za kabiną pilota wydawała się równie zamyślona i odległa. Na horyzoncie wyrastał zamglony łańcuch skalnych szczytów.

Fred spojrzął na widoczne przed nami góry, jakby były to ściany więzienia, w którym zostanie zamknięty. Potem odwrócił się w moją stronę.

- Jak pan myśli, co mi zrobią?

- Nie wiem. To zależy od dwu rzeczy. Czy odzyskamy obraz i czy zdecydujesz się opowiedzieć całą historię.

- Opowiedziałem ją panu wczoraj wieczorem.

- Zastanawiałem się nad nią i nie jestem pewien, czy to prawda. Myślę, że pominąłeś pewne istotne fakty.

- To niech pan sobie myśli.

- A nie mam racji?

Odwrócił głowę i spojrzął na wielki, zalany słońcem świat, w którym schronił się na dzień czy dwa. Zdawał się on odlatywać wstecz, ku przeszłości. Przed nami wyrastały skalne ściany i odrzutowiec z głośniejszym nieco wyciem silnika piął się w górę, by przelecieć ponad nimi.

- Co wzbudziło w tobie takie zainteresowanie losem; Mildred Mead? - zapytałem.

- Nic. Nie interesowałem się nią wcale. Nie wiedziałem nawet, kim była... powiedział mi to dopiero wczoraj pan Lashman.

- I nie wiedziałeś, że Mildred przeniosła się kilka miesięcy temu do Santa Teresa?

Odwrócił się ku mnie. Był nie ogolony, przez co wydawał się starszy i jakby bardziej skryty. Ale miałem wrażenie, że jego zdziwienie jest autentyczne.

- Oczywiście, że nie. Co ona tam robi?

- Przypuszczalnie szuka jakiegoś miejsca, w którym mogłaby się osiedlić. Jest starą, schorowaną kobietą.

- Nie wiedziałem o tym. Nic o niej nie wiem.

- Więc co obudziło twoje zainteresowanie obrazem Biemeyerów?

- Nie mogę tego powiedzieć - odparł, potrząsając głową. - Zawsze fascynowała mnie twórczość Chantry'ego. Zamiłowanie do obrazów nie jest przestępstwem.

- Chyba że się je kradnie, Fred.

- Ależ nie miałem zamiaru nic kraść. Pożyczyłem ten obraz tylko na jedną noc. Miałem zamiar odnieść go nazajutrz.

Doris zwróciła się w naszą stronę. Uklękła na siedzeniu i przyglądała się nam nad oparciem fotela.

- To prawda - potwierdziła. - Fred powiedział mi, że pożycza ten obraz. Nie robiłby tego, gdyby zamierzał go ukraść, prawda?

Chyba że chciał ukraść również ciebie - pomyślałem.

- Wydawałoby się to nielogiczne - odparłem. - Ale niemal wszystko można wytłumaczyć w logiczny sposób, kiedy zrozumiemy okoliczności.

Obdarzyła mnie długim, chłodnym, taksującym spojrzeniem.

- Naprawdę pan wierzy, że wszystko można rozwiązać z pomocą logiki?

- W każdym razie stosuję taką zasadę w mojej pracy - odparłem.

Wymownie podniosła wzrok ku niebu i uśmiechnęła się. Po raz pierwszy zobaczyłem jej uśmiech.

- Czy pozwoli mi pan posiedzieć chwilę koło Freda? - spytała.

Spod sumiastych wąsów młodego człowieka wyjrzał jego delikatny uśmiech. Poczzerwieniał z radości.

- Oczywiście, panno Biemeyer - powiedziałem. Zamieniłem się z nią miejscami i udałem, że zasypiam.

Rozmawiali spokojnie i cicho, zbyt cicho, bym mógł ich dosłyszeć wśród szumu silników. W końcu naprawdę zasnąłem.

Gdy się obudziłem, zataczaliśmy łuk nad morzem, kierując się w stronę lotniska w Santa Teresa. Samolot wylądował łagodnie i podkołował do budynku portu lotniczego, mieszczącego się w domu zajmowanym dawniej przez hiszpańskich misjonarzy.

Przy furtce czekał Jack Biemeyer. Gdy wysiedliśmy, zza jego pleców wybiegła żona. Zarzuciła Doris ręce na szyję.

- Och, mamó - powiedziała dziewczyna, wyraźnie speszona.

- Tak się cieszę, że nic ci się nie stało. Dziewczyna spojrzała na mnie ponad ramieniem matki, jak więzień wyglądający zza muru.

Biemeyer zaczął przemawiać do Freda. Potem podniósł głos do krzyku. Zarzucał mu gwałt i różne inne przestępstwa. Zapowiedział, że doprowadzi do skazania go na dożywotnie więzienie.

Oczy Freda zwilgotniały. Był bliski łez. Przygryzł wąsy dolnymi zębami. Ludzie wychodzący z budynku dworca lotniczego przyglądali się i przysłuchiwali z pewnej odległości.

Bąłem się, żeby nie doszło do czegoś poważniejszego. Podniecony własną gadaniną Biemeyer mógł posunąć się do aktu przemocy lub doprowadzić do niego wystraszonego Freda.

Wziąłem Freda pod ramię, przeprowadziłem przez dworzec i wyszedłem z nim na parking. Zanim zdążyłem go stamtąd zabrać, podjechał do nas wóz patrolowy. Wysiedli dwaj policjanci i aresztowali Freda.

Byli jeszcze na parkingu, kiedy z dworca lotniczego wyszła rodzina Biemeyerów. Biemeyer, jakby parodiując akt aresztowania Freda, chwycił córkę za łokieć i brutalnie popchnął na przednie siedzenie swego Mercedesa. Kazał żonie wsiadać. Odmówiła, gestykulując żywo. Odjechał.

Ruth Biemeyer stała samotnie na parkingu, sparaliżowana wstydem i błada z wściekłości. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że mnie nie poznaje.

- Czy coś się stało, proszę pani?

- Nie, nie. Ale mąż odjechał beze mnie. Co pana zdaniem powinnam teraz zrobić?

- Zależy, na co ma pani ochotę.

- Ale ja nigdy nie robię tego, na co mam ochotę - powiedziała. - Nikt w gruncie rzeczy nie postępuje tak, jak by chciał.

Zastanawiając się, na co w gruncie rzeczy miałaby ochotę Ruth Biemeyer, otworzyłem prawe drzwi samochodu.

- Odwiozę panią do domu.

- Nie chcę tam jechać - powiedziała wsiadając.

Sytuacja była dziwna. Biemeyerowie mimo tych wszystkich frazesów i wysiłków nie pragnęli chyba powrotu córki. Nie wiedzieli, jak się z nią obchodzić i co zrobić z Fredem. No cóż, ja sam byłem bezradny wobec tego problemu, przynajmniej do chwili wynalezienia jakiegoś innego świata dla ludzi, którzy nie bardzo pasowali do naszych warunków życia.

Zatrzasnąłem drzwi od strony Ruth Biemeyer i usiadłem za kierownicą. W samochodzie, który stał przez cały ten czas na parkingu, było gorąco i duszno. Uchyliłem okno.

Staliśmy na ponurym, bezbarwnym placu, wciśniętym pomiędzy lotnisko a szosę i zastawionym pustymi samochodami. W oddali migotała zmarszczona powierzchnia morza.

- Dziwny jest ten nasz świat - powiedziała pani Biemeyer tonem dziewczyny, która przysłała na pierwszą randkę i próbuje znaleźć temat do rozmowy.

- Zawsze taki był.

- Dawniej wydawał mi się inny. Nie wiem, co będzie z Doris. Nie może mieszkać w domu i nie potrafi radzić sobie sama. Nie mam pojęcia, co powinna zrobić.

- A co zrobiła pani?

- Wysłałam za Jacka. Może nie był to najwspanialszy mężczyzna na świecie, ale przynajmniej przeszliśmy jakoś przez życie. - Mówiła tak, jakby jej życie było już skończone.

- Miałam nadzieję, że Doris znajdzie sobie jakiegoś odpowiedniego młodego człowieka.

- Ma Freda.

- On nie jest właściwym kandydatem - powiedziała chłodno.

- Ale przynajmniej jest przyjacielem.

Przechyliła głowę, jakby zaskoczona, że ktokolwiek może zaprzyjaźnić się z jej córką.

- Skąd pan wie?

- Rozmawiałem z nim. Widziałem ich razem.

- On ją po prostu wykorzystywał.

- Nie wydaje mi się. Jednego jestem pewien: Fred, biorąc pani obraz, bynajmniej nie zamierzał go sprzedawać i nie zrobił tego z chęci zysku. Niewątpliwie ma na jego punkcie lekkiego bzika, ale to inna sprawa. Chciał przy jego pomocy rozwiązać zagadkę Chantry'ego.

- Wierzy pan w to? - spytała przyglądając mi się badawczo.

- Owszem, wierzę. Być może jest niezbyt zrównoważony. Każdy, kto pochodzi z takiej rodziny, miałby do tego prawo. Ale nie jest pospolitym złodziejem... ani niepospolitym zresztą także.

- Więc co się stało z obrazem?

- Zostawił go na noc w muzeum i ukradziono go stamtąd.

- Skąd pan wie?

- Sam mi powiedział.

- I pan mu wierzy?

- Niekoniecznie. Nie wiem, co się stało z obrazem. Wątpię, czy wie to również Fred.

Ale moim zdaniem nie zasługuje on na więzienie.

Podniosła na mnie wzrok.

- Więc tam go zawieźli?

- Tak. Może go pani wydostać, jeśli pani zechce.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Ponieważ, o ile się orientuję, jest on jedynym przyjacielem pani córki. A moim zdaniem Doris jest równie zrozpaczona jak Fred, może nawet bardziej.

Rozejrzała się po parkingu i otaczającym go płaskim terenie. Na horyzoncie wylaniały się z podmytej przez przypyływy skarpy strzeliste baszty uniwersytetu.

- Dlaczego miałaby być zrozpaczona? - spytała. - Daliśmy jej wszystko. Przecież ja w jej wieku byłam w szkole sekretarek, a oprócz tego pracowałam już zarobkowo na połowie etatu. Nawet dość mi się to podobało - powiedziała z żalem i niejakim zaskoczeniem. - W gruncie rzeczy był to najpiękniejszy okres mego życia.

- Doris nie przeżywa najpiękniejszego okresu swego życia.

Przesunęła się do okna i zwróciła ku mnie głowę.

- Nie rozumiem pana. Jest pan dziwnym detektywem. Myślałam, że ludzie pańskiego zawodu tropią złodziei i wsadzają ich za kratki.

- Właśnie to zrobiłem.

- Ale teraz chce pan wszystko odkręcić. Dlaczego?

- Już pani tłumaczyłem. Fred Johnson, niezależnie od tego, co zrobił, nie jest złodziejem. Jest przyjacielem Doris, a ona potrzebuje kogoś życzliwego.

Pani Biemeyer odwróciła się ode mnie i pochyliła głowę. Jasne włosy opadły w dół, odsłaniając jej delikatną szyję.

- Jack mnie zabije, jeśli się wtrączę.

- Jeśli mówi pani serio, to może właśnie Jack powinien przebywać w więzieniu.

Obrzuciła mnie oburzonym spojrzeniem, które po chwili złagodniało i stało się bardziej naturalne.

- Wiem już, co zrobię. Porozmawiam o tym wszystkim z moim adwokatem.

- Jak on się nazywa?

- Roy Lackner.

- Czy to specjalista od spraw kryminalnych?

- Zajmuje się wszystkim. Przez jakiś czas występował w sądzie jako obrońca.

- I jest równocześnie adwokatem pani męża?

Zawahała się przez chwilę; spojrzała mi w twarz i odwróciła wzrok.

- Nie. Nie jest. Poszłam do niego, żeby się dowiedzieć, na co mogę liczyć, gdybym rozwiodła się z Jackiem. Rozmawialiśmy także o Doris.

- Kiedy to było?

- Wczoraj po południu. Nie wiem, po co panu to wszystko mówię.
- Robi pani słusznie.
- Mam nadzieję. Mam nadzieję, że jest pan dyskretny.
- Staram się.

Pojechaliśmy do śródmieścia, do kancelarii Lacknera po drodze powtórzyłem jej wszystko, czego dowiedziałem? się o Fredzie.

- Nie wiadomo jeszcze, co z niego wyrośnie - podsumowałem swe wywody.

Odnosiło się to również do Doris, ale uznałem wspomnianie o tym za zbędne.

Kancelaria Lacknera mieściła się w przebudowanym; drewnianym dworku, stojącym na granicy między śródmieściem a dzielnicą slumsów. Drzwi otworzył nam młody człowiek o niebieskich oczach; miał jasną brodę i proste płowe włosy, sięgające mu niemal do ramion. Uśmiechnął się sympatycznie i mocno ścisnął moją dłoń.

Miałem ochotę wejść i porozmawiać z nim, ale Ruth Biemeyer dała mi wyraźnie do poznania, że nie życzy sobie mojej obecności. Zachowywała się stanowczo i wyniośle; zastanowiłem się mimochodem, czy nie łączy ją z młodym człowiekiem bliższy związek.

Podąłem jej nazwę mojego motelu. Potem pojechałem ni nadbrzeże, by wręczyć Paoli pięćdziesiąt dolarów otrzymane od jej matki.

26

Hotel Monte Christo mieścił się w trzypiętrowym, murowanym gmachu, będącym dawniej dużą prywatną rezydencją. Obecnie wisiało tu ogłoszenie o „Specjalnej zniżce dla gości przyjeżdżających na weekendy”. Niektórzy z nich pili właśnie piwo w hallu i grali w monety, żeby ustalić, kto za nie zapłaci. Recepcjonista był drobnym, uśmiechniętym sztucznie człowieczkiem o czujnym spojrzeniu, które na widok mojej osoby stało się jeszcze czujniejsze. Zastanawiał się chyba, czy jestem policjantem.

Nie wyjaśniłem jego wątpliwości. Sam niekiedy nie byłem tego pewien. Spytałem go o Paolę Grimes. Spojrzał na mnie, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi.

- To taka ciemna dziewczyna... ma długie, czarne włosy. I dobrą figurę.

- Ach. Tak. Numer 312. - Odwrócił się i zajrzał do przegródki na klucze. - Nie ma jej w pokoju.

Nie pytałem nawet, kiedy można się jej spodziewać. Sam tego pewnie nie wiedział. Zatrzymałem w portfelu pięćdziesiąt dolarów i zapamiętałem numer jej pokoju. Przed wyjściem z gmachu zajrzałem do baru. Był już ruiną dawnej świetności. Wszystkie czekające w nim dziewczyny były blondynkami. Na plaży przylegającej do hotelu było sporo kobiet o długich, czarnych włosach, ale nie znalazłem wśród nich Paoli.

Dotarłem do gmachu redakcji i zaparkowałem obok krawężnika w miejscu, w którym wolno było stać piętnaście minut. Betty siedziała w dziale wiadomości przy maszynie do pisania. Spokojnie przebierała palcami po klawiszach. Miała niebieskawe kręgi pod oczami i nie umalowane usta. Wydawała się zniechęcona i mój widok nie wpłynął w sposób dostrzegalny na poprawę jej humoru.

- Co się stało, Betty?

- Nie posunęłam się naprzód w sprawie tej Mildred Mead. Prawie nic się o niej nie mogę dowiedzieć.

- To przeprowadź z nią wywiad.

Zrobiła taką minę, jakbym chciał ją uderzyć w twarz.

- Głupie żarty.

- Wcale nie żartuję. Mildred Mead ma skrytkę na głównej poczcie w Santa Teresa, numer 121. Jeśli nie uda ci się dotrzeć do niej tą drogą, znajdziesz ją zapewne w jednym z tutejszych zakładów dla rekonwalescentów.

- Czy jest chora?

- Chora i stara.

Spojrzenie Betty i wyraz jej twarzy stały? się znacznie łagodniejsze.

- Ale co u Boga ojca robi tutaj, w Santa Teresa?

- Spytaj ją o to. A kiedy coś powie, powtórz mnie.

- Nie wiem, w którym zakładzie przebywa.

- To dzwoń do wszystkich po kolei.

- Dlaczego sam tego nie zrobisz?

- Muszę pogadać z kapitanem Mackendrickiem. Poza tym tobie łatwiej załatwić to telefonicznie. Znasz ludzi w tym mieście, a oni znają ciebie. Jeśli ją znajdziesz, nie mów nic, co mogłoby ją wystraszyć. Na twoim miejscu nie wspominałbym, że jesteś dziennikarką.

- Więc co mam powiedzieć?

- Jak najmniej. Skontaktuję się z tobą później. Dojechałem przez centrum miasta do komendy policji.

Był to prostokątny kamienny gmach, leżący jak ciemny sarkofag w samym środku asfaltowego parkingu. Przekonałem uzbrojoną i umundurowaną wartowniczkę, by wpuściła mnie do małego, ciemnego gabinetu Mackendricka. Stała w nim wielka szafa na akta, biurko i trzy krzesła, z których jedno zajmował Mackendrick. Jedyne okno było zakratowane.

Mackendrick wpatrywał się w leżący przed nim arkusz maszynopisu. Nie podniósł od razu głowy. Zastanawiałem się, czy czuje się zbyt mało ważny i chce mi w ten sposób pokazać, że jest ważniejszy niż ja. W końcu uniósł ku mnie swe pozbawione wyrazu oczy.

- Pan Archer? Myślałem, że opuścił pan już nasze miasto.

- Pojechałem do Arizony po córkę Biemeyerów. Jej ojciec kazał nas przywieźć jednym z odrzutowców firmy.

Moja informacja zrobiła wrażenie na Mackendricku i zaskoczyła go lekko, a tego właśnie chciałem. Potarł dłonią swój mięsisty policzek, jakby chciał się upewnić, że nadal znajduje się on na swoim miejscu.

- Oczywiście - powiedział. - Pracuje pan dla Biemeyerów. Zgadza się?

- Zgadza się.

-, Czy interesuje ich zabójstwo Grimesa?

- Grimes sprzedał im ten portret. Istnieją pewne wątpliwości, czy to falsyfikat, czy też naprawdę nowo odkryty obraz Chantry'ego.

- Jeśli Grimes miał z tym coś wspólnego, wątpię, żeby był autentyczny. To ten obraz, który został ukradziony?

- Właściwie nie został ukradziony - powiedziałem - w każdym razie nie za pierwszym razem. Wziął go Fred Johnson, by przeprowadzić na nim w muzeum pewne badania. Ktoś go stamtąd ukradł.

- Czy to wersja Johnsona?

- Tak, i wierzę mu. - Ale kiedy powtarzałem ją, nawet mnie samemu wydała się niezbyt przekonująca.

- A ja nie. I Biemeyer również. Właśnie rozmawiałem z nim przez telefon. - Mackendrick uśmiechnął się z chłodnym zadowoleniem. Zdobył na mnie punkt w nie kończącej się grze o wpływy, pod znakiem której upływało jego życie. - Jeśli zamierza pan dalej pracować dla Biemeyera, niech pan lepiej uzgadnia z nim wszystkie te drobne szczegóły.

- Nie jest moim jedynym źródłem informacji. Rozmawiałem dość długo z Fredem Johnsonem i nie wydaje mi się on przestępcą.

- Niemal każdy nim jest - powiedział Mackendrick. - Trzeba tylko stworzyć mu sposobność. A Fred Johnson ją miał. Być może działał nawet w zмовie z Grimesem. To byłby niezły numer: sprzedać Biemeyerom lewy obraz Chantry'ego i ukraść go na powrót, zanim sprawa wyjdzie na jaw.

- Myślałem o takiej możliwości. Ale wątpię, czy tak było. Fred Johnson nie potrafiłby zaplanować tego rodzaju akcji ani zrealizować jej. A Paul Grimes nie żyje.

Mackendrick wychylił się do przodu, umieścił oba łokcie na blacie biurka i objął lewą dłonią prawą pięść; wsparł na niej podbródek.

- Mogą być w to wmieszane inne osoby. Niemal na pewno tak jest. A może mamy do czynienia z grupą złodziei dzieł sztuki, złożoną z pedałów i narkomanów? Żyjemy w zwariowanym świecie.

Rozłączył dłonie i zamachał palcami przed twarzą, jaki by ilustrując tym gestem dzikość świata.

- Czy wie pan, że Grimes był pedałem?

- Tak. Powiedziała mi to dziś rano jego żona. Mackendrick szeroko otworzył oczy.

- To on ma żonę?

- Miał. Wiem od niej, że od dawna żyli w separacji. Ale prowadzi w Copper City sklep z przyborami malarskimi pod nazwiskiem męża.

Mackendrick zapisał coś ołówkiem w żółtym notatniku

- Czy Fred Johnson też jest pedałem?

- Wątpię. Ma dziewczynę.

- Właśnie dowiedziałem się od pana, że Grimes miał żonę.

- To prawda. Fred może mieć skłonności biseksualne. Ale spędziłem z nim sporo czasu i nie zauważyłem nic takiego. Nawet gdyby je miał, to nie znaczy, że jest złodziejem.

- Ukradł obraz.

- Wziął go z wiedzą i za zgodą córki właściciela. Fred jest początkującym historykiem sztuki. Chciał zbadać wiek i autentyczność obrazu.

- Teraz tak mówi.

- Wierzę mu. Naprawdę uważam, że nie powinien siedzieć w więzieniu.

Dłoń i pięść Mackendricka znów połączyły się, jak części jakiegoś mechanizmu.

- Czy Fred Johnson płaci panu za takie gadanie?

- Biemeyer płaci mi, żebym odzyskał jego obraz. Fred twierdzi, że go nie ma. Może więc nadeszła pora, by poszukać go gdzie indziej. Tym właśnie się zajmowałem, mniej lub bardziej świadomie.

Mackendrick czekał. Podzieliłem się z nim swymi informacjami o życiu Grimesa w Arizonie i o jego związkach z Richardem Chantry. Powiedziałem mu też o śmierci Williama, nieślubnego syna Mildred Mead, i o pospiesznym wyjeździe Richarda Chantry z Arizony w lecie 1943 roku.

Mackendrick wziął do ręki ołówek i zaczął rysować na żółtej kartce łączące się z sobą kwadraty; tworzyły one nieregularną szachownicę, której pola symbolizować mogły okręgi, miasta lub obszary jego umysłu.

- Nic o tym nigdy nie słyszałem - przyznał w końcu. - Czy jest pan pewien, że te informacje są wiarygodne?

- Uzyskałem większość z nich od szeryfa, który prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa Williama Meada. Może je pan u niego sprawdzić.

- Zrobię to. Kiedy Chantry przyjechał do Santa Teresa i kupił ten dom nad oceanem, odbywałem służbę wojskową. Wróciłem do cywila, zacząłem od roku 1945 pracować w policji i byłem jednym z niewielu ludzi, którzy go osobiście znali. - Ze słów Mackendricka wynikało, że dzieje tego miasta utożsamiał z własnym życiem. - Przez wiele lat, dopóki nie zostałem sierżantem, patrolowałem ten odcinek plaży. W ten sposób poznałem pana Chantry. Miał bzika na punkcie bezpieczeństwa. Stale narzekał, że wkoło jego domu kręcą się jacyś ludzie. Wie pan, jak plaża i ocean przyciągają zawsze nowo przybyłych.

- Czy był nerwowy?

- Chyba można go za takiego uznać. W każdym razie był odludkiem. Nigdy nie słyszałem, żeby wydał przyjęcie czy choćby zaprosił przyjaciół do swego domu. Zresztą o ile wiem, nie miał przyjaciół. Siedział w domu z żoną i facetem imieniem Rico, który był ich kucharzem. I pracował. Słyszałem, że ciągle zajmował się pracą. Czasem malował przez całą noc i kiedy przejeżdżałem tamtędy podczas porannej służby, w domu paliły się jeszcze światła. - Mackendrick podniósł ku mnie oczy, które patrzyły w przeszłość, a teraz znów wypełniły się zdumieniem nad teraźniejszością. - Czy jest pan pewny, że był - pedałem? Nigdy nie widziałem, żeby któryś z nich lubił ciężko pracować.

Nie wspominałem o Leonardzie da Vinci, żeby nie komplikować całej sprawy.

- Jestem niemal pewny. Może pan spytać kogo innego Mackendrick gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie mogę tego zrobić w tym mieście. Santa Teres zawdzięcza mu rozgłos - zniknął dwadzieścia pięć lat temu, ale nadal jest jednym z naszych czołowych obywateli. Niech pan uważa, co pan o nim mówi.

- Czy to groźba?

- To ostrzeżenie. Powinien mi pan być za nie wdzięczny. Pani Chantry może pana zaskarżyć i niech pan sobie nie wyobraża, że tego nie zrobi. Tak omotała redakcji gazety, że pozwalają jej czytać przed wydrukowanie wszystkie mające się ukazać wzmianki o mężu. Szczegół nie problem jego zniknięcia musi być traktowany niezwykle delikatnie.

- Jak pan myśli, kapitanie, co się z nim stało? Powiedziałem panu wszystko, co wiem.

- Doceniam to. Jeśli, jak pan twierdzi, był pedałem, to mamy odpowiedź. Żył z żoną przez siedem lat i nie mógł tego dłużej znieść. Zauważyłem u tego rodzaju ludzi jedną wspólną cechę. Ich życie ma różne fazy... nie wytrzymują długiego dystansu, a w dodatku biegną po trudniejszym torze niż większość z nas.

Mackendrickowi udało się mnie zaskoczyć. W jego granitowej strukturze było jednak ziarnko tolerancji.

- Czy tak brzmi oficjalna teoria, kapitanie? - spytałem. - Że Chantry odszedł po prostu z własnej woli? Nie było to morderstwo? Samobójstwo? Szantaż?

Głęboko wciągnął powietrze przez nos i z cichym gwizdem wypuścił je ustami.

- Nawet nie będę panu mówił, ile razy słyszałem już to pytanie. Zdążyłem je już nawet polubić - dodał z ironią. - I zawsze udzielam tej samej odpowiedzi. Nie natrafiliśmy nigdy na żadne poszlaki świadczące o tym, że Chantry mógł zostać zamordowany lub uprowadzony. W świetle dostępnych nam faktów uznaliśmy, że odszedł, ponieważ pragnął rozpocząć nowe życie. A to, co powiedział mi pan o jego skłonnościach seksualnych, tylko potwierdza tę hipotezę.

- Przypuszczam, że zbadano dokładnie ten jego pożegnalny list?

- Jak najdokładniej. Pismo, odciski palców, papier listowy - wszystko. Chantry go pisał, on zostawił na nim odciski, do niego należał papier. I nic nie wskazywało na to, że pisał go pod przymusem. W ciągu dwudziestu pięciu lat, jakie minęły od tej pory, nie natrafiliśmy na żadne nowe poszlaki. Od początku szczególnie interesowałem się tą sprawą, bo znałem Chantry'ego i może pan polegać na wszystkim, co panu powiedziałem. Z jakichś przyczyn poczuł się znużony, miał już dosyć życia w Santa Teresa i wycofał się.

- Niewykluczone, że pojawił się na nowo, kapitanie. Fred Johnson jest zdania, że ukradziony obraz został namalowany przez Chantry'ego, i to zupełnie niedawno.

Mackendrick niecierpliwie machnął lewą ręką.

- Opinia Freda Johnsona to dla mnie za mało. I nie wierzę w tę jego historyjkę, że obraz ukradziono z muzeum. Myślę, że gdzieś go zamelinował. Jeśli to naprawdę Chantry, jest wart sporo pieniędzy. A może pan nie wie, że rodzina Freda Johnsona żyje w nędzy? Jego ojciec jest beznadziejnym pijakiem i nie pracuje już od lat, matka straciła posadę w szpitalu, bo podejrzewano ją o kradzież narkotyków. A zresztą Fred jest odpowiedzialny za stratę tego obrazu, niezależnie od tego, czy zgubił go, sprzedał czy dał komuś w prezencie.

- O jego odpowiedzialności zdecydować może tylko sąd.

- Niech pan nie zaczyna rozmawiać ze mną w ten sposób, Archer. Jest pan prawnikiem?

- Nie.

- Więc niech pan przestanie bawić się w adwokata. Fred przebywa tam, gdzie jest jego miejsce. Pan znajduje się na cudzym terenie. A ja jestem umówiony z zastępcą koronera.

Podziękowałem mu za cierpliwość bez odrobiny ironii. Powiedział mi wiele rzeczy, o których powinienem wiedzieć.

Wychodząc z komendy policji minąłem w drzwiach mego przyjaciela Purvisa. Młody zastępca koronera wyglądał jak dziarski, pełen oddania obrońca społeczeństwa, pozujący fotoreporterom. Mijając mnie nie zwolnił nawet kroku.

Czekałem w pobliżu jego służbowego wozu. Samochody policyjne przyjeżdżały i odjeżdżały. Stado szpaków przemknęło po niebie jak świergocąca chmura, uciekając przed pierwszym, przedwieczornym zmrokiem. Niepokoiłem się o los siedzącego w więzieniu Freda i żałowałem, że nie udało mi się go wyciągnąć.

Purvis wyszedł wreszcie z gmachu komendy; kroczył teraz wolniej, jak człowiek pewny siebie.

- Co słychać? - spytałem.

- Pamiętasz tego nieboszczyka, którego pokazywałem ci w kostnicy wczoraj wieczorem?

- Nieprędko go zapomnę. Malarz, nazwiskiem Jacob Whitmore.

Purvis przytaknął ruchem głowy.

- Okazuje się, że jednak nie utonął w oceanie. Dziś po południu przeprowadziliśmy bardzo dokładną sekcję zwłok. Whitmore utopił się w słodkiej wodzie.

- Czy to znaczy, że został zamordowany?

- Prawdopodobnie. Tak najwyraźniej uważa Mackendrick. Ktoś utopił go w wannie, a potem wrzucił do oceanu.

27

Pojechałem do Sycamore Point i zapukałem do drzwi domku Jacoba Whitmore. Otworzyła mi jego dziewczyna. Nisko wiszące nad horyzontem słońce zabarwiło jej twarz różowym blaskiem, zmuszając ją do przymknięcia oczu. Nie poznała mnie chyba.

Musiałem przypomnieć jej, kim jestem.

- Byłem tu przedwczoraj wieczorem. Kupiłem od pani kilka obrazów Jake'a.

Przysłoniła oczy i przyjrzała mi się uważniej. Była blada i znużona. Podmuchy przedwieczornego wiatru rozwiewały jej jasne, nie uczesane włosy.

- Podobały się panu te obrazy? - spytała.
- Owszem.
- Gdyby chciał pan kupić jeszcze kilka, to mogę je panu sprzedać.
- Pomówimy o tym.

Wpuściła mnie do frontowego pokoju. Nic się w nim zasadniczo nie zmieniło, ale pograżył się w jeszcze większym chaosie. Ktoś przewrócił krzesło. Na podłodze stały butelki, stół zalany był winem.

Dziewczyna usiadła na stole. Podniosłem przewrócone krzesło i usadowiłem się na nim przodem do niej.

- Czy dziś po południu miała pani jakieś wiadomości od koronera?

Potrząsnęła głową.

- Nikt się ze mną nie kontaktował, w każdym razie nie przypominam sobie tego. Proszę mi wybaczyć, że pokój jest w takim stanie. Wypiłam wczoraj wieczorem za dużo wina i musiałam wpaść w szal. Myślałam... jakie to okrutnie niesprawiedliwe, że Jake utonął w taki sposób. - Przerwała na chwilę, potem mówiła dalej: - Wczoraj zażądali ode mnie zgody na dokonanie sekcji zwłok.

- Zrobili ją dziś. Jake utonął w słodkiej wodzie. Znów potrząsnęła swą jasną głową.

- Ależ nie. Utopił się w oceanie.

- Znaleziono jego ciało w oceanie, ale utonął w słodkiej wodzie. Może pani sprawdzić to u koronera.

Utkwiła we mnie mgliste spojrzenie półprzymkniętych oczu.

- Nie rozumiem. Czy to znaczy, że utonął w rzece i jego ciało zostało zmyte do morza?

- To mało prawdopodobne. W lecie rzeki są płytkie: Zapewne utopiono go w wannie lub w basenie, a sprawca - kimkolwiek był - wrzucił zwłoki do oceanu.

- Nie wierzę. - Rozejrzała się po pokoju, jakby morderca schował się za jakimś meblem. - Kto mógłby tak postąpić?

- To pani powinna wiedzieć, pani Whitmore. Potrząsnęła głową.

- Nie byliśmy małżeństwem. Nazywam się Jessie Gable. - Dźwięk własnego nazwiska skłonił ją do płaczu. Zmrużyła oczy i łzy popłynęły po policzkach. - Chce pan powiedzieć, że Jake został zamordowany, prawda?

- Owszem.

- Nie rozumiem tego. Nigdy nie skrzywdził żadnego żywego stworzenia. Z wyjątkiem mnie. Ale ja mu wybaczyłam.

- Ofiary morderstw rzadko zasługują na swój los.
- Ale on nie miał nic, co opłacałoby się ukraść.
- Może miał. Czy Paul Grimes nie kupił kilku jego obrazów?

Kiwnęła głową.

- To prawda, kupił. Ale nie chodziło mu w gruncie rzeczy o obrazy. Byłam tu w pokoju, kiedy rozmawiali. Grimes chciał uzyskać od niego pewne informacje i kupił obrazy, żeby Jake mówił dalej.

- Ale o czym?

- O tym portrecie, który Jake sprzedał mu poprzedniego dnia podczas kiermaszu na plaży.

- Czy Jake powiedział mu to, o co mu chodziło?

- Nie wiem. Wyszli przed dom, by porozmawiać. Nie chcieli, żebym słyszała, o czym mówią.

Wyjąłem fotografię ukradzionego Biemeyerom obrazu i pokazałem jej w padającym od okna świetle.

- Czy ten obraz sprzedał Jake Grimesowi?

Wzięła fotografię do ręki i przytaknęła ruchem głowy.

- Tak, chyba ten. To naprawdę dobry obraz i Jake wziął za niego sporo pieniędzy. Nie powiedział mi ile, ale musiało to być kilka setek.

- A Grimes sprzedał go zapewne za kilka tysięcy.

- Naprawdę?

- Nie żartuję, Jessie. Ludzie, którzy kupili obraz od Grimesa, dali go sobie ukraść. Zostałem wynajęty, by go odzyskać.

Usiadła prosto, krzyżując nogi.

- Nie myśli pan chyba, że ja go ukradłam?

- Nie. Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu zagarnęła pani cudzą własność.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nigdy. Ukradłam tylko Jake'a jego żonie.

- To nie było przestępstwo.

- Nie wiem - odparła. - Spadły na mnie takie kary, jakbym popełniła zbrodnię. Jake też został ukarany.

- Każdy musi umrzeć, Jessie.

- Mam nadzieję, że i ja niedługo umrę.

- Zanim to nastąpi - powiedziałem po chwili milczenia

- chcę, żeby zrobiła pani coś dla Jake'a.

- Co mogę dla niego zrobić? Przecież nie żyje.

- Może pani pomóc mi wykryć jego mordercę lub morderców. - Wyjąłem fotografię z jej bezwładnych dłoni. - Myślę, że to była przyczyna zabójstwa.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ wiedział lub odgadł, kto malował obraz. Proszę zrozumieć - strzelałem na ślepo. Nie jestem pewien, czy naprawdę tak było. Ale chyba mam rację. Ten obraz stanowił ogniwo łączące z sobą dwu zamordowanych ludzi

- Jake'a i Paula Grimesa.

Mówiąc to, przypomniałem sobie, że zamordowany został również trzeci człowiek: William Mead, którego ciało znaleziono w roku 1943 na pustyni Arizony i którego matka pozowała do obrazu. Skojarzywszy z sobą te fakty, przeżyłem silny wstrząs, przypominający pierwsze drgnienia, zapowiadające trzęsienie ziemi. Miałem przyspieszony oddech i czułem dudnienie w skroniach.

Pochyliłem się nad zaśmieconym stołem.

- Jessie, czy wie pani, gdzie Jake zdobył ten obraz?

- Kupił go.

- Ile za niego zapłacił?

- Co najmniej pięćdziesiąt dolarów... pewnie więcej. Nie chciał mi powiedzieć, ile. Zabrał pięćdziesiąt dolarów, które chowałam na czarną godzinę - to znaczy na wypadek, gdybyśmy nie mieli na czynsz. Mówiłam mu, że jest wariatem, żeby płacić gotówką - powinien wziąć go w komis. Ale twierdził, że ma szansę sporo zarobić. I chyba tak się stało.

- Czy kiedykolwiek widziała pani osobę, od której go kupił?

- Nie, ale to była kobieta. Sam się wygadał.

- W jakim mogła być wieku?

Rozłożyła ręce jak człowiek sprawdzający, czy pada deszcz.

- Jake nie powiedział mi tego wyraźnie. To znaczy wspominał, że była starszawa, ale nie ma to żadnego znaczenia. Mogła mieć siedemnaście lat, i tak opowiadałby, że była staruszką. Wiedział, że jestem zazdrosna o młode dziewczyny. I miałam swoje powody.

W jej oczach wezbrały łzy. Nie wiedziałem, czy są one objawem żalu, czy gniewu. Jej życie wewnętrzne zdawało się oscylować pomiędzy tymi dwoma uczuciami. Moje również. Byłem już znużony przesłuchiwaniami wdów po zamordowanych. Ale musiałem zadać jeszcze kilka pytań.

- Czy ta kobieta przyniosła obraz do domu?

- Nie. Nie widziałam jej wcale. Już to mówiłam. Przyniosła go w sobotę na plażę. Jake zarabiał w ciągu kilku ostatnich lat kupując na boku i sprzedając obrazy podczas sobotnich kiermaszy sztuki. Tam właśnie go nabył.

- Kiedy to było?

Długo zastanawiała się nad odpowiedzią, jakby spoglądając wstecz na biegnące szybko, niczym się od siebie nie różniące dni: słońce i niebo, wino i marihuana, smutek i nędza.

- Chyba ze dwa miesiące temu. W każdym razie wtedy zabrał mi te pięćdziesiąt dolarów. Kiedy sprzedał Paulowi Grimesowi obraz, nie oddał mi ich. Zatrzymał całą gotówkę. Nie chciał, żebym wiedziała, ile dostał. Ale przynajmniej żyliśmy za to do tej pory.

- Rozejrzała się po pokoju. - O ile można to nazwać życiem.

Wyjąłem z portfela dwudziestkę i położyłem ją na stole. Spojrzała uważnie najpierw na banknot, potem na mnie.

- Za co pan mi to daje?

- Za informacje.

- Nie na wiele się panu przydałam. Jake utrzymywał tę transakcję w tajemnicy. Chyba wydawało mu się, że trafił na złotą żyłę.

- Myślę, że istotnie na nią trafił, a w każdym razie starał się ją odkryć. Czy mogłaby pani zdobyć dla mnie jeszcze kilka informacji?

- Czego chce się pan dowiedzieć?

- Skąd wziął się ten obraz. - Raz jeszcze pokazałem jej portret Mildred Mead. - Od kogo kupił go Jake. Interesują mnie też wszystkie inne szczegóły, które uda się pani zdobyć.

- Czy mogę zatrzymać tę fotografię?

- Nie. Mam tylko jedną odbitkę. Będzie pani musiała go opisać.

- Komu?

- Handlarzom sprzedającym obrazy na sobotnim kiermaszu. Zna ich pani przecież, prawda?

- Większość z nich.

- Okey. Jeśli zdobędzie pani jakieś ciekawe informacje, dostanie pani następną dwudziestkę. Za nazwisko i adres kobiety, która sprzedała Jake'owi obraz, gotów jestem dać setkę.

- Przydałoby mi się sto dolarów. - Ale poznałem po jej wyrazie twarzy, że do końca życia nie ma nadziei ujrzeć takiej sumy. - Jake i ja mieliśmy pecha. Od kiedy zszedł się ze

mną, stale prześladowały go nieszczęścia. - Mówiła teraz szorstkim tonem. - Szkoda, że nie mogłam umrzeć zamiast niego.

- Niech pani tak nie mówi - powiedziałem. - Wszyscy umieramy zbyt wcześnie.

- Dla mnie już i tak jest za późno.

- Proszę jeszcze trochę poczekać. Zacznie pani życie od nowa. Jest pani jeszcze młoda, Jessie.

- Czuję się stara jak świat.

Na dworze zaszło właśnie słońce. Jego ostatnie promienie rozchodziły się po powierzchni morza jak gwałtowny pożar, ogarniający powierzchnię wody.

28

Kiedy dojechałem do centrum, czerwone niebo już ciemniało. W jasno oświetlonych sklepach nie było prawie klientów. Zaparkowałem w pobliżu redakcji, wszedłem po schodach i dotarłem do działu informacji. W pokoju nie było nikogo.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - spytała za moimi plecami gardłowym głosem jakaś przechodząca akurat korytarzem kobieta.

- Mam nadzieję, że tak. Szukam Betty.

Była to drobna, siwowłosa dama w grubych szklach, nienaturalnie powiększających jej oczy. Spoglądała na mnie z bystrą, przyjazną ciekawością.

- Pan Archer, prawda? Potwierdziłem jej domysł.

Oznajmiła mi, że nazywa się Fay Brighton i prowadzi redakcyjną kartotekę.

- Betty Jo prosiła mnie, żebym panu przekazała wiadomość. Wróci najpóźniej o pół do ósmej. - Zerknęła na mały, złoty zegarek, podnosząc rękę niemal do oczu. - To już zaraz. Nie będzie pan długo czekał.

Pani Brighton zasiadła na powrót za ladą w zastawionym szafkami na akta pokoju. Czekałem pół godziny, wsłuchując się w wieczorne odgłosy pustoszejącego miasta. Potem zapukałem do drzwi jej gabinetu.

- Betty chyba machnęła na mnie ręką i poszła do domu. Czy wie pani, gdzie mieszka?

- Prawdę mówiąc nie. Po rozwodzie zmieniła mieszkanie. Ale chętnie to sprawdzę.

Otworzyła wykaz pracowników i przepisała na kartce papieru adres i numer Betty: „Seabres Apartments, numer 8, telefon 967-9152”. Potem wyjęła spod lady aparat. Gdy wykręcałem numer i nadsluchiwałem, nie odrywała wzroku od mej twarzy. Telefon Betty zadzwonił dwanaście razy, zanim odłożyłem słuchawkę.

- Czy wspominała pani może, gdzie się wybiera?

- Nie, ale odbyła szereg rozmów telefonicznych. Kilka z nich przeprowadziła stąd, więc mimo woli słyszałam. Betty dzwoniła do różnych miejscowych zakładów dla rekonwalescentów, usiłując znaleźć jakąś krewną. Tak przynajmniej twierdziła.

- Czy wymieniła jej nazwisko?

- Chyba brzmiało ono Mildred Mead. Tak, jestem tego pewna. Zdaje mi się, że ją znalazła. Wybiegła z pośpiechem i miała w oczach taki dziwny wyraz... wie pan? Ambitna młoda reporterka na tropie sensacji. - Z westchnieniem wypuściła powietrze. - Sama taka byłam.

- Czy mówiła pani, dokąd się wybiera?

- Betty Jo? - Pani Brighton zaśmiała się, najwyraźniej ubawiona. - Kiedy zbiera materiał do artykułu, nie powiedziała by nawet najbliższemu przyjacielowi, która jest godzina. Późno zaczęła, a teraz ma bzika na punkcie swego zawodu. Ale przecież pan to wszystko wie, jeśli jest pan jej przyjacielem.

Nie zadane pytanie zawisło między nami w powietrzu.

- Tak - powiedziałem. - Jestem jej przyjacielem. Jak dawno wyszła?

- Chyba ze dwie godziny temu, może więcej. - Spojrzała na zegarek. - Myślę, że koło wpół do szóstej.

- Samochodem?

- Nie mam pojęcia. I nie powiedziała nic, co pomogłoby mi się domyślić, dokąd jedzie.

- Gdzie jada kolację?

- Różnie. Widuję ją czasami w „Tea Kettle”. To zupełnie dobry lokal, trochę dalej na tej samej ulicy. - Wskazała kciukiem w kierunku morza.

- Czy byłaby pani uprzejma przekazać jej wiadomość, o ile wróci do redakcji?

- Chętnie bym to zrobiła. Ale ja też wychodzę. Nie jadłam cały dzień i szczerze mówiąc czekałam tylko na pana, żeby przekazać wiadomość od Betty. Jeśli napisze pan kartkę, zostawię jej na biurku.

Położyła na ladzie niewielki arkusz czystego papieru i przesunęła go w moim kierunku. Napisałam na nim: „Żałuję, że Cię nie zastałem. Zgłoszę się jeszcze raz w ciągu wieczora. Później będę w motelu”.

Podpisałem się „Lew”. Potem, po chwili wahania, dodałem na początku słowo: „Kochanie”. Złożyłem kartkę i wręczyłem ją pani Brighton. Zniosła ją do działu informacji.

Wróciwszy, rzuciła mi zakłopotane spojrzenie, pod wpływem którego zacząłem się zastanawiać, czy przeczytała mój list. Odczułem gwałtowną pokusę, by poprosić o jego

zwrot i wykreślić dopisane słowo. Chyba od dobrych kilku lat nie wymówiłem tego słowa ani nie napisałem go do żadnej kobiety. Teraz jednak tkwiło w moich myślach jak skurcz bólu - lub nadziei.

Doszedłem na piechotę do czerwonego neonu z napisem „Tea Kettle” i pchnąłem znajdujące się pod nim drzwi. Była już niemal ósma, a więc dość późno dla bywalców tego typu kafeterii, i lokal wydawał się opustoszały. Przy ladzie nie było kolejki, w pustej niemal sali siedziało przy stolikach kilka starszych osób.

Przypomniałem sobie, że od rana nic nie jadłem. Wziąłem talerz, kazałem nałożyć sobie porcję pieczeni wołowej z jarzynami i zaniósłem go do stolika, z którego mogłem obserwować całą salę. Miałem wrażenie, że znalazłem się w innym mieście, w którym wojny miłosne zakończyły się już, a ja byłem po prostu jednym z pozostałych przy życiu, starzejących się weteranów.

Nie byłem zachwycony tą myślą. Wejście pani Brighton też nie poprawiło mego nastroju. Kiedy jednak wniosła swą tacę do sali restauracyjnej, wstałem i zaprosiłem ją do stolika.

- Dziękuję panu. Nienawidzę jadać sama. I tak, od kiedy umarł mój mąż, spędzam samotnie mnóstwo czasu. - Uśmiechnęła się do mnie lekko, jakby przepraszając, że wspomina o swej stracie. - Czy pan też żyje samotnie?

- Niestety tak. Rozwiodłem się z żoną już jakiś czas temu.

- Szkoda.

- Ja też tak uważałem. Ale ona była innego zdania. Pani Brighton skupiła uwagę na makaronie z serem.

Potem dodała do swej herbaty cukier i mleko. Zamieszała ją i podniosła do ust.

- Od dawna zna pan Betty?

- Poznałem ją przedwczoraj wieczorem na jakimś przyjęciu. Była na nim w charakterze sprawozdawcy.

- Tak, miała o nim pisać. Ale jeśli mówi pan o przyjęciu u pani Chantry, to nie dostarczyła nam ani słowa, które nadawałoby się do druku. Wpadła na trop jakiegoś morderstwa i od dwóch dni tylko o tym myśli. Wie pan, jest ogromnie ambitną dziewczyną.

Pani Brighton spojrzała na mnie badawczo zza swych szkieł, powiększających i rozmywających jej źrenice. Nie byłem pewien, czy chce mnie ostrzec, czy po prostu szuka tematu do rozmowy z nieznajomym.

- Czy ma pan coś wspólnego z śledztwem w sprawie tego morderstwa? - spytała.

- Tak. Jestem prywatnym detektywem.

- Mogę spytać, kto pana zatrudnił?

- Może pani. Ale wolałbym nie odpowiadać.

- Niechże pan powie. - Posłała mi porozumiewawczy uśmiech, który pokrył jej twarz zmarszczkami, a mimo to uczynił ją sympatyczniejszą. - Nie jestem już reporterką. Zachowam to dla siebie.

- Jack Biemeyer. Uniosła uczernione brwi.

- Taka gruba ryba jest zamieszana w sprawę morderstwa?

- Niebezpośrednio. Kupił obraz, który został potem ukradziony. Wynajął mnie, żebym go odzyskał.

- I udało się panu?

- Nie. Ale działałam dalej. Już trzeci dzień.

- I nie posuwa się pan naprzód?

- Trochę się posunąłem. Sprawa nabiera rozpędu. Zamordowano drugiego człowieka - Jacoba Whitmore.

Pani Brighton pochyliła się ku mnie gwałtownie. Trąciła filiżankę łokciem, wylewając resztkę herbaty.

- Przecież Jake utonął trzy dni temu przypadkowo w oceanie.

- Utopiono go w słodkiej wodzie - oznajmiłem - a ciało wrzucono potem do morza.

- To okropne. Znałam Jake'a. Poznałam go, kiedy był jeszcze w gimnazjum. Pracował u nas jako goniec. Był jednym z najłagodniejszych ludzi, jakich spotkałam.

- Często właśnie łagodni padają ofiarą zabójstwa. Mówiąc to pomyślałem o Betty. Miałem przed oczyma jej twarz i uległe, jędrne ciało. Poczułem ucisk i gorąco w piersiach, więc wciągnąłem głęboko powietrze i wypuściłem je, wydając przy tym mimowolnie ciche westchnienie.

- Co się stało? - spytała pani Brighton.

- Nie cierpię stykać się ze śmiercią.

- W takim razie wybrał pan dziwny zawód.

- Wiem. Ale od czasu do czasu udaje mi się zapobiec morderstwu.

A od czasu do czasu prowokuję jego popełnienie. Usiłowałem nie dopuścić do zetknięcia się tej myśli z myślą o Betty, ale obydwie dążyły ku sobie jak para spiskowców.

- Niech pan zje jarzyny - powiedziała pani Brighton. - Człowiekowi potrzeba jak najwięcej witamin. Niepokoi się pan o Betty Jo, prawda? - dodała tym samym, rzeczowym tonem.

- Owszem.

- Ja również. Szczególnie odkąd mi pan powiedział, że Jake Whitmore został zamordowany. Ktoś, kogo znałam pół życia... to jakby piorun uderzył blisko domu. A jeśli coś się stało Betty... - Urwała na chwilę, potem ciągnęła nieco cichszym głosem: - Przepadam za tą dziewczyną i jeżeli coś jej się stało, gotowa jestem zrobić wszystko.

- Co pani zdaniem mogło się zdarzyć?

Rozejrzała się po sali, jakby szukając jakiegoś zwiastuna czy proroka. Ale nie było tam nikogo, prócz kilku zajętych jedzeniem starszusków.

- Betty ogromnie się przejęła sprawą Chantry'ego - westchnęła. - Ostatnio nie mówiła o niej wiele, ale ja znam te objawy. Sama to kiedyś przeżywałam, chyba przeszło dwadzieścia lat temu. Chciałam wytropić Chantry'ego, przywieźć go do domu żywego i całego i stać się pierwszą damą dziennikarstwa. Idąc za czyjąś radą zdobyłam nawet pieniądze, żeby pojechać na Tahiti. Wie pan, Chantry zawsze był pod bardzo silnym wpływem Gauguina. Ale nie znalazłam go na Tahiti. Ani Gauguina zresztą.

- Więc myśli pani, że Chantry żyje?

- Wtedy tak uważałam. Teraz nie wiem. To zabawne, jak zmieniają się z wiekiem nasze poglądy. Ma pan już tyle lat, że powinien mnie pan zrozumieć. Kiedy byłam młodą kobietą, wyobrażałam sobie, że Chantry postąpił w taki sposób, w jaki sama chciałabym się zachować. Plunął na to parszywe miasteczko i wyniósł się stąd. Wie pan, kiedy zapadł się pod ziemię, był człowiekiem trzydziestoletnim. Miał przed sobą mnóstwo czasu... mógł rozpocząć nowe życie. Teraz, kiedy moje własne dobiega już końca, nie jestem pewna. Nie wykluczam możliwości, że został zamordowany, wtedy, trzydzieści lat temu.

- Kto miałby powód, żeby go zabijać?

- Nie wiem. Może żona. Żony często mają motyw. Niech się pan nie powołuje na moje zdanie, ale sądzę, że byłaby do tego zdolna.

- Zna ją pani?

- Znam ją całkiem dobrze, a w każdym razie znałam. Bardzo dba o reklamę. Odkąd nie jestem reporterką, przestała się mną interesować.

- A poznała pani jej męża?

- Jego nie. Jak pan wie, był odludkiem. Mieszkał w tym mieście przez siedem czy osiem lat, ale ludzi, których znał na tyle, by z nimi rozmawiać, mógłby pan policzyć na palcach jednej ręki.

- Czy może pani wymienić kogoś z nich?

- Przychodzi mi do głowy tylko jeden człowiek. Jacob Whitmore. Przynosił im gazety. Myślę, że właśnie znajomość z Chantrym spowodowała, że zainteresował się malarstwem.

- Ciekaw jestem, czy nie ona przyczyniła się też do jego śmierci?

Pani Brighton zdjęła okulary i przetarła szkła koronkową chusteczką. Potem włożyła je i spojrzała na mnie uważnie.

- Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi. Czy mógłby mi pan wytłumaczyć w przystępny sposób, co pan ma na myśli? Miałam długi i ciężki dzień.

- Czuję, że Chantry przebywa w mieście. To nie tylko przecucie. Obraz ukradziony Biemeyerowi był zapewne namalowany przez Chantry'ego. Zanim dotarł do Biemeyera, przeszedł przez ręce dwóch ludzi - Jake'a Whitmore i Paula Grimesa. Obaj nie żyją. To przecież pani wie.

Pochyliła siwiejącą głowę, jakby pod ciężarem tej wiadomości.

- Myśli pan, że Betty naprawdę grozi niebezpieczeństwo, prawda?

- Niewykluczone.

- Czy mogę w czymś pomóc? Chce pan, żebym zaczęła dzwonić do tych zakładów dla rekonwalescentów?

- Tak. Ale niech pani będzie ostrożna. Proszę nie wymieniać żadnych nazwisk. Ma pani starą ciotkę, która wymaga fachowej opieki. Niech im pani każe opisywać wszystkie wygody, jakie mogą jej zapewnić. Proszę szukać w ich głosie śladów winy lub objawów niepokoju.

- Znam się na tym - powiedziała sucho. - Często stykam się z tym w redakcji, ale nie jestem pewna, czy to najlepsza metoda.

- Co pani proponuje?

- Nie wymyśliłam jeszcze nic konkretnego. Wszystko zależy od tego, na czym chcemy się oprzeć. Czy przypuszcza pan, że Betty znalazła ten zakład, w którym przebywa Mildred Mead, i została tam zwabiona, a następnie porwana? Czy nie jest to zbyt melodramatyczna wersja?

- Codziennie zdarzają się melodramaty.

- Pewnie ma pan rację. - Westchnęła. - O nich też często słyszę w redakcji. Ale czy nie wydaje się panu równie prawdopodobne, że Betty po prostu natrafiła na jakiś ślad, wyruszyła na poszukiwania i lada chwila się pojawi?

- Być może jest to równie prawdopodobne - powiedziałem. - Ale niech pani nie zapomina, że Jake Whitmore pojawił się jako topielec. A Paul Grimes jako człowiek pobity na śmierć.

Jej twarz skurczyła się jak szara gąbka, wchłaniająca wodę; widać było, że pojęła sens mojej wypowiedzi i zdała sobie sprawę z jej wagi.

- Oczywiście, ma pan rację. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy. Ale czy nie powinniśmy iść na policję?

- Owszem, gdy tylko będziemy mogli oznajmić im coś konkretnego. Mackendrick jest człowiekiem sceptycznym.

- Och, to prawda. Okey. Gdyby pan mnie szukał, będę w redakcji.

Zapisałem podany mi przez nią numer. Poprosiłem ją też, by dzwoniąc do zakładów sporządziła dla mnie ich listę, zaznaczając na niej numery telefonów.

29

Wspinając się na ciemne wzgórze i podjeżdżając pod dom Biemeyerów, czułem się wściekły i bezsilny. Budynek jaśniał od świateł, ale panowała w nim kompletna cisza.

Biemeyer sam otworzył mi drzwi. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu tylko trzymana w ręku szklanka z cocktailem umożliwia zachowanie równowagi.

- Czego pan, do diabła, chce? - Miał ochrypli, zdarty głos, jakby przez dłuższy czas krzyczał.

- Muszę z panem poważnie porozmawiać, panie Biemeyer.

- Wiem, co to znaczy. Żąda pan znowu pieniędzy.

- Niech pan dla odmiany zapomni o pieniądzach. Nie potrzebuję pańskiej gotówki.

Zrobił zawiedzioną minę. Wciągnął na maszt plik banknotów, a ja nie oddałem im honorów. Powoli jego twarz odzyskała normalny wyraz; otoczone zmarszczkami ciemne oczy spoglądały na mnie wrogo.

- Czy to znaczy, że nie zamierza pan przysłać mi rachunku?

Kusiło mnie, żeby odwrócić się do niego plecami i odejść, być może zdzieliwszy go przedtem pięścią. Ale Biemeyer; i członkowie jego rodziny posiadali potrzebne mi informacje. A praca dla nich zapewniała mi w oczach policji pozycję, której nie mógłbym zdobyć w inny sposób.

- Proszę się nie denerwować - powiedziałem. - Zaliczka, którą mi pan dał, powinna wystarczyć. Jeśli okaże się zbyt mała, wyślę panu rachunek. Ostatecznie, odnalazłem pańską córkę.

- Ale nie obraz.

- Staram się go odzyskać i zbliżam się już do celu. Czy jest tu jakieś miejsce, w którym moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

- Nie - odparł. - Nie ma takiego miejsca. Żądam, aby uszanował pan nienaruszalność mego domu. Jeśli nie chce pan tego zrobić, może pan iść do wszystkich diabłów.

Nawet szklanka w jego ręku nie była już nieruchoma. Zakołysał nią, wykonując wymowny gest, i wylał nieco alkoholu na wypolerowaną podłogę. Pani Biemeyer wyrosła zza jego pleców, jakby wylewanie alkoholu stanowiło w tej rodzinie ustalony sygnał. W głębi, ukryta częściowo stała nieruchoma i milcząca Doris.

- Myślę, że powinieneś z nim porozmawiać, Jack - powiedziała Ruth Biemeyer. - Sporo przeszliśmy w ciągu tych ostatnich dni. I to, że udało nam się je przeżyć, zawdzięczamy w dużym stopniu panu Archerowi.

Miała na sobie wieczorową suknię. Jej twarz była spokojna i pogodna, ale głos zdradzał rezygnację. Przyszło mi do głowy, że zawarła pewnego rodzaju układ z siłami, które jej zdaniem kierowały losem: jeśli Doris wróci, ja wytrzymam z Jackiem. No cóż, Doris była na miejscu i stała w głębi jak posąg Chirico.

Biemeyer nie zdobył się na podjęcie sporu. Nie pokazał nawet po sobie, że słyszał słowa żony. Odwrócił się po prostu na pięcie i poprowadził mnie do swego gabinetu. Kiedy mijaliśmy Doris, posłała mi lekki, pojednawczy uśmiech. W jej oczach malowały się lęk i czujność.

Biemeyer usiadł za biurkiem, pod fotografią swej kopalni miedzi. Postawił szklankę na blacie i odwrócił się wraz z krzesłem w moim kierunku.

- No dobrze. Czego pan znowu chce?

- Szukam dwóch kobiet. Myślę, że mogą być w tej chwili razem. Jedną z nich jest Betty; Betty Jo Siddon.

Biemeyer pochylił się do przodu.

- Ta reporterka kroniki towarzyskiej? Nie chce pan chyba mi wmawiać, że ona też zaginęła?

- Zaledwie dziś wieczorem. Ale niewykluczone, że grozi jej niebezpieczeństwo. Pan może mi pomóc ją znaleźć.

- Nie wiem jak. Nie widziałem jej od tygodni. Rzadko bywamy na przyjęciach.

- Nie zaginęła na przyjęciu, panie Biemeyer. Nie jestem pewien, co się stało, ale myślę, że pojechała do jednego z tutejszych zakładów dla rekonwalescentów i została uprowadzona. Tak w każdym razie brzmi moja robocza hipoteza.

- Co mogę w tej sprawie zrobić? Nigdy w życiu nie byłem w takim zakładzie. - Spojrzał na mnie wzrokiem stuprocentowego mężczyzny i sięgnął po swój cocktail.

- Panna Siddon poszukiwała Mildred Mead. Zaciśnięta na szklance ręka Biemeyera drgnęła gwałtownie; część napoju wylała mu się na spódnie.

- Nigdy o niej nie słyszałem - powiedział bez przekonania.

- Ją właśnie przedstawia obraz, którego poszukuję. Musiał pan ją poznać.

- W jaki sposób? - spytał. - Nie widziałem tej kobiety nigdy w życiu. Niech pan powtórzy to nazwisko.

- Mildred Mead. Kiedyś, dość dawno temu, kupił jej pan dom w Kanonie Chantry'ego. To bardzo hojny dar dla kobiety, której, jak pan twierdzi, nie widział pan nigdy w życiu. Nawiasem mówiąc pańska córka, Doris, wylądowała w tymże domu przedwczoraj wieczorem. Został przejęty przez jakąś komunę. Mildred sprzedała im dom już kilka miesięcy temu i przeniosła się tutaj. Niech mi pan i tylko nie mówi, że nic pan o tym nie wiedział.

- Nic panu nie mówię.

Jego twarz nabrała barwy jaskrawej czerwieni. Gwałtownie wstał z miejsca. Myślałem, że rzuci się na mnie. Zamiast tego wybiegł z pokoju.

Przypuszczałem, że to już koniec naszej wymiany zdań. Ale wrócił z drinkiem w rękę i znów zasiadł naprzeciw mnie. Na twarzy wystąpiły mu tymczasem blade plamy.

- Czy pan prowadził dochodzenie na mój temat?

- Nie.

- Nie wierzę panu. Skąd pan wie o Mildred Mead?

- Jej nazwisko było wymieniane w Arizonie razem z pańskim.

- Nienawidzą mnie tam - westchnął. - Musiałem kiedyś zamknąć hutę i połowa Copper City została bez pracy.1 Wiem, jak się musieli czuć... sam pochodzę z Copper City. Przed wojną moja rodzina nie miała ani centa. Pracowałem, żeby zarobić na naukę w szkole średniej, a potem ukończyłem studia dzięki grze w futbol. Ale pewnie pan to? już wszystko wie?

Spojrzałem na niego znacząco, jakbym istotnie był o tym poinformowany, i przyszło mi to bez trudu. Teraz już byłem.

- Czy rozmawiał pan z Mildred? - spytał.

- Nie. Nie widziałem jej.

- Jest już starą kobietą. Ale kiedyś warto było ją widzieć. Piękna dziewczyna. - Otworzył, a potem zacisnął pustą dłoń i wypił łyk cocktailu. - Kiedy wreszcie ją zdobyłem, wszystko nabrało na jakiś czas sensu - i praca, i przeklęte mecze futbolowe, w czasie których o mało nie połamano mi kości. Ale teraz jest już stara. W końcu się zestarzała.

- Czy przebywa w tym mieście?

- Wie pan, że tak, bo inaczej nie zadawałby mi pan tego pytania. W każdym razie była tu. - Wyciągnął wolną rękę i objął nią moje ramię. - Tylko niech pan nie mówi Ruth. Jest obłąkańczo zazdrosna. Wie pan, jakie są kobiety.

Dostrzegłem ruch światła za otwartymi drzwiami gabinetu. Ruth Biemeyer, idąc za własnym cieniem, stanęła w progu.

- To nieprawda, że jestem obłąkańczo zazdrosna - oświadczyła. - Być może okazywałam czasem zazdrość. Ale nie masz prawa mówić o mnie w ten sposób.

Biemeyer wstał i zwrócił się ku żonie, która dzięki swym wysokim obcasom była od niego odrobinę wyższa. Jego twarz zastygła w skurczu pogardliwej nienawiści, nabierając przez to określonego wyrazu, którego dotąd na niej nie dostrzegłem.

- Pożerała cię zazdrość - powiedział. - Przez całe życie. Nie chciałaś mi stworzyć normalnego życia erotycznego, ale nie mogłaś znieść, że zapewniła mi je inna kobieta. Cholernie się starałaś, żebym z nią zerwał. A kiedy to się nie udało, wygryzłaś ją z miasta.

- Było mi wstyd za ciebie - powiedziała z kwaśną słodyczą. - Uganiałeś się za tą biedną, starą kobietą, która była tak chora i zmęczona, że ledwie trzymała się na nogach.

- Mildred nie jest taka stara. Ma więcej seksu w małym palcu niż ty w całym ciele.

- Co ty możesz wiedzieć o seksie. Potrzebowałeś matki, a nie żony.

- Żony? - Ostentacyjnie rozejrzał się po pokoju. - Nie widzę tu żadnej żony. Widzę kobietę, która zatrała mi najlepsze lata życia.

- Bo wolałeś tę starą wiedźmę.

- Nie mów o niej w ten sposób! Ich spór od samego początku był żenująco teatralny.

Mówiąc, patrzyli na mnie kątem oczu, jakbym był sędzią mającym ich oceniać. Pomyślałem o Doris i zacząłem się zastanawiać, czy i ona stanowiła widownię ich sporów.

Przypomniałem sobie jej opowieść o scenie, podczas której ukryła się w łazience, w pojemniku na brudną bieliznę, i na nowo poczułem się wściekły. Tym razem ukryłem swój gniew. Rodzice Doris dostarczali mi wielu potrzebnych informacji. W tej chwili oboje patrzyli jednak na mnie, jakby w obawie, że stracili widownię.

- Dlaczego kupiła pani ten obraz i powiesiła go na ścianie? - spytałem Ruth Biemeyer.

- Nie wiedziałam, że przedstawia Mildred Mead. Jest to dość wyidealizowany portret, a ona jest teraz pomarszczoną, starą babą. Dlaczego miałabym skojarzyć ją z tym obrazem?

- A jednak to zrobiłaś - wtrącił się Biemeyer. - Zresztą ona jeszcze wtedy była ładniejsza, niż ty w swoich najlep szych czasach. Tego właśnie nie mogłaś znieść.

- To ciebie nie mogłam znieść.

- Przynajmniej teraz otwarcie to przyznajesz. Dawniej twierdziłaś, że wszystkie konflikty wynikają z mojej winy. Ja byłem King Kongiem z Copper City, a ty delikatnym dziewczątkiem. Nie jesteś wcale taka cholernie delikatna ani zresztą dziewczęca.

- Nie - przyznała. - Stałam się gruboskórna. Inaczej nie mogłabym z tobą wytrzymać.

Miałem ich już dość. Przeszedłem tego typu kłótnie w okresie rozkładu własnego małżeństwa. Doszły one w końcu do punktu, w którym żadna z wypowiedzi nie była w pełni prawdziwa ani nie przynosiła nadziei na poprawę.

Czułem kwaśny, zwierzęcy gniew, emanujący z ich ciał, i słyszałem szybkie, nierówne oddechy. Stałem pomiędzy nimi, zwracając się w stronę Biemeyera.

- Gdzie jest Mildred? - spytałem. - Chcę z nią pomówić.

- Nie wiem. Naprawdę.

- Kłamie - oświadczyła jego żona. - Sprowadził ją do Santa Teresa i wynajął dla niej mieszkanie niedaleko plaży. Mam w tym mieście trochę przyjaciół i wiem, co w trawie piszczy. Widziałam, jak wydeptuje ścieżkę do jej drzwi, jak odwiedza ją codziennie. - Odwróciła się do męża. - Swoją drogą co z ciebie za podlec, żeby wymykać się z przyzwoitego domu i sypiać ze zwariowaną, starą babą.

- Nie sypiałem z nią.

- Więc co robiliście?

- Rozmawialiśmy. Wypijaliśmy kilka drinków i gadaliśmy sobie. Tylko o to nam chodziło.

- Po prostu niewinna przyjaźń, co?

- Oczywiście.

- Zawsze taka była - oświadczyła z ironią.

- Wcale tego nie twierdzę.

- Więc co twierdzisz?

Przez chwilę starał się zapanować nad sobą.

- Kochałem ją - oświadczył.

Popatrzyła na niego bezradnie. Chyba nie powiedział jej tego nigdy dotąd. Wybuchnąwszy płaczem usiadła na jego fotelu, pochylając mokrą od łez twarz aż do kolan.

Biemeyer wydawał się przygnębiony, niemal półprzytomny. Wziąłem go pod ramię i odprowadziłem w przeciwny koniec pokoju.

- Gdzie jest teraz Mildred?

- Nie widziałem jej od tygodni. Nie wiem, dokąd się przeniosła. Pokłóciliśmy się o pieniądze. Pomagałem jej oczywiście, ale chciała więcej. Żądała, żebym sprawił jej dom ze służbą i pielęgniarką, która mogłaby się nią opiekować. Zawsze miała pomysły na wielką skalę.

- A pan nie chciał ich finansować?

- Zgadza się. Gotów byłem dać jakąś część. Ona nie była w nędzy. Poza tym starzała się... ma siedemdziesiąt I kilka lat. Powiedziałem jej, że kobieta w tym wieku musi i przystosować się do okoliczności. Nie może liczyć na to, że i dalej będzie żyć jak królowa.

- Dokąd się przeniosła?

- Nie mam pojęcia. Wyprowadziła się przed kilku tygodniami nie podając mi adresu. Mówiła, że zamierza przenieść się do jakichś krewnych.

- W tym mieście?

- Nie wiem.

- Nie próbował jej pan znaleźć?

- Po co? - spytał Biemeyer. - Po co, do diabła, miałbym to robić? Między nami nic już od dawna nie było. Po sprzedaży domu w Kanionie miała dość pieniędzy do końca życia. Nic nie jestem jej winien. Szczerze mówiąc zaczynała być irytująca.

On również, ale nie mogłem jeszcze odejść.

- Muszę się z nią skontaktować, a pan może mi w tym pomóc. Czy ma pan kogoś w oddziale Southwestern Savings w Copper City?

- Znam kierownika. Nazywa się Delbert Knapp.

- Może się pan od niego dowiedzieć, gdzie realizowała Mildred Mead czeki za dom?

- Mogę spróbować.

- Musi pan zrobić coś więcej, panie Biemeyer. Przykro mi, że pana naciskam, ale może to być sprawa życia lub! śmierci.

- Czyjej śmierci? Mildred?

- Być może. Ale chwilowo niepokoję się losem Betty Siddon. Próbuję odnaleźć ją poprzez Mildred. Czy może pan porozumieć się z tym Delbertem Knappem?

- Nie wiem, czy uda mi się go złapać jeszcze dziś. Tak czy owak nie ma w domu potrzebnych dokumentów.

- Z kim kontaktowała się Mildred tu, na miejscu? Czy może mi pan pomóc odszukać te osoby?

- Zastanowię się. Ale niech pan pamięta, że nie chcę, aby moje nazwisko znalazło się w gazetach. Nie życzę sobie, żeby w ogóle o mnie wspomiano w związku z Mildred Mead. Im dłużej o tym myślę, tym mniejszą mam ochotę wdawać się w to wszystko.

- Być może zależy od pana życie pewnej kobiety.

- Wszyscy musimy umrzeć - odparł. Wstałem z krzesła i spojrzałem na niego z góry.

- Sprowadziłem z powrotem pańską córkę. Teraz proszę pana o pomoc. Jeśli jej pan nie udzieli, a pannie Siddon stanie się coś złego, zniszczę pana.

- Brzmi to jak groźba.

- Bo jest nią. Jest w pańskim życiu dość gnoju, żeby można pana załatwić.

- Przecież jestem pańskim klientem.

- Zatrudniła mnie pańska żona.

Własny głos brzmiał w moich uszach spokojnie, jakby z pewnej odległości. Ale miałem wrażenie, że moje oczy zmniejszyły się nagle i nie mogłem opanować drżenia.

- Upadł pan chyba na głowę. Mógłbym pana kupić i sprzedać tysiąc razy.

- Nie jestem na sprzedaż. Zresztą to wszystko bzdury. Być może ma pan pieniądze, ale jest pan zbyt skąpy, żeby ich użyć. Jeszcze wczoraj awanturował się pan z powodu nędznych pięciuset dolarów, za które sprowadziłem pańską córkę. Czasem zdaje się panu, że jest pan królem świata, a czasem gada pan jak nędzny żebrak.

Wstał z fotela.

- Złożę na pana skargę w Sacramento. Dopuszczał się pan groźby i szantażu. Będzie pan tego żałował do końca życia.

Już tego żałowałem. Ale byłem zbyt wściekły, by próbować go zjednać. Wyszedłem z gabinetu i skierowałem się w kierunku drzwi wyjściowych. Zanim do nich dotarłem, I zatrzymała mnie pani Biemeyer.

- Nie powinien pan być tego mówić.

- Wiem o tym. Przykro mi. Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Niech pan nie dzwoni na policję. Nie chcę, żeby tu przyjeżdżali.

- Nie. Muszę porozmawiać z przyjacielem. Wprowadziła mnie do wielkiej, wyłożonej cegłami kuchni, kazała mi usiąść przy stole obok okna i przyniosła telefon z długim przewodem. Okno wychodziło na odległą zatokę. Nieco bliżej, u podnóża góry, stał rozjarzony światłami dom pani Chantry. Nakręcając numer podany mi I przez Fay Brighton, spojrzałem w jego kierunku jeszcze raz i zauważyłem, że w oranżerii palą się lampy.

Numer był zajęty, więc nakręciłem go ponownie.

Tym razem pani Brighton odpowiedziała już po pierwszym sygnale.

- Halo?

- Mówi Archer. No i co, miała pani szczęście?

- Raczej pecha. Kłopot polega na tym, że wszyscy ci ludzie wydają się podejrzani. Może jest w moim głosie coś, co ich do tego skłania. Trochę się boję siedzieć tu sama, rozumie pan. I nic nie udało mi się załatwić.

- Daleko ma pani do końca listy?

- Jestem chyba w połowie. Ale czuję, że nic z tego nie będzie. Czy pozwoli pan, że na dziś zrezygnuję?

Nie odpowiedziałem jej od razu. Zanim się odezwałem, wydała krótkie, przeprasające westchnienie i odłożyła słuchawkę.

30

Zgasilem kuchenną lampę i raz jeszcze spojrzałem w kierunku domu pani Chantry. Dostrzegłem jakiś ruch w oranżerii. Ale nie widziałem, co się porusza.

Wyszedłem do samochodu po lornetkę i po raz drugi natknąłem się na panią Biemeyer.

- Nie widział pan Doris? - spytała. - Zaczynam się trochę niepokoić.

Odniosłem wrażenie, że jest nawet bardzo zaniepokojona. Łamał się jej głos. Oczy, odbijające blask ustawionych przed domem lamp, były ciemne i głębokie.

- Czy wyszła z domu? - spytałem.

- Chyba tak, o ile się gdzieś nie ukryła. Może uciekła z Fredem Johnsonem?

- To niemożliwe. Fred jest w więzieniu.

- Był - odparła. - Ale mój adwokat kazał go dziś zwolnić. Chyba popełniłam błąd. Niech pan nie mówi Jackowi, dobrze? Nie darowałby mi do końca życia.

Była skłopotaną kobietą, pogrążającą się coraz bardziej w swych problemach. Straciła już swobodny sposób bycia i zaczynała tracić nadzieję.

- Powiem pani mężowi tylko to, co będę musiał, ani słowa więcej. Gdzie jest Fred? Chcę z nim pomówić.

- Podwieźliśmy go pod dom rodziców. Chyba zrobiłam głupstwo, prawda?

- Oboje robimy głupstwo - powiedziałem - stojąc tu przed domem w świetle wszystkich lamp. W willi Chantry'ego dzieją się jakieś dziwne rzeczy.

- Wiem o tym. Działy się niemal przez cały dzień. Za dnia wycinali rośliny w oranżerii. Potem, po zmroku, zaczęli kopać dół.

- Jaki dół?

- Niech pan sam zobaczy. Kopiają go nadal. Zszedłem podjazdem do krawędzi zbocza, przy którym zatrzymało mnie poprzednio ogrodzenie. Płonące za moimi plecami światła zgasły. Oparłem się o płot i nastawiłem ostrość lornetki na oranżerię. Pracowali w niej ciemnowłosy mężczyzna i siwa kobieta - Rico i pani Chantry. Miałem wrażenie, że zasypują dół, nabierając łopatami ziemię z leżącej między nimi przyzmy.

Rico zsunął się do zasypanego częściowo dołu i zaczął podskakiwać, ubijając sypką, górną warstwę. Zapadał się na stojąco w głąb ziemi, jak potępiona dusza, samorzutnie zstępująca do piekła. Pani Chantry obserwowała go, stojąc obok.

Nastawiłem lornetkę na jej twarz. Wydała mi się zaróżowiona, surowa i groźna. Policzki były pobrudzone ziemią, a włosy przylegały do skroni jak lśniące, szare skrzydła jastrzębia.

Wyciągnęła rękę do Rica i pomogła mu wydostać się z dołu. Chwilę rozmawiali stojąc nad krawędzią, potem zaczęli go pracownicy zasypywać. Ziemia spadała bezgłośnie z ich łopat.

Czarna myśl pojawiła się na obrzeżu mojej wyobraźni i stopniowo całkowicie ją przysłoniła. Pracujący w oranżerii ludzie wykopali grób, a teraz go zasypują. Nie wydawało się to prawdopodobne. Gdyby jednak tak było, to istniała również możliwość, że pod ziemią leżą zwłoki Betty Siddon.

Wróciłem do auta po rewolwer. Trzymałem go już w ręku, kiedy usłyszałem za sobą słowa Ruth Biemeyer:

- Co pan zamierza z nim zrobić?

- Chcę zobaczyć, co się tam dzieje.

- Niech pan, na miłość boską, nie bierze z sobą broni, Ciągłe giną od kul niewinni ludzie. A ja nie odnalazłam jeszcze mojej córki.

Nie spierałem się z nią. Wsunąłem automatyczny rewolwer średniego kalibru do kieszeni marynarki. Wróciłem pod ogrodzenie, przeszedłem przez nie i ruszyłem z boku w dół, w kierunku wąwozu. Stok obsadzony był bujnymi, mięsistymi roślinami, po których stapało się jak po gumie. Nieco niżej ustąpiły one miejsca szalwii i jakimś innym krzewom. Dostrzegłem wśród nich lśniącą jak gigantyczne złote jajo głowę jakiejś blondynki. Doris, przykucnąwszy wśród krzewów, obserwowała wewnątrz oranżerii.

- Doris? - szepnąłem. - Nie przestrasz się.

Mimo to podskoczyła jak młoda sarna i z hałasem pobiegła w dół stoku. Dogoniłem ją i kazałem zachować spokój. Drżała i oddychała ciężko. Mimo woli, a może na wpół świadomie, robiła uniki, próbując mi się wyrwać. Chwyciłem ją oburącz za ramiona.

- Nie bój się, Doris. Nic ci nie zrobię.

- Sprawia mi pan ból. Proszę mnie puścić.

- Jeśli obiecasz nie ruszać się i zachować spokój. Dziewczyna uspokoiła się już trochę, ale nadal słyszałem jej oddech.

Rico i pani Chantry przestali zasypywać dół i stali obok siebie, nad słuchując. Przeszukiwali wzrokiem ciemne zbocze. Położyłem się wśród krzewów szaławii i pociągnąłem dziewczynę za sobą. Po długiej, pełnej napięcia minucie, podjęli pracę. Wyglądali jak para grabarzy.

- Czy widziałaś, co zakopują, Doris?

- Nie. Nie widziałam. Kiedy przyszłam, dół był już zasypywany.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Zauważyłam światło w oranżerii. Potem zeszłam na dół i zobaczyłam tę wielką stertę ziemi. Myśli pan, że zakopują zwłoki?

Jej głos był pełen lęku. Ale wykryłem w nim również rzeczowy ton, jakby mówiła o koszmarach nocnych, które wreszcie się sprawdziły.

- Nie wiem - odparłem.

Podeszliśmy w górę do płotu i idąc wzdłuż niego dotarliśmy na podjazd, prowadzący do domu jej rodziców. Na szczycie czekała Ruth Biemeyer.

- Co pana zdaniem powinniśmy zrobić? - spytała.

- Zadzwoń do kapitana Mackendricka. Zostawiła mnie samego w kuchni. Obserwowałem przez okno oranżerię. Ale widziałem tylko przekreślone ramami szyb światło, w którym od czasu do czasu pojawiał się jakiś cień.

Mackendricka nie było w gabinecie i telefonistka komendy starała się go przez chwilę odszukać. Czekając, przypomniałem sobie, że jako młody policjant znał on Chantry'ego i zacząłem się zastanawiać, czy będzie miał niebawem okazję znowu go ujrzeć.

Zastałem Mackendricka w domu. Telefon odebrała jakaś kobieta, której półoficjalny głos zdradzał niecierpliwość zmieszaną z rezygnacją. Po krótkich tłumaczeniach zdołałem ją nakłonić, by pozwoliła mi porozmawiać z mężem. Opowiedziałem mu, co się dzieje w oranżerii.

- Kopanie we własnej oranżerii nie jest przestępstwem - stwierdził. - Oficjalnie nie mam prawa się do tego wtrącać. Do diabła, mogliby zaskarżyć władze miejskie.

- Chyba że zakopali zwłoki.

- Czy widział pan, jak to robili?

- Nie.

- Więc co pańskim zdaniem mam zrobić?

- Niech pan się nad tym zastanowi - odparłem. - Ludzie nie wykopują takich dołów w ziemi i nie zasypują ich potem po prostu dla rozrywki.

- Ludzie robią różne dziwne rzeczy. Może czegoś szukają?

- Na przykład?

- Nieszczęelnego przewodu kanalizacyjnego. Widziałem ludzi, którzy rozkopywali cały dziedziniec, szukając dziurawego kawałka rury.

- Ludzi pokroju pani Chantry?

Zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli przerwiemy już tę rozmowę. Jeśli zamierza pan coś przedsięwziąć, nie chcę o niczym wiedzieć.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o której nie chce pan wiedzieć - oświadczyłem. - Ale ja chcę ją panu oznajmić.

Mackendrick westchnął - a może stęknął z niechęcią.

- Tylko szybko, dobrze? Mam jeszcze sporo do zrobienia, a jest już późno.

- Zna pan młodą kobietę nazwiskiem Betty Siddon?

- Jeszcze jak. Zawracała mi głowę.

- Nie widział jej pan dziś wieczorem, prawda?

- Nie.

- Wygląda na to, że zaginęła.

- Co to znaczy?

- Zapadła się pod ziemię. Nie mogę się z nią skontaktować.

- Od jak dawna?

- Od kilku godzin.

Mackendrick zaczął na mnie wrzeszczeć; gniew mieszał się w jego głosie z rozbawieniem.

- Na miłość boską, przecież to niczego nie dowodzi. Mógłby pan twierdzić, że zaginęła, gdyby nie było jej przez tydzień czy dwa.

- Więc poczekajmy dwadzieścia lat - odparłem. - Do tej pory wszyscy pomrzemy.

Własny głos, wysoki i pełen wściekłości, zabrzmiał dziwnie w moich uszach.

Mackendrick zaczął mówić ciszej, jakby chcąc służyć mi dobrym przykładem.

- O co chodzi, Archer? Ma pan bzika na punkcie tej dziewczyny czy co?

- Niepokoję się o nią.

- W porządku, każe moim ludziom rozglądać się za nią. Dobranoc.

Siedziałem z głuchą słuchawką w ręku, czując gniew i ból, które poznałem już wcześniej. Żyłem na styku dwu światów. Jeden z nich był światem realnym, w którym życie ludzkie rzadko było wolne od niebezpieczeństw, a ostrze rzeczywistości naprawdę było groźne. Mackendrick musiał działać w innym świecie - w gąszczu tradycji i przepisów - w

którym przyjmowało się oficjalnie do wiadomości tylko to, co zostało zgłoszone w drodze służbowej.

Siedząc w ciemnej kuchni widziałem parę grabarzy, kończących pracę przy zasypanym już dole. Miałem wrażenie, że zbierają garściami ścięte rośliny i rozrzucają je po świeżej ziemi. W końcu Rico podniósł jakiś brązowy worek, zarzucił go sobie na plecy i wyszedł z nim do stojącego na dziedzińcu auta. Otworzył bagażnik i wrzucił do niego swój tobołek.

Pani Chantry pogasiła światła w oranżerii i weszła w ślad za nim do domu.

Wsiadłem do swego samochodu, zjechałem ze wzgórza i zaparkowałem tuż za rogiem ulicy, prowadzącej do domu pani Chantry. Choć wydarzenia tej nocy i poczynania ludzi przekraczały znacznie moją zdolność pojmowania, zaczynałem wczuwać się w ich rytm. Po niecałych piętnastu minutach ujrzałem blask świateł samochodu nadjeżdżającego od strony domu Chantrych. Rico, siedzący samotnie za kierownicą wozu pani Chantry, minął mnie i skręcił w kierunku autostrady.

Jechałem za nim w pewnej odległości, ale na tyle blisko, by dostrzec, że zajmuje pas wiodący na północ. O tej porze panował jeszcze spory ruch; samochody pełżyły w tunelu wieczornej ciemności jak nie kończąca się, świetlista gąsienica. Minęliśmy oświetlone wieże uniwersytetu, zatłoczone budynki miasteczka studenckiego - miejsca mego wczorajszego, pierwszego spotkania z Doris - wąski przesmyk prowadzący ku plaży, na której znaleziono ciało Jake'a Whitmore'a.

Rico trzymał się autostrady, a ja jechałem jego śladem. Gdy opuściliśmy miasto, ruch zmniejszył się stopniowo; na szosie były teraz tylko ciężarówki, wozy podróżujących nocą turystów i inne pojazdy spotykane poza granicami miast. Niespodziewanie skręcił z autostrady w prawo, potem w lewo pod wiadukt. Zjechałem na boczną drogę, czekałem przez chwilę poza zasięgiem jego wzroku, a później ze zgaszonymi światłami popędziłem za nim w kierunku nadbrzeża.

Celem jego podróży było drewniane molo, wrzynające się głęboko w morze. O trzy lub cztery mile od jego końca stało kilka wież wiertniczych, które błyszczały światłami jak bezlistne choinki. Daleko na północ od nich lśnił olbrzymi słup płonącego gazu, jak groźna Statua Wolności Zachodniego Wybrzeża.

Na tle tych licznych świateł widziałem wyraźnie sylwetkę Rica, który zbliżał się do wylotu mola, pochylony pod ciężarem zarzuconego na plecy worka. Wsiadłem z wozu i cicho ruszyłem jego śladem, zmniejszając stopniowo dzielącą nas odległość. Kiedy dotarł do skraju mola, byłem tuż za nim.

- Rzuć to, Rico! - powiedziałem. - I podnieś ręce!

Zamachnął się, usiłując przerzucić worek nad barierą. Uderzył on o górną poprzeczkę i z klekotem opadł na deski mola. Rico wykonał zwrot i rzucił się na mnie z pięściami. Unikając jego ciosów uderzyłem go kilka razy w korpus, a potem raz w szczękę. Upadł i leżał na razie nieruchomo. Przeszukałem jego ubranie. Nie miał broni.

Odwiązałem sznur krępujący worek i wytrząsałem część jego zawartości na deski mola. Były tam pokryte warstwą brudu ludzkie kości, uszkodzona ludzka czaszka i porzewiałe części silnika samochodowego.

Rico stęknął i obrócił się na bok. Potem ruszył ku mnie; był silny i ciężki, ale nie miał refleksu. Jego odsłonięta głowa chwiała się bezwładnie. Nie uderzyłem go ponownie. Zrobiłem krok w tył, wyjąłem rewolwer i kazałem mu się uspokoić.

Zamiast mnie usłuchać, odwrócił się i pobiegł chwiejnie ku wychodzącej w morze krawędzi mola. Zaczął wspinać się na barierę, ale bez większego powodzenia. Nogi ześlizgiwały mu się ze szczebli. Był odpływ i powierzchnia morza leżała daleko pod nami.

Nie wiem dlaczego, uparłem się, że Rico nie może wskoczyć w ciemne fale. Schowałem rewolwer do kieszeni i objąłem go w pasie. Potem ściągnąłem go z bariery i przytrzymałem na deskach.

Doprowadziwszy Rica do mego samochodu i zatrzasnąwszy za nim drzwi, uświadomiłem sobie przyczynę mego zadowolenia. Dwadzieścia kalka lat przedtem, obok podobnego, zachłapanego olejem mola, walczyłem w wodzie z pewnym człowiekiem nazwiskiem Puddler i utopiłem go.

Rico, bez względu na to, jakie grzechy miał na sumieniu, pomógł mi odkupić jeden z moich własnych.

31

Kapitan Mackendrick też się ucieszył na widok Rica. Zebraliśmy się w trójkę w gabinecie kapitana; był z nami również stenograf policyjny, mający notować wszystko, co zostanie powiedziane. Rico nie odzywał się wcale, dopóki nie przyniesiono worka z kośćmi i żelastwem. Mackendrick potrząsnął nim przed jego twarzą. Z wnętrza doszedł nas dziwny, stłumiony klekot.

Mackendrick wyjął uszkodzoną czaszkę i położył na swym biurku. Puste oczodoły wpatrywały się w twarz Rica. Rico przez dłuższą chwilę odwzajemniał ich spojrzenie. Próbował zwilżyć suchym językiem wargi. Potem usiłował podrapać się po głowie, ale jego palce uwięzły w płątaninie opasujących ją bandaży.

- Byłeś kiedyś porządnym człowiekiem - powiedział kapitan. - Pamiętam, jak grywałeś na plaży w siatkówkę. Lubieś zdrowe, uczciwe rozrywki. Lubieś też uczciwą, zdrową pracę - myśłeś auta, strzygłeś trawniki. Uważałeś, że pan Chantry jest najlepszym pracodawcą, jakiego może sobie wyobrazić taki młody chłopak jak ty. Powiedziałeś mi to kiedyś, pamiętasz?

Z oczu Rica popłynęły łzy, tworząc dwie bliźniacze bruzdy po obu stronach nosa.

- To straszne - wymamrotał.

- Co jest straszne, Rico? To, że go zabiłeś?

Rico potrząsnął głową i łzy rozprysły się po twarzy.

- Nie wiem nawet, kto to jest.

- Więc dlaczego wykopałeś jego biedne kości i próbowałeś się ich pozbyć?

- Nie wiem.

- Jak to? Robisz coś i nie wiesz dlaczego?

- Czasem. Kiedy ktoś mi każe.

- Kto ci kazał pozbyć się tych kości? Obciążyć worek żelastwem i wrzucić go do morza? Kto ci to polecił? - pytał Mackendrick.

- Nie pamiętam.

- A może to twój własny pomysł?

Rico drgnął gwałtownie, jakbyś cofając się przed tym przypuszczeniem.

- Nie.

- Więc czyj?

Rico spojrzał w puste oczodoły. Jego twarz stała się jeszcze bardziej posępna, jakby patrząc w lustro, ujrzał własne oblicze moralne. Uniósł ręce i dotknął palcami policzków, sprawdzając, czy są pod nimi kości.

- To czaszka pana Richarda Chantry? - spytał Mackendrick.

- Nie wiem. Przysięgam, na Boga, że nie wiem!

- Więc co wiesz?

- Niewiele - wyjąkał, wpatrując się w podłogę. - Zawsze byłem tępy.

- To prawda, ale nie do tego stopnia. Za dawnych czasów umiałeś o sobie dbać, Rico. Latałeś za dziewczynami, ale nie pozwalałeś im wodzić się za nos. Nie popełniłbyś morderstwa dla jakiejś kobiety, która potrząsnęła ci tyłkiem przed oczami. Miałeś na to za dużo oleju w głowie.

Palce protokolanta wykonywały skoczny menuet na klawiszach maszyny do stenografii. Rico wpatrywał się w nie, jakby tańczyły taniec śmierci, opowiadając jego

przeszłość lub, być może, przepowiadając przyszłość. Potem zaczął szeptać coś pod nosem, zbyt cicho, by można go dosłyszeć.

Mackendrick wychylił się do przodu.

- Co mówisz, Rico? - spytał ostro. - Mów głośniej, człowieku, to może być ważne!

Rico kiwnął głową.

- To jest ważne. Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Nic wspólnego z morderstwem?

- Zgadza się. To wszystko jej sprawka. Mam czyste sumienie. Kazała mi go zakopać, więc posłuchałem. Potem, po dwudziestu pięciu latach, kazała mi go wykopać. Nic więcej nie zrobiłem.

- Nic więcej nie zrobiłeś - powtórzył cicho, z sarkazmem, Mackendrick. - Tyle tylko, że pogrzebałeś zamordowanego faceta, a potem wykopałeś go i próbowałeś utopić jego kości w morzu. Po cóż miałbyś to robić, gdybyś go nie zamordował?

- Ona mi kazała.

- Kto ci kazał?

- Pani Chantry.

- Kazała ci zakopać zwłoki męża?

Mackendrick podniósł się z fotela i stanął nad przesłuchiwanym, który przechylał głowę w obie strony, jakby próbował zrzucić z siebie ciężar jego cienia.

- To nie były zwłoki jej męża.

- Więc czyje?

- Jakiegoś faceta, który zadzwonił do drzwi pewnego dnia, mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu. Chciał się zobaczyć z panem Chantry. Powiedziałem mu, że pan Chantry jest zajęty w pracowni, a zresztą i tak nie przyjmuje nikogo, z kim nie był umówiony. Ale on oświadczył, że jego na pewno przyjmie, gdy tylko usłyszy nazwisko.

- Jakie to było nazwisko? - spytał Mackendrick.

- Przykro mi, ale nie pamiętam.

- Jak wyglądał?

- Pospolicie. Był jakiś blady i słaby, jakby chory. Zapamiętałem tylko, że mówił z trudem. Jakby przeszedł wylew albo coś takiego. Miał głos jak stary włóczęga, choć niby nie był taki stary.

- Ile miał lat?

- Chyba ze trzydzieści. W każdym razie więcej niż ja.

- A jak był ubrany?

- Marnie. Miał jakieś brązowe ubranie, które nie najlepiej na niego pasowało. Pamiętam, jak pomyślałem wtedy, że pewnie dostał je z Armii Zbawienia.

- Zaprowadziłeś go do pana Chantry?

- Ona to zrobiła. Dość długo rozmawiali w pracowni wszyscy troje.

- O czym mówili? - spytałem.

- Nie słuchałem. Zamknęli drzwi, takie solidne dębowe drzwi, grube chyba na trzy cale. Po jakimś czasie pani Chantry wyszła razem z nim i odprowadziła go do bramy.

Mackendrick chrząknął pogardliwie.

- Przecież dopiero mówiłeś nam, że go pogrzebałeś. Czy wycofujesz to zeznanie?

- Nie, proszę pana. To zdarzyło się później, pod koniec tygodnia, kiedy przyszedł z kobietą i małym chłopcem.

- Jaką kobietą? Jakim chłopcem?

- Musiała mieć chyba koło trzydziestki. Dość zgrabna, poza tym nic szczególnego, taka bezbarwna brunetka. Chłopiec mógł mieć z siedem albo osiem lat. Był bardzo spokojny. Nie zadawał żadnych pytań, jak inne dzieci. Chyba nie powiedział przez cały czas ani słowa. I nic dziwnego. Musiał być obecny przy tym, co się stało.

- A co się stało?

- Nie wiem dokładnie - odpowiedział z namysłem Rico. - Nie byłem przy tym. Ale kiedy było już po wszystkim, w oranżerii leżały w starym worku jego zwinięte zwłoki. Powiedziała mi, że dostał wylewu, upadł, uderzył się w głowę i skonał na miejscu. Że mam go pogrzebać, bo nie chce żadnych kłopotów. Mówiła, że jeśli będę dla niej miły i zakopię go, ona będzie miła dla mnie.

- Więc przez ostatnie dwadzieścia pięć lat nie wychodzisz z jej łóżka - powiedział z niesmakiem Mackendrick. - A ten biedak leżał w ziemi jako nawóz dla jej orchidei. Zgadza się?

Rico spuścił głowę i wpatrywał się w porysowany skrawek podłogi między swymi stopami.

- Może. Tylko że ja go nie zabiłem.

- Ale ukrywałeś sprawcę, ktokolwiek nim był. Kto go zabił?

- Nie wiem. Nie byłem przy tym.

- I leżąc z nią w łóżku przez dwadzieścia pięć lat nie pomyślałeś o tym, żeby spytać, kto go zabił?

- Nie, proszę pana. To nie była moja sprawa.

- Ale teraz jest twoja. Wszyscy jesteście w to wplątani, chyba o tym wiesz... ty, pan Chantry, jego żona i ta brunetka z małym chłopczykiem. - Mackendrick znów podniósł czaszkę i przysunął ją, jak memento mori, do twarzy Rica. - Jesteś pewien, że to nie pan Chantry?

- Nie, proszę pana. To znaczy, tak, proszę pana, jestem pewien, że to nie on.

- Skąd wiesz? Przecież zakopałeś go w worku?

- Ona mówiła, że to ten drugi, ten mężczyzna w brązowym ubraniu.

- Ale opierasz się tylko na jej słowie?

- Tak, proszę pana.

- Na słowie pani Chantry?.

- Tak.

Mackendrick posłał czaszce długie, posępne spojrzenie, potem przeniósł wzrok na mnie.

- Czy chce mu pan zadać jakieś pytania?

- Dziękuję, kapitanie, owszem, chcę. - Odwróciłem się znów w stronę Rica. - Skoro przyjmujemy, że nie jest to czaszka Richarda Chantry, to co twoim zdaniem mogło się z nim stać?

- Zawsze myślałem, że po prostu odszedł.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Czy widziałeś go od tej pory albo miałeś od niego jakieś wiadomości?

- Nie. Zostawił ten list... widział go pan pewnie w muzeum?

- Widziałem. Kiedy go napisał? - Nie wiem.

- Po zabiciu tego mężczyzny, a przed odejściem?

- Nie wiem, kiedy go napisał. Od tego dnia nigdy go nie widziałem ani nie rozmawiałem z nim.

- Czy pani Chantry mówiła ci, dokąd odszedł?

- Nie, proszę pana. Chyba sama nie wie.

- Czy wziął coś ze sobą?

- O ile wiem, nic. Ona zajmowała się jego rzeczami, kiedy zniknął.

- Czy pani Chantry była nieszczęśliwa po jego odejściu?

- Nie wiem. Nie rozmawiała ze mną o tym.

- Nawet w łóżku? Rico zaczerwienił się.

- Nie, proszę pana.

- A co stało się z tą brunetką i z chłopczykiem? Czy widziałeś ich od tamtej pory?

- Nie. Nie szukałem ich zresztą. Nikt mi nie kazał.

- A co ci kazano?

- Zajmować się domem i tymi, którzy w nim mieszkają. Staram się jak mogę.

- Została w nim już tylko jedna osoba, co?

- No tak. Pani Chantry.

- Myśli pan, że zechce odpowiadać na pytania? - zwróciłem się do Mackendricka.

- Nie jestem jeszcze przygotowany do przesłuchania jej - odpowiedział nienaturalnym tonem. - Muszę to uzgodnić z moimi przełożonymi.

Ja wolałbym uzgodnić kilka spraw z jego podwładnymi, ale nie mogłem tego zrobić bez niego. Poczekalem, aż wyprowadzą Rica do celi. Kiedy Mackendrick i ja zostaliśmy w gabinecie sami z czaszką i kośćmi, powiedziałem mu, co moim zdaniem mogło się przytrafić Betty Siddon.

Mackendrick nerwowo przewracał coś na biurku. Jego twarz poczerwieniała i obrzękła, jakby cierpiał na zbyt wysokie ciśnienie.

- Dziś w nocy nie mogę już zrobić nic w sprawie tej Siddon - przerwał mi w końcu. - Nie zrobiłbym nic, nawet gdybym miał ludzi. Kobiety zawsze znikają gdzieś w swoich sprawach. Jest przystojną dziewczyną... pewnie zdrzemnęła się w mieszkaniu jakiegoś przyjaciela.

O mało nie dałem mu w zęby. Siedząc w fotelu próbowałem opanować wściekłość, gotującą się chłodno w mojej głowie jak płynny gaz. Postanowiłem zachować ostrożność. Wiedziałem, że jeśli stracę panowanie nad sobą, co groziło mi przez cały wieczór, mogę zostać odsunięty od śledztwa, a nawet wyładować jak Rico w celi.

Skupiłem uwagę na czaszce, przypominając sobie, że ludzie z wiekiem powinni stawać się spokojniejsi.

- Ja właściwie jestem jej przyjacielem - powiedziałem, opanowawszy się trochę.

- Tak myślałem. Zresztą nie mam tylu ludzi, żeby kazać im chodzić po domach i pukać do wszystkich drzwi. Niepotrzebnie się pan o nią martwi, zapewniam pana. Jest mądrą dziewczyną i zna dobrze swoje miasto. Jeśli nie wróci w ciągu nocy, rano zastanowimy się nad sytuacją.

Zaczął mówić takim tonem, jakby już był szefem policji. Uświadomiłem sobie, że życzę mu, aby nigdy nim nie został. Ale najwyraźniej ja właśnie miałem mu pomagać w osiągnięciu tego celu.

- Czy mogę panu przedstawić kilka propozycji, kapitanie? I kilka próśb?

Zerknął niecierpliwie na ścienny zegar elektryczny; dochodziła północ.

- Po tym, co pan zrobił, nie mogę panu odmówić.

- Postarajmy się ustalić dokładnie datę śmierci tego człowieka. Prawdopodobnie pokrywa się ona z terminem zniknięcia Chantry'ego. Następnie zbadać, kto jeszcze zniknął w tym czasie tu i w całej południowej Kalifornii - szczególną uwagę zwróciłbym na szpitale i zakłady dla obłąkanych. Z relacji Rica wynika, że facet mógł być chory psychicznie. - Wyciągnąłem rękę, by dotknąć żalosnej, wgniezionej czaszki.

- Zrobilibyśmy to wszystko w ramach normalnej procedury śledczej - stwierdził Mackendrick.

- Jasne. Ale to nie jest normalna sytuacja. Myślę, że powinien pan zacząć wysłać depesze.

- Bo pan niepokoi się o swoją dziewczynę?

- Niepokoję się o nią i o wiele innych osób. Nie śledzimy przecież dawno zakończonej historii. Mamy do czynienia z przestępstwami popełnionymi teraz, między innymi z morderstwem. A ja czuję, że wszystkie są z sobą powiązane.

- Ale jak?

- Zapewne przez zniknięcie Chantry'ego. Ono wydaje się kluczowym punktem całej sprawy. - Omówiłem pobieżnie pozostałe wydarzenia, zaczynając od rzekomego morderstwa Williama Meada, popełnionego przed trzydziestu dwu laty w Arizonie, i kończąc na śmierci dwu handlarzy obrazami - Paula Grimesa i Jacoba Whitmore'a.

- Skąd ta pewność, że są z sobą powiązane?

- Bo między tymi ludźmi zachodziły liczne związki. Grimes był nauczycielem Chantry'ego i jego bliskim przyjacielem. Grimes kupił portret Mildred Mead od Whitmore'a. William Mead był przyrodnim bratem Chantry'ego i synem Mildred Mead. Mildred wydaje się jedną z dwu głównych postaci kobiecych naszego dramatu. Drugą jest oczywiście pani Chantry. Gdyby udało się dotrzeć do tych kobiet i zmusić je do mówienia...

- Pani Chantry odpada - przerwał Mackendrick - przynajmniej na razie. Nie mogę wezwać jej na przesłuchanie w oparciu o to, co mówi Rico. - Spojrzał na mnie tak, jakby zamierzał powiedzieć coś więcej, ale nie odezwał się.

- A Mildred Mead?

Mackendrick poczerwieniał z gniewu lub zażenowania.

- Kim jest ta Mildred Mead? Nigdy o niej nie słyszałem. Pokazałem mu fotografię portretu, opowiadając związaną z nim historię.

- Zna ona zapewne tło całej sprawy lepiej niż ktokolwiek inny - powiedziałem na koniec. - Być może z wyjątkiem pani Chantry.

- Gdzie możemy znaleźć Mildred Mead? Czy przebywa w tym mieście?

- Do niedawna w nim mieszkała. Prawdopodobnie jest tu nadal, w jednym z zakładów dla rekonwalescentów. To jej właśnie szukała Betty Siddon.

Mackendrick siedział w fotelu, przyglądając mi się badawczo. Jego twarz, jak księżyc, przeszła różne fazy - od

gniewu, poprzez zniechęcenie, aż do akceptacji, zabarwionej szorstkim poczuciem humoru.

- Okey - powiedział. - Wygrał pan. Objedziemy wszystkie zakłady i zobaczymy, czy uda nam się znaleźć te dwie kobiety.

- Mogę brać udział w poszukiwaniach?

- Nie. Zamierzam kierować nimi sam.

32

Pomyślałem, że nadszedł czas, abym znów porozmawiał z Fredem. Wolałbym pomówić z panią Chantry. Ale Mackendrick wziął ją pod ochronę, a ja nie chciałem mu się narażać i to w chwili, kiedy zaczynał iść mi na rękę.

Przejechałem przez miasto i zaparkowałem na Olive Street. Cienie pod drzewami były gęste i ciemne jak zakrzepła krew. Wysoki, strzelisty, szary dom, na którego wszystkich trzech piętrach paliło się światło, wydawał się w porównaniu z nimi dość pogodny. Zza drzwi frontowych dochodziły głosy kilku osób.

Ucichły, gdy zapukałem. Pani Johnson podeszła do drzwi w swym białym kitlu. Jej oczy błyszczały uczuciami, których nie umiałem rozszyfrować. Twarz była szara i przygasła. Wyglądała jak kobieta znajdująca się u kresu wytrzymałości, która może się załamać, jeśli podda się ją silniejszej presji.

- O co chodzi? - spytała.

- Chciałem zobaczyć, jak miewa się Fred. Dowiedziałem się właśnie, że go zwolniono.

- Dzięki panu Lacknerowi. - Podniosła głos, jakby zdanie to skierowane było nie tylko do mnie. - Zna go pan? Siedzi z Fredem we frontowym pokoju.

Młody, długowłosy prawnik obdarzył mnie uściskiem dłoni, który w ciągu dnia nabrał jakby mocy. Z uśmiechem zwrócił się do mnie po nazwisku, mówiąc, że miło jest mu znów mnie zobaczyć. Ja - również z uśmiechem - pogratulowałem mu szybkiej akcji.

Nawet Fred uśmiechał się teraz dla odmiany, ale dość niepewnie, jakby nie miał powodów do zadowolenia. Pokój tchnął atmosferą tymczasowości, jak dekoracja do sztuki, która zeszła z afisza wkrótce po premierze, ale już dawno temu. Stara kanapa i krzesła z tego samego kompletu niemal zapadały się w podłogę. Zasłony w oknach były lekko postrzępione. Przez przetarty dywan niemal przeświecała drewniana podłoga.

Johnson stanął w drzwiach jak duch, straszący w zrujnowanym domu. Miał zaczerwienioną i wilgotną twarz; to samo można było powiedzieć o jego oczach. Oddech przypominał błąkające się niepewnie po piwnicach z winem powiewy wiatru. Nie poznał mnie chyba, ale spojrzał na mnie z wyraźną niechęcią, jakbym w zapomnianej przeszłości wyrządził mu jakąś krzywdę.

- Czy my się znamy?

- Oczywiście! - wykrzyknęła pani Johnson. - Naturalnie, że się znacie. To przecież pan Archer.

- Tak myślałem. Pan wsadził mego syna do więzienia. Fred zerwał się z miejsca; był blady i roztrzęsiony.

- Nic podobnego, tato. Proszę cię, nie mów takich rzeczy.

- Mówię to, co jest prawdą. Czy zarzucasz mi kłamstwo?

Lackner stanął między ojcem a synem.

- Nie czas teraz na rodzinne spory - powiedział. - Wszyscy jesteśmy szczęśliwi, że znów znaleźliśmy się razem, prawda?

- Ja nie jestem szczęśliwy - stwierdził Johnson. - Czuję się fatalnie, a chcecie wiedzieć dlaczego? Bo ten podstępny sukinsyn - wyciągnął w moim kierunku drżący palec zatruwa atmosferę mojego pokoju. I chcę wyraźnie powiedzieć, że jeśli zostanie tu jeszcze minutę, to zabiję go, do cholery. - Zrobił chwiejny krok w moim kierunku. - Czy rozumiesz, sukinsynu? To ty, draniu, przywiozłeś mojego syna z powrotem i wsadziłeś go do więzienia.

- Przywiozłem go z powrotem - odparłem. - Ale nie wsadziłem go do więzienia. Kto inny wpadł na ten pomysł.

- Ale ty go im poddałeś. Wiem o tym. I ty też.

- Chyba lepiej będzie, jeśli pójdę - powiedziałem, zwracając się do pani Johnson.

- Nie. Bardzo pana proszę. - Dotknęła końcami palców swej nabrzmiałej twarzy. - On nie jest dziś sobą. Pił przez cały dzień. Jest ogromnie wrażliwy... to dla niego za ciężkie przeżycie. Prawda, kochanie?

- Przestań labidzić - powiedział. - Labidziłaś i tłumaczyłaś się przez całe życie i nie mam nic przeciwko temu, dopóki jesteśmy sami. Ale nie możesz się czuć bezpieczna, kiedy w

domu przebywa ten człowiek. Nie życzy nam dobrze i sama o tym wiesz. A jeżeli nie wyjdzie stąd, zanim doliczę do dziesięciu, wyrzucę go siłą.

O mało nie roześmiałem mu się w twarz. Był tęgim, niezdarnym mężczyzną i jego słowa podyktowane były tylko sztucznym podnieceniem. Może kiedyś, wiele lat temu, potrafiłby spełnić swą groźbę. Ale teraz był gruby i powolny, przedwcześnie postarzały od alkoholu. Jego twarz i całą postać pokrywała tak gruba warstwa tkanki tłuszczowej, że nie mogłem sobie nawet wyobrazić, jak wyglądał w latach młodości.

Johnson zaczął liczyć. Obaj z Lacknerem, wymieniwszy spojrzenia, wyszliśmy z pokoju. Johnson, nie przerywając liczenia, odprowadził nas do wyjścia i głośno zatrzasnął za nami frontowe drzwi.

- Mój Boże! - powiedział Lackner. - Co ludzi skłania do takich wybryków?

- Pijaństwo - odparłem. - Jest zaawansowanym alkoholikiem.

- Sam to widzę. Ale dlaczego on tak pije?

- Z rozpaczy. Z rozpaczy, że jest tym, kim jest. Siedzi w tej ruderze od nie wiadomo ilu lat. Chyba od czasów, kiedy Fred był jeszcze małym chłopcem. Próbuje zapisać się na śmierć - ale bez powodzenia.

- Mimo wszystko nie mogę tego pojąć.

- Ja też nie. Każdy pijak ma swój własny motyw. Ale wszyscy kończą tak samo... z rozmiękczeniem mózgu i marskością wątroby.

Obaj, jakby szukając winnego, podnieśliśmy równocześnie wzrok ku niebu. Ale nad szeregiem ciemnych drzew oliwnych maszerujących gęsiego po tej stronie ulicy unosiły się chmury i nie było widać nawet gwiazd.

- Prawdę mówiąc - powiedział Lackner - nie bardzo też wiem, co sądzić o tym chłopcu?

- Ma pan na myśli Freda?

- Tak. Właściwie nie powinienem nazywać go chłopcem. Musi być chyba w moim wieku.

- O ile wiem, ma trzydzieści dwa lata.

- Naprawdę? W takim razie jest o rok starszy. Wydaje mi się ogromnie niedojrzały jak na swój wiek.

- Jego rozwój psychiczny został już dawno zahamowany przez życie w tym domu.

- Na czym polega w istocie problem tego domu? Przecież gdyby go trochę doprowadzić do ładu, byłby zupełnie elegancki. I chyba kiedyś był.

- Nieszczęściem tego domu są jego mieszkańcy - odparłem. - Istnieją rodziny, których członkowie powinni żyć w innych miastach - nawet innych stanach, o ile to możliwe - i pisywać do siebie raz na rok. Może pan zaproponować to Fredowi, oczywiście, jeśli uda się panu wybronić go od więzienia.

- Chyba tak. Pani Biemeyer nie jest mściwa. To na prawdę miła kobieta, kiedy rozmawia się z nią poza kręgiem rodzinnym.

- To też jedna z tych rodzin, które powinny do siebie pisywać listy raz na rok - powiedziałem. - I nie wysyłać ich. To wcale nie przypadek, że Doris i Fred zaprzyjaźnili się. Ich domy nie są właściwie rozbite, ale poważnie uszkodzone. Tak samo jak Doris i Fred.

Lackner pokiwał swą starannie uczesaną głową. Stojąc w zamglonym, przedzierającym się przez chmury świetle księżyca miałem przez chwilę wrażenie, że cała historia się powtarza, że wszyscy byliśmy tu już przedtem. Nie pamiętałem dokładnie, jak toczyła się cała sprawa i jaki był jej finał. Ale czułem, że zakończenie zależy w pewnym sensie ode mnie.

- Czy Fred wytłumaczył panu, po co w ogóle brał ten obraz? - spytałem Lacknera.

- Nie, nie wyjaśnił mi tego w sposób przekonujący. Czy rozmawiał z panem o tej sprawie?

- Chciał zademonstrować swą wiedzę fachową - stwierdziłem. - Udowodnić Biemeyerom, że jest dobry w jakiejś dziedzinie. Takie były w każdym razie jego świadome motywy.

- A podświadome?

- Nie jestem pewien. Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba by zwołać konsylium psychiatrów, i oni też nie byłiby zbyt mądrzy. Ale jak wielu innych mieszkańców tego miasta, Fred ma bzika na punkcie Richarda Chantry.

- Więc sądzi pan, że on naprawdę malował ten obraz?

- Tak uważa Fred, a on jest fachowcem.

- Nie podaje się za takiego - stwierdził Lackner. - Nie skończył jeszcze studiów.

- Tak czy owak ma prawo do własnego zdania. I sądzi, że Chantry namalował ten obraz niedawno, może nawet w tym roku.

- Skąd może to wiedzieć?

- Na podstawie stanu farby. Tak twierdzi.

- Wierzy pan w to?

- Nie wierzyłem aż do dzisiejszego wieczora. Byłem skłonny zakładać, że Chantry nie żyje.

- Ale zmienił pan zdanie?

- Owszem. Sądzę, że Chantry żyje i dobrze się miewa.

- Gdzie?

- Być może tu, w tym mieście - odparłem. - Nieczęsto polegam na przecuciach. Ale dziś mam dziwne wrażenie, że Chantry stoi tuż za mną i zagląda mi przez ramię.

Byłem niemal skłonny opowiedzieć mu o ludzkich szczątkach, wykopanych przez panią Chantry i Rica w oranżerii. Ale wiadomość o nich jeszcze się nie rozeszła i informując go złamałbym moją podstawową zasadę: nigdy nie mów nikomu więcej, niż musi wiedzieć, bo powtórzy dalej.

W tym momencie z domu wyłonił się Gerard Johnson i zaczął złazić chwiejnie po nierównych schodach. Wyglądał jak idący po omacku nieboszczyk, ale jego oczy, nos lub alkoholowy radar wyczuły moją obecność; ruszył ku mnie, depcząc po chwastach.

- Jeszcze tu jesteś, sukinsynu?

- Jestem, panie Johnson.

- Nie mów do mnie „panie Johnson”! Wiem, co myślisz. Lekceważysz mnie. Uważasz za śmierdzącego starego pijaka. Ale powiem ci jedno - że tak, jak tu stoję, jestem więcej wart, niż ty kiedykolwiek byłeś, i mogę ci to udowodnić.

Nie pytałem go, w jaki sposób. Nie musiałem. Sięgnął do workowatej kieszeni spodni i wyjął niklowany rewolwer, z gatunku tych, które policjanci nazywają „Specjalnym zakupem na sobotni wieczór”. Usłyszałem trzask kurka i szczupakiem rzuciłem się pod nogi Johnsona. Upadł na ziemię.

Pospiesznie skoczyłem do niego i odebrałem mu rewolwer. Był nie nabity. Poczułem, że drżą mi ręce.

Gerard Johnson podniósł się niezdarnie i zaczął wrzeszczeć. Wrzeszczał na mnie, na żonę i syna, gdy tylko pojawili się na ganku. Język, którym się posługiwał, można by określić jako rynsztokowy. Podniósł głos i zaczął lżyć swó; dom. Potem domy stojące po drugiej stronie jezdni i na całym odcinku ulicy.

Rozbłysły one większą niż dotąd ilością światła, ale nikt nie stanął w oknie ani nie wyszedł na próg. Być może, gdyby ktoś to zrobił, Johnson poczułby się mniej samotny.

Zlitował się nad nim w końcu jego syn, Fred. Zszedł z ganku i objął go od tyłu, otaczając ramionami jego wzburzoną pierś.

- Tato, proszę, zachowuj się jak człowiek.

Johnson szamotał się, szarpał, przeklinał, ale stopniowo zniżył głos. Twarz Freda była mokra od łez. Niebo rozdarło się jak sieć i wpłynął na nie księżyc.

Powietrze zmieniło się nagle. Było teraz świeższe, czystsze, ostrzejsze. Fred objął ramieniem Johnsona i wprowadził go po stopniach do domu. Widok zagubionego syna, który otaczał ojcowską opieką swego ojca, był smutny i wzruszający. Dla Johnsona nie było już nadziei, ale Fred miał jeszcze szanse. Lackner zgodził się ze mną. Zanim odjechał swą Toyotą, przekazałem mu zdobyty rewolwer.

Fred nie zamknął drzwi frontowych. Pani Johnson wyszła po chwili i usiadła na stopniach. Poruszała się niespokojnie, jak zabłąkane zwierzę. Padające z nieba światło srebrzyło jej kitel.

- Chcę pana przeprosić.

- Za co?

- Za to wszystko.

Niezręcznie wyciągnęła ramię w bok, jakby odrzucając lub coś przyciągając do siebie. Jej gest zdawał się obejmować wysoki dom wraz z jego mieszkańcami i całym wyposażeniem, rodzinę i sąsiadów, ulicę, ciemne drzewa oliwne, ich jeszcze ciemniejsze cienie i księżyc, który zalewał ją chłodnym światłem, brużdząc głęboko twarz.

- Niech mnie pani nie przeprasza - powiedziałem. - Sam wybrałem ten zawód czy też on wybrał mnie. Wykonując go, stykam się często z ludzkim bólem, ale nie szukam innej pracy.

- Wiem, co chce pań powiedzieć. Jestem pielęgniarką. Jutro mogę być bezrobotną pielęgniarką. Kiedy Fred wyszedł, po prostu musiałam znaleźć się w domu i samowolnie opuściłam pracę. Najwyższy czas, żebym tam wróciła.

- Czy mogę panią podwieźć?

Obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem, jakby sądziła, że mogę napastować ją, mimo jej wieku i otyłości.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony - powiedziała jednak. - Fred zostawił nasz samochód gdzieś w Arizonie. Nie wiem, czy warto go w ogóle sprowadzać z powrotem.

Otworzyłem jej drzwi, zanim sarn wsiadłem. Zareagowała tak, jakby nie zdarzyło się jej to od dłuższego czasu.

- Chcę pani zadać jedno pytanie - powiedziałem, gdy już oboje znaleźliśmy się w aucie. - Nie musi pani odpowiadać. Ale jeżeli pani to zrobi, nikomu nie powtórzę tego, czego się dowiem.

Poruszyła się niespokojnie na siedzeniu i zwróciła kuli mnie twarz.

- Ktoś mnie przed panem obgadywał?

- Czy zechciałaby mi pani coś powiedzieć na temat tych narkotyków, które wzięła pani ze szpitala?

- Przyznaję, że zabrałam kilka próbek pastylek. Ale nie wzięłam ich dla siebie i nie miałam żadnych złych zamiarów. Chciałam wypróbować je na Gerardzie. Sprawdzić, czy nie zacznie pić trochę mniej. Pewnie mogą mnie formalnie oskarżyć o podawanie leków bez uprawnień lekarskich. Ale prawie wszystkie znane mi pielęgniarki postępują tak samo. - Spojrzała na mnie niespokojnie. - Czy chcą wystąpić ze skargą?

- Nic o tym nie wiem.

- Więc jak doszło do rozmowy na ten temat?

- Wspomniała o tym jedna z pracujących tam pielęgniarek. Powiedziała mi, dlaczego panią zwolniono.

- To był tylko pretekst. Ale powiem panu, dlaczego straciłam pracę. Byli w tej instytucji ludzie, którzy mnie nie lubili. - Mijaliśmy właśnie ten szpital, więc oskarżycielskim ruchem wyciągnęła palec w kierunku wielkiego, rzęsiście oświetlonego gmachu. - Być może nie mam najłatwiejszego charakteru. Ale jestem dobrą pielęgniarką i nie mieli prawa mnie zwalniać. A pan nie miał prawa poruszać tego tematu w rozmowie z nimi.

- Uważam, że miałem, proszę pani.

- Kto pana upoważnił?

- Prowadzę dochodzenie w sprawie dwu morderstw i zaginionego obrazu. Wie pani o tym.

- Sądzi pan, że wiem, gdzie jest ten obraz? Nie mam pojęcia. Fred także nie. Nie jesteśmy złodziejami. Mamy może pewne rodzinne problemy, ale nie jesteśmy tacy.

- Nigdy tego nie twierdziłem. Ale ludzie zmieniają się pod wpływem narkotyków. Wtedy łatwo ich nakłonić do różnych czynów.

- Mnie nikt do niczego nie może nakłonić. Przyznaję, że wzięłam kilka pastylek. Dałam je Gerardowi. I teraz za to płacę. Będę już do końca pracowała w podejrzanych domach opieki. I to jeśli jeszcze dopisze mi szczęście, że w ogóle uda mi się dostać jakąkolwiek posadę.

Pogrążyła się w posępnym milczeniu i nie odzywała się prawie przez całą drogę do La Paloma. Zanim wysiadła z samochodu, opowiedziałam jej o dwu poszukiwanych kobietach: Mildred Mead i Betty Siddon. Słuchała mnie z ponurym wyrazem twarzy.

- Zrobię, co będę mogła. Podczas dzisiejszej nocnej zmiany nie będę miała wiele czasu na telefonowanie. Ale dam cynk znajomym pielęgniarkom z innych domów opieki, - i jakby przyznanie się do wdzięczności wobec kogoś przychodziło jej z trudem, dodała z

wahaniem: - Fred opowiedział mi, jak odniósł się pan do niego w Arizonie. Doceniam to. W końcu jestem jego matką - dodała z zaskoczeniem.

Wysiadła i ciężkim krokiem ruszyła po asfalcie w kierunku słabo oświetlonego budynku. Za murem, otaczającym parking, przemykał z piskiem opon nieprzerwany łańcuch uciekających i goniących samochodów. Pani Johnson dotarła do drzwi wejściowych i odwróciwszy się pomachała mi ręką.

W chwilę po wejściu znów pojawiła się w drzwiach. Tuż za nią postępowali dwaj policjanci. Jeden miał na sobie mundur. Drugim był kapitan Mackendrick. Kiedy się zbliżyli słyszałem, jak utyskuje, że nie mają prawa napastować jej po ciemku, że jest niewinną kobietą, spieszącą się do pracy.

Mackendrick zerknął przelotnie na jej gniewną, wystraszoną twarz.

- Pani Johnson, prawda? Jest pani matką Freda Johnsona?

- Zgadza się - odparła chłodno. - Ale to jeszcze nie upoważnia was do straszenia mnie.

- Nie chciałem pani przestraszyć. Bardzo mi przykro.

- Powinno panu być przykro. - Wykorzystywała swą chwilową przewagę. - Nie ma pan prawa znęcać się nade mną ani stosować przemocy. Mamy dobrego radcę prawnego, który zajmie się wami, jeśli będziecie dalej tak postępować.

Mackendrick bezradnie podniósł oczy ku niebu, a potem sojrzał na mnie.

- Niech pan powie, czy zrobiłem coś złego? Po ciemku niechący wpadłem na kobietę. Przeprosiłem. Czy mam uklęknąć na kolana?

- Pani Johnson jest dziś trochę zdenerwowana. Kiwnęła głową, potwierdzając moje słowa.

- Pewnie, że jestem. A w ogóle, co pan tu robi, kapitanie?

- Poszukuję pewnej kobiety.

- Panny Siddon?

- Zgadza się. - Mackendrick spojrział na nią badawczo. - Skąd pani wie o pannie Siddon?

- Od pana Archera. Prosił, żebym zadzwoniła do swych przyjaciółek z innych domów opieki. Obiecałam mu, że to zrobię, jeśli czas mi pozwoli, i zamierzam dotrzymać słowa. Czy mogę już iść?

- Proszę bardzo - odparł Mackendrick. - Nikt nie ogranicza w żaden sposób pani swobody ruchów. Ale dzwonenie do innych domów opieki nie wydaje mi się dobrym pomysłem. Wolimy ich zaskoczyć.

Pani Johnson po raz drugi weszła do budynku i nie pojawiła się już więcej.

- Trudno dogadać się z tą babą - mruknął Mackendrick.

- Ona też przeżyła kilka trudnych dni. Czy mógłbym z panem porozmawiać w cztery oczy, kapitanie?

Wymownym gestem głowy odprawił mundurowego policjanta, który wsiadł do służbowego wozu. Odeszliśmy w kąt parkingu, jak najdalej od budynków i autostrady. Dąb kalifornijski, który jakimś cudem utrzymał się przy życiu na tej asfaltowej pustyni, ukrył nas w swym cieniu przed światłem księżyca.

- Co was tu sprowadziło? - spytałem.

- Donos. Ktoś poinformował nas telefonicznie, że powinniśmy rozejrzeć się tu za panną Siddon. Dlatego przyjechałem osobiście. Przeczesałem dokładnie cały dom i nie natrafiliśmy na ślad tej kobiety ani nikogo, kto by ją przypominał.

- Kto do was dzwonił?

- Telefon był anonimowy - najwyraźniej jakaś kobieta chciała wywołać trochę zamieszania. Pani Johnson łatwo robi sobie wrogów. Wyrzucono ją ze szpitala... pewnie pan o tym wie?

- Mówiła mi. Kapitanie, nie potrzebuje pan mojej rady, ale i tak jej panu udzielię. Obawiam się, że proponując przeszukiwanie domów opieki pchnąłem pana na ślepy trop. Nie namawiam do odwołania całej akcji. Ale uważam, że powinien pan skoncentrować własną energię na czymś innym.

- Myśli pan o pani Chantry, prawda? - spytał Mackendrick po dłuższej chwili.

- Wydaje się, że ona stanowi centralny punkt całej sprawy.

- Ale nie mamy pewności.

- Moim zdaniem mamy.

- Pańskie zdanie nie wystarczy, Archer. Nie mogę wystąpić przeciwko tej kobiecie, dopóki nie mam dowodów, które ją pogrążą.

33

Zaparkowałem na końcu ulicy, przy której mieszkała pani Chantry, i pieszo podszedłem pod jej dom. Z widocznego za nim wąwozu wypelzała mgła. Dalej, na szczycie wzgórza, stał oświetlony chłodnym światłem dom Biemeyerów. Ale willa pani Chantry była ciemna i cicha.

Zapukałem do drzwi frontowych. Chyba spodziewałem się podświadomie, że jej nie zastanę lub znajdę ją martwą, bo byłem zaskoczony natychmiastową reakcją.

- Kto to? - spytała spoza drzwi, jakby czekała za nimi przez całą noc. - Rico?

Nie odpowiedziałem. Przez długą chwilę staliśmy po przeciwnych stronach drzwi, milcząc wyczekująco. Ciszę wypełniał nierówny szmer fal, wdzierających się na plażę jak stopy błędzącego olbrzyma i wycofujących się w morze.

- Kto to? - spytała podniesionym głosem.

- Archer.

- Proszę odejść.

- Czy mam sprowadzić kapitana Mackendricka? Znów zapadła cisza, odmierzana grzmiącym odgłosem kroków morza. Potem przekręciła klucz i otworzyła drzwi.

Ani w hallu, ani w widocznej stąd części domu nie paliły się lampy. Na tle panującej we wnętrzu ciemności twarz pani Chantry i jej włosy błyszczały tym samym odcieniem srebra. Miała na sobie ciemną suknię bez dekoltu, podkreślającą jej wdowieństwo i budzącą we mnie wątpliwości, czy istotnie jest wdową.

- Proszę wejść, jeśli pan musi - powiedziała chłodno cichym głosem.

Wszedłem za nią do salonu, w którym wczoraj odbywało się przyjęcie. Zapaliła stojącą za fotelem lampę i zastygła obok niej wyczekująco. Patrzyliśmy na siebie w głuchej ciszy. Salon nie rozbrzmiewał już echem przyjęcia.

- Znam takich jak pan - odezwała się w końcu. - Jest pan jednym z tych samozwańczych - ekspertów, którzy nie mogą się powstrzymać od wtykania nosa w cudze sprawy. Nie może pan po prostu patrzeć, jak ktoś żyje własnym życiem, musi się pan wtrącić, prawda?

Była zarumieniona, może częściowo pod wpływem gniewu. Ale jej wypowiedź była chyba podyktowana jeszcze innymi bodźcami.

- Więc pani to nazywa życiem? - spytałem. - Ukrywanie morderstwa dla człowieka, którego nie widziała pani od dwudziestu pięciu lat? Spanie z takim dorosłym dzieckiem jak Rico, byle zapewnić sobie jego milczenie?

Jakby pod wpływem nagłej zmiany oświetlenia jej twarz stała się bezbarwna, a oczy pociemniały gwałtownie.

- Nikt nie ma prawa odzywać się do mnie w ten sposób!

- Niech pani lepiej się do tego przyzwyczai. Kiedy ludzie prokuratora okręgowego poprowadzą sprawę w Sądzie Wyższym, nie będą dobierać słów.

- Ta sprawa nigdy nie trafi do sądu. Nie ma żadnej sprawy. - Ale w jej oczach malował się niepokój i zmieszanie, jakby próbowała wyrzeć poza ostrą krawędź teraźniejszości.

- Niech pani przestanie udawać. Przed dwudziestu pięciu laty został w tym domu zamordowany człowiek. Nie wiem, kto to był, ale pani zapewne wie. Rico zakopał go w oranżerii. Dziś, przy pani pomocy, wykopał jego kości i włożył je do obciążonego worka. Na nieszczęście dla was obojga złapałem go, zanim zdążył wrzucić je do morza. Czy chce pani wiedzieć, gdzie teraz są?

Odwróciła ode mnie twarz. Nie chciała wiedzieć. Nagle, jakby ugięły się pod nią nogi, usiadła na fotelu. Ukryła twarz w dłoniach i chyba próbowała się rozpłakać.

Stojąc nieruchomo wsłuchiwałem się w odgłosy jej rozpacz. Była przystojna i bezradna, ale nie mogłem wzbudzić w sobie współczucia dla niej. Zbudowała swe życie na szczątkach umarłego i śmierć opanowała znaczną część jej osobowości.

- Gdzie są teraz te kości? - spytała, jakby nasze myśli biegły po tym samym torze.

- Ma je kapitan Mackendrick. Ma też pani przyjaciela, Rica. A Rico zaczął mówić.

Rozważała tę wiadomość. Usłyszawszy ją, stała się jakby trochę mniejsza. Ale bystrość zdecydowanie nadal lśniły w jej oczach pełnym blaskiem.

- Chyba potrafię poradzić sobie z Mackendrickiem - oświadczyła. - Jest bardzo ambitny. Nie jestem pewna, jak pójdzie mi z panem. Ale przecież pan pracuje dla pieniędzy, prawda?

- Mam tyle pieniędzy, ile mi potrzeba.

Pochyliła się do przodu, opierając na kolanach ozdobione pierścionkami dłonie.

- Mam na myśli duże pieniądze. Sumę, jakiej nie byłby pan w stanie zgromadzić przez całe życie. Nie musiałby pan już pracować.

- Kiedy ja lubię swoją pracę.

Gorycz, odbijająca się na jej twarzy, pozbawiła ją niemal całkowicie urody. Uderzyła zaciśniętymi pięściami o kolana.

- Niech pan nie robi sobie żartów. Mówię poważnie.

- Ja również. Nie potrzebuję pani pieniędzy. Ale może zechcę przyjąć łapówkę w postaci informacji.

- I co uzyskam w zamian za tę łapówkę?

- Szansę wyjścia z tego wszystkiego, o ile okaże się to możliwe.

- Więc chce pan udawać Pana Boga, co?

- Niezupełnie. Chciałbym po prostu zrozumieć, dlaczego taka kobieta jak pani, mająca wszystko, czego można zapragnąć, próbuje ukryć parszywe morderstwo.

- Nie morderstwo. To był wypadek.

- Kto popełnił ten wypadek?

- Nie wierzy mi pan, prawda?

- Nie powiedziała pani jeszcze nic, w co mógłbym uwierzyć lub nie. Wiem tylko, że oboje wykopaliscie te kości i że kazała pani Ricowi utopić je w morzu. Zrobiła pani głupstwo. Trzeba było zostawić je pod ziemią, w oranżerii.

- Nie podzielałam pańskiego zdania. Popełniłam błąd, zlecając to Ricowi. Powinnam była sama to zrobić.

- Czyje to były zwłoki, pani Chantry? Potrząsnęła głową, jakby przeszłość osaczała ją niczym rój pszczół.

- Nie znałam tego człowieka. Przyszedł mówiąc, że chce się zobaczyć z moim mężem. Richard nie powinien był go przyjmować i w normalnych warunkach nie zrobiłby tego. Ale nazwisko tego człowieka najwyraźniej coś mu mówiło. Kazał Ricowi wpuścić go do pracowni. Kiedy zobaczyłam go ponownie, już nie żył.

- Jak się nazywał?

- Nie pamiętam.

- Czy była pani obecna, kiedy Rico z nim rozmawiał?

- Tak, w każdym razie przez jakiś czas.

- A potem, kiedy Rico zakopywał ciało?

- Owszem, wiedziałam o tym. Ale nie byłam przy tym obecna.

- Rico twierdzi, że pani wydała mu to polecenie.

- Chyba w pewnym sensie to zrobiłam. Przekazałam mu życzenie męża.

- Gdzie znajdował się pani mąż podczas tego pogrzebu?

- Pisał w pracowni swój pożegnalny list. To dziwne - dodała po chwili. - Często zapowiadał, że odejdzie w taki sposób. Zostawiając za sobą wszystko, zaczynając nowe, nieskrępowane życie. I kiedy nadarzyła się okazja, tak właśnie postąpił.

- Czy wie pani, dokąd odszedł?

- Nie. Nie komunikował się ze mną od tej pory. Ani z nikim innym, o ile wiem.

- Myśli pani, że żyje?

- Mam nadzieję, że tak. Był... jest w końcu wielkim człowiekiem.

Pozwoliła sobie na kilka łez. Próbowała odzyskać stracony teren, odbudowując czuły mit Chantry'ego z nowych i starych elementów, które akurat miała pod ręką.

- Dlaczego zabił tego mężczyznę w brązowym ubraniu?

- Nie wiem, czy go zabił. Mógł to być wypadek.

- Czy tak utrzymywał pani mąż?

- Nie wiem. Nie mówiliśmy o tym. Napisał ten list i odszedł.

- Więc nie orientuje się pani, jak i dlaczego zabity został ten mężczyzna?

- Nie mam pojęcia.

- I mąż niczego pani nie wyjaśniał?

- Nie. Richard opuścił dom w takim pośpiechu, że nie było czasu na wyjaśnienia.

- Ja słyszałem co innego, proszę pani. Rico twierdzi, że oboje z mężem rozmawialiście przez jakiś czas z tym człowiekiem w brązowym ubraniu w pracowni. O czym rozmawialiście?

- Nie przypominam sobie, żebym uczestniczyła w rozmowie.

- Ale Rico pamięta.

- On kłamie.

- Większość mężczyzn ucieka się do kłamstwa w krytycznej sytuacji. Podobnie zresztą jak większość kobiet.

Zaczynała tracić pewność siebie, której miejsce zajmował znów stopniowo gniew.

- Czy mógłby mi pan zaoszczędzić tych swoich uogólnień? Sporo przeżyłam w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin i wysłuchiwanie moralnych maksym miernego prywatnego detektywa przekracza moje siły.

Mówiła podniesionym głosem i wyglądała na osobę udręczoną.

- Przeżyła pani sporo w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat - powiedziałem. - Sytuacja będzie się pogarszać, o ile nie zrobi pani czegoś, co zakończy tę sprawę.

Przez chwilę siedziała pogrążona w milczeniu, wpatrując się w nie pogrzebaną przeszłość.

- Jak ją zakończyć? - spytała wreszcie.

- Niech mi pani powie, co naprawdę się wydarzyło i dlaczego?

- Już to zrobiłam.

- Nie, proszę pani. Opuściła pani niektóre najważniejsze szczegóły. Kim był mężczyzna w brązowym ubraniu i dlaczego się tu zjawił. To, że przyszedł tu dwukrotnie i że za drugim razem - wtedy kiedy został zabity - przyprowadził z sobą kobietę i małego chłopczyka. Również informację, jaką przekazała pani Ricowi - że mężczyzna przeszedł wylew i umarł właściwie przypadkowo.

Znów siedziała, przeżuując te informacje, jak ktoś, kto przechodzi skrócony proces starzenia się. Nie próbowała zamykać na nie oczu czy odpychać je od siebie. W pewnym sensie miałem wrażenie, że oczekiwała na tę chwilę.

- Więc Rico sporo wam powiedział - stwierdziła.

- Gadał przez cały czas. Wybrała pani sobie kiepskiego partnera do spisku.

- Nie wybierałam go. Po prostu był na miejscu. - Przyjrzała mi się dokładnie, jakby zastanawiając się, czy mógłbym zająć w jej życiu miejsce Rica. - Nie miałam wyboru.

- Zawsze jest jakieś wyjście.

Pochyliła swą kształtną głowę i przesunęła dłonią po włosach, gestem, który wyrażał głęboką depresję.

- Łatwo tak mówić. Trudniej wprowadzić tę maksymę w czyn.

- Teraz też może pani wybierać - powiedziałam. - Może pani udzielić mi pomocy...

- Przecież to robię.

- Owszem. Ale ukrywa pani część prawdy. Może pani pomóc mi wyjaśnić tę sprawę. Jeśli pani to zrobi, postaram się maksymalnie pójść pani na rękę.

- Nie potrzebuję pańskiej łaski. - Ale śledziła uważnie moją twarz, próbując z niej odczytać dokładny sens tego, co powiedziałam.

- Popeliłaby pani błąd próbując dalej kryć swego męża. Mogłaby pani zostać oskarżona o udział w morderstwie.

- To nie było morderstwo. To był wypadek. Ten mężczyzna był w fatalnej formie. Mój mąż mógł go popchnąć czy uderzyć. Ale nie miał zamiaru go zabijać.

- Skąd pani wie?

- Sam mi powiedział. Nie kłamał.

- Czy powiedział pani, kim był ten człowiek?

- Tak.

- Jak się nazywał?

Szybko, z roztargnieniem, potrząsnęła głową.

- Nie pamiętam. Po prostu jakiś człowiek, którego mąż poznał w wojsku. Był ranny na Pacyfiku i spędził kilka lat w szpitalu dla inwalidów wojennych. Kiedy go w końcu wypisali, przyjechał tu, żeby zobaczyć się z mężem. Chyba słyszał, że Richard odniósł sukces jako malarz, i przyjechał, chcąc grzać się w blasku jego sławy.

- Kim byli ta kobieta i ten chłopczyk?

- Jego żoną i synem. Przyprowadził ich za drugim razem, żeby poznali mojego męża.

- Czy zdawali sobie sprawę, że pani mąż go zabił?

- Nie wiem. Nie jestem nawet pewna, czy tak naprawdę było.

- Ale przyjęła pani taką wersję?

- Owszem. Musiałam. Czekałam na wiadomość od tej kobiety. Tygodniami nie mogłam spać. Ale nigdy się do mnie nie zgłosiła. Czasem zastanawiam się, czy cały epizod nie rozegrał się w mojej wyobraźni.

- Kości, które wykopał Rico, nie są wytworem wyobraźni.

- Wiem. Mam na myśli tę kobietę i chłopca.

- Co się z nimi stało?

- Po prostu odeszli... nie wiem dokąd. A ja dalej żyłam własnym życiem, najlepiej jak umiałam.

W głosie pani Chantry wyczułem litość nad sobą samą; spojrzenie jej oczu było jednak chłodne i podejrzliwe. Ze względu na moją obecność starała się panować nad sobą, ale poza, w jakiej siedziała, wyrażała przede wszystkim rezygnację.

Morze pod nami jęczało, grzmiało i pełzało jak nieboszczyk, próbujący niezdarnie powrócić do życia. Wzdrygnąłem się. Pani Chantry dotknęła mego kolana ostrymi paznokciami.

- Zimno panu?

- Chyba tak.

- Mogłabym włączyć ogrzewanie.

Towarzyszący temu zdaniu uśmiech zabarwiał je dwuznacznością, ale był wyraźnie wymuszony.

- Będę już szedł, proszę pani.

- A ja zostanę tu zupełnie sama.

Wydała przesadne, żartobliwe westchnienie, którego ostatnie tony nosiły piętno prawdziwej rozpaczki. Zaczynała chyba zdawać sobie sprawę z ogromu swej samotności.

- Niedługo będzie pani miała gości. Zaplotła dłonie i ścisnęła je kurczowo.

- Myśli pan o policjantach, prawda?

- Może pani spodziewać się rano wizyty Mackendricka... chyba żeby przyszedł wcześniej.

- Myślałam, że zamierza mi pan pomóc? - powiedziała cicho.

- Zrobię to, jeśli da mi pani szansę. Nie powiedziała mi pani wszystkiego. A niektóre z pani informacji nie są prawdziwe.

Spojrzała na mnie z oburzeniem, ale jej gniew był kontrolowany i starannie odmierzony.

- Nie kłamałam.

- Może nieświadomie. Kiedy żyje się przez dwadzieścia pięć lat nierzeczywistym życiem, można stracić poczucie rzeczywistości.

- Chce pan powiedzieć, że jestem obłąkana?

- Raczej to, że okłamuje pani nie tylko mnie, ale i siebie.

- W czym pana okłamałam?

- Powiedziała pani, że zabity mężczyzna był przyjacielem pani męża z wojska. Przypadkowo wiem, że Chantry nigdy nie służył w armii. Taka nieścisłość stawia całą pani opowieść pod znakiem zapytania.

Zaczerwieniła się, przygryzła dolną wargę i spojrzała na mnie wzrokiem schwytanego na gorącym uczynku złodzieja.

- Wyraziłam się nieściśle. Chciałam powiedzieć, że kiedy się poznali, ten zabity mężczyzna był w wojsku. Ale Richard oczywiście nie.

- Czy chce pani wprowadzić do swej historii jakieś inne poprawki?

- Jeśli pan mi powie, gdzie się pomyliłam.

- To nie jest śmieszne, proszę pani - powiedziałem w nagłym paroksyzmie wściekłości. - Kilka osób straciło już życie. Innym zagraża niebezpieczeństwo.

- Nie z mojej strony. W życiu nie zrobiłam nikomu krzywdy.

- Po prostu stała pani biernie obok.

- Nie z wyboru. - Starła się nadać sobie wyraz pełen godności, ale bez większego powodzenia. - Nie wiem, co zaszło między Richardem a tym zabitym mężczyzną. Nie mam w istocie pojęcia, jak układały się ich stosunki.

- Mówiono mi, że pani mąż miał skłonności biseksualne.

- Naprawdę? Pierwszy raz o tym słyszę.

- Czy chce pani powiedzieć, że ich nie miał?

- Jakoś nigdy nie było o tym mowy. Dlaczego wydaje się to panu takie ważne?

- Może stanowić zasadniczy element całej sprawy.

- Wątpię. Richard nie przywiązywał większej wagi do spraw seksu. Jego malarstwo podniecało go znacznie bardziej niż ja.

Zrobiła żalostną minę, zerkając na mnie równocześnie, by zbadać jej efekt. Nie wiem dlaczego, ale spotęgowała tym jeszcze mój gniew. Miałem już dość tej kobiety i jej kłamstw - może też dość jej prawd. Siedziałem tu i wymieniałem z nią okrągłe zdania, podczas gdy kobieta, na której mi naprawdę zależało, zagubiona była wśród niebezpieczeństw nocy.

- Czy wie pani, gdzie jest Betty Siddon? Potrząsnęła swą srebrną głową.

- Niestety, nie wiem. Czy Betty Jo coś się stało?

- Poszła szukać Mildred Mead i sama gdzieś zaginęła. Może wie pani, gdzie mogę znaleźć Mildred?

- Nie. Nie wiem. Telefonowała do mnie przed kilku miesiącami, zaraz po przyjeździe do miasta. Ale nie chciałam się z nią spotkać. Nie chciałam budzić wszystkich dawnych wspomnień.

- W takim razie nie powinna pani była wykopywać tych kości - powiedziałem.

Zakłęła gwałtownie, posyłając mnie do wszystkich diabłów. Ale życzenie to zabrzmiało fałszywie, jakby kierowała je właściwie pod własnym adresem. Szary cień nienawiści do siebie spadł jak woalka na jej twarz. Zakryła ją dłońmi.

- Po co je pani wykopywała? - spytałem. Milczała przez dłuższą chwilę.

- Po prostu wpadłam w panikę - wyznała wreszcie, nie odejmując rąk od twarzy.

- Dlaczego?

- Bałam się, że przeszukają dom i będę odpowiadać za śmierć tego człowieka.

Obserwowała mnie przez palce, jakby już znajdowała się za kratami.

- Czy ktoś groził, że panią zadenuncjuje?

Nie odpowiedziała. Uznałem to za potwierdzenie.

- Kto to był, pani Chantry?

- Nie jestem pewna. Nie przyszła tutaj. Zatelefonowała ubiegłej nocy, grożąc, że powie policji wszystko, co wie. Myślę, że była to ta kobieta, która przyszła tu z małym chłopczykiem w dniu śmierci tego człowieka.

- Czego od pani chciała?

- Pieniądzy. - Opuściła dłonie; jej usta były skrzywione, w oczach malowała się wrogość.

- Ile?

- Nie określiła dokładnie sumy. Chyba sporo.

- Kiedy ma je pani jej wręczyć?

- Jutro. Powiedziała, że zadzwoni jutro i żebym zebrała do tego czasu, ile mogę.

- Zamierza pani to zrobić?

- Zamierzałam. Ale teraz nie miałyby to sensu, prawda? Chyba, że udałoby mi się dogadać jakoś z panem.

Wsunąwszy dłonie we włosy, uniosła podbródek i trzymała oburącz swą głowę, jakby było to dzieło sztuki, które gotowa jest zastawić lub sprzedać.

- Zrobię, co będę mógł - powiedziałem. - Ale nie uda się pani pozbyć Mackendricka. Jeśli pomoże mu pani zamknąć dochodzenie, będzie wdzięczny. Myślę, że powinna się pani z nim zaraz porozumieć.

- Nie. Potrzebuję czasu do namysłu. Poczekaj pan do rana?

- Poczekam, pod jednym warunkiem. Niech pani nie robi żadnych nie przemyślanych kroków.

- Chodzi o to, żebym nie uciekła?

- Albo nie popełniła samobójstwa.

Krótkim, gniewnym ruchem potrząsnęła głową.

- Zamierzam zostać na miejscu i walczyć. Mam nadzieję, że będzie pan po mojej stronie.

Nie podjąłem żadnych zobowiązań. Wstając, by ruszyć do wyjścia, miałem wrażenie, że z pokrytych cieniem ścian patrzą na mnie oczy wiszących tam portretów Chantry'ego. Pani Chantry odprowadziła mnie do drzwi.

- Proszę, niech pan nie sądzi mnie zbyt surowo. Wiem, że sprawiam wrażenie osoby do gruntu zepsutej. Ale naprawdę, robiąc różne rzeczy lub powstrzymując się od ich zrobienia, nie miałam właściwie wyboru. Moje życie nie było łatwe, nawet przed zniknięciem męża. A od tego momentu stało się coś w rodzaju plugawego piekła.

- Z Riciem.

- Tak. Z Riciem. Powiedziałam już, że nie miałam wyboru.

Stała blisko mnie, przysłoniwszy czujne oczy rzęsami, jakby zamierzała dokonać kolejnego niefortunnego wyboru.

- Przeszło trzydzieści lat temu zamordowany został w Arizonie młody żołnierz nazwiskiem William Mead - powiedziałem. - Był nieślubnym synem Felixa Chantry'ego i Mildred Mead, czyli przyrodnim bratem pani męża.

Zareagowała na to w taki sposób, jakbym ją uderzył, a ona zamierzała się rozplakać. Uniosła brwi i opuściła dolną wargę. Odsłoniła na chwilę twarz. Ale nie powiedziała ani słowa.

- Pani mąż wyjechał z Arizony zaraz potem i istniało podejrzenie, że to on zabił Williama Meada. Czy tak było?

- Ależ skąd? Jaki miałby powód?

- Miałem nadzieję, że pani mi to powie. Czy nie łączył pani kiedyś z Williamem bliższy związek?

- Nie. Oczywiście, że nie.

Ale jej zaprzeczenie nie brzmiało przekonująco.

34

Zostawiłem ją samą i pojechałem wzdłuż nadbrzeża na południe. Nadal panował dosyć duży ruch. Nie było jeszcze tak późno, ale czułem się zmęczony. Długa, właściwie

beprzedmiotowa rozmowa z panią Chantry pozbawiła mnie resztek energii. Wstąpiłem do swego motelu w nadziei, że może zastanę tam jakąś wiadomość od Betty.

Nie było jej. Otrzymałem natomiast informację, że Paola Grimes czeka na mój telefon w hotelu Monte Christo. Nie bez trudności dodzwoniłem się w końcu do centrali i poprosiłem o połączenie z jej pokojem. Podniosła słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

- Halo?

- Mówi Archer.

- Najwyższy czas. - Jej głos był oschły i gniewny. - Matka mówiła, że dała panu dla mnie pieniądze. Pięćdziesiąt dolarów. Są mi potrzebne. Nie mogę się bez nich wyprowadzić z tej zapchlonej dziury, a w dodatku moja furgonetka nie chce zapalić.

- Zaraz ci przyniosę te pieniądze. Próbowałem je doręczyć już wcześniej.

- Trzeba było zostawić w recepcji.

- Nie w tej recepcji. Do zobaczenia, Paola.

Kiedy podjechałem pod hotel, czekała na mnie w hallu. Zauważyłem, że uczesała włosy, umyła twarz i odświeżyła makijaż. Była jednak smutna i nie pasowała do rozkwitających w nocy dziewcząt i ich adoratorów.

Wręczyłem jej pięćdziesiąt dolarów. Policzyła je, zwinęła i wsunęła za stanik.

- Wystarczy na rachunek hotelowy? - spytałem.

- Chyba do dziś wystarczy. Nie wiem, co będzie jutro. Policja nie pozwoliła mi opuszczać miasta, ale nie chce wypłacić mi nawet części pieniędzy ojca. Miał przy sobie sporo gotówki.

- Odzyskasz ją... albo twoja matka.

- A może moje prawnuki? - powiedziała z goryczą. - Nie ufam glinom i nie lubię tego miasta. Nie lubię tutejszych ludzi. Zabili mojego ojca i boję się, że teraz zabiją mnie.

Jej lęk był zaraźliwy. Idąc za spojrzeniem Paoli zacząłem widzieć wewnątrz hallu tak, jak widziała je ona - jako poczekalnię, w której przetrzymywano zagubione dusze przez jedną, nigdy nie kończącą się noc.

- Kto zabił twojego ojca?

Potrząsnęła głową i czarne włosy opadły na jej twarz jak wieczorny zmierzch.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Nie tutaj.

- Moglibyśmy pomówić w twoim pokoju.

- Nie, mowy nie ma. - Rzuciła mi pełne obsesyjnego lęku spojrzenie, wyglądając spod swych włosów jak zaszczute zwierzę. - W pokoju może być podsłuch. To jeden z powodów, dla których nie mogę w nim wytrzymać.

- Któż by go założył?
- Może policja. Może mordercy. Co za różnica? Wszyscy są siebie warci.
- Więc wyjdźmy i usiądźmy w moim wozie.
- Nie, dziękuję.
- No, to chodźmy się przejść, Paola.

Ku memu zaskoczeniu wyraziła zgodę. Wyszliśmy z hotelu i wmieszaliśmy się w tłum przechodniów. Stojące rzędem po drugiej stronie ulicy palmy potrząsały liśćmi nad pustymi kioskami, w których odbywały się co tydzień kiermasze sztuki. Poza nimi załamywały się, wznosiły i cofały fosforyzujące, białe fale, jakby powierzono im niewykonalne zadanie polegające na odmierzeniu czasu i przestrzeni.

Szliśmy dalej po chodniku i napięcie Paoli zaczęło stopniowo słabnąć. Nasze kroki zdawały się dostosowywać do naturalnego rytmu morza. Nad nami otwarło się niebo, skąpo oświetlone światłem nisko zawieszzonego nad horyzontem księżyca. Paola dotknęła mojego ramienia.

- Pytałeś, kto zabił mojego ojca.
- Owszem.
- Chcesz się dowiedzieć, co o tym myślę?
- Tak.

- No, więc powtarzałam sobie w myślach wszystko, co mówił mój ojciec. On wierzył, że Richard Chantry żyje i mieszka tu, w Santa Teresa, pod zmienionym nazwiskiem. Był też przekonany, że to Chantry malował ten portret Mildred Mead. Ja też tak sądziłam, gdy ujrzałam go po raz pierwszy. Nie twierdzę, że znam się na tym równie dobrze, jak ojciec, ale miałam wrażenie, że to Chantry.

- Czy jesteś pewna, że ojciec mówił szczerze, Paola? Za obraz Chantry'ego mógł wziąć przecież o wiele więcej.

- Wiem o tym i on też zdawał sobie z tego sprawę. Właśnie dlatego starał się dowiedzieć jego autentyczności. W ciągu ostatnich dni swego życia usiłował odszukać Chantry'ego i udowodnić, że to jego obraz. Odnalazł nawet Mildred Mead, która mieszka teraz w tym mieście. Była ulubioną modelką Chantry'ego, choć oczywiście nie pozowała do tego portretu. Jest już starą kobietą.

- Widziałaś ją? Kiwnęła głową.
- Ojciec zaprowadził mnie do niej na kilka dni przed śmiercią. Przyjaźniła się w Arizonie z moją matką i znałam ją, kiedy jeszcze byłam dzieckiem. Ojciec myślał pewnie, że moja obecność rozwiąże jej język. Ale Mildred nie powiedziała tego dnia wiele.

- Gdzie ona mieszka?

- W osiedlu takich małych domków. Właśnie się wprowadzała. Zdaje się, że nazywa się to Magnolia Court. W środku rośnie wielka magnolia.

- Tu, w Santa Teresa?

- Tak, w samym centrum. Twierdzi, że wynajęła ten domek, bo nie może już dużo chodzić. Nie chciała też dużo mówić.

- Dlaczego?

- Chyba się bała. Mój ojciec wypytywał ją o Richarda Chantry. Czy żyje, czy nie. I czy to on namalował ten portret. Ale nie chciała o nim rozmawiać. Oświadczyła, że nie widziała go od przeszło trzydziestu lat i ma nadzieję, że dawno nie żyje. Wydawała się bardzo rozgoryczona.

- Nie dziwię się. Niewykluczone, że to Chantry zamordował jej syna Williama.

- A także mojego ojca. Możliwe, że ojciec dotarł do niego, śledząc dzieje tego obrazu, i został w rezultacie zamordowany.

Miała cichy, wystraszony głos. Podejrzliwie przyglądała się palmom i nisko wiszącemu księżycowi, jakby były one tandetną dekoracją, maskującą prawdziwą dżunglę świata. Nerwowo zaplatała i rozplatała dłonie.

- Muszę wynieść się z tego miasta. Policja kazała mi zostać, bo jestem im potrzebna jako świadek. Ale nie zapewniają mi nawet ochrony.

- Przed czym? - spytałem, choć znałem z góry odpowiedź.

- Przed Chantrym. Przed kimże innym? Zabił mojego ojca - czuję to przez skórę. Ale nie wiem, kim jest i gdzie przebywa. Nie mam nawet pojęcia, jak teraz wygląda. Może być każdym z mijanych na ulicy mężczyzn.

Podniosła stopniowo głos. Przechodnie zaczęli zwracać na nas uwagę. Zbliżyliśmy się do restauracji z barem; przez otwarte drzwi buchała fala jazzu. Wprowadziłem ją do wnętrza i posadziłem przy stoliku. Sala była tak długa i wąska, że przypominała tunel, a siedząca na końcu orkiestra kojarzyła się z nadjeżdżającym pociągiem.

- Nie podoba mi się ta muzyka - powiedziała.

- Nie szkodzi. Drink dobrze ci zrobi.

Potrząsnęła ciemną głową.

- Nie mogę pić. Alkohol doprowadza mnie do szaleństwa. To samo było z ojcem. Mówił mi, że dlatego właśnie wpadł w narkomanię. - Zasłoniła uszy dłońmi i zamknęła oczy.

- Muszę stąd wyjść.

Wziąłem ją za rękę i podniosłem z krzesła. Poruszała się tak chwiejnie i niepewnie, że musiałem niemal siłą dociągnąć ją do wyjścia. Na ulicy obrzuciła przechodniów nieufnym spojrzeniem, jakby gotowa była zacząć wrzeszczeć, gdyby ktokolwiek zwrócił na nią szczególną uwagę. Była na skraju hysterii albo czegoś jeszcze gorszego.

Chwyciłem ją pod ramię i ruszyłem szybkim krokiem w stronę hotelu. Zaczęła stawiać opór.

- Nie chcę tam wracać. Nie cierpię tej budy. Przez całą noc stukali, włączyli się, szeptali i nie dali mi spać. Zaczepiają wszystkie kobiety.

- Więc wyprowadź się stamtąd.

- Nie wiem, dokąd pójść. Mogłabym pewnie wrócić do galerii. Mam tam mały pokoik za sklepem. Ale boję się.

- Bo nie ma tam ojca?

- Nie. - Wstrząśnięta nagłym dreszczem zaplotła ramiona. - Bo on może wrócić.

Poczułem, że robi mi się zimno. Nie byłem pewien, czy dziewczyna dostała pomieszczenia zmysłów, ale niewątpliwie była na najlepszej drodze do tego. Zachowując się w ten sposób dalej, mogła do rana osiągnąć cel.

Z różnych powodów poczułem się za nią odpowiedzialny. Zawarłem cichą umowę z siłami rządzącymi światem, o ile takie istniały. Jeśli spróbuję zaopiekować się Paolą, może ktoś zapewni opiekę Betty.

Zaprowadziłem ją do hotelu Monte Christo, zapłaciłem rachunek, pomogłem jej się spakować i wyniosłem walizkę do auta.

- Dokąd jedziemy? - spytała, idąc obok mnie.

- Wynajmę ci pokój w moim motelu. Stoi obok przystani jachtów i jest o wiele spokojniejszy. Jeśli poczujesz głód, możesz pójść na róg, do całonocnej restauracji.

- Jestem głodna już teraz - powiedziała. - Nic nie jadłam.

Zafundowałem jej w restauracji, kanapkę, a potem zameldowałem ją w motelu. Postanowiłem obciążyć Biemeyera rachunkiem za jej pokój. Była przecież świadkiem.

Opuściłem motel nie wchodząc do własnego pokoju. Ale wsiadając na parking do samochodu, pomyślałem nagle, że może w nim czekać na mnie Betty. Zajrzałem do środka. Pokój był pusty, łóżko nadal nietknięte.

Mogłem zrobić tylko jedno: kontynuować śledztwo, dopóki nie doprowadzi mnie ono do Betty. Byleby tylko nie za późno.

Korona magnolii wisiała jak przywiązana do pnia chmura nad osiedlem, które wzięło od niej swą nazwę. Tylko w jednym z domków paliło się światło, stłumione przez zasunięte żaluzje. Zapukałem do zewnętrznych siatkowych drzwi.

Usłyszałem za nimi jakiś ruch, a potem oddech nadśluchującej w milczeniu osoby.

- Kto tam? - spytał wreszcie kobiecy głos.

- Nazywam się Archer. Jestem prywatnym detektywem pracującym dla Jacka Biemeyera.

- Więc idź pan do diabła - powiedziała spokojnie. - Ale zanim pan to zrobi, może pan wrócić do Biemeyera i zaproponować mu, żeby wybrał się tam również.

- Chętnie, panno Mead. Ja też nie lubię tego sukinsyna. Otworzyła wewnętrzne drzwi, ukazując na tle oświetlonego wnętrza zarys swej drobnej, filigranowej postaci.

- Nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

- Lew Archer.

- Czy przysłał pana Jack Biemeyer?

- Niezupełnie. Ukradziono mu obraz - pani portret. Myślałem, że może zechce pani pomóc mi go odszukać.

- Skąd Jack wiedział, że tu mieszkam? Nie mówiłam o tym żywej duszy.

- Przysłała mnie Paola Grimes.

- Rozumiem. Zrobiłam głupstwo, wpuszczając ją do domu. - Wyprostowała się, jakby zamierzała zatrzaskać mi drzwi przed nosem. - Jest pechowym członkiem pechowej rodziny.

- Dziś rano rozmawiałem w Copper City z jej matką, Juanitą. Kazała panią serdecznie pozdrowić.

- Tak? To miło z jej strony.

Wymówiłem właściwe hasło. Podeszła bliżej, by otworzyć zewnętrzne drzwi. Do tej pory nie widać było po niej wieku. Teraz zauważyłem, że kuleje i niepewnie kołysze się w biodrach. Przypominała mi niektóre gatunki ptaków morskich, które poruszają się z łatwością w powietrzu i na falach oceanu, ale z trudem chodzą po ziemi.

Jej siwa głowa również przypominała głowę ptaka. Miała wysokie czoło, regularne rysy, zapadłe policzki, cienki, prosty nos i bystre oczy, w których nadal tliła się radość życia. Zauważyła, że na nią patrzę, i uśmiechnęła się. Nie miała jednego przedniego zęba. Jej uśmiech był przez to nieco łobuzerski.

- Podobam się panu? Nie mogę powiedzieć, żeby starość korzystnie wpływała na moją urodę.

- To prawda.

- No i bardzo dobrze - uśmiechała się w dalszym ciągu. - Moja uroda naraziła mnie na liczne kłopoty. Ale nie narzekam. Kobieta nie może mieć w życiu wszystkiego. Dużo podróżowałam - przeważnie pierwszą klasą. Znałam zdolnych i sławnych ludzi.

- Jednego z nich poznałem w Tucson wczoraj.

- Lashmana?

- Tak.

- Co u niego słychać?

- Starzeje się. Ale maluje nadal. Prawdę mówiąc, kiedy tam byłem, pracował właśnie nad pani kolejnym portretem.

Milczała przez chwilę. Uniosła głowę i zauważyłem w jej oczach pustkę.

- Czy wyglądam na nim tak jak teraz, czy tak jak kiedyś?

- Tak jak kiedyś.

- Oczywiście, jakże mogłoby być inaczej. Przecież nie widział mnie, od kiedy się naprawdę postarzałam. - Mówiła o sobie, jakby była pięknym, lecz nietrwałym niestety dziełem sztuki; japońską ikebaną lub pieśnią, której kompozytor nie znał zapisu nutowego. - Ale dość już o mnie. Niech pan opowiada, co porabia Juanita.

Zajęła fotel pod stojącą lampą, ja zaś usiadłem naprzeciwko. Opowiedziałem jej pokrótce o Juanicie Grimes, potem o jej byłym mężu, Paulu, i o jego śmierci.

Wydawała się wstrząśnięta moimi informacjami.

- Nie mogę uwierzyć w śmierć Paula. Był tu ze swoją córką zaledwie kilka dni temu.

- Mówiła mi o tym. Podobno chciał, żeby potwierdziła pani autentyczność swojego portretu.

- O to mu z grubsza chodziło. Niestety, nie mogłam sobie przypomnieć tego obrazu. Miał ze sobą tylko jego małą fotografię, a mnie malowano tyle razy, że dawno już straciłam rachubę. Powiem panu szczerze, że nudzą mnie obrazy, szczególnie te, które przedstawiają moją własną twarz. Od chwili wprowadzenia się tu nie powiesiłam ani jednego, choć mam ich mnóstwo w bocznym pokoju. - Wskazała dłonią na nagie ściany. - Nie chcę, żeby mi przypomniały wszystko, co straciłam.

- Rozumiem to. Ale czy zechciałaby pani raz jeszcze spojrzeć na fotografię obrazu?

- Mojego portretu?

- Chyba tak. To ten sam obraz, którym interesował się Paul Grimes.

Wręczyłem jej fotografię. Obejrzała ją dokładnie w świetle lampy. Potem wydała nieartykułowany pomruk, oznaczający, że poznaje portret.

- Czy widziała go pani już kiedyś, panno Mead?

- Oglądałam go po raz trzeci. Po raz drugi w ciągu tego wieczora. Ale nadal nie jestem pewna, kto i kiedy go malował. Na pewno wygląda na dzieło Chantry'ego, ale nie przypominam sobie, żebym do niego pozowała.

- Niektórzy twierdzą, że został namalowany z pamięci, bez modelki, i to, być może, całkiem niedawno.

- To samo mówiła dziś wieczorem ta młoda dziewczyna.

- Jaka dziewczyna?

- Dziennikarka z tutejszej gazety. Powiedziałam jej, że nie udzielam wywiadów. Ale była tak natarczywa, że w końcu pozwoliłam jej przyjść. Muszę przyznać, że robi bardzo sympatyczne wrażenie. Nie na wiele jej się jednak przydałam.

- Czy nazywała się Betty Siddon?

- Zgadza się. Betty Siddon. Zna ją pan?

- Próbowałem się z nią skontaktować. Czy mówiła, dokąd się wybiera po wizycie u pani?

- Powiedziała, że jedzie na jakąś plażę... do Sycamore Beach?

- Może Sycamore Point?

- Chyba ma pan rację. Tak czy owak człowiek, który sprzedał Grimesowi ten obraz, utonął tam przedwczoraj w oceanie. Jak on się nazywał?

- Jake Whitmore. Ale nie utonął w oceanie. Został utopiony w słodkiej wodzie, najprawdopodobniej w czyjejs wannie.

Udało mi się nią wstrząsnąć, choć wcale tego nie zamierzałem. Z jej twarzy odpłynęło życie i cały kolor. Rysy nadal były ładne, ale oczy stały się martwe jak oczodoły i posąg.

Poruszyła bladofioletowymi ustami.

- Więc ten Whitmore również został zamordowany?

- Takiego zdania są policjanci i koroner.

- Jezu! - Oddychała ciężko jak biegacz.

- Może przynieść pani trochę wody, panno Mead?

- Mam coś lepszego. - Wyciągnęła rękę w stronę stojącego przy ścianie kredensu. - Jest tam butelka whisky Jack Daniels. I szklanki. Niech pan naleje również sobie. Dla mnie bez wody. Podwójną.

Wyjąłem butelkę i nalałem podwójną porcję dla niej oraz pojedynczą dla siebie. Wypiła swoją jednym haustem. Poprosiła o jeszcze jedną podwójną. I tym razem natychmiast opróżniła szklankę. Jej twarz znów nabrała koloru.

- Niech pan łyknie - powiedziała. - Nienawidzę pić sama.

Zacząłem się zastanawiać, czy jest alkoholiczką, i doszedłem do wniosku, że zapewne moje podejrzenia są słuszne.

- Dlaczego pan na mnie tak patrzy? - spytała. - Czy wyglądam śmiesznie? Czy widzi pan w moich oczach coś dziwnego?

- Nie. Skądże?

- Więc proszę się na mnie tak nie gapić.

- Przepraszam. Zresztą muszę już iść.

- Interesuje się pan tą panną Siddon, co?

- Owszem, interesuję się. Czyta pani w myślach.

- Znam mężczyzn - powiedziała. - Czy ona nie jest trochę za młoda dla pana?

- Być może. Kiedy tu przyszła?

- Nie patrzałam na zegarek. Był wczesny wieczór.

- Jak panią znalazła?

- Zadzwoiła do... - Gwałtownie zamknęła usta. Po krótkim, pełnym napięcia milczeniu, podjęła przerwana wypowiedź: - Nie mam pojęcia.

- Zaczęła pani mówić, że telefonowała do kogoś.

- Tak mówiłam? Zatem wie pan więcej niż ja. Chyba myślałam o czym innym. Skoro musi pan już iść, to nie zatrzymuję pana. Proszę tylko postawić butelkę w takim miejscu, żebym mogła po nią sięgnąć, dobrze?

Dotknęła białą, pomarszczoną dłońią blatu stolika, który stał obok jej fotela.

- Jeszcze nie wychodzę - powiedziałem.

- Wolalabym, żeby pan poszedł. Jestem bardzo zmęczona. Zresztą powiedziałam panu wszystko, co wiem.

- Bardzo w to wątpię, panno Mead. Kiedy byłem w Arizonie, poznałem przypadkiem szereg bardzo interesujących faktów. Na początku lat czterdziestych pani syn William został zamordowany przez nieznanego snrawcę i porzucony na pustyni.

Jej twarz zmieniła się i pobrała.

- Juanita Grimes zawsze dużo gadała.

- Nie była moim głównym źródłem informacji. Morderstwo pani syna było i jest powszechnie znanym faktem. Rozmawiałem z człowiekiem, który znalazł jego ciało i prowadził dochodzenie w tej sprawie. Z szeryfem Brothertonem.

- I co z tego?

- Czy nie chce się pani dowiedzieć, kto zabił pani syna?

- Teraz to już wszystko jedno - powiedziała. - Co za różnica? On nie żyje. Nie żyje od przeszło trzydziestu dwóch lat.

- Ale moim zdaniem człowiek, który go zabił, żyje nadal.

- Skąd pan wie?

- Czuję to przez skórę. Zresztą mam również liczne poszlaki. Zginęli dalsi ludzie: Paul Grimes, Jacob Whitmore. I mężczyzna, którego szczątki wykopano dziś w oranżerii Richarda Chantry.

Chciała coś powiedzieć, ale udało jej się wydobyć głos dopiero przy drugiej próbie.

- Jaki mężczyzna?

- Nie został jeszcze zidentyfikowany, ale to tylko kwestia czasu. Dwadzieścia pięć lat temu pojawił się w domu państwa Chantry z jakąś kobietą i małym chłopczykiem. Między nim a Chantrym doszło do kłótni, potem do bójki. Według wersji, która do mnie dotarła, upadł, uderzył się w głowę i umarł. Państwo Chantry zakopali go.

- Czy wie pan to od pani Chantry? - spytała.

- Między innymi.

Otworzyła szeroko oczy, przy czym jej twarz jakby skurczyła się i zmaląła.

- Co jeszcze panu powiedziała?

- To chyba byłoby wszystko. Czy jeszcze coś więcej powinna powiedzieć?

- To ja pana o to pytam.

- A ja podejrzewam, że właśnie pani zna odpowiedź. Dlaczego Jack Biemeyer kupił pani ten dom w Kanionie Chantry'ego?

- Bo go o to poprosiłam.

- Jack Biemeyer nie jest aż tak hojny.

- Dla mnie wtedy bywał. - Lekki rumieniec napłynął do jej twarzy, osiadając na kościach policzkowych. - Przyznaję, że z wiekiem nie zmienił się na korzyść. Ale ja też nie.

- Przypuszczam, że Biemeyer zakupił dla pani ten dom w imieniu całej rodziny Chantrych. A może oni dali go pani w prezencie, za jego pośrednictwem?

- Dlaczego mieliby to robić?

- Żeby zapewnić sobie pani dyskrecję w sprawie morderstwa pani syna.

- Śmierć Williama była faktem ogólnie znanym. Komu mogło zależeć na dyskrecji?

- Jego mordercy. Przypuszczam, że był to Richard Chantry. Natychmiast po tym zabójstwie przeniósł się z Arizony do Kalifornii i nigdy już tam nie powrócił. Śledztwo przeciwko niemu zostało umorzone, o ile w ogóle je wdrożono. Jeśli miała pani jakieś podejrzenia, zachowała je pani dla siebie.

Potrząsnęła głową.

- Nie zna mnie pan. Kochałam mego syna. Kiedy pokazali mi ciało Williama, o mało sama nie umarłam. I niech pan nie zapomina, że on też należał do tej rodziny. Felix Chantry był jego ojcem. Między Williamem a Richardem nie było żadnego konfliktu.

- Więc dlaczego Richard wyjechał z Arizony zaraz po śmierci Williama?

- Nie wiem. Może bał się, że też zostanie zamordowany.

- Tak twierdził?

- Nigdy z nim o tym nie rozmawiałam. Nie widziałam go nawet od tamtej pory.

- Od śmierci Williama?

- Zgadza się, Nie widziałam go od trzydziestu dwóch lat. A od dwudziestu pięciu nikt nie wie, co się z nim dzieje. I dopiero dziś dowiedziałam się od pana, dlaczego. - Poruszyła się niespokojnie i zerknęła na stojącą obok butelkę. - Jeśli zamierza pan zostać jeszcze chwilę, może pan nalać mi następnego drinka. I sobie również.

- Nie, dziękuję. Mam jeszcze tylko kilka pytań i dam pani spokój. Podobno pani zamordowany syn zostawił po sobie żonę i małe dziecko.

Wyraz jej oczu zmienił się, jakby spoglądała daleko w przeszłość.

- Chyba tak.

- Czy to znaczy, że nie jest pani pewna?

- Mówiono mi o nich. Nigdy ich nie widziałam.

- Dlaczego?

- Nie wynikło to z mojej woli. Po prostu oboje zapadli się pod ziemię. Słyszałam plotki, że ta kobieta, wdowa po Williamie, wyszła za kogoś innego i dała chłopcu jego nazwisko.

- Zna pani to nazwisko?

- Niestety nie. Nigdy się ze mną nie kontaktowali.

- Myśli pani, że kontaktowali się z Richardem Chantry?

- Skąd mogę wiedzieć? - powiedziała, odwracając głowę.

- A ta kobieta i chłopczyk, którzy przed dwudziestu pięciu laty odwiedzili dom Richarda Chantry... czy mogła to być wdowa po Williamie i jej syn?

- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że próbuje pan połączyć dość odległe sprawy.

- Muszę tak robić. Rozwiązanie leży w odległej przeszłości. Czy domyśla się pani, kim mógł być ten mężczyzna, którego zabito i pochowano w oranżerii?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Czy mógł to być pani syn William?

- Chyba pan oszalał. William został zamordowany w Arizonie w roku 1943, czyli siedem lat wcześniej.

- Widziała pani jego zwłoki?

- Tak.

- Podobno były dosyć zmasakrowane? Czy była pani w stanie rozpoznać go z całą pewnością?

- Tak. Byłam. Mój syn William umarł trzydzieści dwa lata temu.

- Co zrobiono z jego zwłokami, kiedy pani je zidentyfikowała?

- Nie jestem pewna.

- To dziwne.

- Czyżby? Jak pan wie, miał w Kalifornii żonę. Żądała, żeby jego ciało zostało odesłane do niej i tam pochowane. Nie miałam nic przeciwko temu. Człowiek umarły odchodzi na zawsze. Nie ma żadnego znaczenia, gdzie się go w końcu pochowa.

Mówiła oschłym, obojętnym tonem, ale miałam wrażenie, że świadomie gwałci własne uczucia. Jakby czytając w moich myślach, dodała:

- Kiedy umrę - chyba już niedługo - chcę, żeby spalono moje ciało i rozsypano prochy na pustyni, w pobliżu Tucson.

- Niedaleko Lashmana?

Spojrzała na mnie z irytacją i jakby pewnym zainteresowaniem. - Cholernie dużo pan wie.

- A pani cholernie mało chce mi powiedzieć, Mildred - odparłem. - Gdzie w końcu pochowany został William?

- Podobno gdzieś w Kalifornii.

- Była pani kiedyś na jego grobie?

- Nie, nie wiem, gdzie to jest.

- A wie pani, gdzie mieszka teraz wdowa po nim?

- Nie. Nigdy nie interesowałam się krewnymi. Opuściłam moją własną rodzinę, kiedy miałam czternaście lat, jeszcze w Denver, i nigdy do niej nie wróciłam. Nigdy też nie tęskniłam za nią.

Ale wpatrywała się przymkniętymi oczami w odległą przestrzeń, jakby chciała prześledzić całą drogę swego życia. Być może odczuła to co ja: podziemny wstrząs, wystarczająco silny, by zmusić umarłego do powstania z grobu.

Kiedy dotarłem do Sycamore Point, mój samochodowy zegar wskazywał już niemal trzecią. Morze kaszłało przez sen u podnóża plaży. Ja również przeżywałem kryzys o mało nie uległem pokusie i nie przespałem się na przednim siedzeniu wozu.

Ale w domku Jacoba Whitmore'a paliło się światło. Przeżyłem chwilę nadziei, że zastanę tam Betty. Okazało się jednak, że Jessie Gable jest sama.

Gdy tylko wpuściła mnie do oświetlonego pokoju, zauważyłem, że przeszła metamorfozę. Jej ruchy były bardziej zdecydowane, w oczach malowała się stanowczość. Poczulem od niej wino, ale nie robiła wrażenia pijanej. Wskazała mi krzesło.

- Jest mi pan winien sto dolarów - powiedziała. - Znam już nazwisko kobiety, która sprzedała Jake'owi ten obraz.

- Kto to był?

Pochyliła się ponad stołem, kładąc mi rękę na ramieniu.

- Chwileczkę. Niech się pan tak nie spieszy. Skąd mogę wiedzieć, czy pan ma sto dolarów?

Odliczyłem na stole odpowiednią sumę. Sięgnęła po banknoty. Zgarnąłem je, zanim zdążyła ich dotknąć.

- Hej! - zawołała. - To moje pieniądze.

- Nie powiedziała mi pani jeszcze nazwiska tej kobiety. Potrząsnęła głową. Jasne włosy opadły jej na ramiona jak jedwabny szal.

- Nie ufa mi pan?

- Ufałem, dopóki pani nie przestała ufać mnie.

- Mówi pan jak Jake. Zawsze potrafił odwrócić kota ogonem.

- Kto mu sprzedał ten obraz?

- Powiem panu, kiedy dostanę pieniądze. Rozłożyłem na stole pięćdziesiąt dolarów.

- Tu jest połowa. Wręczę pani drugą, kiedy poda mi pani to nazwisko.

- Moja wiadomość jest warta więcej. To poważna sprawa. Po wiedziano mi, że powinnam dostać dużą nagrodę.

Nie wstając z krzesła przyglądałem się jej twarzy. Dwa dni wcześniej, kiedy byłem tu po raz pierwszy, zdawała się nie dbać o pieniądze.

- Kto ma zapłacić tę nagrodę? - spytałem.

- Redakcja gazety.

- Czy obiecała to pani Betty Siddon?

- W zasadzie tak. Mówiła, że zapłacą mi dobrze za informacje.

- I powiedziała jej pani, kim jest ta kobieta? Oderwała spojrzenie od moich oczu i zaczęła wpatrywać się w ciemny kąt pokoju.

- Mówiła, że to ważne. A ja nie byłam pewna, czy pan tu jeszcze wróci. Wie pan, jak to jest. Naprawdę potrzebuję pieniędzy.

Wiedziałem, jak to jest. Sprzedawała - jak tylu innych spadkobierców - kości Jacoba Whitmore'a, a ja je od niej kupowałem. Położyłem na blacie stołu pozostałe pięćdziesiąt dolarów.

Jessie sięgnęła po pieniądze, ale jej ręka opadła w połowie drogi. Spojrzała na mnie tak, jakbym zamierzał jej przeszkodzić lub ją uderzyć. Zaczynałem mieć już dość tej zabawy.

- Proszę, niech pani je weźmie - powiedziałem. Zebrała dziesięcio- i dwudziestodolarówki i wsunęła je pod koszulę, za stanik. Spojrzała na mnie z poczuciem winy; była bliska łez.

- Nie traćmy czasu, Jessie powiedziałem. - Co to za kobieta?

- Nazywa się pani Johnson - powiedziała cichym, niepewnym głosem.

- Matka Freda?

- Nie wiem, czyją jest matką. Jak ma na imię?

- Nie wiem. Stanley Meyer podał mi tylko nazwisko.

- Jaki Stanley Meyer?

- Jest sanitariuszem w szpitalu i malarzem-amatorem.

Sprzedaje swoje obrazy podczas kiermaszu na plaży. Jego kiosk stoi tuż obok budki Jake'a. Widział, jak Jake kupował od niej ten obraz.

- Mówi pani o portrecie kobiety, który Jake sprzedał potem Paulowi Grimesowi?

Kiwnęła potakująco głową.

- Przecież o ten obraz panu chodzi, prawda?

- Tak. Czy Stanley Meyer opisał pani tę kobietę?

- Mniej więcej. Mówi, że była w średnim wieku, chyba koło pięćdziesiątki. Duża, tęga baba. Miała ciemne, trochę siwiejące włosy.

- Czy mówił, jak była ubrana?

- Nie.

- Skąd wie, jak się nazywa?

- Znał ją ze szpitala. Pani Johnson pracowała tam jako pielęgniarka, dopóki jej nie wylali.

- Za co ją wyrzucili?

- Meyer nie ma pojęcia. Wie tyle, że pracowała później w domu dla rekonwalescentów o nazwie La Paloma.

- Co jeszcze mówił o tej pani Johnson?

- Nic więcej nie pamiętam.

- Powiedziała pani to wszystko Betty Siddon?

- Tak.

- Jak dawno temu?

- Dokładnie nie wiem. Jake nie znosił zegarów. Uważał, że powinniśmy ustalać czas według słońca, jak Indianie z plemienia Chumashów.

- Czy Betty Siddon była tu przed zachodem słońca, czy później?

- Później. Teraz pamiętam, zaraz po pańskim odjeździe.

- Powiedziała jej pani, że tu byłem?

- Nie.

- A czy ona mówiła odjeżdżając, dokąd się wybiera?

- Nie określiła tego dokładnie. Ale pytała mnie o ten dom dla rekonwalescentów, La Paloma. Chciała się upewnić, że tam właśnie pracuje teraz pani Johnson.

Wracalem pustą autostradą, na której spotykało się już tylko nieliczne ciężarówki. Czulem, że mam już za sobą barierę, oddzielającą pusty koniec nocy od chłodnego, wczesnego poranku. Byłem w stanie dalej obywać się bez snu, w razie konieczności przez cały następny dzień.

Postawiłem wóz na parkingu zakładu La Paloma i nacisnąłem dzwonek obok wejścia dla personelu. Wewnątrz ktoś zaczął mamrotać i stękać. Zadzwońilem jeszcze raz i usłyszałem szybkie, spokojne kroki. Drzwi, zabezpieczone łańcuchem, uchylily się z lekka i wyjrzała przez nie czarnoskóra pielęgniarka.

- Byłem tu wczoraj wieczorem - powiedziałem.

- Pamiętam pana. Jeśli szuka pan pani Johnson, to źle pań trafił. Drugi raz w ciągu tej nocy zostawiła mi cały zakład na głowie. Już teraz ledwo żyję, a do końca zmiany jeszcze sporo godzin. Rozmowa z panem też nie ułatwia mi pracy.

- Rozumiem panią. Ja też pracowałem przez całą noc. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Co pan robił?

- Jestem detektywem. Czy mógłbym wejść i porozmawiać z panią chwilę, panno...

- Pani... pani Holman. - Z westchnieniem spuściła łańcuch. - Dobrze. Ale niech się pan pośpieszy.

Oparliśmy się o ścianę w ciemnym hallu. Westchnienia i jęki pacjentów oraz nieregularne odgłosy autostrady składały się na akompaniament, towarzyszący muzyce wczesnego ranka. Twarz dziewczyny zlewała się z ciemnością, tak że jej oczy zdawały się błyszczącymi oczyma nocy.

- Co chciałby pan wiedzieć? - spytała.

- Dlaczego pani Johnson poszła do domu?

- Zatelefonował Fred. To jej syn. Powiedział jej, że stary znowu szaleje. Jest strasznym pijakiem i tylko ona umie go poskromić, kiedy wpadnie w taki stan. Pojechała więc taksówką do domu. Nie mam jej tego za złe, bo w końcu musiała coś zrobić. - Wciągnęła głęboko powietrze i wypuściła je; poczułem w ciemności ciepło jej oddechu. - Nie chciałabym zaszkodzić pani Johnson. Sama mam pijaków w rodzinie.

- Czy była pani kiedyś u nich w domu?

- Nie - odparła stanowczo. - Jeśli nie ma pan więcej pytań, to szkoda czasu.

- Mam jeszcze kilka. To bardzo ważne, proszę pani... kwestia życia lub śmierci.

- Czyjego życia? - spytała. - Czyjej śmierci?

- Pewnej kobiety nazwiskiem Betty Siddon. Pracuje w redakcji tutejszej gazety.

Usłyszałem, że głęboko wciąga oddech.

- Czy słyszała pani kiedyś to nazwisko?

- Tak. Słyszałam. Zadzwoniła z redakcji na samym początku mojego dyżuru. Chciała wiedzieć, czy mamy tu pacjentkę nazwiskiem Mildred Mead. Powiedziałam jej, że przebywała u nas przez jakiś czas, ale wyprowadziła się.; Zapragnęła samodzielności i wynajęła domek w Magnolia Court. Panna Mead zamieszkała u nas zresztą z uwagi na związek z panią Johnson.

- Jaki związek?

- Były ze sobą spokrewnione.

- W jaki sposób?

- Nigdy mi tego nie wyjaśniły.

- Czy pani Johnson wiedziała o telefonie panny Siddon?

- Nie. Nie chciałam jej denerwować. Po wyprowadzce panny Mead była bardzo niezadowolona. Można powiedzieć, że uznała to za osobistą zniewagę. Okropnie się wtedy pokłóciły. Szczerze mówiąc o mało nie doszło do bójki. Obie łatwo wpadają w szał, jeśli chce pan znać moje zdanie.

Jej elokwencja wydała mi się sztuczna; miałem wrażenie, że tworzy ze słów zasłonę dymną, odgradzającą mnie od informacji, które chciałem zdobyć.

- Czy panna Siddon przyjechała tu dziś wieczorem? - spytałem.

- Nie. - Odpowiedź brzmiała stanowczo. Ale jej oczy drgały z lekka, jakby poruszane skrywaną za nimi myślą.

- Jeśli tu była, proszę mi koniecznie powiedzieć. Może jej grozić poważne niebezpieczeństwo.

- Przykro mi bardzo, ale nie widziałam jej.

- Czy to na pewno prawda, pani Holman?

- Niech pan przestanie wierzyć mi dziurę w brzuchu! - wybuchnęła nagle. - Przykro mi, że dzieje się coś złego i że pańska przyjaciółka ma kłopoty. Ale to nie moja wina. Może pan nie ma nic do roboty, ale na mnie czeka praca.

Pożegnałem ją niechętnie, czując, że wie więcej, niż zechciała mi powiedzieć. Atmosfera domu opieki, na którą składały się starczy wiek, choroby i tłumiony ból, towarzyszyła mi przez całe miasto, aż pod dom Johnsonów.

37

Wysoki, stary dom tonął w ciemności. Zdawał się wisieć nade mną na tle gwiazd jak ponura przeszłość, złożona, z kolejnych warstw, oznaczających pokolenia. Zapukałem do drzwi frontowych. Nie doczekawszy się odpowiedzi zakołatałem powtórnie.

Miałem ochotę zacząć wrzeszczeć na dom, jak poprzednio Gerard Johnson, i zastanawiałem się, czy podobnie jak on zaczynam wpadać w obłąd. Oparłem się o ścianę i obserwowałem spokojną ulicę. Zaparkowałem wóz za rogiem, więc jezdnia była zupełnie pusta. Nad gęstwiną drzew oliwnych pojawił się błyśnięcie światła, rozprzestrzeniający się powoli po całym niebie.

Poranny chłód przeniknął do moich kości. Obudzony z letargu zacząłem tak mocno dobijać się do drzwi, że otarłem palce i stałem w półmroku ssąc bolesne miejsca.

Zza drzwi doszedł mnie głos Gerarda Johnsona:

- Kto tam?

- Archer. Proszę otworzyć.

- Nie mogę. Wyszła i zamknęła mnie na klucz! - zaskowyczał ochryłym głosem.

- Dokąd poszła?

- Chyba do La Paloma... to ten dom opieki. Ma dziś nocny dyżur.

- Właśnie stamtąd wracam. Pani Johnson już po raz drugi wyszła z pracy.

- Nie powinna tego robić. Straci i tę posadę. Będziemy musieli żyć z zasiłku. Nie wiem, co z nami będzie.

- Gdzie Fred?

- Nie wiem.

Chciałem zadać mu wiele innych pytań, dotyczących jego żony i zaginionego obrazu, ale zniechęciły mnie jego bezsensowne odpowiedzi. Powiedziałem mu przez drzwi dobranoc i pojechałem na posterunek policji.

Zastałem Mackendricka w jego gabinecie; wyglądał niemal tak samo, jak siedem czy osiem godzin wcześniej. Dostrzegłem pod jego oczyma nabrzmiałe, sine plamy, ale miał czujny, przytomny wzrok i był świeżo ogolony.

- Wygląda, że się pan nie wyspał - stwierdził.

- Wcale się nie kładłem. Próbowałem znaleźć Betty Siddon.

Mackendrick wciągnął powietrze tak głęboko, że aż zaskrzypiało pod nim krzesło. Wypuścił je z westchnieniem.

- Dlaczego tak się pan tym przejmuje? Nie możemy śledzić ruchów każdego reportera w mieście przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Wiem. Ale mamy do czynienia ze szczególnym przypadkiem. Myślę, że należałoby przeszukać dom Johnsonów.

- Czy ma pan jakieś podstawy, by sądzić, że jest tam panna Siddon?

- Nic konkretnego. Ale istnieje możliwość, a nawet podejrzenie, że tam właśnie znajduje się zaginiony obraz. Przeszedł on już raz przez ręce pani Johnson, a potem przez ręce jej syna, Freda.

Przypomniałem Mackendrickowi wszystkie znane nam fakty: że Fred Johnson ukradł czy też pożyczył obraz z domu Biemeyerów i że ukradziono go potem z muzeum, czy też - w myśl wcześniejszej, lansowanej przez Freda wersji - z domu Johnsonów. Dodałem uzyskaną od Jessie Gable informację, że Whitmore na samym początku kupił go od pani Johnson.

- To wszystko jest bardzo interesujące - stwierdził obojętnym tonem Mackendrick. - Ale nie mam teraz czasu poszukiwać panny Siddon. I nie mam czasu na rozglądanie się za zaginionym, skradzionym czy zgubionym obrazem, który prawdopodobnie nie przedstawia wielkiej wartości.

- Ale dziewczyna tak. A obraz stanowi klucz do całej tej cholernej zagadki.

Mackendrick oparł się ciężko o biurko.

- To pańska dziewczyna, prawda?

- Jeszcze nie jestem pewny.

- Ale interesuje się pan nią?

- Bardzo - odparłem.

- A zaginiony portret jest obrazem, który polecono panu odnaleźć, prawda?

- No tak.

- I dlatego uważa pan, że jest kluczem do całej zagadki, co?

- Nie powiedziałem tego, kapitanie. Myślę, że dziewczyna i obraz odgrywają ważną rolę niezależnie od tego, czy mam do nich osobisty stosunek, czy nie.

- Tak pan sądzi. Chciałbym, żeby pan poszedł do łazienki i uważnie przyjrzał się sobie w lustrze. Przy okazji może pan posłużyć się moją elektryczną maszynką do golenia. Jest w szafce za lustrem. Światło zapala się w środku, po lewej stronie.

Wszedłem do maleńkiej kabiny i obejrzałem swoją twarz. Była blada i znużona. Skrzywiłem się, by ją ożywić, ale oczy nie zmieniły wyrazu. Były równocześnie szkliste i matowe.

Ogoliłem się i umyłem. Poprawiło to nieco mój wygląd. Ale nie stłumiło niepokoju i zmęczenia, które załęgły się w mojej głowie i całym ciele.

Kiedy wróciłem do gabinetu, Mackendrick przyjrzał mi się uważnie.

- Lepiej się pan czuje?

- Trochę lepiej.

- Ile czasu minęło od chwili, kiedy miał pan coś w ustach?

- Zerknąłem na zegarek. Była za dziesięć siódma.

- Dziewięć, może dziesięć godzin.

- I nie zmrużył pan oka?

- Nie.

- No dobrze, chodźmy na śniadanie. Joe otwiera o siódmej.

Joe prowadził restaurację dla robotników; bar i łoże wypełniały się już klientami. W zadymionej sali unosiła się atmosfera lekkiego, żartobliwego optymizmu, jakby nadchodzący dzień mógł się jednak okazać nie najgorszy. Zajęliśmy jedną z łóż, siadając po obu stronach stolika. Czekaając na śniadanie omawialiśmy przy kawie cały przebieg śledztwa. Zacząłem uświadamiać sobie z przykrością, że nie powiedziałem mu o swojej rozmowie z panią Chantry. Wiedziałem, że muszę go o tym poinformować, zanim dowie się sam, o ile jeszcze się nie dowiedział. Miałem zamiar zrobić to w najbliższej przyszłości. Odłożyłem jednak to zadanie do momentu, kiedy wzmocnię się solidnym posiłkiem.

Obaj zjedliśmy jajka na szynce, frytki i grzanki. Na koniec zamówił sobie szarlotkę z porcją waniliowych lodów.

Skończywszy śniadanie, poprosiliśmy o jeszcze jedną filiżankę kawy.

- Odwiedziłem wczoraj wieczorem panią Chantry - oznajmiłem.

Jego twarz zastygła; w kącikach oczu i ust pojawiły się zmarszczki.

- Prosiłem, żeby pan tego nie robił.

- Wydawało mi się to niezbędne. Każdy z nas działa według własnych zasad, kapitanie.

- Niewątpliwie.

Miałem na myśli to, że swobodę jego ruchów krępowały różne względy natury politycznej. Był żelazną pięścią miasta, koncentrującą w sobie całą jego miażdżącą siłę, ale musiał posługiwać się tą siłą zgodnie z życzeniami mieszkańców. Nawet teraz zdawał się wsłuchiwać w ich rozliczne głosy, rozbrzmiewające między innymi w wielkiej, zadymionej sali restauracyjnej, w której siedzieliśmy.

Rozluźnił stopniowo mięśnie twarzy, która przestała precyporninać bryłę popękanego cementu. Oczy pozostały obojętne.

- Czego dowiedział się pan od pani Chantry?

Opowiedziałem mu wszystko dość dokładnie, podkreślając szczególnie rolę mężczyzny w brązowym ubraniu, którego kości wykopane zostały przez Rica i panią Chantry. Poczerwieniał z wrażenia.

- Czy powiedziała panu, skąd się wziął ten facet?

- Najwyraźniej przebywał poprzednio w szpitalu dla inwalidów.

Mackendrick uderzył dłonią o blat stołu. Zastawa podskoczyła z brzękiem. Wszyscy siedzący w pobliżu klienci musieli usłyszeć hałas, ale nikt się nie obejrzał.

- Dlaczego, do cholery, nie powiedział mi pan o tym wcześniej? Przecież jeśli był kiedykolwiek w szpitalu dla inwalidów, będziemy chyba mogli ustalić jego tożsamość na podstawie tych kości.

Położył na stole trzy banknoty jednodolarowe, podniósł się z krzesła i opuścił salę.

Zapłaciłem i wyszedłem na dwór. Było już po ósmej; miasto budziło się do życia. Szedłem główną ulicą, mając nadzieję, że obudzę się wraz z nim - aż znalazłem się w końcu przy gmachem redakcji.

Nikt jej nie widział ani nie miał od niej wiadomości.

Wróciłem na parking, odebrałem samochód i pojechałem w stronę nadbrzeża. Kierowało mną na wpół uświadomione marzenie: jeśli wrócę do pokoju, w którym zaczęła się moja przygoda z Betty, zastanę ją tam.

Nie było jej. Rzuciłem się na łóżko i próbowałem o wszystkim zapomnieć. Ale prześladowały mnie sny o gniewnych zmarłych.

Obudziłem się wypoczęty w jasnym świetle dnia. Na moim zegarku była już niemal dwunasta. Wyjrzałem przez okno na zatokę, pociętą przez zamknięte częściowo żaluzje na

długie, jasne, lśniące pasma. Kilku żeglarzy wyprowadzało swe łodzie w morze, korzystając z lekkiego południowego wiatru. Pamięć podsunęła mi nagle pewien istotny szczegół.

Szeryf Brotherton opowiadał mi w Arizonie o żołnierzu, który nazywał się „Wilson czy Jackson” i był przyjacielem Williama, zamordowanego syna Mildred Mead. Mówił, że dostał od niego po wojnie pocztówkę, wysłaną ze szpitala dla inwalidów w Kalifornii.

Podniosłem słuchawkę telefonu i zamówiłem rozmowę z posterunkiem szeryfa Brothertona w Copper City. Po krótkim oczekiwaniu usłyszałem jego głos.

- Cieszę się, że mnie pan złapał, Archer. Właśnie wychodziłem na lunch. Jak się miewa córeczka Biemeyerów? Mam nadzieję, że już bezpiecznie dotarła do domu i przebywa z rodziną.

- Jest w domu. Nie wiem tylko, na ile jest bezpieczna.

- Jak to, z własną rodziną? - Brotherton zakładał najwyraźniej, że ratując Doris zapewniliśmy jej trwałe szczęście, jakie dałoby jej wstąpienie do nieba.

- Jest dość niezrównowazona i nie bardzo potrafi dogadać się z ojcem. Ale skoro o nim mowa, chcę zadać panu pewne pytanie, przepraszając z góry, jeśli się powtarzam. Czy Biemeyer przyczynił się w jakikolwiek sposób do umorzenia śledztwa w sprawie śmierci Williama Meada?

- Tak, pytał pan już o to. Powiedziałem, że nie wiem.

- A czy istnieje taka możliwość?

- Biemeyer nie miał żadnego powodu, żeby się o to starać. Był wtedy blisko związany z matką Williama. Nie mówię panu nic, co nie byłoby powszechnie znane.

- Czy Mildred Mead chciała kontynuować śledztwo?

- Nie wiem, jakie było jej zdanie. Rozmawiała o tym na wyższym szczeblu. - Mówił oschłym tonem, jakby zamierzał za chwilę zamilknąć.

- Czy Mildred Mead domagała się sprowadzenia Richarda Chantry z Kalifornii, żeby można było go przesłuchać?

- Nie pamiętam, żeby występowała z takim wnioskiem. Czego pan szuka, Archer?

- Nie wiem, dopóki nie znajdę. Ale jedna z pańskich informacji na temat sprawy Meada może być bardzo ważna. Wspominał pan, że kolega Williama z wojska przyjechał do Arizony i rozmawiał z panem o jego śmierci.

- Zgadza się. Myślałem nawet o nim niedawno. Wie pan, kontaktował się ze mną już po wojnie. Przesłał mi pocztówkę z Los Angeles, ze szpitala dla inwalidów. Pytał, czy w sprawie Williama Meada zaszły jakieś nowe okoliczności. Odpisałem mu, że nie.

- Pamięta pan, jak podpisał tę pocztówkę?

- Chyba Jackson - powiedział szeryf po chwili wahania. - Jerry Jackson. Miał dość niewyraźne pismo.

- A może Jerry Johnson?

Szeryf znów milczał przez chwilę. Słyszałem rozbrzmiewające w przewodach niewyraźne głosy, na wpół zapomniane wspomnienia, znów powołane do życia.

- Chyba tak - powiedział w końcu. - Ta kartka jest chyba nadal gdzieś w moich papierach. Miałem nadzieję, że będę mógł kiedyś posłać temu biedakowi jakąś konkretną odpowiedź. Ale nigdy do tego nie doszło.

- Może jeszcze kiedyś pan to zrobi.

- W każdym razie nie tracę nadziei.

- Czy podejrzewał pan kogoś, szeryfie?

- A pan?

- Nie. Ale ja nie prowadziłem śledztwa w tej sprawie. Poruszyłem drażliwy temat.

- Ja też nie - powiedział z goryczą. - Zostało mi odebrane.

- Przez kogo?

- Przez ludzi, którzy mieli dość władzy, by to zrobić. Nie zamierzam wymieniać żadnych nazwisk.

- Czy Richard Chantry był podejrzany o zabójstwo brata?

- To żadna tajemnica. Opowiadałem panu, że wywieźli go w pośpiechu poza granice stanu. O ile wiem, nigdy nie wrócił.

- Więc istniał między nimi konflikt?

- Nie wiem, czy można to nazwać konfliktem. Raczej zdrową rywalizacją. Konkurencją. Obaj chcieli być malarzami. Obaj chcieli żenić się z tą samą dziewczyną. Można powiedzieć, że Richard wygrał obie rundy. I na dodatek zgarnął majątek rodzinny.

- Ale jego szczęście trwało tylko siedem lat.

- Tak słyszałem.

- Czy domyśla się pan, co mogło się z nim stać?

- Nie. Nie domyślam się. To nie moje terytorium. A poza tym jestem z kimś umówiony i muszę kończyć rozmowę, bo się spóźnię. Do widzenia.

Odłożył nagle słuchawkę. Wyszedłem na korytarz i zapukałem do Paoli. Usłyszałem jej ciche kroki.

- Kto to? - spytała przez drzwi.

Powiedziałem jej swoje nazwisko. Otworzyła. Wyglądała, jakby nękały ją złe sny podobnie jak mnie i jeszcze się całkiem nie obudziła.

- O co chodzi?
- Potrzebuję jeszcze kilku informacji.
- Powiedziałaś mi już wszystko.
- Nie jestem pewny.

Próbowała zamknąć drzwi. Przytrzymałem je. Oboje czuliśmy nawzajem swój ciężar i siłę przeciwstawnej woli.

- Nie chcesz wiedzieć, kto zabił twojego ojca, Paola? Przyjrzała się uważnie mojej twarzy, ale nie dostrzegłem w jej ciemnych oczach wiele nadziei.

- Czy wiesz na pewno?
- Będę wiedział. Ale potrzebuję twojej pomocy. Czy mogę wejść?
- Ja wyjdę do ciebie.

Usiedliśmy w końcu korytarza na plecionych fotelach ustawionych przy oknie. Paola cofnęła swój fotel, żeby nie było jej widać przez szybę.

- Czego się boisz, Paola?

- Głupie pytanie. Przedwczoraj wieczorem zamordowano mojego ojca. A ja nadal siedzę w tym parszywym mieście.

- Kogo się boisz?

- Richarda Chantry. To na pewno on. Uważany tu jest za coś w rodzaju bohatera. Bo nikt nie wie, jakim był sukinsynem.

- Znałaś go?

- Właściwie nie. Urodziłam się zbyt późno. Ale ojciec i matka znali go bardzo dobrze. W Copper City krążyły o nim dość dziwne historie. O nim i o jego przyrodnim bracie, który nazywał się William Mead.

- Jakie historie?

Między jej czarnymi brwiami pojawiły się dwie głębokie bruzdy.

- Słyszałam, że Richard Chantry ukradł obrazy brata. Obaj byli uzdolnionymi malarzami, ale to William miał prawdziwy talent. Richard naśladował jego styl, a kiedy Williama powołano do wojska, zagarnął rysunki oraz obrazy i przedstawiał je jako własne. Poderwał też jego dziewczynę.

- To znaczy obecną panią Chantry?

- Chyba tak.

Wychylała się stopniowo w stronę okna, jak kochająca światło roślina. Ale jej oczy były nadal posępne i zalęknione. Cofnęła głowę, jakby dostrzegła na ulicy strzelców wyborowych.

Poszła za mną do pokoju i podczas mej rozmowy telefonicznej z Mackendrickiem stała w drzwiach. Podzieliłem się z nim dwoma ważnymi informacjami, które zdobyłem tego ranka: że Richard Chantry kradł obrazy swego przyrodniego brata i przedstawiał je jako własne oraz że po śmierci Williama zjawił się w Arizonie jego kolega z wojska, nazwiskiem Jerry Johnson.

- Nazwisko Johnson jest bardzo popularne - przerwał mi Mackendrick. - Ale nie byłbym zaskoczony, gdyby to był nasz Gerard Johnson z Olive Street.

- Ja też nie. Jeśli Gerard był ranny na wojnie i przebywał jakiś czas w szpitalu, łatwo wytłumaczyć sobie jego dziwactwa.

- Przynajmniej niektóre z nich. Możemy przesłuchać go w tej sprawie. Ale najpierw chciałbym przekazać te dodatkowe dane do szpitali dla inwalidów wojennych.

- Dodatkowe dane?

- Tak jest. Pański przyjaciel Purvis badał te kości, które przyniósł nam pan wczoraj wieczorem. Znalazł na nich ślady czegoś, co wyglądało jak urazy od szrapneli, najwyraźniej fachowo leczone. Porozumiewa się więc na własne konto ze szpitalami dla inwalidów.

- A co robicie w sprawie Betty Siddon?

- Jeszcze się nie pojawiła?

Głos Mackendricka wydawał się znudzony. Z trzaskiem odłożyłem słuchawkę. Potem siedziałem przez chwilę nieruchomo, żałując, że nie umiem opanować gniewu, i zastanawiając się, co robić dalej.

38

Pojechałem do centrum i odwiedziłem redakcję gazety. Nadal nie było wiadomości od Betty. Jej przyjaciółka, Fay Brighton, miała zaczerwienione oczy. Powiedziała mi, że odebrała jakiś podejrzany telefon, ale jej rozmówczyni nie chciała podać nazwiska ani numeru.

- Czy groziła pani?

- Właściwie nie. Wydawała się raczej zaniepokojona. Chciała wiedzieć, czy nic się nie stało Betty. Kiedy spytałam, dlaczego ją to interesuje, odłożyła słuchawkę.

- Kiedy odebrała pani ten telefon?

- Dziś rano, koło dziesiątej. Nie powinnam była dać się jej zagadać. Gdybym potraktowała ją bardziej taktownie, powiedziałaaby mi może więcej.

- Odniosła pani wrażenie, że ona coś wie?

- Tak, tak mi się wydało - odparła po chwili namysłu. - Chyba była wystraszona albo czuła się winna.

- Co pani może powiedzieć o tej kobiecie?

- Zastanawiałam się nad tym. Rozmawiała ze mną inteligentnie, jak osoba na stanowisku. Ale miała dziwny głos. - Zawahała się przez chwilę, jakby nadśluchując. - Mogła być Murzynką, wykształconą Murzynką.

Natychmiast przypomniałem sobie, jak nazywała się czarnoskóra pielęgniarka z zakładu La Paloma. Pani Holman. Pożyczyłem od pani Brighton książkę telefoniczną i próbowałem znaleźć to nazwisko, ale nie figurowało w niej.

Potrzebowałem łącznika z miejscowym środowiskiem murzyńskim. Jedynym człowiekiem, który przyszedł mi do głowy, był właściciel sklepu z alkoholem, u którego kupiłem dwie butelki whisky dla Jerry'ego Johnsona. Pojechałem tam i znalazłem go za ladą.

- Jeszcze trochę whisky z Tennessee? - spytał.

- Zawsze się przyda.

- Dwie ćwiartki? - Uśmiechał się pobłaźliwie, rozbawiony moją ekstrawagancją.

- Tym razem spróbuję wziąć pół kwarty.

Kiedy wkładał butelkę do torby, spytałem go, czy nie zna pielęgniarki nazwiskiem Holman. Spojrzał na mnie z zainteresowaniem i odwrócił wzrok, nie chcąc przyglądać mi się zbyt długo.

- Chyba o niej słyszałem. Ale nie zetknąłem się z nią osobiście. Znam jej męża.

- Opiekowała się moją przyjaciółką - powiedziałem. - W tym zakładzie dla rekonwalescentów, La Paloma. Chciałem ofiarować jej drobny prezent.

- Jeśli o to panu chodzi - wskazał na butelkę - to mogę jej doręczyć.

- Wolałbym zrobić to osobiście.

- Jak pan chce. Pani Holman mieszka tuż obok rogu

Nopal i Martinez. Trzeci dom od skrzyżowania, rośnie przed nim taki wielki pieprzowiec. Musi pan pojechać stąd na południe, skręcić w piątą przecznicę i przejechać jeden blok w kierunku oceanu.

Podziękowałem mu, zapłaciłem za whisky i pojechałem na południe. Pieprzowiec był jedyną oazą zieleni na całym odcinku ulicy, zabudowanym jednopiętrowymi, drewnianymi domkami. W jego postrzępionym cieniu stała pozbawiona kół karoseria starej limuzyny marki Chevolet z roku 1946, służąca za miejsce zabaw grupce czarnoskórych dzieci.

Pani Holman przyglądała im się z ganku. Na mój widok drgnęła nagle i odruchowo zrobiła ruch w kierunku drzwi. Potem oparła się o nie plecami i próbowała uśmiechnąć się do mnie, ale jej oczy pozostały poważne.

- Dzień dobry - powiedziałem.

- Dzień dobry.

- To pani dzieci?

- Jedno jest moje. - Nie powiedziała mi, które. - Czym mogę panu służyć?

- Nadal szukam panny Siddon. Niepokoję się o nią. Myślałem, że może pani też jest niespokojna.

- Nie wiem, skąd pan wpadł na ten pomysł - powiedziała obojętnym tonem.

- Czy nie dzwoniła pani dziś rano do redakcji?

Zerknęła nad moim ramieniem w kierunku dzieci. Siedziały cicho i nieruchomo, jakby nie czuły się dobrze w pierzastym cieniu pieprzowca.

- Może dzwoniłam... i co z tego?

- Jeśli mogła pani to zrobić, to może pani również porozmawiać ze mną. Nie próbuję pani w nic wplątać. Chcę znaleźć Betty Siddon. Myślę, że może grozić jej niebezpieczeństwo i pani chyba też tak uważa.

- Ja tego nie powiedziałam.

275

- Nie musi pani. Czy widziała pani wczoraj wieczorem pannę Siddon w La Paloma?

Przytaknęła powolnym ruchem głowy.

- Widziałam.

- Kiedy?

- Wczesnym wieczorem. Przyjechała do pani Johnson i obie naradzały się cicho w jednej z pustych sal. Nie wiem, o czym rozmawiały, ale w końcu wyszły stamtąd razem. Odjechały samochodem panny Siddon, nie mówiąc mi ani słowa.

- Więc pani Johnson wychodziła ubiegłej nocy dwukrotnie do domu?

- Chyba tak.

- Kiedy wróciła do zakładu, była tam policja. Zgadza się?

- Możliwe.

- Wie pani dobrze, że tak było. Musieli pani powiedzieć, czego szukają.

- Może mi powiedzieli. Nie pamiętam. - Mówiła bardzo cicho. Stała nieruchomo, bardzo zmieszana.

- Musi pani to pamiętać, pani Holman. Policjanci szukali Mildred Mead i Betty Siddon. Na pewno pytali panią o nie.

- Może pytali. Jestem zmęczona. Mam dużo na głowie przeżyłam ciężką noc.

- Może pani przeżyć jeszcze cięższy dzień.

- Jak pan śmie mi grozić? - wybuchnęła nagle. Dzieci bawiące się w Chevrolecie zastygły w lęklwym bezruchu. Mała dziewczynka - jak się domyślałem, córka pani Holman - zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła cicho szlochać.

- Jak pani śmie mnie okłamywać? - powiedziałem do jej matki. - Nie jestem pani wrogiem. Nie chcę narazić pani na kryminał. Ale wyląduje pani tam w końcu, jeśli nie powie mi prawdy.

Spojrzała na płaczące za moimi plecami dziecko.

- Dobrze - powiedziała - niech będzie. Pani Johnson prosiła, żebym nie mówiła policji o pobycie ich obu w La Paloma - panny Mead i panny Siddon. Wiedziałam, że wynikną z tego kłopoty. Powinam była się domyślić, że odbiją się w końcu na mnie.

Przeszła szybko obok mnie i otworzyła drzwi Chevroleta. Kiedy odjeżdżałem, siedziała w nim z córką na kolanach, otoczona gromadką milczących dzieci.

39

Pojechałem z powrotem na Olive Street. W białym blasku południa dom Johnsonów wydawał się dziwaczny i posępny, jak długa, starcza twarz, na której zastygł grymas niechęci do obecnych czasów.

Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy i próbowałem wyobrazić sobie, co zaszło we wnętrzu budynku i co może się w nim dziać w tej chwili. Nawet wiedząc, że jest tam Betty, nie miałbym pewności, czy uda mi się ją znaleźć. Dom był stary i pełen zakamarków, a ja właściwie go nie znałem.

Ulicą przemknęła mała Toyota, zmierzając w kierunku szpitala. Siedzący przy kierownicy mężczyzna przypominał obrońcę Freda Johnsona, Lacknera. Zatrzymał się na następnym odcinku ulicy, niedaleko miejsca, w którym zamordowany został Paul Grimes. Usłyszałem cichy trzask otwieranych, a potem zamykanych drzwi Toyoty, nie widziałem jednak, czy ktoś z niej wysiadł, bo zasłaniały ją drzewa.

Wyjąłem z samochodu butelkę whisky oraz rewolwer i umieściłem je w kieszeni marynarki. Potem przeszedłem przez ulicę i zapukałem do frontowych drzwi domu Johnsonów.

Usłyszałem dochodzący z narożnika budynku szelest. Przyłgnałem plecami do ściany z rewolwerem gotowym do strzału. Wybujałe krzaki przy końcu ganku poruszyły się lekko. Dobiegł mnie z nich cichy głos Freda Johnsona:

- Pan Archer?

- Tak.

Fred przeskoczył przez balustradę. Poruszał się jak człowiek, który spędził całe dzieciństwo na uciekaniu przed kłopotami. Był bardzo blady.

- Gdzie byłeś, Fred?

- W biurze pana Lacknera. Właśnie mnie odwiózł.

- Uważasz, że nadal potrzebny ci jest obrońca? Pochylił głowę, żebym nie widział jego twarzy.

- Chyba tak.

- Dlaczego?

- Pan Lackner radził mi nie rozmawiać z nikim na ten temat.

- Będziesz musiał o tym mówić, Fred.

- Wiem. Powiedział mi to również. Ale chce, żebym zrobił to w jego obecności.

- Dokąd pojechał?

- Pomówić z kapitanem Mackendrickiem.

- O czym?

Zniżył głos, jakby mógł go usłyszeć własny dom.

- Nie wolno mi tego zdradzić.

- Masz wobec mnie dług wdzięczności, Fred. Pomogłem ci uniknąć więzienia. Gdyby nie ja, siedziałbyś teraz w celi, w Copper City.

- Ale mam też dług wdzięczności wobec matki i ojca. Chwyciłem go za ramiona. Drżał. Wąsy opadły mu na usta jak symbol jego wątłej i zranionej męskości.

- Co zrobili twoi rodzice, Fred? - spytałem najłagodniej, jak umiałem.

- Nie wiem. - Z trudem przełknął ślinę, a jego język poruszył się między wargami jak małe, ślepe stworzenie, poszukujące wyjścia.

- Czy przechowują w domu jakąś kobietę? Przytaknął posępnym ruchem głowy.

- Słyszałem na strychu jakiś kobiecy głos.

- Co ona tam robi?

- Nie wiem. Był z nią mój ojciec.

- Kiedy to słyszałeś?

- Dziś, nad ranem. Przed świtem. Chyba była tam przez całą noc.

Potrząsnąłem nim. Jego głowa zakołysała się w przód i w tył, jakby w bezsensownym geście przyzwolenia. Puściłem go, bojąc się, że złamię mu kark.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

- Nie wiedziałem, co się tam dzieje. Zdawało mi się, że rozpoznaję jej głos. Ale nie byłem pewny, czy to panna Siddon, dopóki nie znalazłem przed chwilą za domem jej samochodu.

- Za kogo ją poprzednio wzięłeś?

- Za jakąś kobietę, którą przyprowadził z ulicy, może ze szpitala. Dawniej zwabiał je do domu i kazał im się rozbierać. Matka zaczęła odtąd zamykać go na klucz.

- Czy jest obłąkany?

- Nie wiem. - Oczy Freda napęłniły się łzami; odwrócił ode mnie wzrok. - Pan Lackner uważa, że może być niebezpieczny. Jego zdaniem policja powinna go zabrać z domu i osadzić w zakładzie zamkniętym.

Ja też tak sądziłem, ale nie byłem pewny, czy potrafię to zrobić nie narażając zbyt wiele życia imiych. Chciałem, żeby Betty przeżyła moment swego oswobodzenia, o ile nie została już zabita.

- Masz klucz od domu, Fred?

- Tak. Kazałem go dorobić.

- Wpuść mnie do środka.

- Nie wolno mi. Mam tu czekać na pana Lacknera i policję.

- Więc dobrze, czekaj na nich. Daj mi tylko klucz. Wyjął go z kieszeni i wręczył mi niechętnie, jakby wyzbywał się istotnej części własnej osobowości. Kiedy odezwał się ponownie, mówił nieco grubszym głosem, jakby strata części własnej osobowości wyszła mu na korzyść.

- Wejść z panem. Znam lepiej rozkład domu. Oddałem mu klucz, on zaś wsunął go w zamek. Tuż za drzwiami, u podnóża schodów, czekała pani Johnson. Posłała mi upiorny, zażenowany uśmiech, jaki widuje się na twarzach nieboszczyków, zanim przedsiębiorca pogrzebowy spełni swe zadanie.

- Co mogę dla pana zrobić?

- Zejść mi z drogi. Przyszedłem do męża.

Jej fałszywy uśmiech przeszedł w zacięty grymas.

- Coś ty naopowiadał temu człowiekowi? - zwróciła się do Freda.

- Musimy go powstrzymać, mamo.

Znów zmieniła się na twarzy, jakby szukając wyrazu, odpowiadającego dwoistości jej życia. Myślałem, że plunie na swego syna lub przeklnie go, a potem, załamana, wybuchnie płaczem.

- Nigdy nie umiałam sobie radzić z tym szaleńcem.

- Czy wejdzie pani ze mną na górę, żeby z nim pomówić? - spytałem.

- Próbowałam to zrobić jeszcze w nocy. Powiedział, że jeśli nie zostawię ich w spokoju, zastrzeli ją i siebie.

- Ma tam jeszcze jeden rewolwer?

- Zawsze go miał. Chyba więcej niż jeden. Kiedy był pijany, przeszukiwałam cały dom, ale nigdy nie udało mi się żadnego znaleźć.

- Czy kiedykolwiek użył ich?

- Nie. Tylko tak gada. - Na jej twarzy malowały się teraz lęk i niezdecydowanie.

- Jak zwabił na górę pannę Siddon?

Odwróciła ode mnie spojrzenie swych ciemnych, poważnych oczu.

- Nie wiem.

- Czy pani ją tam zaprowadziła?

- Nie. Nie zrobiłabym czegoś takiego.

- Przecież zrobiłaś - powiedział syn.

- I co z tego? Sama tego chciała. Mówiła, że musi z nim porozmawiać, a tam właśnie był. Nie mogę odpowiadać za każdą reporterkę, która podstępem wdziera się do mojego domu.

Odsunąłem ją na bok i wszedłem na schody; Fred ruszył za mną. Po wejściu na piętro stanąłem w ciemnym hallu, usiłując zorientować się, gdzie jestem. Fred minął mnie i zapalił światło. Na drzwiach od strychu znów wisiała kłódka.

- To twoja matka go zamknęła?

- Chyba ona. Boi się panicznie, że od niej odejdzie, jak wtedy, kiedy wyjechał do Kolumbii Brytyjskiej.

- Zejdź na dół i weź od niej klucz. Fred zbiegł po schodach.

- Kto tam jest? - spytał Johnson zza drzwi wiodących na strych. Był zachrypnięty i wyraźnie przestraszony.

- Archer. Jestem pańskim przyjacielem.

- Nie mam przyjaciół.

- Przedwczoraj przyniosłem panu trochę tej whisky z Tennessee.

- Przydałaby mi się teraz - powiedział po chwili ciszy. - Nie spałem całą noc.

Fred wbiegł na górę po dwa stopnie, tryumfalnie niosąc w podniesionej ręce mały kluczyk.

- Kto tam chodzi? - spytał Johnson.

Fred dał mi wzrokiem znać, żebym sam odpowiedział jego ojcu. Równocześnie wręczył mi klucz od kłódki. Odniosłem wrażenie, że przekazuje mi w ten sposób całą władzę, jaką ktokolwiek mógł jeszcze sprawować w tym domu.

- To pański syn, Fred - odparłem.

- Niech mu pan każe odejść - zażądał Johnson. - I jeśli może pan mi dać odrobinę tej whisky, będę ogromnie wdzięczny.

Ale było już za późno na wymianę grzeczności. W oddali zawyła syrena, która cichła już teraz pod domem. Ulegając nagłemu odruchowi otworzyłem kłódkę, wyjąłem rewolwer i odbezpieczyłem go.

- Co pan tam robi? - spytał Johnson.

- Niosę panu whisky.

Na ganku rozległy się czyjeś ciężkie kroki. Lewą ręką zdjąłem kłódkę i pchnąłem drzwi.

Johnson siedział u podnóża prowadzących na strych schodów. Obok niego, na drewnianym stopniu, leżał mały rewolwer. Sięgnął po niego, ale zbyt wolno.

Stanąłem na jego dłoni i podniosłem chwiejący się rewolwer. Przytknął obolałe palce do ust i popatrzył na mnie z wyrzutem jak na człowieka, który zawiódł jego zaufanie.

Odepchnąwszy go, wbiegłem na strych, do jego zaimprovizowanej pracowni. Siedziała tam na kuchennym krześle Betty Siddon, mając na sobie tylko kawałek sznura do bielizny, który utrzymywał ją w pozycji pionowej. Miała zamknięte oczy i bladą nieruchomą twarz. Myślałem przez chwilę, że nie żyje. Świat zachybotał pod moimi stopami jak bąk, który przestaje się obracać.

Kiedy jednak przyklęknąwszy obok niej przeciąłem sznur, Betty, żywa, padła w moje ramiona. Uścisnąłem ją mocno. Po chwili poruszyła się i otworzyła oczy.

- Długo nie przychodziłeś.

- Byłem głupi.

- To ja zrobiłam głupstwo - powiedziała. - Nie powinnam była przychodzić tu sama. Zagroził mi rewolwerem i kazał się rozebrać. Potem przywiązał mnie do krzesła i namalował mój portret.

Nie dokończony obraz stał przodem do nas na poplamionych farbami sztalugach. Przypominał mi malowidła, które widziałem w ciągu ostatnich dni w muzeum, w domu pani Chantry, w mieszkaniu Mildred Mead. Choć nadal nie mogłem w to uwierzyć, wszystkie poszlaki sugerowały, że utyskujący głośno pijak, którego kapitan Mackendrick aresztował

właśnie u podnóża wiodących na strych schodów, jest zaginionym malarzem nazwiskiem Chantry.

Czekając, aż Betty się ubierze, przeszukiwałem strych. Znalazłem inne obrazy, przeważnie portrety kobiet, w różnych stadiach zaawansowania. Na samym końcu odkryłem pod starym materacem owinięty kawałkiem jutowego worka malowany z pamięci portret Mildred Mead, którego poszukiwałem na zlecenie Jacka Biemeyera. Pod jutowym opakowaniem znajdował się również pęk kluczy, potwierdzający moje podejrzenia, że Johnson nie jest jednak całkowicie pozbawiony swobody ruchów.

Znosząc obraz spotkałem stojącego u podnóża schodów Freda.

- Gdzie twój ojciec?

- Jeśli ma pan na myśli Gerarda, to kapitan Mackendrick sprowadził go na dół. Ale on nie jest chyba moim ojcem.

- Kim więc jest?

- Tego właśnie próbowałem się dowiedzieć. Wziąłem... pożyczylem ten obraz z domu Biemeyerów, bo podejrzewałem, że namalował go Gerard. Chciałem ustalić jego wiek i porównać go z wiszącymi w muzeum obrazami Chantry'ego.

- Nie został ukradziony z muzeum, prawda?

- Nie, proszę pana. Kłamałem. On zabrał. Zginął z mojego pokoju, tu, w tym domu. Wtedy już podejrzewałem, że namalował go Gerard. A potem zacząłem się domyślać, że nie jest on wcale moim ojcem, tylko Richardem Chantry.

- Więc dlaczego próbowałeś go chronić? Czy myślałeś, że jest w to również wmieszana twoja matka?

Fred poruszył się niespokojnie i zerknął w kierunku schodów. Na najwyższym stopniu siedziała Betty Siddon, notując coś ołówkiem, w opartym o kolana zeszyście. Poczulem skurcz serca. Była niewiarygodna. Nie spała całą noc, przeżyła napaść i groźby człowieka podejrzanego o morderstwo, a mimo to myślała tylko o tym, żeby nie uronić rozwiązania zagadki, którą miała opisać.

- Gdzie twoja matka, Fred?

- Na dole, we frontowym pokoju z panem Lacknerem i kapitanem Mackendrickiem.

Zeszliśmy wszyscy troje po schodach. Betty zachwiała się raz, mocno chwytając mnie za ramię. Zaproponowałem, że odwiozę ją do domu. Posłała mnie do wszystkich diabłów.

W ponurym pokoju nie działo się nic ciekawego. Przesłuchiwanie stanęło w martwym punkcie: Johnsonowie odmawiali odpowiedzi na pytania Mackendricka, a mecenas Lackner

przypominał o przysługujących im prawach. Rozmawiali - a raczej uchylali się od rozmowy - o morderstwie Paula Grimesa.

- Mam pewną teorię - wtrąciłem się. - W tej chwili zresztą stała się ona czymś więcej niż teorią. Zarówno Grimes, jak Jacob Whitmore zostali zamordowani, ponieważ odkryli pochodzenie zaginionego obrazu Biemeyerów, który zresztą nie jest już zaginiony. - Pokazałem im portret. - Właśnie znalazłem go na strychu, na którym; nawiasem mówiąc, Johnson zapewne go namalował.

Johnson siedział z opuszczoną głową. Jego żona rzuciła mu gorzkie spojrzenie odbijające zarówno niepokój, jak i mściwą satysfakcję.

Mackendrick odwrócił się w moją stronę.

- Nie rozumiem, dlaczego ten obraz jest taki ważny.

- Wygląda na to, że to obraz Chantry'ego, kapitanie. A namalował go Johnson.

Mackendrick stopniowo zdał sobie sprawę ze znaczenia tej informacji, jak człowiek, który dowiaduje się, że jest chory. Odwrócił głowę i wpatrywał się w Johnsona coraz szerzej otwartymi oczami.

Utkwiony w nim wzrok Johnsona wyrażał przygnębienie i lęk. Próbowałem przeniknąć gąbczaste, bezbarwne ciało, maskujące prawdziwe rysy jego twarzy. Trudno było wyobrazić sobie, że mógł być kiedyś przystojny lub że tępe, zaczerwienione oczy należały do człowieka, którego wyobraźnia stworzyła świat widoczny na jego obrazach. Pomyślałem sobie, że najbardziej istotne cechy osobowości Johnsona mogły odejść do tego właśnie świata, zostawiając w jego duszy pustkę.

Na jego twarzy musiały jednak pozostać jakieś ślady podobieństwa do człowieka, którym był w młodości, bo kapitan Mackendrick spytał:

- Jest pan Richardem Chantry, prawda? Poznają pana.

- Nie. Nazywam się Gerard Johnson.

Nic więcej nie chciał powiedzieć. W milczeniu wysłuchał formułki kapitana Mackendricka, który aresztował go, pouczywszy uprzednio o przysługujących mu prawach.

Fred i pani Johnson pozostali na wolności, Mackendrick kazał im jednak udać się na komendę, gdzie chciał ich przesłuchać. Wcisnęli się wszyscy do wozu policyjnego; młody sierżant policji obserwował ich, trzymając dłoń na kolbie służbowego pistoletu.

Staliśmy oboje z Betty na trotuarze przed pustym domem. Włożyłem obraz Biemeyera do bagażnika mojego samochodu i otworzyłem jej drzwi.

Cofnęła się nagle.

- Nie wiesz, gdzie jest mój wóz?

- Stoi z drugiej strony. Zostaw go tam na razie. Odwiozę cię do domu.

- Nie jadę do domu. Muszę napisać ten artykuł.

Spojrzałem uważnie na jej twarz. Wydawała się nienaturalnie jasna, jak żarówka elektryczna, która za chwilę się przepali.

- Chodźmy na krótki spacer. Ja też mam robotę, ale może trochę poczekać.

Szła obok mnie pod drzewami, opierając się lekko o moje ramię. Stara ulica wydawała się w porannym świetle piękna i elegancka.

Opowiedziałem jej zapamiętaną z dzieciństwa bajkę. Był czas - jak powiadała - kiedy kobiety i mężczyźni związani byli ze sobą ściślej niż bliźnięta i dzielili tę samą powłokę cielesną. Powiedziałem jej, że kiedy oboje zeszliśmy się w moim motelowym pokoju, czułem, że jesteśmy sobie właśnie tak bliscy. A kiedy zniknęła z pola widzenia, miałem wrażenie, że utraciłem część siebie samego. Ścisnęła mnie za ramię.

- Wiedziałam, że mnie znajdziesz.

Obeszliśmy wolno czworobok ulic, jakbyśmy otrzymali ten poranek w darze i szukali miejsca, w którym moglibyśmy go spędzić. Potem zawiozłem ją do miasta i zjedliśmy razem lunch w kafeterii „Tea Kettle”. Byliśmy poważni i zadowoleni, jak dwoje ludzi odprawiających jakiś rytuał. Widziałem, że jej twarz i całe ciało znów nabierają życia.

Podwiozłem ją pod redakcję. Wbiegła po schodach, spiesząc do swej maszyny.

40

Wróciłem na posterunek policji. Na parkingu stała furgonetka koronera, a na korytarzu wpadł na mnie wychodzący z gabinetu Mackendricka Purvis. Był czerwony z podniecenia.

- Ustalono już ponad wszelką wątpliwość, czyje to kości.

- Gdzie?

- W szpitalu dla inwalidów Skyhill, w Valley. Leczył się tam przez wiele lat po wojnie. Nazywał się Gerard Johnson.

- Jak?

- Gerard Johnson. Był ciężko ranny na Pacyfiku. Musieli właściwie posklejać go z kawałków. Wypisano go ze szpitala mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu. Miał przyjeżdżać regularnie na okresowe badania, ale nie pojawił się więcej. Teraz wiemy dlaczego. - Z zadowoleniem wciągnął głęboko powietrze. - Nawiasem mówiąc dziękuję ci za tę wskazówkę. Przypomnij mi o tym, kiedy będę mógł coś dla ciebie zrobić.

- Możesz zrobić coś dla mnie zaraz.

- W porządku. - Purvis wydawał się lekko zaniepokojony. - Zrobię, co zechcesz.

- Lepiej zanotuj sobie.

- Strzelaj - powiedział, wyjmując służbowy notes i długopis.

Strzeliłem do odległego celu.

- Gerard Johnson miał w wojsku przyjaciela nazwiskiem William Mead. Mead został zamordowany w Arizonie w lecie 1943 roku. Zna tę sprawę szeryf Brotherton z Copper City. To on znalazł zwłoki Meada na pustyni i odesłał je do Kalifornii, gdzie miały zostać pogrzebane. Chcę się dowiedzieć, na jaki adres je wysłał i gdzie odbył się pogrzeb. Może trzeba będzie wykopać te zwłoki i zbadać je.

Purvis podniósł wzrok znad notesu i zmrużył oczy, oślepiiony blaskiem słońca.

- Ale co chcesz badać?

- Przyczynę śmierci. Tożsamość. Wszystko, co się da. I druga sprawa. Mead miał żonę. Dobrze byłoby ją odszukać.

- Masz poważne wymagania.

- Prowadzimy śledztwo w poważnej sprawie. Mackendrick siedział sam w gabinecie. Był ponury i roztrzęsiony.

- Gdzie pański więzień, kapitanie?

- Prokurator okręgowy zawiózł go do aresztu w gmachu sądu. Lackner poradził mu, żeby udawał niemowę. Pozostali członkowie rodziny też nabrali wody w usta. Miałem nadzieję, że zamknę dziś śledztwo.

- Może jednak nam się to uda. Gdzie jest Fred i jego matka?

- Puściłem ich do domu. Prokurator nie chce zgłaszać przeciw nim aktu oskarżenia, przynajmniej na razie. Pełni swą funkcję od niedawna i nadal się uczy. Jego zdaniem możemy zarzucić tej Johnson tylko tyle, że żyła z Richardem Chantry, przedstawiając go jako swego męża, a to nie jest przestępstwo.

- Chyba, że pomagała mu ukryć morderstwo.

- Ma pan na myśli morderstwo prawdziwego Gerarda Johnsona?

- Zgadza się, kapitanie. Jak pan wie, Purvis ustalił, że prawdziwym Johnsonem był ten mężczyzna w brązowym ubraniu, którego zwłoki zakopano w oranżerii pani Chantry. Wygląda na to, że Chantry zabił Johnsona, przywłaszczył sobie jego nazwisko i zamieszkał z jego żoną i synem.

Mackendrick w zamyśleniu potrząsnął posępnie głową.

- I ja tak myślałem. Ale właśnie sprawdziłem dane tego Johnsona w biurze prokuratora okręgowego i w tym szpitalu Skyhill. Nie był żonaty i nie miał syna. Cała cholerna rodzina została po prostu wymyślona.

- Łącznie z Fredem?

- Łącznie z Fredem. - Mackendrick musiał zauważyć, że skrzywiłem się boleśnie, bo dodał: - Wiem, że ma pan osobisty stosunek do Freda. Może dzięki temu wyobrazi pan sobie, co przeżywam w związku z Chantrym. Naprawdę podziwiałem tego faceta, kiedy byłem młodym policjantem. Wszyscy w mieście go podziwiali, nawet ci, którzy nie widzieli go na oczy. Teraz muszę im oznajmić, że był półobłąkanym pijakiem, a do tego mordercą.

- Jest pan absolutnie pewny, że Johnson to Chantry?

- Najzupełniej. Niech pan pamięta, że znałem go osobiście. Byłem jednym z nielicznych wybranych. Zmienił się oczywiście, cholernie się zmienił. Ale to ten sam człowiek. Poznaję go, a on o tym wie. Ale do niczego nie chce się przyznać.

- Czy próbował go pan skonfrontować z jego prawdziwą żoną?

- Oczywiście. Pojechałem do niej dziś z samego rana, żeby wszystko omówić. Ale dała już nogę, chyba na dobre. Opróżniła swój sejf bankowy i kiedy widziano ją ostatnio, pędziła autostradą na południe. - Mackendrick spojrzał na mnie posępnie. - To częściowo pańska wina, bo uparł się pan, żeby przedwcześnie ją przesłuchiwać.

- Być może. Ale ponoszę też część winy za wyjaśnienie całej sprawy.

- Nie jest jeszcze wyjaśniona. Oczywiście, mamy Chantry'ego. Ale pozostało jeszcze wiele spraw nie wyjaśnionych. Dlaczego przybrał nazwisko Johnson, nazwisko człowieka, którego zabił?

- Żeby ukryć fakt, że prawdziwy Johnson zniknął. Mackendrick potrząsnął głową.

- Wydaje mi się to bezsensowne.

- Zabójstwo Johnsona też nie miało większego sensu. Ale popełnił to morderstwo i ta kobieta wiedziała o tym. Wykorzystała tę świadomość, by zapanować nad nim całkowicie. Był właściwie więźniem w domu na Olive Street.

- Ale dlaczego jej na nim zależało? Przyznałem, że nie mam pojęcia.

- Może łączył ich kiedyś jakiś związek. Powinniśmy rozpatrzyć i taką możliwość.

- Łatwo panu mówić. Johnson nie żyje od dwudziestu pięciu lat. Ta kobieta odmawia zeznań. Chantry również.

- Czy mogę spróbować skłonić go do mówienia?

- To nie zależy ode mnie, Archer. Sprawa wygląda poważnie, więc prokurator okręgowy przejął całe śledztwo. Chantry jest najślawniejszym człowiekiem, jaki mieszkał w tym mieście. - Zaczął powoli uderzać pięścią w blat biurka, jakby grał marsza żałobnego. - Jeżu, jak nisko upadł ten facet.

Wsiadłem do samochodu i przejechałem kilka ulic dzielących mnie od gmachu sądu. Jego prostokątna, biała wieża z zegarem była najwyższą budowlą wzniesioną w centrum

miasta. Pod czterema wielkimi tarczami zegarowymi biegła galeryjka widokowa, otoczona barierą z czarnego kutego żelaza.

Stała na niej akurat jakaś rodzina turystów; mały chłopiec oparł brodę o barierę, spojrzał w dół i zaśmiał się do mnie przyjaźnie. Odwzajemniłem jego uśmiech.

Był to chyba ostatni uśmiech, na jaki zdobyłem się tego popołudnia. Niemal przez dwie godziny wyczekiwałem na korytarzach urzędu prokuratora okręgowego. Udało mi się w końcu go zobaczyć, ale nie doszło do rozmowy. Przez poczekalnię przemknął szybko młody człowiek o bystrym spojrzeniu; miał wielkie czarne wąsy, które zdawały się nieść go naprzód, jakby były skrzydłami jego ambicji.

Próbowałem dostać się do któregoś z jego zastępców. Wszyscy byli zajęci. Nie przedarłem się przez zewnętrzny krąg otaczających go asystentów. W końcu zrezygnowałem i zszedłem do biura koronera.

Purvis nadal czekał na telefon z Copper City. Usiadłem i czekałem razem z nim. Kiedy zadzwoniono, było już późne popołudnie.

Rozmawiał siedząc przy biurku i notując informacje. Zaglądając mu przez ramię, próbowałem rozszyfrować jego zapiski, ale były nieczytelne.

- No i co? - spytałem, gdy odłożył wreszcie słuchawkę.

- W 1943 roku armia wzięła na siebie wszystkie kłopoty i koszty związane z przewiezieniem zwłok Williama Meada z Arizony. Transportowano jego ciało w zaplombowanej trumnie, bo było w takim stanie, że nie można go było oglądać. Pochowano go na cmentarzu miejskim.

- Ale w jakim mieście?

- Tutaj, w Santa Teresa. Tu właśnie mieszkał Mead ze swoją żoną. Kiedy powołano go do wojska, mieszkał na 2136 Los Bagnos Street. Jeśli dopisze nam szczęście, może znajdziemy pod tym adresem jego żonę.

Jadąc przez miasto za furgonetką Purvisa, czułem, że cała sprawa, która ciągnęła się przez trzydzieści dwa lata, zatoczyła wielką pętlę i wróciła do punktu wyjścia. Jechaliśmy przez Olive Street, mijając dom Johnsonów, a potem miejsce, w którym znalazłem umierającego Paula Grimesa.

Los Bagnos biegła równoległe do Olive Street, o jedną przecznicę dalej na północ od autostrady. Stary, kamienny dom, który nosił numer 2136, został już dawno podzielony i przerobiony na gabinety lekarskie. Z jednej strony górował nad nim wysoki, nowoczesny ośrodek medyczny. Z drugiej jednak stał drewniany, przedwojenny domek; w jednym z okien dostrzegłem kartonową wywieszkę z napisem: „Pokój do wynajęcia”.

Purvis wysiadł z furgonetki i zaklołatał pięścią do drzwi domku. W odpowiedzi na jego pukanie wyrzwał z nich jakiś stary mężczyzna. Zwiotczała, pomarszczona szyja, wyzierająca z jego koszuli bez kołnierzyka, zdawała się pulsować nieufnością.

- O co chodzi?

- Nazywam się Purvis. Jestem zastępcą koronera.

- Nikt tu nie umarł. W każdym razie od śmierci mojej żony.

- Chodzi mi o pana Williama Meada. Czy był pańskim sąsiadem?

- Zgadza się, mieszkał tu obok przez jakiś czas. On też umarł. Jeszcze podczas wojny. Został zamordowany gdzieś w Arizonie. Wiem o tym od jego żony. Nie kupuję miejscowej gazety, nigdy jej nie czytałem. Drukują tylko złe wiadomości. - Spojrzał na nas zmrużonymi oczyma przez siatkę przeciwko owadom, jakbyśmy i my byli dostarczycielami złych wieści. - Czy tego chcieliście się dowiedzieć?

- Bardzo nam pan pomógł - powiedział Purvis. - A czy nie wie pan przypadkiem, co się stało z żoną Meada?

- Nie odeszła daleko. Znalazła sobie drugiego męża i przeniosła się na Olive Street. Ale i tym razem nie miała szczęścia.

- Co pan ma na myśli? - spytał Purvis.

- Ten drugi mąż jest pijakiem. Tylko nie mówcie, że wiecie to ode mnie. I odtąd całe życie ciężko pracowała, żeby on miał za co pić.

- Gdzie pracuje teraz?

- W szpitalu. Jest pielęgniarką.

- Czy ten jej mąż nie nazywa się przypadkiem Johnson?!

- Zgadza się. Po co pan pyta, jeśli pan wie?

41

Jechaliśmy wzdłuż gęstego szpaleru drzew, rosnących na Olive Street od stulecia, a może jeszcze dłużej. Idąc: obok Purvisa w kierunku cienia, jaki rzucał dom w popołudniowym słońcu, miałem wrażenie, że spoczywająca na moich barkach i zagęszczająca atmosferę przeszłość utrudnia mi oddychanie.

Kobieta podająca się za panią Johnson natychmiast otworzyła drzwi, jakby czekała na naszą wizytę. Czulem na twarzy niemal namacalny dotyk jej posępnego spojrzenia.

- Czego chcecie?

- Czy możemy wejść? To jest zastępca koronera, pan Purvis.

- Wiem - zwróciła się do niego. - Widywałam pana w szpitalu. Nie wiem, tylko po co chcecie wchodzić. W domu nie ma nikogo oprócz mnie, a wszystko, co miało się wydarzyć,

już się wydarzyło. - Miałem wrażenie, że nie stwierdza faktu, lecz wyraża pełną obaw nadzieję.

- Chcemy pomówić o wydarzeniach, które miały miejsce w przeszłości - powiedziałem. - Jednym z nich jest śmierć Williama Meada.

- Nigdy nie słyszałam tego nazwiska - odparła bez zmrużenia oka.

- Pozwolę sobie odświeżyć pani pamięć - powiedział chłodno i spokojnie Purvis. - Według posiadanych przeze mnie informacji, William Mead był pani mężem. Kiedy w roku 1943 został zamordowany w Arizonie, jego ciało odesłano tutaj, by je tu pochować. Czy moje informacje są błędne?

Spojrzenie jej ciemnych oczu pozostało niewzruszone.

- Jakoś zapomniałam już o tym wszystkim. Zawsze umiałam wykreślać z pamięci to, co chciałam. I moje późniejsze okropne przeżycia zatarty w pewnym sensie całą przeszłość, rozumie pan?

- Czy możemy wejść, usiąść na chwilę i porozmawiać z panią o tym wszystkim? - spytał Purvis.

- Proszę.

Odsunęła się na bok, pozwalając nam wejść do wąskiego hallu. U podnóża schodów stała duża, zniszczona, płócienna walizka. Podniosłem ją. Była ciężka.

- Proszę tego nie ruszać - powiedziała. Odstawiłem walizkę na miejsce.

- Zamierza pani wyjechać?

- A jeśli tak, to co? Nie zrobiłam nic złego. Mam prawo robić, co mi się podoba. Mogę wyjechać, dokąd chcę, i może to zrobię. Nie został tu już nikt oprócz mnie. Mąż zniknął, a Fred się wyprowadza.

- Dokąd się wybiera?

- Nawet nie chce mi powiedzieć. Pewnie wyjeżdżają gdzieś z tą dziewczyną. Włożyłam w ten dom dwadzieścia pięć lat ciężkiej pracy i w końcu zostałam w mm sama. Sama, bez centa i z długami. Dlaczego nie miałabym się wynieść?

- Bo jest pani podejrzana o popełnienie przestępstwa I powiedziałem. - Każde nieostrożne posunięcie może przyspieszyć pani aresztowanie.

- O co jestem podejrzana? Nie zabiłam Williama Meada. Zdarzyło się to w Arizonie. Ja byłam wtedy pielęgniarką tutaj, w Santa Teresa. Kiedy powiedziano mi, że został zabity, przeżyłam największy szok mego życia. Nadal odczuwam jego skutki. Zawsze je będę czuła. A kiedy zakopywano go na cmentarzu, chciałam wejść razem z nim do grobu.

Poczułem odruch współczucia, ale opanowałem go.

- Mead nie jest jedyną ofiarą. Zginęli też Paul Grimes i Jacob Whitmore... ludzie, którzy robili z panią i mężem jakieś interesy. Grimes został zabity tutaj, na tej samej ulicy. Whitmore'a utopiono być może w waszej wannie.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Nie wiem, o czym pań mówi?

- Chętnie pani wytłumaczę. Może to chwilę potrwać. Czy moglibyśmy wejść do pokoju i usiąść?

- Nie - zaprotestowała. - Nie życzę sobie. Przez cały dzień zarzucano mnie pytaniami. Pan Lackner radził mi nie mówić nic więcej.

- Może powinienem pouczyć ją o jej prawach? - powiedział niepewnie Purvis. - Jak myślisz, Archer?

Jego zdenerwowanie dodało jej odwagi i skłoniło do ataku.

- Znam swoje prawa. Nie muszę rozmawiać ani z wami, ani z nikim innym. A wy nie macie prawa wdzierać się przemocą do mojego domu.

- Nikt nie stosował przemocy. Pani zaprosiła nas do środka.

- Nic podobnego. Zaprosiliście się sami. Zmusiliście mnie groźbami do wpuszczenia was.

Purvis zwrócił się w moją stronę. Pobladł na myśl, że mógł popełnić jakiś błąd proceduralny.

- Lepiej dajmy sobie z tym na razie spokój, Archer. Przesłuchiwanie świadków to zresztą nie moja dziedzina. Moim zdaniem prokurator okręgowy będzie chciał zwolnić ją od winy. Nie chciałbym na tym etapie zagmatwać całej sprawy.

- Jakiej sprawy? - zawołała w nagłym przyptywie energii - Nie ma żadnej sprawy. Nie macie prawa mnie nachodzić i prześladować. Tylko dlatego, że jestem biedną kobietą bez przyjaciół i z obłąkanym mężem, który na skutek choroby nie wie nawet, kim jest.

- A kim jest? - spytałem.

Spojrzała na mnie z przestrawieniem i zamilkła nagle.

- Nawiasem mówiąc, dlaczego używa pani nazwiska Johnson? - pytałem dalej. - Czy była pani kiedykolwiek żoną Gerarda Johnsona? Czy też Chantry, zamordowawszy prawdziwego Johnsona, przejął jego tożsamość?

- Nic panu nie powiem - powtórzyła. - Wyjdźcie stąd natychmiast!

Purvis był już na ganku, nie chcąc mieć nic wspólnego z moim nieortodoksyjnym sposobem przesłuchiwania.

Wyszedłem za nim i rozstaliśmy się na chodniku przed domem.

Siedziałem w Samochodzie w świetle późnego popołudnia i próbowałem uporządkować w głowie całą historię. Zaczęła się ona od konfliktu pomiędzy braćmi - Richardem Chantry i jego przyrodnim bratem - Williamem Meadem. Richard najwyraźniej ukradł obrazy Williama oraz jego dziewczynę, a w końcu zamordował go, porzucając ciało na pustyni Arizony.

Richard przyjechał z dziewczyną do Santa Teresa i choć morderstwo było przestępstwem nakazującym ekstradycję, nie został nigdy wezwany do Arizony na przesłuchanie. Prosperował doskonale w Kalifornii i jakby śmierć Williama stała się pożywką dla jego talentu, został w ciągu siedmiu lat liczącym się malarzem. Potem jego światrunął w gruzy. Przyjaciół Williama z wojska, Gerard Johnson, opuścił szpital dla inwalidów i złożył Richardowi wizytę.

Gerard odwiedził Richarda dwukrotnie, za drugim razem przyprawiając ze sobą wdowę po Williamie oraz jego syna. Była to ostatnia wizyta, jaką komukolwiek złożył. Richard zabił go i pogrzebał we własnej oranżerii. Potem, jakby chcąc to odpokutować, zrezygnował ze swej wysokiej pozycji i przybrawszy nazwisko Gerarda zajął miejsce Williama. Zamieszkał w domu na Olive Street i przeżył dwadzieścia pięć lat jako zapijaczony odludek.

Przez pierwsze lata, zanim wiek i alkoholizm zapewniły mu charakterystycję, musiał żyć w ścisłym odosobnieniu, jak obłąkany krewny na dziewiętnastowiecznym strychu. Ale nie umiał powstrzymać się od malowania. I w końcu siła talentu przyczyniła się do jego upadku.

Fred zdał sobie pewnie sprawę z faktu, że jego ojciec zajmuje się ukradkiem malowaniem i zaczął na wpół świadomie utożsamiać go z zaginionym malarzem Chantrym, to tłumaczy jego przemożne zainteresowanie Chantrym, które doprowadziło go w końcu do kradzieży - czy wypożyczenia - obrazu Biemeyerów. Kiedy Fred, chcąc zbadać portret, przyniósł go do domu, ojciec zabrał go z jego pokoju i ukrył we własnym - na strychu, na którym go poprzednio namalował.

Zaginiony obraz leżał teraz w bagażniku mego samochodu. Chantry przebywał w więzieniu. Powinienem być dumny i szczęśliwy, ale nie byłem. Cała sprawa nadal ciążyła na moich barkach i absorbowwała mój umysł. Rozmyślałem o niej siedząc pod drzewami oliwnymi w gasnącym wolno świetle popołudnia.

Wmawiałem sobie, że czekam na wyjście pani Johnson. Ale wątpiłem, czy ruszy się ona na krok z domu, dopóki nie odjadę. Dwukrotnie ujrzałem jej twarz w oknie living-roomu.

Za pierwszym razem wydawała się przestraszona. Za drugim, gniewnie pogroziła mi pięścią. Uśmiechnąłem się do niej zachęcająco. Opuściła postrzępioną zasłonę.

Siedziałem dalej w aucie, próbując sobie wyobrazić życie pary, która mieszkała w starym domu przez dwadzieścia pięć lat. Chantry był więźniem nie tylko w sensie fizycznym, ale i psychicznym. Kobieta, z którą żył jako Johnson, zdawała sobie sprawę, że to on zabił prawdziwego Johnsona. Wiedziała też zapewne, że zamordował również jej męża, Meada. Ich współżycie musiało bardziej przypominać pobyt w więzieniu niż małżeństwo.

Chcąc utrzymać w tajemnicy swe przestępstwa i zapewnić sobie bezkarność, popełnili dalsze zbrodnie. Paul Grimes został śmiertelnie pobity na ulicy, a Jacob Whitmore utopiony zapewne w ich domu, tylko po to, żeby Chantry mógł zachować incognito. Trudno było mi usiedzieć na miejscu z tą świadomością. Ale czułem, że muszę poczekać.

Na zachodzie słońce skonało nad dachami domów, zabarwiając niebo czerwienią. Teraz i ono bladło stopniowo i nadpływał szary chłód nocy.

Za moim samochodem zatrzymała się żółta taksówka. Wsiadła z niej Betty Siddon.

- Czy mógłby pan poczekać chwileczkę? - spytała, płacąc kierowcy. - Chcę się upewnić, że mój samochód stoi tam, gdzie powinien być.

Taksówkarz obiecał poczekać, prosząc, by nie trzymała go zbyt długo. Nie zauważywszy mnie i nie spojrzawszy nawet w moim kierunku zaczęła obchodzić dom, brnąc przez zarośla. Miałem wrażenie, że nie czuje się najlepiej. Nie zmrużyła chyba oka od chwili, kiedy spała ze mną. Wspomnienie tej nocy uderzyło we mnie jak strzała, wisząca w powietrzu od tamtej nocy.

Poszedłem za nią na tył domu. Stała pochylona nad swym wozem, usiłując otworzyć drzwi. Pani Johnson obserwowała ją przez okno kuchni.

Betty wyprostowała się i oparła o drzwi samochodu.

- Cześć, Lew! - powitała mnie bez większego entuzjazmu.

- Jak się miewasz, Betty?

- Jestem zmęczona. Pisałam cały dzień i wszystko na nic. Redaktor ze względów prawnych chce okroić mój artykuł, nie zostawiając prawie nic. Więc wyszłam...

- Dokąd się teraz wybierasz?

- Mam do spełnienia pewną misję - powiedziała z lekką ironią. - Ale na razie nie mogę dać sobie rady z tym zamkiem.

Wyjąłem z jej ręki klucze i otworzyłem drzwi auta.

- Bo używasz niewłaściwego klucza.

Nie wiem dlaczego, przyłapawszy ją na tej pomyłce, poczułem się szczęśliwy. Betty odczuwała chyba coraz silniej zmęczenie. Miała przymknięte powieki, a jej blada twarz wydawała się w świetle zmierzchu przezroczysta.

- Co to za misja? - spytałem.

- Przepraszam cię, Lew, ale to tajemnica.

Pani Johnson otworzyła kuchenne drzwi i wyszła na dziedziniec.

- Wynoście się stąd! - zawołała, podnosząc głos, który przypominał teraz wiejący w czasie burzy wiatr. - Nie macie prawa mnie nachodzić. Jestem niewinną kobietą, która trafiła na niewłaściwego mężczyznę. Powinnam była dawno od niego odejść i zrobiłabym to, gdyby nie chłopiec. Żyłam przez dwadzieścia pięć lat z obłąkanym pijakiem. Jeśli myślicie, że to żadna sztuka, to spróbujcie kiedyś sami.

- Niech pani się zamknie! - przerwała jej ostro Betty. - Wczoraj w nocy wiedziała pani, że jestem na waszym strychu. Sama namówiła mnie pani, żebym tam poszła. Zostawiła mnie pani z nim przez całą noc i nie kiwnęła palcem, żeby mi pomóc. Więc niech się pani zamknie.

Twarcz pani Johnson zaczęła wykręcać się i poruszać, jak bezkształtne zwierzę morskie, uciekające przed nieprzyjacielem, a może przed realną rzeczywistością. Odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni, starannie zamykając drzwi.

Betty ziewnęła głęboko; oczy jej łzawiły.

- Nic ci nie jest? - spytałem, obejmując ją ramieniem.

- Zaraz mi przejdzie. - Ziewnęła ponownie, a po chwili po raz trzeci. - Wygarnęłam tej babie prawdę i od razu poczułam się lepiej. To jedna z tych żon, które mogą patrzeć, jak mężczyzna popełnia morderstwo, i nie czuć absolutnie nic. Nic, prócz własnej wyższości moralnej. Przez całe życie ukrywała prawdę. Uważała, że ocali wszystko, zachowując pozory. Ale nic nie ocaliła. Wszystko się rozsypało, zginęli niewinni ludzie, a ona biernie stała obok. Ja też o mało nie zostałam zabita.

- Przez Chantry'ego? Kiwnęła głową.

- Ta kobieta nie ma dość odwagi, by realizować własne marzenia. Usuwa się w cień i pozwala mężczyźnie robić to za nią, żeby przeżywać swe drobne, brudne, sadystyczne orgazmy.

- Naprawdę jej nienawidzisz, co?

- Tak. Nienawidzę. Bo sama jestem kobietą.

- Ale nie żywisz nienawiści do Chantry'ego, nawet po tym, co ci zrobił?

Potrząsnęła głową i jej krótkie włosy zamigotały w wieczornym świetle.

- Rzecz w tym, że mnie nie zabił. Zamierzał to zrobić. Mówił o tym nawet. Ale potem zmienił zdanie. Zamiast tego namalował mój portret. Więc jestem mu wdzięczna za to, że mnie nie zamordował i że namalował mój portret.

- Ja również.

Próbowałem ją objąć. Ale było na to jeszcze za wcześnie.

- Wiesz, dlaczego się nade mną zlitował? Skąd możesz wiedzieć? Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że mój ojciec zawiózł mnie kiedyś z wizytą do Chantry'ego? Kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką?

- Pamiętam.

- No widzisz, on też to pamiętał. Nie musiałam mu przypominać. Rozpoznał mnie, choć byłam wtedy jeszcze dzieckiem. Powiedział, że moje oczy wcale się od tej pory nie zmieniły.

- Ale on się zmienił.

- I to jak. Nie martw się, Lew. Nie czuję sympatii do Chantry'ego. Po prostu cieszę się, że żyję. Bardzo się cieszę.

Powiedziałem, że ja też jestem z tego bardzo zadowolony.

- Przykro mi tylko z jednego powodu - oświadczyła. - Przez cały czas miałam nadzieję, że on jednak nie jest Chantrym. Rozumiesz? Że wszystko okaże się koszmarną pomyłką. Ale nie stało się tak. Człowiek, który namalował te obrazy, jest mordercą.

- Wiem o tym.

42

Zza rogu domu wyłonił się zdenerwowany taksówkarz Betty.

- Długo kazała mi pani czekać, panienko. Będzie pani musiała dopłacić.

Betty dała mu pieniądze. Kiedy jednak wsiadła do własnego auta, okazało się, że nie może go zapalić. Spróbowałem sam. Silnik nadal nie chciał zaskoczyć.

Podniosłem maskę. Akumulator był wyczerpany.

- Co ja teraz zrobię? Muszę coś załatwić.

- Chętnie cię zawiozę.

- Ale muszę jechać sama. Tak obiecałam.

- Komu?

- Nie mogę ci powiedzieć. Bardzo mi przykro. Miałem wrażenie, że odsuwa się ode mnie. Podszedłem bliżej i spojrzałem jej w twarz. Była teraz tylko bladym owalem, na tle którego odcinały się ciemne oczy i usta. Noc płynęła wśród wysokich, starych domów jak

mętna rzeka. Bałem się, że Betty zostanie porwana przez prąd i tym razem znajdzie się poza moim zasięgiem. Dotknęła mego ramienia.

- Pożyczysz mi samochód, Lew?

- Na jak długo?

- Do jutra rana.

- Po co?

- Nie musisz mnie przesłuchiwać. Odpowiedz po prostu tak albo nie.

- Dobrze. A więc odpowiedź brzmi: nie.

- Proszę cię. To dla mnie ważne.

- Nadal odmawiam. Nie chcę przeżyć jeszcze jednej takiej nocy jak wczoraj i zgadywać, co się z tobą stało.

- W porządku. Znajdę kogoś, kto zechce mi pomóc. Ruszyła w kierunku ulicy, potykając się o krzewy. Podążyłem za nią, przerażony, że zniknie z mego pola widzenia. Na trotuarze odwróciła się do mnie.

- Czy masz zamiar pożyczyć mi ten samochód?

- Nie. Nie spuszcze cię z oczu. Jeśli wynajmiesz lub pożyczysz wóz, pojedę za tobą.

- Nie potrafisz znieść myśli, że mogłabym cię wyprzedzić, co?

- Nie. Wyprzedziłaś mnie wyraźnie wczorajszej nocy. Naraziłaś się na niebezpieczeństwo. Nie chcę, żeby się to powtórzyło. Istnieje taka cecha jak nadmiar odwagi.

- Odetchnąłem głęboko. - Czy odpoczęłaś dziś trochę?

- Nie pamiętam - odpowiedziała wymijająco.

- To znaczy, że nie odpoczywałaś. Nie możesz prowadzić po nocy, kiedy jesteś niewyspana. Bóg raczy wiedzieć, na co w końcu wpadniesz.

- Bóg i Archer - powiedziała z ironią - wiedzą wszystko. Czy wy obaj nigdy się nie mylicie?

- Bóg zrobił raz błąd. Zostawił kobiecie jaja.

Betty wydała gniewny okrzyk urażonej kobiecości, który przeobraził się nagle w wybuch śmiechu. Zgodziła się w końcu wziąć, i samochód, i mnie, pod warunkiem, że pozwolę jej prowadzić wóz co najmniej przez połowę drogi. Wybrałem pierwszą zmianę.

- Dokąd jedziemy? - spytałem, zapaliwszy silnik.

- Do Long Beach. Wiesz chyba, gdzie to jest?

- Powinienem. Urodziłem się tam. Co ma się wydarzyć w Long Beach?

- Obiecałam, że nikomu nie powiem.

- Komu obiecałaś? - spytałem. - Pani Chantry?

- Skoro wszystko wiesz - wyrecytowała wyraźnie i starannie Betty - odpowiadanie na którekolwiek z twych pytań byłoby zbędne.

- A zatem chodzi o Francine Chantry. Co ona robi w Long Beach?

- Miała wypadek samochodowy.

- Jest w szpitalu?

- Nie. W lokalu o nazwie „Gilded Galleon”.

- To taki bar na nadbrzeżu. Co ona tam robi?

- Pewnie pije. Nigdy nie widziałam, żeby piła dużo, ale mam wrażenie, że jest bliska załamania.

- Dlaczego do ciebie zadzwoniła?

- Mówiła, że potrzebuje mojej rady i pomocy. Nie jesteśmy właściwie bliskimi przyjaciółkami, ale chyba nie ma nikogo, z kim byłaby bardziej zżyta. Mówiła, że chce, abym wystąpiła jako radca prawny. Zapewne, by jej pomóc wydostać się z bigosu, którego narobiła uciekając.

- Czy mówiła, dlaczego to zrobiła?

- Po prostu wpadła w panikę.

Wjeżdżając na autostradę pomyślałem, że Francine Chantry ma powody do wpadania w panikę. Mogła być pociągnięta do odpowiedzialności za ukrywanie mordercy Gerarda Johnsona, a być może również Williama Meada.

Jechałem szybko. Betty drzemała na moim ramieniu. Siedząc w pędzącym samochodzie obok śpiącej kobiety poczułem się niemal młody, jakby moje życie mogło jednak zacząć się od nowa.

Był wczesny wieczór, ale mimo sporego o tej porze ruchu, po dwóch godzinach znaleźliśmy się w Long Beach. Jak powiedziałem Betty, były to moje rodzinne strony i blask jaśniejących wzdłuż nadbrzeża świateł skojarzył mi się z dawnymi nadziejami, choć wiedziałem już, że spełniły się one tylko częściowo.

Pamiętałem bar Galleon z okresu rozkładu mojego małżeństwa, kiedy starałem się zapęścić jakoś długie wieczory. Byłem zdziwiony, że tak mało się od tamtej pory zmienił, w każdym razie znacznie mniej niż ja. Był teraz tak zwaną tawerną rodzinną, co oznaczało, że zapewnia usługi wszystkim pijakom, bez względu na ich wiek i płeć. Stałem tuż za drzwiami, ogłuszony lekko gwarem ludzkich głosów, Betty zaś zaczęła obchodzić bar w kształcie podkowy. Miałem wrażenie, że wszyscy obecni, łącznie z barmankami, przemawiają do siebie równocześnie. Zaczynałem rozumieć przyczyny, dla których sztuczna, hałaśliwa

atmosfera mogła przyciągnąć uciekającą od samotności kobietę, którą zapewne była Francine Chantry.

Zobaczyłem, że siedzi przy końcu baru, pochyliwszy swą srebrną głowę nad pustą szklanką. W pierwszej chwili nie poznała chyba Betty. Potem zarzuciła jej ramiona na szyję, a Betty odwzajemniła jej uścisk. Choć odczuwałem pewną sympatię do pani Chantry i cieszyła mnie serdeczność Betty, widok obu ściskających się kobiet sprawił mi przykrość. Betty była młoda i czysta. Francine Chantry przeżyła wiele lat wiedząc o morderstwie i ukrywając je.

Świadomość ta, spychająca ją w dół jak przyciąganie ziemskie, zostawiła już pewne ślady na jej twarzy i w całej postaci. Idąc w moją stronę potknęła się i Betty musiała ją podtrzymać. Miała rozcięte czoło. Jej obwisły podbródek zdradzał przygnębienie, oczy lśniły tępo. Trzymała oburącz swą torebkę gestem futbolisty, przyciskającego do piersi piłkę.

- Gdzie jest pani samochód, pani Chantry? Ocknęła się z apatii.

- Zdaniem mechanika nadaje się do kasacji. To chyba znaczy, że nie warto go już naprawiać. Chyba to samo dotyczy mnie.

- Miała pani wypadek?

- Nie wiem, co się właściwie stało. Chciałam zjechać z autostrady i nagle straciłam nad wszystkim panowanie. Tak wyglądają w skrócie dzieje mojego życia. - Jej śmiech przypominał suchy, wymuszony kaszel.

- Interesują mnie dzieje pani życia.

- Wiem o tym. - Odwróciła się do Betty. - Po co go przywiozłaś? Myślałam, że odbędziemy konstruktywną rozmowę o przyszłości. Uważałam cię za przyjaciółkę.

- Mam nadzieję, że jesteśmy przyjaciółkami - powiedziała Betty. - Ale nie wiedziałam, czy sama dam sobie z wszystkim radę.

- Z czym? Przecież ze mną nie ma żadnych problemów. A jednak w jej głosie rozbrzmiewała nuta lęku. Mówiła jak kobieta, która stanęła na krawędzi świata, zrobiła krok naprzód i zbyt późno odkryła, że nigdy nie uda jej się powrócić. Kiedy wsiedliśmy do samochodu i wjechaliśmy już na autostradę, miałem nadal wrażenie: że poruszamy się w pustej przestrzeni. Zdawaliśmy się lecieć nad dachami przydrożnych domów, stojących szeregiem po obu stronach autostrady.

Betty prowadziła za szybko, ale pozwoliłem jej dopełnić warunków umowy. Wiedziałem, że przespała się trochę, a poza tym musiałem porozmawiać z panią Chantry.

- Skoro mowa o przyszłości - powiedziałem - to moim zdaniem trudno im będzie skazać pani męża.

- Mojego męża? - Wydawała się zdezorientowana.

- Richarda Chantry, alias Gerarda czy Jerry'ego Johnsona. Wcale nie będzie łatwo udowodnić mu te morderstwa. O ile wiem, odmówił zeznań. A znaczna część tych wydarzeń miała miejsce dawno temu. Nie byłbym zaskoczony, gdyby prokurator zgodził się ubić z panią interes. Wątpię, czy zechce wnieść jakieś poważne oskarżenie. Oczywiście zależy to od niego i od tego, co ma mu pani do zaoferowania.

Raz jeszcze zaśmiała się sucho.

- Może moje zwłoki? Czy zgodzi się wziąć moje zwłoki?

- Zależy mu raczej na pani zeznaniach. Wie pani o tej sprawie więcej niż ktokolwiek inny.

- Jeśli wiem, to nie z własnego wyboru - powiedziała po chwili namysłu.

- Mówiła mi to pani przedwczoraj wieczorem.- Ale w istocie dokonała pani wyboru już dawno temu. Kiedy rzuciła pani Williama Meada i postanowiła żyć z jego przyrodnim bratem, Chantrym. Kiedy opuściła pani wraz z nim Arizonę, choć musiała pani wiedzieć, że ciąży na nim podejrzenie o morderstwo Williama Meada. W siedem lat później podjęła pani ostateczną decyzję, postanawiając zataić morderstwo Gerarda Johnsona.

- Kogo?

- Gerarda Johnsona. Tego mężczyzny w brązowym ubraniu. Okazuje się, że był on przyjacielem Williama Meada. Wyszedł właśnie ze szpitala dla inwalidów po pięciu latach pobytu i przyjechał do Santa Teresa, żeby zobaczyć się z pani mężem. Przypuszczam, że posiadał dowody pozwalające mu oskarżyć Chantry'ego o zabójstwo Meada.

- Skąd?

- Może Chantry groził Meadowi, kiedy kłócili się o panią i obrazy Meada, ukradzione przez Chantry'ego. Mead opowiedział o tym swemu koledze z wojska, Gerardowi, zanim został zamordowany. Kiedy Gerard Johnson zjawił się w Santa Teresa z żoną i synkiem Williama, Chantry zrozumiał, że nadszedł kres jego swobody. Zabił więc Johnsona, próbując ratować swą wolność, ale w rezultacie stracił ją do reszty. Oboje dokonaliście w tym momencie ostatecznego wyboru.

- Nie ja go dokonałam - powiedziała.

- Ale zaakceptowała go pani. Pozwoliła pani zabić człowieka we własnym domu, a potem pochować go tam i zachowała pani milczenie. Ale decydując się na to wyjście, popełniliście oboje błąd. On ponosił jego konsekwencje przez całe życie. Morderstwo popełnione na Gerardzie Johnsonie oddało go w ręce wdowy po Williamie Mead, kobiety, która używa nazwiska Johnson. Nie wiem, dlaczego chciała go zachować dla siebie. Może łączyło ich coś w przeszłości. A może chciała tylko zawrzeć z Chantrym prostą, prymitywną

transakcję. Zabił jej męża, musiał więc teraz zająć jego miejsce. Nie wiem, dlaczego Chantry przyjął te warunki, a pani?

Zwlekała przez chwilę z odpowiedzią.

- Nic na ten temat nie wiem - powiedziała w końcu. - Nie miałam pojęcia, że Richard przebywa w tym mieście. Nie wiedziałam nawet, czy żyje. W ciągu tych dwudziestu pięciu lat nie odezwał się do mnie ani razu.

- Czy widziała go pani ostatnio?

- Nie. I nie chcę go oglądać.

- Ale będzie pani musiała. Poproszą panią o zidentyfikowanie go. Jego tożsamość nie budzi zresztą większych

- wątpliwości. Podupadł fizycznie i psychicznie. Myślę, że musiał przeżyć kryzys nerwowy po zamordowaniu Johnsona albo nawet wcześniej. Ale nadal potrafi malować. Może jego obrazy nie są tak dobre, jak były dawniej, ale nikt inny nie mógł ich stworzyć.

- Widzę, że jest pan nie tylko detektywem, lecz także krytykiem sztuki - powiedziała z ironią.

- Nie. Ale mam w bagażniku jedno z jego niedawno namalowanych płócien. I nie tylko ja jestem zdania, że to obraz Chantry'ego.

- Mówi pan o tym portrecie Mildred Mead?

- Tak. Znalazłem go dziś rano na strychu Johnsona, na którym zresztą powstał. Tam znajdował się punkt wyjściowy całej intrygi. Ten obraz jest chyba centralnym punktem śledztwa. W każdym razie dzięki niemu ja zostałem w nie wciągnięty. I właśnie ten obraz stał się przyczyną obecnych kłopotów Chantry'ego i skłonił go do popełnienia nowych morderstw.

- Nie bardzo to pojmuję - powiedziała Francine Chantry. Ale wydawała się zainteresowana, jakby rozmowa o pracy męża działała na nią stymulująco.

- Jest to dość skomplikowany łańcuch wydarzeń - stwierdziłem. - Kobieta, z którą mieszkał na Olive Street - nazwijmy ją panią Johnson - sprzedała ten obraz malarzowi i pośrednikowi nazwiskiem Jacob Whitmore. W ten sposób ujawniona została tożsamość Chantry'ego. Whitmore sprzedał obraz Grimesowi, zmuszając go tym bardziej do wyjścia z ukrycia.

Grimes odkrył, że jest to dzieło Chantry'ego, i najwyraźniej wykorzystał tę wiadomość, szantażując panią Johnson i zmuszając ją, by kradła dla niego narkotyki. Zapewne żądał też dalszych obrazów Chantry'ego. Grimes sprzedał portret Mildred Mead

pani Ruth Biemeyer, która miała własne powody, by interesować się osobą Mildred. Jak pani zapewne wie, Mildred była kochanką Biemeyera.

- Wiedzieli o tym wszyscy w całej Arizonie - przerwała Francine Chantry. - Ale nie wszyscy orientowali się, że Ruth Biemeyer kochała się w Richardzie, kiedy oboje byli jeszcze młodzi. Myślę, że to była główna przyczyna namówienia Jacka na przeprowadzkę do Santa Teresa.

- W każdym razie on tak twierdzi. Doprowadziło to do pewnego napięcia w stosunkach rodzinnych, które skomplikowały się jeszcze bardziej, gdy do miasta zjechała Mildred Mead. Przypuszczam, że Chantry musiał widzieć Mildred w ciągu ostatnich kilku miesięcy i pod wpływem tego spotkania namalował z pamięci jej portret.

- Nic o tym nie wiem.

- Nie widziała go pani ostatnio?

- Oczywiście że nie. - Nie patrzyła mi w oczy. Wpatrywała się w nierówną ciemność za szybą samochodu. - Nie widziałam Richarda i nie miałam od niego wiadomości od dwudziestu pięciu lat. Nie miałam pojęcia, że przebywa w mieście.

- Nawet po tym telefonie od kobiety, z którą mieszkał?

- Nie wspominała o nim. Mówiła tylko coś... o pogrzebie w oranżerii i oznajmiła, że potrzebuje pieniędzy. Obiecała, że jeżeli jej pomogę, zachowa wszystko w tajemnicy. W przeciwnym razie poda do publicznej wiadomości prawdziwą przyczynę zniknięcia mego męża.

- Dała jej pani te pieniądze?

- Nie. Teraz żałuję, że tego nie zrobiłam. I myślę, że lepiej byłoby, gdyby nie namalował tego portretu. Można by pomyśleć, że sam dążył do tego, by go zdemaskowano.

- Chyba nie całkiem świadomie - powiedziałem. - W każdym razie Fred robił, co mógł, by go odszukać. Niewątpliwie pożyczając ten obraz Biemeyerów miał częściowo na uwadze kwestie zawodowe. Chciał ustalić, czy może to być autentyczny Chantry. Ale kierował się też pobudkami osobistymi. Myślę, że mógł skojarzyć go z obrazem, widzianym kiedyś w swoim domu na Olive Street. Ale nie udało mu się ustalić związku pomiędzy swym rzekomym ojcem, Johnsonem, a malarzem Chantrym. Zanim zdążył to zrobić, Johnson ukradł obraz z jego sypialni. A Biemeyerowie zatrudnili mnie, żebym go odszukał.

Betty nacisnęła lekko klakson. Zjeżdżaliśmy w głąb łądu po długiej pochyłości za Camarillo. Przed nami nie było żadnych samochodów. Zerknąłem na nią i nasze spojrzenia spotkały się.

Zdjęła prawą rękę z kierownicy i dotknęła nią ust. Zrozumiałem ten znak. Powiedziałem już więcej, niż powinienem, więc postanowiłem zamilknąć.

- To nie był jego pierwszy pamięciowy portret Mildred - odezwała się w kilka minut potem pani Chantry. - Namalował sporo innych, dawno temu, kiedy mieszkaliśmy razem. Jeden z nich przedstawiał Pietę.

Milczała przez dłuższy czas, dopóki nie znaleźliśmy się na przedmieściu Santa Teresa. Wtedy usłyszałem jej cichy płacz. Trudno było zgadnąć, czy oplakuje los Chantry'ego czy własny, czy może wreszcie dawno umarły związek, który połączył ich młode życie i zrodził jego dzieła. Spojrzawszy kątem oka na jej twarz, ujrzałem na niej łzy.

- Dokąd teraz jedziemy? - spytała Betty.

- Na komisariat.

Francine Chantry wydała krótki okrzyk, który przerodził się w cichy jęk. - Czy nie mogłabym przynajmniej spędzić tej nocy we własnym domu?

- Wstąpimy tam, jeśli pani chce, żeby pani mogła spakować walizkę. Potem, razem z pani adwokatem, powinniśmy pojechać na policję.

O wiele później obudziłem się w ciemnym łóżku, czując poranny chłód. Czułem bicie serca Betty i słyszałem jej oddech, przypominający cichy szmer letniego oceanu.

Przypomniałem sobie znacznie mniej sielankową scenę, również rozgrywającą się w sypialni. Kiedy widziałem po raz ostatni Francine Chantry, przebywała w szpitalnym pokoju z zakratowanymi oknami, pilnowana przez siedzącego za drzwiami uzbrojonego strażnika. I w uchylonych do połowy drzwiach mojej częściowo uśpionej wyobraźni ukazała się wizja innej czekającej na coś kobiety; drobnej, wątłej, siwej kobiety, która była kiedyś piękna.

Przypomniałem sobie słowo: „Pieta”. Obudziłem Betty, dotykając dłonią jej biodra. Z westchnieniem odwróciła się na drugi bok.

- Lew?

- Co to jest Pieta? Ziewnęła głęboko.

- Zadajesz najdziwniejsze pytania o najdziwniejszych porach.

- Czy to znaczy, że nie wiesz?

- Oczywiście, że wiem. Jest to tradycyjny wizerunek Matki Boskiej płaczącej nad ciałem ukrzyżowanego Syna. Dlaczego pytasz?

- Francine Chantry mówiła, że jej mąż namalował taki portret Mildred Mead. Przypuszczam, że ona była Marią?

- Tak. Widziałam ten obraz. Jest w tutejszym muzeum, ale nie wystawiają go publicznie. Uważają, że jest trochę niesmaczny, tak przynajmniej sądzą. Postać umarłego mężczyzny to autoportret Chantry'ego.

Betty ziewnęła i znów zapadła w sen. Leżałem obok patrząc, jak jej twarz wylania się wolno w świetle brzasku. Po chwili dostrzegłem na jej skroni błękitną, pulsującą rytmicznie żyłkę, młoteczek, którego bezdźwięczne uderzenia były symbolem życia. Miałem nadzieję, że ten błękitny młoteczek nigdy się nie zatrzyma.

43

Kiedy obudziłem się drugi raz, Betty już nie było. Na stole w kuchni zostawiła mi cztery przedmioty: pudełko płatków kukurydzianych, butelkę mleka, maszynkę do golenia i tajemniczy list, który brzmiał: „Miałam dziwny sen - że Mildred Mead jest matką Chantry'ego - czy to możliwe?”

Zjadłem śniadanie i pojechałem na drugi koniec miasta do Magnolia Court. Kilkakrotnie pukałem do drzwi, ale Mildred Mead nie reagowała. Z sąsiedniego domku wyszedł jakiś stary mężczyzna i przyjrzał mi się z odległości dzielącej nasze pokolenia. W końcu sam poinformował mnie, że pani Mead - jak ją nazwał - pojechała do miasta.

- Czy nie wie pan dokąd?

- Kazała kierowcy taksówki odwieźć się do sądu. Pojechałem w ślad za nią, ale niełatwo było ją znaleźć.

Gmach sądów wraz z przyległym do niego ogrodem obejmował cały odcinek ulicy. Wkrótce doszedłem do wniosku, że przemierzając zwirowane alejki i wyłożone flizami korytarze w poszukiwaniu drobnej, starej, słabej kobiety tracę tylko czas. Wstąpiłem do biura koronera i zastałem tam Henry Purvisa. Okazało się, że Mildred odwiedziła go pół godziny wcześniej.

- Czego od ciebie chciała?

- Informacji na temat Williama Meada. Był chyba jej nieślubnym synem. Powiedziałem jej, że został pochowany na cmentarzu miejskim w Santa Teresa, i obiecałem zawieźć ją na jego grób. Ale chyba nie zainteresowała się moją propozycją. Zaczęła mówić o Richardzie Chantrym.

Twierdziła, że była kiedyś jego modelką, i koniecznie, chciała się z nim zobaczyć. Powiedziałem jej, że to niestety niemożliwe.

- Gdzie siedzi Chantry?

- Prokurator okręgowy, Lansing, kazał go zamknąć tutaj, w specjalnej celi, strzeżonej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Sam nie mógłbym do niego wejść... co nie znaczy,

że miałbym na to szczególną ochotę. Podobno kompletnie zbzikował. Musieli dać mu jakieś środki uspokajające, żeby nie rozrabiał.

- A co z Mildred?

- Wyszła. Z wielką niechęcią pozwoliłem jej odejść. Wydawała się ogromnie przygnębiona i była trochę pijana.. Ale nie miałem podstaw, żeby ją zatrzymywać.

Opuściłem budynek i raz jeszcze obszedłem przyległy teren oraz wszystkie dziedzińce. Nie znalazłem jej. Zaczynałem się denerwować. Czułem, że bez względu na to, czy w śnie Betty była odrobina prawdy, czy nie, Mildred jest centralną postacią dramatu. Ale straciłem ją z oczu i teraz traciłem poranek.

Zerknąłem na jeden z czterech zegarów, umieszczonych na czworokątnej wieży gmachu sądu. Była dziesiąta. Na galerijce dla turystów stała teraz tylko jakaś siwa kobieta, której niepewne ruchy zwróciły moją uwagę. Mildred. Odwróciła głowę i uchwyciła się żelaznej bariery. Sięgała jej niemal pod brodę. Wyrzała nad nią na dziedziniec.

Stała zupełnie nieruchomo. Wyglądała, jak kobieta zaglądająca do własnego grobu. Życie miasta zastygło wokół niej; cisza rozchodziła się jak kręgi na wodzie.

Znajdowałem się w odległości kilkuset kroków od niej i sto stóp poniżej galerijki. Gdybym podniósł alarm, być może przyspieszyłbym akcję, którą najwyraźniej zamierzała podjąć. Doszedłem do najbliższej bramy i wjechałem windą na górę. Kiedy wyszedłem na galerijkę, spojrzała w moim kierunku, opierając się plecami o żelazną barierę. Potem odwróciła głowę i próbowała wspiąć się na ogrodzenie, by skoczyć w przepaść. Ale była zbyt stara i słaba, i nie udało jej się tego zrobić.

Objąłem ją ramionami i przytrzymałem w bezpiecznej odległości od bariery. Oddychała ciężko, jakby wspięła się na szczyt wieży po linie. Zastygłe życie miasta podjęło swój rytm i do moich uszu znów zaczęły docierać jego odgłosy.

- Proszę mnie puścić - powiedziała, wrywając się.

- Nie mogę. Te kamienie są daleko pod nami i nie chciałbym, żeby pani na nie upadła. Jest pani zbyt ładna.

- Jestem starą jędzą, starą jak świat. - Ale rzuciła mi spod oka kokietyjne spojrzenie drobnej, niegdyś pięknej kobiety, która wie, że nadal jest przystojna. - Zrobi pan coś dla mnie?

- Jeśli będę mógł.

- Proszę zwieźć mnie na dół i pozwolić mi odejść. Nie zrobię nic złego - ani sobie, ani nikomu innemu.

- Nie mogę tego ryzykować.

Czułem przez materiał emanujące od niej ciepło. Jej górna warga i zapadłe policzki pokryły się potem.

- Niech mi pani opowie o swoim synu, Williamie. Milczała. Makijaż rozpuszczał się i jej twarz wyzierała spod niego jak śmiertelna maska.

- Czy przehandlowała pani ciało swego syna za ten wielki dom w Kanionie Chantry'ego? Czy może były to zwłoki kogo innego?

Plunęła mi w twarz. Potem wybuchnęła spazmatycznym szlochem. Wreszcie uspokoiła się. Kiedy zwoziłem ją windą na dół i przekazywałem w ręce ludzi prokuratora okręgowego, nie odezwała się ani słowem.

Powiedziałem im, że powinni ją dokładnie przeszukać i zatrzymać pod obserwacją jako potencjalną samobójczynię. I dobrze zrobiłem. Lansing, prokurator okręgowy, powiedział mi potem, że kobieta, która ją przeszukiwała, znalazła wyostrzony starannie sztylet, owinięty w jedwabną pończochę i wsunięty pod pas od podwiązek.

- Czy ustaliliście, po co go przy sobie nosiła? Potrząsnął przecząco głową. - Przypuszczalnie zamierzała użyć go przeciwko Chantry'emu.

- Ale jaki miała motyw?

Lansing pociągnął na przemian za oba końce swych wąsów, jakby były one kierownicą roweru, umożliwiającą jego umysłowi manewrowanie wśród zawilosci śledztwa.

- Nie zostało to podane do wiadomości publicznej i muszę pana prosić, aby zatrzymał pan tę informację dla siebie. To chyba Chantry zamordował trzydzieści lat temu w Arizonie syna panny Mead. Żeby oddać cesarzowi co cesarskie, muszę przyznać, że odkrył to kapitan Mackendrick. Znakomicie poprowadził śledztwo. Myślę, że zostanie naszym następnym szefem policji.

- Z pewnością dobrze mu to robi. Ale jak pogodzić tę koncepcję zemsty z próbą samobójstwa?

- Czy jest pan pewny, że próbowała je popełnić?

- Takie miałem wrażenie. Mildred chciała odejść i zatrzymała ją tylko ta żelazna bariera. Oraz zbieg okoliczności, dzięki któremu zobaczyłem ją na tej galeryjce.

- No cóż, nie jest to w zasadzie sprzeczne z koncepcją zemsty. Jej zamiar został udaremniony, więc obróciła swój gniew przeciwko sobie.

- Nie całkiem pana rozumiem, panie prokuratorze.

- Doprawdy? Być może nie zna pan tak dobrze jak my ostatnich osiągnięć psychologii kryminalnej. - Uśmiechnął się z lekkim przymusem.

Odpowiedziałem mu łagodnie, bo miałem jeszcze do niego interes. - To prawda, nigdy nie studiowałem prawa.

- Ale mimo to bardzo nam pan pomógł - powiedział, jakby chcąc dodać mi otuchy. - I jesteśmy bardzo wdzięczni za pańskie sugestie. - Wstał i w jego oczach pojawił się wyraz roztargnienia. Ja również podniosłem się. Miałem koszmarne wrażenie, że tracę kontakt z całą sprawą.

- Czy mógłbym spędzić minutę z pańskim więźniem, panie prokuratorze?

- Z którym?

- Z Chantrym. Chcę zadać mu kilka pytań.

- Odmawia odpowiedzi. Tak mu doradził jego obrońca.

- Pytania, które chcę mu zadać, nie dotyczą tych morderstw, w każdym razie nie dotyczą ich bezpośrednio.

- O co więc panu chodzi?

- Chcę go spytać, jak się naprawdę nazywa, i zaobserwować jego reakcję. Poza tym spytać go, dlaczego Mildred Mead próbowała popełnić samobójstwo.

- Nie mamy na to dowodów.

- Wiem, że próbowała, i chcę się dowiedzieć, dlaczego.

- A dlaczego pan sądzi, że on może znać odpowiedź?

- Myślę, że łączy go z Mildred bliski związek. Nawiasem mówiąc jestem pewien, że problem ten zainteresuje też Jacka Biemeyera. Jak pan wie, to on mnie zatrudnił.

- Jeśli pan Biemeyer ma jakieś pytania albo sugestie, to powinien przekazać mi je osobiście - powiedział Lansing tonem człowieka, który chce się upewnić, czy jego głos brzmi dość stanowczo.

- Zakomunikuję mu to.

Dom Biemeyerów wydawał się opuszczony, jak gmach publiczny, ewakuowany z powodu groźby wybuchu bomby. Wyjąłem portret Mildred Mead z bagażnika samochodu i ruszyłem chodnikiem w stronę drzwi frontowych. Zanim doszedłem, ukazała się w nich Ruth Biemeyer. Dotknęła palcem ust. - Mój mąż jest bardzo zmęczony. Namówiłam go, żeby odpoczął.

- Niestety, muszę z nim porozmawiać, proszę pani. Odwróciła się w kierunku drzwi, ale tylko po to, żeby domknąć je za sobą.

- Może pan szczerze rozmawiać ze mną. To ja właściwie pana zatrudniłam w tej sprawie. Ukradziony obraz należy do mnie. Widzę, że ma go pan z sobą, prawda?

- Tak. Ale nie nazywałbym go ukradzionym obrazem. Umówmy się, że Fred wypożyczył go, bo był mu potrzebny do badań naukowych i biograficznych. Chciał ustalić, kto i kiedy go malował i kogo przedstawia. Niewątpliwie odpowiedzi na te pytania są dla Freda ważne ze względów osobistych. Ale to jeszcze nie znaczy, że jest przestępcą.

Przytaknęła ruchem głowy. Wiatr rozwiął jej włosy i stała się nagle ładniejsza, jakby padło na nią światło.

- Mogę zrozumieć motywy postępowania Freda.

- Powinna pani. Pani też kupiła ten obraz z pobudek osobistych. Mildred Mead zjechała do miasta i pani mąż znów się z nią widywał. Czy nie dlatego właśnie powiesiła pani w domu jej portret? Czy nie była to wymówka wobec niego lub może groźba?

Zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, dlaczego go kupiłam. Nie zdawałam sobie nawet wtedy sprawy, że przedstawia on Mildred.

- Ale musiał to wiedzieć pani mąż.

Zapadło między nami milczenie. Słyszałem, jak morze odmierza czas daleko, u podnóża góry.

- Mój mąż jest w złej formie. Postarzał się w ciągu tych paru dni. Jeśli wszystko to wyjdzie na jaw, jego reputacja będzie zrujnowana. Może on sam również.

- Podjął to ryzyko już dawno temu, wybierając taką a nie inną drogę postępowania.

- Ale co właściwie zrobił?

- Myślę, że to on umożliwił sfalszowanie tożsamości Chantry'ego.

- Sfalszowanie tożsamości? Co pan ma na myśli?

- Chyba pani wie, co mam na myśli. Ale wolałbym porozmawiać o tym z pani mężem.

Przygryzła wargę. Z obnażonymi zębami przypominała trochę warującego u drzwi psa obronnego. Potem wzięła obraz, weszła do domu i poprowadziła mnie do męża.

Siedział przed fotografią swej kopalni miedzi. Na jego twarzy malowała się zupełna bezradność. Opanował słabość i uśmiechnął się kąciakiem ust.

- Czego pan chce? Znów chodzi o pieniądze?

- Tylko o kilka informacji. Cała sprawa zaczęła się w roku 1943. Pora ją zakończyć.

- Co właściwie wydarzyło się w roku 1943? - zwróciła się do mnie Ruth Biemeyer.

- Nie znam całej prawdy. Myślę, że wszystko zaczęło się w momencie, kiedy William Mead dostał urlop z wojska i przyjechał do domu, do Arizony. Jego dom był zresztą właściwie gdzie indziej. Miał młodą żonę i małe dziecko, którzy czekali na niego w Santa

Teresa. Ale jego matka przebywała nadal w Arizonie. Gdzie dokładnie mieszkała wtedy Mildred, panie Biemeyer?

Udał, że mnie nie słyszy. Zona odpowiedziała za niego:

- Mieszkała w Tucson, ale spędzała weekendy w górach, razem z moim mężem.

Biemeyer spojrział na nią zaskoczony. Zacząłem się zastanawiać, czy rozmawiali kiedykolwiek otwarcie o łączącym go z Mildred związku.

- William nie był tym zapewne zaskoczony - ciągnąłem. - Jego matka mieszkała już przedtem z innymi mężczyznami, najdłużej z malarzem nazwiskiem Lashman. Lashman zastępował mu ojca i nauczył go malować. Kiedy William przyjechał na urlop do Arizony, dowiedział się, że jego przyrodni brat Richard ukradł mu część obrazów i prezentował je jako własne. Tożsamość Chantry'ego zaczął fałszować w gruncie rzeczy sam Chantry, kradnąc obrazy i rysunki Williama, a także żeniąc się z Francine.

Na tym tle doszło do bójki między obydwoma młodymi ludźmi. William zabił Richarda i zostawił jego ciało na pustyni, przebrawszy je przedtem we własny mundur. Jako nieślubny syn marzył zapewne całe życie o zajęciu miejsca Richarda. Teraz miał szansę je zająć, uwalniając się równocześnie od służby wojskowej i małżeństwa.

Ale nie mógłby tego przeprowadzić bez pomocy innych osób, dokładnie mówiąc trojga ludzi. Przede wszystkim pomogła mu Francine. Najwyraźniej kochała go, choć był żonaty i zamordował jej męża. Może nawet sama zachęcała go do tego morderstwa. Tak czy owak przyjechała z nim do Santa Teresa i przeżyła siedem lat jako jego żona.

Nie wiem, dlaczego zaryzykował powrót do tego miasta. Może chciał śledzić losy swego syna. Ale o ile wiem, nigdy nie widział Freda w ciągu tych siedmiu lat. Niewykluczone, że żyjąc tak blisko żony i syna, w tajemnicy przed nimi odgrywał swą komedię podwójnej osobowości. A może potrzebował tego typu napięcia, stymulatora, dzięki któremu mógł podtrzymywać mit Chantry'ego i kontynuować twórczość.

Ale przede wszystkim musiał wydostać się bezpiecznie z Arizony, i to umożliwiła mu matka. Mildred wykonała zapewne najtrudniejsze zadanie. Pokazano jej zwłoki młodego Richarda Chantry, a ona rozpoznała w nich ciało swego syna. Dowiodła tym odwagi, zresztą nie po raz ostatni. Kochała swego nieślubnego syna, bez względu na jego winy. Ale kochała go niezdrową i tragiczną miłością. Dziś rano wybrała się do niego, zabierając z sobą sztylet.

- Żeby go zabić? - spytała Ruth Biemeyer.

- Lub umożliwić mu samobójstwo. Nie sądzę, żeby Mildred robiło to większą różnicę. Jej życie jest już właściwie skończone.

Biemeyerowi wydarło się mimowolne westchnienie.

- Mówił pan, że Williamowi pomagały trzy osoby - zwróciła się do mnie jego żona.

- Co najmniej trzy.

- Kto był tą trzecią osobą?

- Myślę, że pani to wie. William Mead nigdy nie wy dostałby się z Arizony i nie uniknąłby ekstradycji, gdyby nie czyjaś pomoc. Ktoś musiał przerwać śledztwo prowadzone przez szeryfa Brothertona i doprowadzić do umorzenia całej sprawy.

Oboje spojrzeliśmy na Biemeyera. Podniósł swe masywne ramiona, jakby dojrzał w naszych oczach wyloty rewolwerów.

- Nie zrobiłbym czegoś takiego.

- Chyba, żeby ona ci kazała - stwierdziła jego żona. - Od kiedy pamiętam, zawsze wydawała ci polecenia. Na pewno pojedziesz do więzienia, żeby spytać ją, co masz robić dalej. Ona każe ci wydać majątek na obronę jej syna, który jest mordercą, a ty jej posłuchasz.

- Może istotnie tak zrobię.

Wpatrywał się w jej twarz. Spojrzała na niego z zaskoczeniem i nagłym lękiem.

Biemeyer wstał powoli, jakby dźwigał na plecach ciężar.

- Czy zawiezie mnie pan tam, Archer? Czuję się dość roztrzęsiony.

Zgodziłem się. Biemeyer ruszył przodem w kierunku wyjścia. Stanął w drzwiach i odwrócił się do żony.

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinnaś wiedzieć, Ruth. William jest również moim synem. Nieślubnym synem moim i Mildred. Kiedy się urodził, byłem kilkunastoletnim chłopcem.

Jej twarz zalała fala rozpacz. - Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? Teraz jest już za późno.

Spojrzeła na męża, jakby widziała go po raz ostatni w życiu. Poprowadził mnie przez puste, rozbrzmiewające echem wnętrze. Niepewnie stawiał kroki, chwiejąc się lekko. Pomogłem mu wsiąść do samochodu i zacząłem zjeżdżać ze wzgórza.

- To był przypadek - powiedział. - Tak się w życiu czasem składa. Poznałem Mildred, kiedy byłem jeszcze w gimnazjum, po meczu futbolowym. Felix Chantry wydał przyjęcie w swej willi. Zostałem zaproszony, bo moja matka była jego kuzynką. Rozumie pan, jako ubogi krewny.

Siedział przez chwilę z opuszczoną głową, potem zaczął mówić trochę głośniejszym głosem:

- Zdobyłem tego dnia trzy punkty, cztery, jeśli liczyć Mildred. Miałem siedemnaście lat w chwili poczęcia Williama, a osiemnaście, kiedy się urodził. Niewiele mogłem dla niego zrobić. Nie miałem pieniędzy. Próbowałem przebrnąć jakoś przez college. Mildred

powiedziała Felixowi Chantry, że to jego syn, a on jej uwierzył. Pozwolił nadać chłopcu swoje nazwisko i łożył na jego utrzymanie, dopóki nie zerwała z nim i nie przeniosła się do Simona Lashmana.

Zrobiła, co tylko mogła, również dla mnie. Załatwiła mi sportowe stypendium, namówiła Felixa, żeby zatrudnił mnie w kopalni. Pomogła mi wspiąć się po szczeblach drabiny. Wiele jej zawdzięczam.

Ale w jego głosie nie było ciepła ani wdzięczności. Być może czuł, że jego życiepotoczyło się niewłaściwym torem, kiedy był jeszcze młody, i że dotąd nie bardzo nad nim panuje. Obserwował miasto, przez które jechaliśmy, jakby widział jego cieniste ulice po raz pierwszy w życiu.

Ja też czułem się tu obco. Korytarze gmachu sądów nasunęły mi porównanie z katakumbami. Po zawiłych formalnościach, które przypominały obrządek przyjmowania do jakiegoś pierwotnego szczepu, ludzie prokuratora okręgowego wprowadzili nas do pokoju, w którym przebywał ujęty przeze mnie człowiek. Nawet stojąc między dwoma uzbrojonymi strażnikami nie wyglądał jak wielokrotny morderca. Wydawał się blady, słaby i zalekziony. Jakże często sprawiają takie wrażenie przestępcy, którzy dopuścili się zbrodni.

- William? - spytałem. Kiwnął głową. W jego oczach wzbierały łzy i spływały po policzkach, jak wielkie krople krwi z zadanych sztyletem ran.

Jack Biemeyer zrobił krok do przodu i dotknął mokrej twarzy swego syna.